

ELIZABETH
NOBLE

Dziewczyna z sąsiedztwa

Tytuł oryginału:
The Girl Next Door

**Dla Mari Evans,
cudownej pod każdym względem**

**Nie podążaj w stronę, w którą wiedzie ścieżka.
Idź tam, gdzie jej nie ma, i wytycz szlak.**

Ralph Waldo Emerson

Osoby

EVE GALLAGHER	nowa lokatorka, Angielka, wynajmuje mieszkanie nr 7A; właśnie przyjechała z Surrey
ED GALLAGHER	mąż Eve; ambitny bankier
CATH THOMPSON	siostra Eve, żona Geoffa, matka Polly i George'a
VIOLET WALLACE	również Angielka; wynajmuje mieszkanie nr 4B; mieszka w kamienicy najdłużej; organizatorka komitetu ogrodowego
JASON KRAMER	makler giełdowy; właściciel mieszkania nr 6A
KIMBERLEY KRAMER	żona Jasona; niegdyś doradca podatkowy, obecnie gospodyni domowa
AVERY KRAMER	córka Kimberley i Jasona Kramerów
ESME	niania Avery pochodząca z Jamajki
DAVID SCHULMAN	prawnik; wraz z żoną współwłaściciel mieszkania nr 6B
RACHAEL SCHULMAN	żona Davida; wiceprezes do spraw marketingu w jednej z dużych firm kosmetycznych; skarbniczka w zarządzie co-op
JACOB, NOAH I MIA SCHULMAN	dzieci Davida i Rachael Schulmanów, mają 6, 4 i 2 lata
MILENA	polska niania dzieci Schulmanów
JACKSON GRAYLING TRZECI	syn Jacksona Graylinga Juniora i Marthy Northrup Grayling z West Palm Beach; lokator należącego do nich mieszkania nr 5A; lat 26; obecnie nigdzie niezatrudniony
EMILY MIKANOWSKI	wynajmuje mieszkanie nr 3A; pracuje przy produkcji programów NBC; triatlonistka; lat 31; Amerykanka w drugim pokoleniu, córka Polaków mieszkających w Oregonie
CHARLOTTE MURPHY	wynajmuje mieszkanie nr 2A; pracuje w Nowojorskiej Bibliotece Publicznej; lat 29; z pochodzenia Irlandka, urodzona w Seattle; ubiera się bez gustu; nałogowo czyta romanse

MADISON CAVANAGH	wynajmuje mieszkanie nr 2B, pracuje dla pisma o modzie, choć woli być panną młodą niż redaktorką; niezwykle zadbana przedstawicielka klasy WASP
RODZINA STEWARTÓW (BOBBIE, BLAIR, TYLER, TAYLOR I ASHLEY)	właściciele mieszkania na ostatnim piętrze; właśnie zakończyli przebudowę, przyłączając sąsiedni dokupiony lokal do własnego apartamentu, czym narobili sobie wrogów; Bobbie zarządza funduszem hedgingowym, a Blair, elegancka dama, ma wymagającą kosztownych zabiegów fryzurę
MARY	gospodyni Stewartów, osoba niezadowolona ze swojej pracy
PISCATELLOWIE (EARNEST I MARIA)	mieszkańcy lokalu nr 7B; tęsknią za dziećmi, Bradleyem i Ariel, które wyjechały na studia; Earnest pracuje w firmie ubezpieczeniowej, Maria jest emerytowaną nauczycielką oraz sekretarką zarządu co-op
EMERSON I COLE (TODD i GREGORY)	para gejów, właściciele mieszkania nr 5B; Todd jest dekoratorem, a Gregory pediatrą anesteziologiem, a także prezesem zarządu co-op
DR HUNTER STERN	mieszkaniec lokalu nr 4A; sąsiad Violet Wallace i jej wieloletni partner do rozmów; psychiatra przyjmujący pacjentów w gabinecie we własnym mieszkaniu
ARTHUR ALEXANDER	mieszkaniec lokalu nr 3C; jego ojciec był kiedyś właścicielem całej kamienicy, lecz synowi pozostawił w spadku tylko to mieszkanie; homofob i domowy zrzęda
CHE, JESUS I RAOUL	kubańscy portierzy; gospodarz domu zatrudnia wyłącznie Kubańczyków
GONZALEZOWIE (ESTEBON I DOLORES)	gospodarz domu z żoną; opiekują się kamienicą od 15 lat

Zielone płuca. Takim mianem określa się parki w wielkich miastach. Jednak w Nowym Jorku nazwa ta nie odpowiada prawdzie. Central Park – niemal 340 hektarów bezcennej ziemi w środku jednego z największych miast świata – to nie jego płuca, lecz serce. Gdziekolwiek pójdziesz, czy ścieżką z dala od zgiełku, czy promenadą wśród turystów studiujących mapy, czy wśród wszechobecnych biegaczy i sprzedawców precli, wszędzie zobaczysz ławki. Jest ich ponad 9 tysięcy. W 1986 roku zarząd parku rozpoczął akcję „Zaadoptuj ławkę”, pozwalając nowojorkykom zadedykować je tym, których kochali i wciąż kochają. Tu właśnie bije serce miasta. Na ławce obok zoo wypisano oświadczyzny. Świadectwa radości i szczęśliwych wspomnień, wyrazy wdzięczności widnieją na rzędach ławek stojących przy placach zabaw – obok rzeźby Alicji w Krainie Czarów, przed karuzelą i nad stawem. Po 11 września na ławkach pojawiły się tabliczki, po których przeczytaniu chce się płakać. Nad losem młodych mężczyzn i kobiet, zmarłych przedwcześnie, nad bliskimi, których pozostawili.

„Dla świata byłeś jedną z wielu osób. Dla jednej osoby byłeś całym światem”.

Wybrałam ławkę na Cedar Hill. To jedno z twoich ulubionych miejsc. W zimie dzieci zjeżdżają tu na sankach, a w powietrzu dźwięczy śmiech. Na jesieni wszystko kipi kolorami. W lecie blisko stąd do cienia i do budki z lodami przy Piątej Alei. Ale najbardziej chyba lubię wiosnę. Jest pełna obietnic, zapowiada nadejście czegoś nowego. Może nie dla mnie, lecz dla ludzi, którym się przyglądam.

Długo zastanawiałam się, co napisać na tabliczce. Coś z Whitmana lub Emersona? Pucciniego? Jakąś własną myśl?

W końcu postanowiłam umieścić tylko twoje imię. Cała reszta należy do mnie, noszę ją w sobie, wyrytą w sercu.

Ósma rano

Jesus, nocny portier, właśnie kończył pracę. Zanim zjawił się jego zmiennik Raoul, zdażył zmyć marmurową podłogę w hallu i starannie wypolerować mosiężną wycieraczkę przy drzwiach wejściowych. Podczas gdy dzienny portier przebiegał się w służbowej łazience w elegancki szary uniform, pomocnik dozorca jeździł po piętrach windą dla obsługi i zbierał czarne worki ze śmieciami oraz posortowane przez mieszkańców surowce wtórne. W suterenie gospodarz domu sprawdzał na liście lokatorów, kto jest na miejscu, kto wyjechał, a kto zamawiał jakąś przesyłkę. Robił to przez pięćdziesiąt tygodni w roku od ponad piętnastu lat. Zajmowali z żoną małe mieszkanie na samym dole. Wychowali w nim synów, którzy już dorosli i się wyprowadzili.

W mieszkaniu nr 7B Maria Piscatella ucałowała w policzek wychodzącego do pracy męża. Jak zwykle przyglądała mu włosy. Potem z namysłem przyjrzała się naczyniom po śniadaniu i pomyślała o czekającym ją dniu. Dwójka dzieci w czarnych togach noszonych na uroczystości zakończenia szkoły średniej uśmiechała się do niej z wiszących na kuchennej ścianie fotografii. Wiedziała, że oboje jeszcze śpią, daleko stąd, w akademikach. Na pewno zeszłego wieczoru siedzieli do późna, ucząc się lub imprezując. Bradley mieszkał poza domem już od dwóch lat, a Ariel dopiero od września, ale Maria każdego dnia za nimi tęskniła. W mieszkaniu było zbyt cicho. Brakowało jej bałaganu. Wkładała do zmywarki dwa talerze, dwie szklanki i dwa kubki. Ścieliła jedno łóżko. W dodatku nie zaplanowała na dziś żadnego prania. Gdyby ktoś dziesięć lat temu powiedział jej, jak bardzo będzie tęskniła za pracami domowymi, roześmiałyby się tylko i pomyślała, że zwariowała.

Na ostatnim piętrze, w mieszkaniu nr 8A/B, Mary, gospodynię Blair Stewart, też rozśmieszyłyby taka sugestia. Była na nogach od szóstej rano. Jak co dzień od sześciu miesięcy obudziła się w pozbawionej okien służbówce obok pralni. Teraz podawała gofry – każdy z nieco innymi dodatkami – trójce dzieci Stewartów, podczas gdy Blair wydawała jej dyspozycje na nadchodzący dzień, a Bobbie jęczał, że z pralni chemicznej nie odesłali mu szarego garnituru w prążki. Mary nie przeszkadzało, że ktoś jej rozkazuje (inaczej musiałaby zmienić zawód), ale nie znosiła sposobu, w jaki robiła to pani Stewart. Gdy nakazywała: „Posprzątaj w pralni”, zawsze dodawała: „tylko naprawdę porządnie”, jakby istniał jakiś odmienny sposób albo jakby Mary kiedyś zrobiła to niedbale. Można by pomyśleć, że kobieta przywiązująca taką wagę do jakości wykonywania wszystkiego też sama czasem coś robi. Ale oczywiście pani Stewart była zbyt zajęta. Dziś na przykład wybierała się na luncheon. Mary wciąż nie rozumiała, dlaczego po dodaniu trzech liter zwykły lunch zmieniał się w luncheon, najwyraźniej miało to jakiś związek z pie-

niędzmi. Pani Stewart, jak co dzień, uda się do klubu fitness na rogu Madison i 85 Ulicy, potem się uczesze, wystroi i pójdzie „zrobić coś dobrego dla innych”. O podobnej działalności we własnym domu, rzecz jasna, nie było mowy. Mary nie cierpiała Blair Stewart. Bóg świadkiem, że potrzebowała pracy i nie płacili jej źle, ale gdyby nie dzieci, już dawno zaczęłyby się rozglądać za nowym zajęciem. Dzieci były w porządku. Może trochę leniwe i rozpieszczone – ale które są teraz inne?

W mieszkaniu nr 4A doktor Hunter Stern jeszcze spał. Zaczynał przyjmować pacjentów dopiero od jedenastej, a że robił to u siebie w domu, nigdy nie musiał wstawać przed dziesiątą trzydzieści. Ponieważ w wieku dwudziestu paru lat zaczął cierpieć na bezsenność i nie zdarzało mu się zasnąć przed trzecią czy czwartą nad ranem, używał stoperów do uszu, by harmider porannego Manhattanu nie przeszkadzał mu podczas upragnionej drzemki. Nie mógł brać pigułek nasennych, a że, jak wielu jego pacjentów, był podatny na nałogi, nie korzystał też z dobrodziejstw czerwonego wina. Czytał za to namiętnie biografie i w końcu zasypiał na sofie, a leżące na jego piersiach ciężkie tomy podnosiły się i opadały w rytm oddechu.

Po drugiej stronie korytarza Violet Wallace, jak co dzień rano, usmażyła jajko na dwóch plasterkach bekonu. Zaniosła talerz do jadalni, gdzie poprzedniego wieczoru nakryła stół płóciennym obrusem i położyła srebrne sztucce, po czym na-stawiła radio na BBC World Service. Abisyński kot, którego posiadania długo sobie odmawiała, nie chcąc powielać stereotypu samotnej staruszki, i którego z tegoż powodu wzbraniała się pokochać, nazywając Kotem, owinał ogon wokół krzesła i otarł grzbiet o nogi właścicielki, nie zwracając uwagi na to, że obdarza go tak sprzecznymi uczuciami.

Wyżej, w mieszkaniu nr 5B, Gregory Cole karmił Ulissesa, czekoladowo-brązowego labradora, który z wdzięcznością lizał mu dłoń, podczas gdy partner Gregory'ego, Todd, brał prysznic. Todd zawsze jadał śniadania w biurze, ze swą asystentką Gabrielle, więc Gregory przygotował miskę płatków z jogurtem tylko dla siebie, a potem wsparty o granitowy kuchenny blat otworzył „Timesa”.

- Usiądź przy jedzeniu – zawołał z sypialni Todd.
- Przecież nawet mnie nie widzisz!
- To nie znaczy, że nie wiem, co robisz...

Charlotte Murphy z mieszkania nr 2A jak co dzień rano spojrzała w lustro i jak zwykle poczuła rozczarowanie, widząc swoją twarz. W lokalu 2B, za cienką ścianą działową postawioną przed wejściem w życie nowych przepisów budowlanych, Madison Cavanagh doznała dokładnie odwrotnych uczuć. Odrzuciła grzywę blond włosów farbowanych u drogiego fryzjera i po raz drugi starannie pomalowała wydłużającym tuszem rzęsy, które niemal uderzały o brwi.

Na górze nowa lokatorka Emily Mikanowski rozciągnęła się na macie w pozycji kota, usiłując nie zwracać uwagi na piętrzący się w pokoju dziennym stos nierozpakowanych pudeł. Jej sąsiad, Arthur Alexander, śnił męczące sny i chrapał, aż ślina zbierała mu się w kącikach ust. Drugi sąsiad, Hung Hamazaki, który właśnie wrócił z trzymilowego biegu, odkręcał prysznic w nadziei, że nie będzie długo czekał na gorącą wodę. Lubił zasiać przy biurku w pracy o 8:45.

Piec buzował w kotłowni, rurami płynęła woda, czajniki dymiły na kuchenkach, grzejniki szumiały. Dom budził się do życia.

RS

Kwiecień

Eve

Hotel Four Seasons, 57 Wschodnia Ulica

– *Good Morning, New York!* – parodiowane przez Eda kwestie Robina Williama huczały echem w głowie biednej Eve.

Poprzedniego wieczoru picie drinka grey goose martini w hotelowym barze na cześć nowego życia wydawało się rzeczą oczywistą i jedyną, jaką należało zrobić. Kilka drinków, późna kolacja, bardzo seksowny hotelowy seks i około pięciu godzin snu. Dziś rano... było nieco inaczej. Możliwe, że grey goose martini to bardzo nowojorski drink, lecz Eve najwyraźniej ciągle była dziewczyną z Guildford. W ustach czuła smak starej skarpety.

Nakryła głowę puchową poduszką, żeby się schować przed blaskiem słońca bijącym przez okno, które zajmowało całą ścianę apartamentu na dwunastym piętrze. Słońce było równie uparte jak Ed, który właśnie przerabiał repertuar Sinastry, całkowicie nieświadomy faktu, że być może wkrótce Eve po prostu go zamorduje. Nie będziesz – nigdy – wypijał trzech koktajli z wódką. Jedenaste przykazanie.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Ed, jak zwykle, był w lepszej formie. Trzy drinki to za mało, by go powalić. Otworzył z wesołym „Dzień dobry!”, wpuszczając kelnera ze śniadaniem. Ten dyskretnie nakrył stół, umieścił storczyk w wazonie, a srebrne pokrywy na porcelanowych talerzach, i wyszedł, nie obdarzywszy nawet jednym spojrzeniem jęczącego pod kołdrą kobiecego kształtu.

– Wstawaj, mięczaku. Śniadanie. – Ed, który, jak zauważyła Eve, zdażył już wziąć prysznic i się ubrać, uniósł dolny róg kołdry, odsłaniając ukrytą tam stopę. Ścisnął żonę za duży palec.

– Grrr.

– Herbaty?

– Mmm.

– Nie wiedziałem, co byś chciała, a nie miałem odwagi cię budzić, więc zamówiłem naleśniki, bekon, sałatkę owocową, omlet z białek...

– Kto chciałby jeść cokolwiek z białek? Żółtko to jedyna godna uwagi część jajka.

– Cześć, niosąca zagładę...

– Eve usiadła i z gburowatą miną wzięła filiżankę herbaty.

– Już się zaczyna...

- Co?
- Zmieniasz się w Amerykanina. Wstępujesz do policji cholesterolowej.
- Rozumiem, że życzysz sobie naleśniki i bekon – roześmiał się Ed.
- Co cię nie zabije, to cię wzmocni. – Eve podeszła do stołu i zajrzała pod srebrną pokrywę na swoim talerzu.

- Mam nadzieję, że wzmocni. Czeka mnie pracowity dzień... – Ed wznosił toast szklanką soku pomarańczowego i stuknął nią w filiżankę żony. – Za nasz nowy dom!

Tylko że to wcale nie był dom. Przedtem Eve i Ed mieszkali w domu noszącym nazwę, na ulicy, która także się nazywała. W domu z ogrodem, podjazdem i garażem na ich własny samochód. Ed miał w ogrodzie szopę na narzędzia. Eve pracowała. I mieszkała w odległości dwudziestu pięciu minut od siostry, siostrzenicy i siostrzeńca.

Tak było przedtem. A teraz? Podeszła z herbatą do okna i spojrzała na wysokie szare budynki i bardzo niebieskie niebo. Na ulicy spod pokryw studzienek kanalizacyjnych unosiła się para. Zupełnie jak na filmie. Eve nie mogła pozbyć się uczucia, że właśnie w jakimś gra. Ale to wszystko działo się naprawdę. Tu i teraz!

Dwa naleśniki, trzy plasterki bardzo chrupiącego bekonu i cztery kubki herbaty później, po piętnastominutowym gorącym prysznicu, Eve poczuła się wreszcie jak człowiek. Mniej więcej. Kiedy wyszła z łazienki większej od ich dawnej sypialni, Ed rozmawiał przez telefon, najwyraźniej w sprawach służbowych. Zmarszczyła brwi. Dzisiejszy dzień miał być tylko dla nich.

Maż pojednawczym gestem uniósł dłoń i przepaszająco wzruszył ramionami. Po czym powiedział:

- Tak. Oczywiście. Będę... – spojrzał na zegarek – za pół godziny. Góra czterdzieści pięć minut. Świetnie.

Odłożył słuchawkę, podszedł do Eve i obejmując ją ramieniem, usiadł obok na łóżku.

- Obiecałeś. – Popatrzyła na niego z wyrzutem.
- Wiem. I obiecuję, że nie zostanę tam przez cały dzień. Tylko parę godzin. Żadne z nich w to nie uwierzyło.
- Lepiej, żebyś był przy odbieraniu kluczy. Miało to nastąpić o trzeciej.
- Na pewno. – Ed włożył marynarkę. – Spotkamy się w hotelu.
- Niech ci będzie.

Ujął twarz Eve w dłonie i pocałował ją mocno w usta.

- Będę się dziś z tobą kochał we wszystkich pokojach. Zmarszczyła nos i zachichotała.

- Dobrze, że to typowa czwórka, a nie szóstka.
- Mówisz jak nowojorska agentka nieruchomości.

- Ich język nie ma dla mnie tajemnic. Klepnął ją po pupie.
- Jeśli chcesz wiedzieć, poradziłbym sobie z typową szóstką, albo nawet z mieszkaniem dwupoziomowym.

Eve się roześmiała. Pewnie dałby radę. Kiedy wprowadzili się do swego angielskiego domu, kochali się w każdym pokoju, na stole w patio, pod prysznicem, choć, prawdę mówiąc, kiedy doszli do starej spiżarni z zimnym jak lód marmurowym blatem, ich zapał nieco ostygł. Kazała mu obiecać, że ochrzczą w ten sposób każdy dom, w którym będą mieszkali, łącznie z domem spokojnej starości, gdzie pewnie skończą jako stare dobre małżeństwo. Zapamiętał to sobie.

Kolejny pocałunek, jęk żalu i już go nie było.

Eve wróciła więc jeszcze na trochę do łóżka.

Nie mogła uwierzyć, że tu jest. Wszystko stało się tak nagle. Cztery miesiące temu nic nie zapowiadało zmian. Stała przy oknie, patrzyła na ogród, na założone przed rokiem grządki, i myślała o wiosnie. Kochała ten widok. I dom. Miał trzy sypialnie i znajdował się w wiosce leżącej cztery mile od centrum miasta. Na jego zakup wydali wszystkie pieniądze i wciąż jeszcze było wiele do zrobienia. Stare małżeństwo, które go sprzedało, nie zmieniało nic od dwudziestu lat – więc w weekendy Eve harowała, większość prac wykonując samodzielnie. Nauczyła się zdzierać tapety, kłaść kafelki i fugować. W ciągu mniej więcej roku usunęła wszystkie ślady wystroju z lat osiemdziesiątych, tworząc miejsce, które naprawdę jej się podobało – z białymi ścianami i głębokimi kanapami. Największym i najmiłym odkryciem okazał się ogród. Nigdy wcześniej nie zwracała uwagi na pory roku. Kiedy mieszkała w domu rodziców, ogród był miejscem zabaw i leniuchowania. W akademikach i wynajętych mieszkaniach w letnie upały rolę zielonego zakątka, jedyne, jakiego się potrzebowało, spełniał park Clapham Common, zapomniany przez pozostałe dni w roku. Teraz prawie każdego dnia pierwszą poranną herbatę piła na przylegającym do kuchni małym tarasie, napawając się widokiem, różnymi dźwiękami i zapachami.

Tamtego dnia, gdy Ed wrócił z pracy, właśnie siedziała w ogrodzie. Ubrana w kurtkę firmy Barbour i wełnianą czapkę w tęczowe paski, którą miała od zawsze i którą Ed nazywał kapturkiem na imbryk. Popijając z kubka herbatę earl grey, przyglądała się grządkom i rozmyślała o cebulkach. Zawsze wracała do domu mniej więcej godzinę przed mężem, który pracował w Londynie, zdany na łaskę kapryśnych pociągów. Choć bardzo go kochała, była to jej ulubiona godzina w ciągu dnia. Tylko dla niej. Czas, by po skończonej pracy cieszyć się nowo odkrytym zamięłowaniem do zajęć domowych. Coś zamarynować. Albo coś przystrzyc.

Tego dnia Ed wrócił później niż zwykle. Pocałował ją, a jego oddech pachniał piwem.

– Evie. – Nazywał ją tak, odkąd się poznali. Uwielbiała to. Był jedyną osobą na świecie, prócz mamy, która tak do niej mówiła.

– Piłeś!

– Wybacz, mamusiu. Tylko jedno.

– Z kim? – Ujęła się pod boki z miną aktorki Lucille Ball, ale oczy jej się śmiały.

– Z chłopakami z pracy.

„Chłopaki”, w oczach Eve, stanowili jeden bezkształtny kłęb męskości. Zapewne spotykała ich na przyjęciach gwiazdkowych albo na Letniej Rodzinnej Zabawie (a nagrodę za najmniej trafnie nazwany dzień otrzymuje...), ale z trudem odróżniała jednego od drugiego – Ben, Dan, Tom, Dave, Tim i... cała reszta.

– Miałeś udany dzień?

– Wspaniały.

– Dlaczego? – Jej ciekawość wzrosła.

– Wejźmy do środka, mała. Strasznie tu zimno. Musimy porozmawiać. – Ed pociągnął Eve za rękę, idąc tyłem w stronę drzwi. Poszła za nim. W kuchni wyjął z lodówki butelkę wina.

– Trzeba to uczcić. – Zdjął z suszarki dwa kieliszki i napełnił je po brzegi.

– Co?

– Dostałem nową pracę. Awansowałem.

– Ed, to fantastycznie! Nie miałam pojęcia, że coś się kroi...

– Ani ja. No, może niezupełnie.

Eve sięgnęła po kieliszki i jeden podała mężowi.

– Zdrowie. Za twój sukces.

– Zdrowie, Evie. – Wypili wino.

Eve przysunęła sobie krzesło i usiadła, nie spuszczać oczu z Eda. Był uszczęśliwiony.

– Opowiedz mi wszystko.

– Jeszcze nie słyszałaś najlepszego...

– Podwyżka? – Byłoby świetnie. Naprawdę przydałoby się spłacić część kredytu... W ciągu ostatnich paru lat wszystkie dodatkowe pieniądze zostawiali w sklepach z materiałami budowlanymi.

– Tak, podwyżka. I to całkiem spora. Ale nie o to chodzi. – Uśmiechnął się znacząco, otwierając szeroko oczy.

– Przestań się ze mną drażnić, łobuzie. – Żartobliwie uderzyła go w pierś. – Co jest grane?

– Dostałem pracę w... NOWYM JORKU! – Ed pomachał w powietrzu rozczapierzonymi dłońmi, co wyglądało bardzo zabawnie. Chwila wydawała się nierealna.

- Słucham?

- W Nowym Jorku. Będę pracował w oddziale w Nowym Jorku. Na Manhattanie. Dwa lata, a może więcej, jeśli nam się spodoba. Cholerny Nowy Jork. Evie! Trudno w to uwierzyć!

Eve miała wrażenie, jakby z jej płuc wyssano całe powietrze. Jej zmarznięta twarz nagle zrobiła się gorąca. Ed stał przed nią. Jego uniesione dłonie zastygły.

- Powiedz coś. Wyglądasz jak ryba. - Wydał policzki i poruszył wargami. - Wykrztuś coś z siebie...

- Ojej.

Potrząsnął nią delikatnie.

- Coś jeszcze.

- Nowy Jork.

- Może całe zdanie.

- Przyjąłeś tę pracę? Ed lekko przygasł.

- No, cóż. Oczywiście powiedziałem im, że musimy najpierw porozmawiać, ale...

- Ale?

- Ale zapewniłem, że będziesz zachwycona. Prawda? Przecież kiedyś rozmawialiśmy o takiej możliwości...

- Raz, wiele lat temu.

- Wtedy miałaś ochotę spróbować.

- No, tak...

- Przecież nic się nie zmieniło?

- Mamy dom...

Czy to złudzenie, że na jego twarzy pojawił się błysk rozdrażnienia?

- Możemy go zatrzymać. To oczywiste.

- Kocham ten dom. - Eve usłyszała w swoim głosie tęskną nutkę.

- Wiem. Ja też. Zatrzymamy go. W Nowym Jorku znajdą nam mieszkanie i w ogóle wszystko zorganizują. To świetny interes. Będzie nam się powodzić dużo lepiej. Oczywiście dom komuś wynajmiemy. Lokatorzy będą spłacali kredyt. A potem wrócimy.

- Na pewno?

Ed ukląkł obok krzesła i objął Eve.

- Nie wydajesz się taka szczęśliwa, jak się spodziewałem, Evie. Przytuliła się do męża.

- Po prostu... wszystko stało się tak nagle... jestem trochę w szoku, i tyle.

- To nie szok. To niespodzianka. Cudowna, szczęśliwa, wspaniała niespodzianka. - Zmierzył jej włosy. - Hej, Evie. Możemy o tym rozmawiać, jak długo zechcesz. Możemy odmówić.

Spojrzała mu w twarz, starając się odgadnąć, czy naprawdę tak myśli. Kochany Ed. Wiedziała, że nie zmusi go, by zrezygnował.

Eve nie była pewna, kiedy przyjęło się, że ona pracuje, a Ed robi karierę. Albo kto o tym zadecydował. Ale wiedziała, że tak właśnie jest. I że pojedą do Nowego Jorku.

Teraz tylko musiała znaleźć sposób, by zacząć się z tego cieszyć.

I oto, cztery miesiące później, stała tutaj, (niemal) zupełnie szczęśliwa. Nawet wstydziła się (trochę) swej początkowej reakcji. Cóż za brak odwagi. Przecież to wspaniała przygoda. Fantastyczna okazja. Najbardziej podniecające miasto świata. Przecież chciała być kobietą, która czerpie z życia garściami. Zjeżdża z góry na rowerze bez hamulców, siada na pierwszej ławce roller coastera i śpiewa do mikrofonu karaoke. Zawsze chciała taka być. I teraz mogła. Trudno znaleźć miejsce, które lepiej się do tego nadawało. A dzisiaj był dobry dzień, aby zacząć...

Może najpierw zadzwoni do siostry. Cath była właśnie taką kobietą. Na swój sposób to bez sensu, że Eve wyjechała do Nowego Jorku, a Cath została w Anglii, w charakterze żony Geoffa. Trochę bezbarwnego Geoffa. Kto wie, z jaką alchemią mamy do czynienia, gdy dwoje ludzi zakochuje się w sobie. Czasami nie ma w tym żadnej logiki.

Cath odebrała po trzecim sygnale. Była zdyszana.

– To ja. Eve.

– Eve! Co słyhać? Jak wam leci?

– Och, siedzimy w tym okropnym hotelu Four Seasons. Same kłopoty. Co zjeść. Jaki zabieg wybrać w hotelowym spa. Już samo zamawianie do pokoju dań z menu jest męczące...

– Zamknij się. Właśnie wymyłam sobie kupę spod paznokci.

– Obrzydliwe. Jak się mają jej producenci?

– Śmierdzący. Hałaśliwi. Cudowni.

– Jednego właśnie słyszę.

– To George. Chce jeść płatki w samochodzie. Właściwie mam tylko chwilę.

Wiesz, zaczęła się szkoła.

– Zapomniałam.

– Nie szkodzi. Gorzej, że ja też czasem zapominam. Ale mam chwilkę. Więc jak tam naprawdę jest?

– Naprawdę? Trochę dziwnie. Ed pojechał do biura, chociaż miał mi dzisiaj przez cały dzień pomagać, i właśnie stwierdziłam, że nikogo tu nie znam. Dopóki nie przyjdzie, będę zupełnie sama.

– Idź na zakupy. Nikt nie czuje się samotny w Bloomingdale's. Nie ma lepszej przyjaciółki od visy.

– Chyba masz rację – roześmiała się Eve.

- Kiedy się wprowadzacie?
- Dziś po południu dostaniemy klucze. Nowe meble powinni dostarczyć jutro. Rzeczy z Anglii miały przejść przez kontrolę celną w zeszłym tygodniu, ale muszę to sprawdzić. Więc oficjalnie chyba wprowadzimy się dzisiaj, choć jeszcze parę nocy spędzimy w hotelu.
- W mieszkaniu nie ma pewnie pokojówek.
- Niestety, nie!
- Słuchaj, mała. Naprawdę muszę już lecieć. Zadzwoń później, żeby jeszcze raz opowiedzieć mi o amerykańskich wspaniałościach?
- Jasne. Pozdrów wszystkich.
- Ty też. Strasznie za tobą tęsknimy.

Eve także tęskniła za siostrą. Mogła sobie dokładnie wyobrazić, jak tam u niej teraz jest. George z niesfornym jasnym kosmykiem na czole i plastikowym kubkiem pełnym płatków; nieposprzątana kuchnia, pełna nieprzeczytanych gazet i lepkich słoików; i Cath: wysoka, smukła, najseksowniejsza mamusia na świecie.

Łzy nagle napłynęły jej do oczu. Siakając nosem, sięgnęła po pilota. Siostra Hathaway i doktor Dough Ross znowu się kłócili. Zaczęła oglądać *Ostry dyżur*, a potem zapadła w sen. Obudziła się dopiero, gdy na ekranie pojawiły się napisy.

Mieszkanie 6A

Avery Kramer jak zwykle wydawała rozkazy. Wyglądała niczym aniołek, ale z anielskością miała teraz tak niewiele wspólnego, jak tylko może mieć kędzierzawa, jasnowłosa i niebieskooka dwulatka. Błękitne spojrzenie było lodowate, a ocienione długimi rzęsami oczy zwężone z zimnej wściekłości. Siedziała na wysokim drewnianym krzeselku, z nogami rozstawionymi tak, jakby chciała je komuś umyślnie podstawić, i żądała kolejnej potrawy na śniadanie. Za nią, w kuchennym zlewie, piętrzyła się sarta naczyń z odrzuconymi ofertami. Chciała grzanekę, ale jej nie zjadła, po czym zażyczyła sobie jajka na miękko, które odsunęła, raz zanurzywszy w nim kawałek chleba. Teraz najwyraźniej domagała się płatków bez mleka. Jej matka, Kimberley, sięgnęła po pudełko, cały czas przemawiając do Avery śpiewnym głosem, od pewnego czasu znienawidzonym przez Jasona. Poprawiając krawat, popatrzył na domową scenkę, zastanawiając się, dlaczego wszystko tak fatalnie się ułożyło. W pracy pierwsze spotkanie miał dopiero o dziesiątej, lecz stał już gotowy do wyjścia. Pocałował córkę w czubek głowy, żonie dziarsko pomachał ręką, niemal salutując, ale nie podszedł bliżej.

- Do zobaczenia wieczorem! - Głos miał znacznie weselszy od nastroju.
- Chcesz dzisiaj zjeść obiad? - zapytała, nie patrząc na niego.

Co to, do diabła, ma znaczyć? Kto nie chciałby obiadu? Dlaczego czuł się tak, jakby zjedzenie wieczornego posiłku było niedogodnością? I czemu nie miał odwagi odpowiedzieć twierdząco na to codzienne pytanie? Śniadanie jadł przy biurku. W domu nie było go przez cały dzień. Koszule i garnitury oddawał do pralni. Chciał tylko obiadu, nic więcej.

– Nie, zjem lunch. Kupię sobie kanapkę.

– To dobrze. Jestem dziś bardzo zajęta.

Czym, na litość boską? Oczywiście nie zapytał głośno.

– Avery, powiedz tatusiowi do widzenia.

Nie mówiła już do niego Jason. W obecności Avery nazywała go tatusiem, a poza tym właściwie... nijak.

Jason właśnie wychodził, gdy otworzyły się drzwi mieszkania Schulmanów. Korytarz między dwoma lokalami na szóstym piętrze miał szerokość około trzech metrów i Jason poczuł zapach perfum Rachael, zanim jeszcze ją zobaczył. Nie była to jedna z tych chemicznych, ostrych woni – lecz kwiatowa, delikatna i wyrafinowana. Właśnie taka jak Rachael Schulman.

Nawet dzieci Schulmanów były idealne. Jacob, Noah i Mia, rozczochrani i zaspani, stali z opiekunką w drzwiach, machając rodzicom na pożegnanie. Maleńka Mia o wielkich brązowych oczach przypominała lemura, gdy tak stała między starszymi braćmi.

– Do widzenia, mamó, tato. Kochamy was.

– My was też. Do zobaczenia wieczorem. – Zawsze to „my”. Jason poczuł, że zazdrość dusi go w gardle.

– Dzień dobry. – David poklepał sąsiada po ramieniu. – Co słyhać? – Drzwi windy otworzyły się i weszli do środka. Rachael nacisnęła guzik z jedyneką wymankiowanym paznokciem palca wskazującego lewej ręki, na którym błyszczała brylancikami ślubna obrączka.

– Jak tam Kim i Avery? – zapytała, odsłaniając równe białe zęby w szerokim niczym u Julii Roberts uśmiechu.

Chciał powiedzieć, że są okropne, ale głośno odrzekł:

– Dobrze.

W milczeniu zjechali piętro niżej. Rachael, spokojnym ruchem właścicielki, zdjęła nitkę z ramienia Davida. Jason odkasznął.

– Piękną mamy pogodę. – O Boże, czy nie mógł już wymyślić nic bardziej przeciętnego?

– Cudowną. Zima strasznie się ciągnęła, prawda? W weekend wybieramy się na wieś. Dobrze byłoby złapać trochę słońca.

Skóra Rachael. Złocista nawet podczas długiej zimy. Gładka, nieskazitelna, promienna. Jak u dziewczyn z reklam balsamów do ciała.

- Musicie przyjechać do nas na weekend. Mia i chłopcy chętnie pobawią się z Avery.

- Koniecznie. - David z aprobatą pokiwał głową.

Jason naprawdę o niczym innym nie marzył. Na wsi Rachael włoży strój kąpielowy. Bikini. Będzie mógł zobaczyć więcej. Zeszłego lata Rachael w krótkich spodenkach królowała w jego snach całymi tygodniami. A teraz w bikini. Poczuł przyspieszone bicie serca.

Winda zjechała na parter. Portier Che zmywał podłogę na koniec nocnej zmiany. Jason sięgnął do kieszeni marynarki po kartę do metra. Pomachał Rachael i Davidowi. Wsiadali właśnie do limuzyny, która każdego rana zawoziła ich do eleganckich biur w śródmieściu.

Był piękny poranek - niebo w odcieniu klasycznego nowojorskiego błękitu.

W klimatyzowanej limuzynie David położył rękę na kolanie żony.

- Mówiłaś serio?

- Co?

- Że Kramerowie powinni wybrać się z nami na wieś?

- A nie powinni?

- Nie wiem. - David wzruszył ramionami. - Zawsze jest taki... skryty. A ona spięta.

- Boi się o Avery. To wszystko. Pierwsze dziecko.

- Nie przypominam sobie, żebyś zachowywała się tak przy Jacobie.

- Uprowadziłaś się. Może być całkiem miło. Poza tym szkoda mi go. Wydaje się trochę smutny.

- Skryty, nie smutny.

- Cóż za podejrzliwość.

- A ty masz zbyt miękkie serce.

Rachael się roześmiała, a David ścisnął jej kolano.

- Dobrze. Zaprosimy ich. Założę się, że Kim odmówi. Na wsi jest niebezpiecznie. Komary. Kleszcze.

- Niedźwiedzie! - zachichotała Rachael.

- No właśnie. Niedźwiedzie. Jeszcze rzuciłyby się na Avery. Nie przyjedzie na wieś nigdy.

Mieszkanie 5A

Jackson z trudem rozchylił powieki rozdrażniony jasnym światłem sączącym się przez żaluzje sypialni, po czym odwrócił głowę i popatrzył na budzik. Ósma rano. O Boże! Spał dopiero trzy godziny. Mętym wzrokiem przyjrzał się swojej lewej stopie wystającej spod prześcieradeł na przeciwległym krańcu łóżka. Pa-

znokcie w kolorze fuksji. Wczoraj wieczorem – a może dziś rano – wydawało się, że to dobry pomysł. Matka w zeszłym tygodniu wpadła tu w obłoku perfum Hermes i zostawiła buteleczkę obok umywalki. Oglądał powtórki reality show, pił piwo, znalazł lakier i nudziło mu się... Teraz widział, że to chyba nie jego kolor. Zastanawiał się niemrawo, czy matka zostawiła także zmywacz. Zapewne nie. Nie wyobrażał sobie Marthy Northrup Grayling samodzielnie zmywającej lakier z paznokci, tak jak nie mógł wyobrazić jej sobie parzącej herbatę lub suszącej włosy. Lakier służył pewnie do poprawek w nagłych sytuacjach. Nie do pomyślenia, by pojawiła się w miejscu publicznym z odpryskiem na paznokciu. To kobieta, która nawet do klubu fitness chodziła w pełnym makijażu. Jackson był już zbyt rozbudzony, by przewrócić się na drugi bok. Poszukał więc na nocnym stoliku paczki marlboro oraz zapalniczki Zippo z wygrawerowanym monogramem. Zapalił, zaciągając się głęboko.

Z korytarza dochodziły jakieś odgłosy. Przy wejściu dla służby pomocnik dozorca zbierał butelki i czarne worki ze śmieciami. Przeklęte hałasy. Dom być może się budził, ale Jackson nie był na to gotowy.

Zresztą, po co właściwie wstawać? Wyścig szczurów nie dotyczył Jacksona Graylinga Trzeciego. Nie miał pracy zmuszającej go, by natychmiast wziął prysznic i wsiadł do metra, nie miał rachunków do uregulowania ani kredytu do spłacenia. Na razie nie zaświtała w nim jeszcze chęć wstania z łóżka ani refleksja, że brak powyższych powodów oznacza, że nie ma po prostu życia jako takiego.

We własnym mniemaniu jego życie było całkiem udane. Parę lat temu rodzice kupili to mieszkanie, by pozbyć się leniwego cielska syna z własnego pied-a-terre. Ich główna rezydencja, wielka i ohydna, ze względu na podatki znajdowała się w West Palm Beach na Florydzie, ale mieli też mieszkania w co najmniej czterech głównych miastach kraju i zgodnie z nakazami księgowych spędzali w każdym z nich określoną część roku. Do tego dochodziły wille na Bahamach i w Alpach. Gdy syn był mały, posiadali też na Upper East Side dom z garażem i tarasem na dachu, ale sprzedali go kilka lat temu, by kupić jeden z przerobionych na mieszkania apartamentów w hotelu Plaża. Matka, opowiadając o tym, z upodobaniem określała się mianem Eloise, „tej dziewczynki z książki”*. Jackson lubił dom na Manhattanie i chętnie by sobie w nim poleniuchował, ale nienawidził apartamentu w Płazie i niewzywany bywał tam rzadko. Ojciec nie przepadał specjalnie ani za hotelem, ani za Nowym Jorkiem. Martha na ogół korzystała więc z nowego lokum sama lub w towarzystwie łądząco do siebie podobnych przyjaciółek z Południa. Mężowi pozostawiała grę w golfa, żeglowanie oraz szukanie rozwiązań na korzystne rozliczenie podatków. Od lat syn nie dzwonił do rodziców na telefon stacjonar-

* Eloise – bohaterka książek dla dzieci Kay Thompson o sześciolatniej dziewczynce mieszkającej w hotelu Plaża w Nowym Jorku (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

ny. Nigdy nie wiedział, gdzie są, a znudziły go już wyjaśnienia gosposi. Co prawda na komórki też nie dzwonił zbyt często. Próbowali za plecami stworzyć mu życie, którego tak naprawdę wcale nie potrzebował.

Większość pieniędzy Jacksona spoczywała oczywiście w funduszu powierniczym. Rodzice nie byli na tyle głupi, by przekazać mu jego część kapitału przez trzydziestką. Mieszkanie kupili za gotówkę. Potem matka i jej dekorator z Palm Beach postanowili zmienić banalne wnętrze w coś, co w wyobrażeniu kobiety w średnim wieku i geja Kubańczyka wygląda jak garsoniera młodego człowieka. Mieszkanie przypominało teraz salon domu mody Ralpha Laurenta, ale Jacksona właściwie to nie obchodziło, a dziewczynom chyba się podobało. Rachunki za czynsz i opłaty wysyłano bezpośrednio do biura ojca. Jackson nie wiedział dokładnie, ile wynoszą. Oczywiście musiał zostać zaakceptowany przez zarząd co-op. Ojciec zażądał, by włożył z tej okazji marynarkę i krawat, a matka przez całą drogę windą na piąte piętro syczała mu do ucha, żeby nie ważył się czegoś zepsuć głupimi „dowcipami” o całonocnych imprezach i ćwiczeniu na perkusji. Jackson nie był idiotą – umiał się dostosować, jeśli było to konieczne. Oznajmił, że skończył Uniwersytet Duke'a jako przedstawiciel szóstego pokolenia mężczyzn w tej rodzinie, a teraz zastanawia się, któremu z rodzinnych interesów się poświęcić. Wcisnął też kit na temat odpowiedzialności obywatelskiej. Dobrze grał swoją rolę podczas takich rozmów, choć naprawdę poświęcił się tylko grze w koszykówkę, mniej więcej raz w miesiącu na boisku nad rzeką nieopodal West Side Highway. W mieszkaniu zachowywał się jako tako. Nocny portier mógłby o nim niejedno opowiedzieć, ale ani Kramerowie, sąsiedzi z góry, ani doktor Stern z dołu nie mogli się uskarżać. Jeśli zaś prezes zarządu co-op i jego partner, których Jackson spotykał czasem na wspólnym korytarzu, żalowali, że pozwolono mu się wprowadzić, nie okazywali tego.

Ojciec dawał mu kieszonkowe, a w nagłych sytuacjach zostawała jeszcze czarna karta American Express (róznili się z ojcem w ocenie tego, która sytuacja jest nagła, ale przeważnie nadużycia uchodziły mu na sucho). Rodzice płacili też służącej, by dwa lub trzy razy w tygodniu robiła zakupy i sprzątała resztki po poprzednich.

Kilka razy do roku wypytywali syna, dociekliwie i z pewną rozpaczą, o jego plany na przyszłość. Podczas świąt Bożego Narodzenia, Dziękczynienia i w Memorial Day. Miał więc czas, by wymyślić odpowiedzi brzmiące prawdopodobnie nawet dla niego. Zastanawia się nad taką i taką dziedziną, prowadzi rozmowy na ten czy inny temat, rozważa rozpoczęcie kolejnych studiów. Lub podjęcie jakiejś działalności dobroczynnej... to zawsze dobrze brzmiało.

Matkę łatwiej było nabrać niż ojca. Wierzyła we wszystko, co mówi jej jedyne dziecko, wpatrując się w nie z miłością i zachwytem.

Jackson Drugi, jak z uporem nazywał ojca syn, stanowił pewien problem. Szczycił się, że posiada radar do wykrywania bajeru, nie było mu więc miło, iż nieustannie musi go używać przy swoim jedynaku.

Rodzina Graylingów reprezentowała starą, jak na amerykańskie standardy, fortunę. W połowie XIX wieku zaczął ją gromadzić prapradziadek Jacksona. Był bogatym człowiekiem już w czasach wojny secesyjnej i mimo że pochodził z Południa, zdołał wyjść z niej jeszcze bogatszy. Graylingowie mieli z pewnością mroczne moralnie okresy, ale w dwudziestym wieku zdołali je ukryć pod pozorami szacowności i Jackson nieraz studiował w budynkach noszących nazwisko przodków. Ojciec przez całe życie zajmował się jedynie zarządzaniem rodzinnymi pieniędzmi, pomnożonymi dzięki małżeństwu z Martha, dziedziczką fortuny zbitej na hodowli koni. Jackson wiedział, że oczekują, iż pewnego dnia dorośnie na tyle, by można mu było powierzyć rodzinny majątek. Myśl o tym nudziła go tak bardzo, jak tylko mogła nudzić przedstawiciela klasy uprzywilejowanej. Pieniądze, które swobodnie wydawał przez całe życie, w ogóle go nie interesowały. Co najzabawniejsze, wiedział, że tym właśnie doprowadza ojca do szewskiej pasji. Podczas zeszłych świąt Bożego Narodzenia Jackson Drugi, wyjątkowo, stracił panowanie nad sobą i nazwał go „nieudacznikiem”. Syn starał się sprostać temu wyzwaniu.

Matka, mimo że jej rodzina odniosła takie sukcesy w rozmnażaniu zwierząt, zdołała wydać na świat tylko jedno dziecko – Jacksona. Bardzo brakowało mu brata, czy choćby siostry, którzy posłusznie spełnialiby oczekiwania ojca. Może wtedy wszyscy wreszcie zostawiliby go w spokoju.

Mieszkanie 2A

Do drzwi Charlotte zapukała Madison.

– Hejka, Charl!

Charlotte otuliła się szczerzej aksamitnym szlafrokiem i otworzyła po kolei każdy z trzech zamków. Madison miała na sobie strój z jaskraworóżowej i białej lycry – krótki top oraz spodenki. Oczywiście wracała z siłowni. Chodziła tam pięć razy w tygodniu. Bił od niej charakterystyczny blask. Występował w różnych odmianach, które Charlotte dobrze znała. Ten widywała częściej niż chociażby postkoitalny pojawiający się zazwyczaj w weekendy. Znała też burzę włosów rozjaśnionych kosztownym bależem w odcieniu karmelu i perfekcyjnie nałożony makijaż z gatunku tych udających, że ich nie ma. Madison malowała się na siłownię, bo jak wyznała sąsiadce, nigdy nie wiadomo, kogo tam można spotkać. Co prawda wcale makijażu nie potrzebowała. Charlotte wiedziała o tym dobrze, bo często

widywała koleżankę nieumalowaną. Madison Cavanagh wyglądała wspaniale nawet w dresach, lokówkach i w ręczniku. We własnym mieszkaniu.

Charlotte nie wiedziała, dlaczego Madison tak często ją odwiedza. Podejrzewała, że po prostu nienawidzi być sama. A z braku gromady przyjaciółek czy romantycznych podbojów i sąsiadka mogła się przydać. Wprowadziły się mniej więcej w tym samym czasie do dwupokojowych mieszkań na drugim piętrze. Puste lokale stanowiły początkowo symfonię niewinnych beżów i brązów. Z upływem czasu mieszkanie Madison przeszło całkowitą metamorfozę, a Charlotte lekko się zmieniło. W pierwszym pojawiła się wielka turkusowa kanapa i kosztownie wyglądające poduchy w graficzne wzory oraz drewniana konsola w kolorze wenge, zastawiona fotografiami w ramach. Na wszystkich była Madison pokazująca w szerokim uśmiechu białe zęby. Pozowała na tle wydm z rodzicami i braćmi, zwieszała się z ramion dwóch olbrzymów w strojach piłkarskich lub unosiła kieliszek z koktajlem w towarzystwie grupki podobnie wyglądających dziewczyn. Pośrodku stało zdjęcie Madison z dnia rozdania dyplomów, w todzie oraz birecie na idealnie uczesanych włosach. Gdy po raz pierwszy zobaczyła skromne jednoosobowe łóżko Charlotte, przykryte patchworkową kołdrą, na której leżała koronkowa poduszczyca, zaczęła ćwierkać, jakie to rozsądne zostawić więcej miejsca na przechowywanie ubrań, bo jej, przy szerokim łóżku, starczało go ledwie na buty.

Pewnego ranka, niedługo po wprowadzeniu, zjawiła się w stroju do ćwiczeń, by pożyczyć mleka, i od tamtej pory przychodziła stale. Piła odtłuszczone. Była zawiedziona, że Charlotte ma tylko mleko 2%, ale i tak je zabrała. Charlotte chyba nigdy nie zapukała do drzwi sąsiadki. W okresie ich przyjaźni – o ile można to tak nazwać – Madison przychodziła do niej. Kiedy chciała na przykład mleka do płatków (a Charlotte, co za głupota, kupowała teraz odtłuszczone), igły z nitką, żeby przyszyć guzik, albo kolejnej pokrępowanej rozmowy na temat miejsca Madison we wszechświecie. Nigdzie razem nie chodziły i Charlotte wiedziała, że tak już będzie zawsze. Spełniała inną rolę. Ale nie przeszkadzało jej to. Miała w stosunku do Madison mieszane uczucia. Tamta zapewne uważała, że sąsiadka rozpaczliwie zazdrości jej urody, bez troski i pozycji w świecie. Ale Charlotte była na to zbyt inteligentna. Czowała zaciekawienie, czasem lekkie zaskoczenie lub rozbawienie. Gdyby (choć tak nie było) zostawiła w rodzinnych stronach przyjaciółkę, której opisywałyaby w listach wielkie, złe miasto, główny temat stanowiłyby przygody Madison Cavanagh.

Była pierwszą rozwiązłą kobietą, jaką Charlotte poznała. (I pierwszą dorosłą osobą, oprócz samej siebie, którą zobaczyła nago. Madison stanęła kiedyś przed nią jak ją pan Bóg stworzył, domagając się porady, którą z krótkich i błyszczących kreacji założyć na przyjęcie). Seks był dla niej czymś zupełnie niezwiązanym z miłością i uważała się w tej dziedzinie za utalentowaną specjalistkę. Co się zaś tyczy uczucia, przyznawała się do kilku miłosnych zawodów, z których jakoby wyszła

zraniona i bezbronna. Charlotte nie bardzo w to wierzyła. Jej własne dziewictwo stanowiło temat tabu. Nie miała ochoty o tym rozmawiać, a Madison się nie dopytywała. Jeśli jakieś sprawy jej nie dotyczyły, nie były warte rozmowy, a z dziewictwem wiele lat temu się pożegnała.

Początkowo Charlotte szokowało wysłuchiwanie szczegółów, ale z czasem do tego przywykła.

Ostatnio w ich rozmowach pojawił się nowy temat. Jackson Grayling Trzeci, znany jako Trip. Kiedyś Madison umówiła się z kolegami ze studiów zatrudnionymi na Wall Street i dołączyło do nich kilku pracujących w pobliżu facetów. Rozmawiali o różnych wspólnych znajomych. Okazało się, że Trip, niechlujny, lecz niewątpliwie atrakcyjny nocny marek z piątego piętra, to nikt inny jak obrzydliwie bogaty facet z majątkiem w funduszu powierniczym, którego rodzice byli właścicielami połowy Teksasu czy czegoś w tym rodzaju.

Madison nie łączyła seksu z miłością. Za to bez wątpienia łączyła miłość z pieniędzmi. Charlotte nie dbała o nie tak długo, jak stać ją było na czynsz, rachunki i książki. Dwadzieścia procent tego, co zarabiała w bibliotece, wysyłała do domu, pomagając spłacać dług zaciągnięty przez rodziców na jej studia. A sporą (wyższą, niż oczekiwała) część oszczędzała. Nie pożałała tylu rzeczy co Madison.

Madison zarabiała ponad dwa razy tyle w piśmie poświęconym modzie. A Charlotte wiedziała, że matka prawie co miesiąc przysyła jej czek oraz płaci za przeloty do domu na święta. Mimo to zawsze twierdziła, że jest bez grosza. Zwykle dlatego, że pieniądze na jedzenie wydawała podczas przerwy na lunch na buty w domu towarowym Barney's. W jej kuchni, przy zlewie, oparta o szafkę, stała „tablica życzeń”. Pomysł zaczerpnęła od Ophry, gdy leżała kiedyś zaziębiona w domu i oglądała w ciągu dnia telewizję. Znana prezenterka powiedziała, że warto powiesić sobie na tablicy zdjęcia rzeczy, o których marzymy, gdyż w ten sposób wizualizujemy je sobie i przyspieszamy ich otrzymanie. Charlotte (choć uważała cały pomysł za bzdurę) podejrzewała, że Ophra miała na myśli jakieś bardziej szczytne cele niż torebka Muse Yvesa Saint Laurenta lub naszyjnik z brylantami od Tiffany'ego. A o tym właśnie marzyła jej sąsiadka.

Madison wiele mówiła o małżeństwie. Według niej było to coś nieuniknionego. Obecna część życia – kiedy umawiała się z wieloma mężczyznami i spała prawie z każdym, niemal nic o nim nie wiedząc – stanowiła okres przejściowy. We właściwym czasie (odpowiednim wiekiem wydawało się dwadzieścia siedem lat) rozpocznie poważne poszukiwania. Znajdzie mężczyznę (któremu wcale nie będzie przeszkadzało, że ostatnich pięć lat spędziła na zaliczaniu kolejnych przedstawicieli męskiej populacji Manhattanu) bogatego albo przynajmniej posiadającego wspaniałe perspektywy, pochodzącego z dobrej rodziny, wysokiego, wysportowanego, przystojnego i hojnego. Już los się o to postara. W piersi Madison Cavanagh, głę-

boko ukryte pod wyzywającym strojem, biło serce małej dziewczynki marzącej o księciu z bajki.

Który być może nosi teraz nieco niedbałą kozią bródkę i mieszka na piątym piętrze tej samej kamienicy...

Mniej więcej od lutego, gdy ten wątek pojawił się w rozmowach po raz pierwszy, Madison zajęła się czymś, co Charlotte nazywała (w myślach) osaczeniem Tripa. Było to dość frustrujące zajęcie, bo sąsiad rzadko się pokazywał. Raz czy dwa dopadła go w windzie i rozpoczęła rozmowę o jakimś wspólnym znajomym ich znajomych, ale nie połknął przynęty. Zarekwirowała przesyłkę, kwitowaną właśnie przez Raoula, by dostarczyć ją do rąk własnych. Niestety, gdy zadzwoniła do drzwi, Trip właśnie rozmawiał przez telefon i choć mrugnął do niej i powiedział bezgłośnie „dziękuję”, nic z tego nie wynikło.

Charlotte żałowała, że sama nie jest tak głęboko przekonana o czekającym ją w przyszłości happy endzie. Codziennie, siedząc w wagonie metra, przyglądała się jadącym mężczyznom, ale żaden nie odpowiedział jej spojrzeniem. Zresztą, większości z nich w ogóle by nie chciała. Ale jednego... tylko jednego, kiedyś...

Eve

Mieszkanie było piękne i stanowiło jak dotąd najjaśniejszy punkt nowego życia. Eve miała wrażenie, że przebywa na kartkach ilustrowanego magazynu, z gatunku tych, które czyta się u fryzjera. Znalazła to mieszkanie, gdy w styczniu przyleciała do Nowego Jorku. Bank korzystał z usług firmy organizującej przeprowadzki, która przydzieliła Eve konsultantkę Francine, wiedzącą dosłownie wszystko na temat nowojorskich mieszkań. Ona z kolei umówiła ją tego dnia na spotkania z przedstawicielami różnych agencji nieruchomości. Eve czuła się niczym dziewczyna z żurnala, gdy rano przed hotelem wsiadła do limuzyny, a potem przez cały dzień jeździła nią z miejsca na miejsce. Między spotkaniami Francine snuła opowieści o sąsiedztwie oraz budżecie i popijała wodę, nie rozmazując sobie przy tym błyszczyka. Cierpliwie tłumaczyła, na czym polegają różnice między co-op, condo a cond op. Między gospodarzem domu a portierem. Wydawała się znać lokalizację wszystkich sklepów Whole Foods, Dean & DeLuca oraz drogerii CVS w mieście, a także każdego parku i większości ocenianych w przewodniku *Zagat Survey* restauracji, w których warto zjeść. Sama mieszkała na Brooklynie ze swoim chłopakiem Anthonyem oraz jego dwoma synami „z poprzedniego związku z wredną suką”. To dla niego porzuciła swój ukochany Manhattan. Eve uznała, że strażak Anthony nie mógł otrzymać większego dowodu miłości.

Miały szczęście i trafiły na cudo już przed południem, po obejrzeniu pięciu przygnębiających lokali, w których Eve nie zamieszkałaby za żadne skarby.

Ostatni znajdował się nad salonem manicure'u. Ciągłe jeszcze czuła w nosie lekko mdlący zapach acetonu. Zbliżała się pora lunchu. Eve zastanawiała się, czy Francine go jada, a jeśli tak, to czy potrafi to zrobić, także nie rozmazując sobie błyszczczyka. Nagle konsultantka dostała telefoniczną wiadomość o mieszkaniu, które dosłownie w tej chwili weszło na rynek. Eve nigdy nie wierzyła w takie informacje, gdy podawano je w telewizyjnych programach zajmujących się sprzedażą nieruchomości, ale tym razem była to prawda. W drodze na miejsce Francine rozplywała się nad lokalizacją. Upper East Side. Siedemdziesiąte Ulice. Blisko do Metropolitan Museum of Art i Frick Collection, niedaleko domu towarowego Bloomingdale's. Pomiędzy Central Parkiem a Lexington, koło stacji metra na 77 Ulicy i parku na Cedar Hill. W pobliżu szpitala, jeśli pechowo byłby potrzebny, oraz świetnego fitness klubu. Dojazd do pracy zajmie Edowi piętnaście minut, co wydawało się nadzwyczajne. Będzie zachwycony.

Gdy samochód zatrzymał się przed kamienicą, Eve pozwoliła sobie na odrobinę podniecenia. W zasięgu wzroku nie było salonu manicure'u – to dobry początek. Francine wyjaśniła, że dom stanowi co-op. Jako lokatorka jedynie wynajmująca mieszkanie, Eve będzie mogła głosować na zebraniach mieszkańców, lecz nie wejdzie do zarządu.

– Ale kto, przy zdrowych zmysłach, miałby na to ochotę? – Konsultantka uniosła cynicznie brwi.

Francine używała nie do końca zrozumiałych skrótów. Eve nie wiedziała, co to jest zarząd co-op, choć Ed wyjaśnił jej, że co-op działa jak korporacja i właściciele mieszkań mają udziały w budynku. Jasne było, kim są całodobowi portierzy (czy to nie wspaniałe?), ale nie rozumiała, dlaczego nazywa się ich „białymi rękawiczkami”, skoro żadnych nie noszą. Znała skrót AC, ale nie HVAC*. Musiał jednak oznaczać coś dobrego, skoro Francine tak radośnie go wymieniła. Mieszkanie było „reno” – po renowacji – co wywołało niezwykle ożywioną reakcję konsultantki – i posiadało wyposażenie kuchenne ze stali nierdzewnej oraz wielki piec kuchenny Viking (stanowił kroplę, która przepełniła kielich Francine. Jej bujna pierś aż zafalowała z rozkoszy, grożąc wyrwaniem się na wolność z zapiętego na guziki swetra). Kuchnia Viking wyglądała, jakby gotowano na niej dla prawdziwych wikingów. Eve nie mogła sobie wyobrazić, że włącza piekarnik tylko po to, by upiec na kolację dwa ziemniaki.

Wejście kamienicy osłaniała markiza. Była pierwszą rzeczą, na którą Eve zwróciła uwagę, nie licząc nieobecności salonu manicure[^]. Markizy są takie nowojorskie. Zupełnie jakby grało się w odcinku *Przyjaciół*. Była w kolorze burgunda, całkiem nowa, umocowana na lśniących mosiężnych słupach. Eve bez trudu

* AC – air conditioning – klimatyzacja; HVAC – heating, ventilation, air conditioning – ogrzewanie, wentylacja, klimatyzacja

wyobraziła sobie pod nią Charlotte York w princesce w stylu Jackie Onassis z torebką Birkin z domu mody Hermes. Weszły do długiego, wąskiego hallu z marmurową podłogą i dużym okrągłym stołem, na którym stała dekoracja z jedwabnych kwiatów. Po jednej stronie znajdowały się dwie windy, a po drugiej pokój portiera bez białych rękawiczek. Leżało w nim mnóstwo przesyłek, a na wieszakach, w plastikowych osłonach, wisiały ubrania przysłane z pralni chemicznej. Portier zapowiedział przybycie gości i wjechały windą na siódme piętro. Eve usiadła na krzeselku w rogu, próbując powstrzymać chichot na widok tyłu wspaniałości. Poszukiwania domu w Surrey Hills wyglądały zupełnie inaczej. Starła się wszystko zapamiętać, by móc potem przez telefon opowiedzieć Cath. Przywitała je kobieta, która wyglądała, mówiła, a nawet pachniała jak czarnowłosa wersja Francine. Poprosiła Eve, by się rozejrzała, wyjaśniając, że meble nie są do wynajęcia – mieszkanie urządzono „na pokaz”.

Ale Eve nie interesowały meble, tylko światło – wpadające przez okna wychodzące na trzy strony świata. Stojąc tu, uświadomiła sobie, że właśnie tego brakowało jej we wszystkich oglądanych dziś rano mieszkaniach. Nawet największe z nich było ciemne. W świetle sama się rozchmurzyła i, po raz pierwszy dzisiaj, zaczęła wyobrażać sobie, że stoi w oknie lub przy blacie, nalewając wino dla siebie i dla Eda.

Mieszkanie było ogromne. Większość przestrzeni zajmował pokój dzienny, w środku którego wydzielono kuchnię z wyspą. W jednym końcu mogła stanąć kanapa i fotele, a w drugim stół z krzesłami. W centrum wznosiła się dumnie kuchnia Viking, budząc onieśmienie swym profesjonalnym wyglądem. Otaczało ją mnóstwo urządzeń ze stali nierdzewnej, które tak podnieciły Francine podczas rozmowy telefonicznej. W mieszkaniu znajdowały się dwie sypialnie, jedna dosyć mała, lecz Eve doszła do wniosku, że zmieści się w niej łóżko szerokości półtora metra, jeśli tylko goście nie będą mieli nic przeciwko temu, by przeskakiwać przez nie w drodze na korytarz. Do głównej sypialni przylegała łazienka z osobnym prysznicem (z rozbawieniem zauważyła, że słuchawka jest wielkości sporego talerza), a naprzeciw jedynej ściany, przy której można by ustawić duże łóżko, znajdowały się dwa wielkie okna ze wspaniałym widokiem na miasto i wieże ciśnień, dziwnie archaiczne na tle nowoczesnych wysokich budynków. W połowie jednej z nich zawisł w powietrzu helikopter.

Wszystkie ściany miały kolor kremowy, a parkiet w jodełkę był świeżo wypolerowany i gładki.

Niewiarygodne miejsce.

– Niech pani tylko spojrzy – zachęcała z ożywieniem Francine, wyciągając Eve z sypialni. Triumfalnie otworzyła drzwi, odsłaniając schowek z małą pralką i suszarką. – Pralnia – obwieściła tonem, jakby mówiła „George Clooney” albo „Święty Graal”. Jediną rzeczą mogącą podniecić Francine bardziej niż mieszkanie

z pralnią byłoby zapewne mieszkanie z garderobą. Niestety, tutaj jej brakowało, ale szafy w obydwu sypialniach wyglądały na dość duże, a przynajmniej były teraz puste. Zresztą Eve nie była pewna, czy stare ubrania nadadzą się do nowego życia. Zapełnienie szaf właściwą zawartością może zająć trochę czasu.

Co za wspaniałe mieszkanie! Może nie tak doskonale jak dom w Anglii, ale najbardziej interesujące ze wszystkich oglądanych do tej pory. I jakie bajeranckie. Żałowała, że nie może natychmiast zadzwonić do Cath i pochichotać z nią przez telefon. Miała wrażenie, jakby żyła życiem innej osoby.

– Czy nas na nie stać? – szepnęła do Francine. Druga agentka biura nieruchomości (swoją drogą, dlaczego zawsze muszą być dwie?) stała przy oknie i kręcąc włosy na palcu, rozmawiała przez komórkę.

– Tak – odrzekła Francine. – Brakuje pokoju pełniącego rolę trzeciej sypialni albo gabinetu, który umieściliście na swojej liście wymagań. Papierkową robotę będziecie załatwiać w salonie, a gościom z dziećmi wyjaśnicie, że dziesięć przecznic dalej jest hotel Waldorf. Mieszkanie mieści się w waszym budżecie. Bieriecie je?

– Tak. Bierzemy.

– Czy pani mąż będzie chciał przyjść i je obejrzeć?

– Nie, ma do mnie zaufanie. Proszę powiedzieć agencji, że je wynajmiemy.

I tyle. Znalazła dla nich nowy dom. Mieszkanie pełne światła, z dwiema sypialniami na ósmym piętrze, z widokiem na miasto, w co-op niedaleko Park Avenue – *Park Avenue* – w Nowym Jorku. Wszystko wydawało się coraz bardziej realne.

Większość mebli została w dawnym domu. Agentka w angielskim biurze nieruchomości powiedziała, że ludzie płacą więcej za wnętrza umeblowane. Dodała też, że nie powinni się martwić o zniszczenia, bo jej zdaniem taki dom bardziej przypadnie do gustu młodym rodzinom niż osobom samotnym. Najwyraźniej niewiele wiedziała o młodych rodzinach. U Cath prawie wszystkie meble miały zadrapania, wgniecenia lub przynajmniej tajemnicze lepkie plamy, z wyjątkiem sprzętów w pokoju od frontu, który zamykał się od zewnątrz i gdzie Cath z Geoffem chronili się, by posłuchać muzyki poważnej lub przeczytać gazety. Szczerze mówiąc, Eve nie miała ochoty sprowadzać mebli. W domku dominowała sosna, dąb i staroświecki perkal (w ilościach tolerowanych przez Eda) oraz kolory: błękit, kremowy i jasny róż. Nowe mieszkanie potrzebowało czegoś w stylu zdecydowanie mniej rustykalnym. Ruszyła na zakupy, uzbrojona w kartę Visa (kolejna korzyść z przeprowadzki) i wizję nowego miejskiego życia. Kupiła prostą, zbudowaną z kilku segmentów kanapę krytą brązowym zamszem, poduszki z owczej skóry i niski stolik o blacie w kształcie fali z chromowanego metalu i szkła.

Dużo rzeczy osobistych oddali w Anglii na przechowanie. Ed nalegał, by większość wyrzucić, ale Eve była sentymentalna, a także chciała, by z Anglią wiązała ich nie tylko rodzina i przyjaciele, lecz także pomieszczenie magazynowe kosztujące 100 funtów miesięcznie. Rzeczy, które ze sobą przywieźli, a raczej wysłali statkiem, zajęły nieco ponad połowę kontenera. Były to książki (te mądre, zamawiane w klubie książkowym, a nie ulubione, z pozaginanymi rogami, otwierające się same na pikantnych fragmentach), ubrania (wszystkie nieodpowiednie – kobiety w Nowym Jorku chodzące od rana do wieczora w sukienkach i w butach na wysokich obcasach zdawały się nie wiedzieć o istnieniu polarów oraz ubrań firmy Barbour). Eve zastanawiała się, czy każdego dnia będzie tu skazana na niewygodę), zdjęcia ślubne w srebrnych ramkach (jak młodo na nich wyglądali) i trochę kuchennych drobiazgów.

Nowe meble kupione podczas styczniowego pobytu w Ameryce przysłano najwcześniej. Po ich ustawieniu mieszkanie wyglądało niczym z reklamy – jakby znów urządzono je na pokaz, a nie po to, by w nim mieszkać. Eve wiedziała, że choć wszystko bardzo jej się tu podoba, nie poczuje się naprawdę u siebie, dopóki nie nadejdą rzeczy z Anglii. Przez cały dzień rozpakowywała je i ustawiała. A Ed zgrzeszył śmiertelnie, zauważając efekt jej pracy dopiero pięć minut po powrocie do domu. Zmęczona Eve była urażona i bliska łez. Chciała mu zrobić niespodziankę. Tymczasem on ją zaskoczył, nie zwracając na to uwagi. Od razu okazał skruchę. Zabrał żonę do restauracji na rogu i zamówił szampana. Szybko nauczyli się kilka razy w tygodniu jadać na mieście. Kuchnia tajska lub włoska, sushi albo steki. Niemal wszystko, na co miała ochotę, było w pobliżu lub przecznicę dalej. Szybko, wcale nie tak drogo i żadnych naczyń do zmywania. Łatwo się było do tego przyzwyczać.

Ed tryskał energią od chwili przyjazdu.

Eve czuła, że za nim nie nadaża.

- Dobrze ci tutaj, prawda?

- Wspaniale. - Miał minę uradowanego dziecka. Tak bardzo chciała, by jego entuzjazm był zaraźliwy.

- Dlaczego? Co ci się tu podoba?

Ed zastanawiał się przez chwilę, pochylony nad stołem.

- Nie wiem. Chociaż nieprawda... wiem. Tylko nie umiem tego wyrazić. Czuję, że po raz pierwszy jestem w miejscu, które porusza się w takim samym tempie jak ja. Odpowiada mi to. Uwielbiam taki rytm i szum. Czuję się tu... jak w domu. Czy to ma sens?

- Chyba tak. - Eve skinęła głową. Wiedziała, co mąż ma na myśli. Zawsze był trochę szybszy od innych. Stale musiała przyspieszać kroku, by za nim nadażyć.

Szybko mówił i myślał. To miasto pasowało do niego. Jadł także szybko. Już skończył.

- A ty?

Eve wzruszyła ramionami, uśmiechnęła się i wbiła wzrok w sałatkę.

- Trochę inaczej, co? - Wziął ją za rękę.

Ze zdumieniem poczuła łzy napływające do oczu.

- Trochę. - Uświadomiła sobie, że Nowy Jork jej nie odpowiada. Jeszcze nie. Czowała się tu powolna, niezgrabna, niemająca o niczym pojęcia. Nie była do tego przyzwyczajona.

Ed bardzo się przejął. Przytulił twarz do rąk żony, uściskał je i pocałował.

- Przepraszam, kochanie. Byłem chyba straszną świnią. Eve otarła łzę, która spłynęła jej na policzek.

- Nie. Oczywiście, że nie. Dobrze, że jesteś szczęśliwy. Cieszę się z tobą, Ed, nic się nie zmieniło. Po prostu... czuję się trochę samotna. Chyba o to chodzi. Nie jestem do tego przyzwyczajona. Takie dziwne i odrobinę paskudne uczucie. Przez cały dzień nie odzywam się do nikogo prócz portiera i sprzedawców. No i ciebie.

- A telefon?

- Oczywiście jest telefon i internet. Wiem. Ale to niezupełnie to samo. Nie mam tu żadnych przyjaciół. A rozmowy przez telefon i pisanie e-maili uświadamiają mi tylko, jak oni wszyscy są daleko.

- Wiem, Evie. Oczywiście, że wiem. Chciałbym ci pomóc. Jak mógłbym to naprawić?

- Nie możesz, Ed. - Każdy facet, jakiego znała, miał obsesję na punkcie naprawiania wszystkiego. Nie tylko metodą zrób-to-sam.

- Chcesz, żebym jeszcze raz zapytał, czy istnieje możliwość załatwienia pracy dla ciebie? - Dowiadywali się o to przed wyjazdem z Anglii. Nie przyznawano już tak łatwo wiz z pozwoleniem na pracę. Przed 11 września żona lub mąż osoby z taką wizą dostawali ją automatycznie. Teraz wszystko się zmieniło. Zresztą kwalifikacje Eve nie przekładały się na tutejsze warunki. Pewnie trudno by jej było robić to samo co w Anglii. Wiedzieli o tym przed przyjazdem. Ed bez żalu zrezygnował z pracy żony, Eve sądziła, że ona też. Ale bywały dni, gdy myślała, że wcale nie musi uczyć. Mogłaby pracować choćby przy kasie w sklepie Banana Republic. Przynajmniej cały dzień byłaby wśród ludzi...

- Nie, Ed. Nie możesz nic na to poradzić. Ale jestem ci wdzięczna za chęci. Sama muszę wziąć się w garść. Wyjść z domu, coś zrobić. Przeprowadzka do Nowego Jorku tak naprawdę nie różni się przecież od przeprowadzki do Manchesteru. Znowu trzeba zaczynać od początku. Zaangażować się w coś, jak to się mówi: wyjść do ludzi. Zapisać się na siłownię - prychnęła - albo do straży sąsiedzkiej, coś w tym rodzaju.

- Brzmi dobrze.
 - Prawda? Muszę się tylko za to zabrać. Teraz, gdy mieszkanie jest urządzone, nie mam wymówki.
 - Za dwa tygodnie przyjeżdża Cath.
 - Wiem. Nie mogę się doczekać. Będziemy zwiedzać. I pewnie chodzić po sklepach.
 - A potem?
 - Potem wezmę się za siebie. Obiecuję. Nie martw się o mnie. Nie chcę być wieczną marudą.
 - Zglupiałaś? Jesteś moją żoną. Oczywiście, że się o ciebie martwię. Będę lepszy, obiecuję. Za dużo czasu spędzam w pracy. Za długo byłaś sama. Tyle przynajmniej mogę zmienić. Urządę jakiś wypad z kolegami z biura. Większość z nich ma żony albo dziewczyny. Wybierzemy się gdzieś razem.
 - Brzmi wspaniale. - Brzmiało przerażająco, ale nie chciała go dobijać.
 - Przepraszam, Evie. - Znow próbował uścisnąć jej dłonie, ale je wyrwała, uderzając go po rękach. Zrobił to samo i przez chwilę grali w znajomą grę. Chciała poprawić nastrój. - Byłem egoistą. Ciagle zajęty... i...
 - Hej - uśmiechnęła się szeroko, by zmienić temat rozmowy, której wcale nie pragnęła zaczynać. - Wszystko będzie dobrze.
- Naprawdę miała taką nadzieję.

Charlotte

Charlotte Murphy oglądała reality show dość często, właściwie prawie każdego wieczoru. Mówiła sobie wtedy, że ma problem nie tyle ze sobą, ile z miastem, w którym mieszka. W jakimkolwiek innym miejscu w Ameryce nie wydawałaby się nieatrakcyjna, otyła, źle ubrana ani nudna. Byłaby normalna. Tylko tutaj posiadała wszystkie powyższe cechy. Powinna przenieść się do Ohio, Kentucky, czy... dokądkolwiek indziej. Nowy Jork to nie Stany Zjednoczone. To osobne państwo. Pełne pięknych, idealnych, nieprawdziwych ludzi w typie Madison Cavanagh. Wszystko byłoby w porządku, gdyby mieszkała gdzie indziej.

Przekonanie to stanowiło wariację innej, wyznawanej latami teorii, że wszystko ułożyłoby się jak najlepiej, gdyby tylko urodziła się *inną osobą*.

Zapominała lub po prostu starała się nie pamiętać, że choć wcześniej nie mieszkała w Nowym Jorku, zawsze czuła się podobnie.

Jej ulubionym serialem była *Brzydula Betty*. Sęk w tym, że America Ferrera wcale nie odznaczała się brzydotą. Nosiła ubrania, w których wyglądała dziwnie i głupio, ale wiadomo było, że w trzecim czy czwartym sezonie serialu przejdzie

metamorfozę i zmieni się w uroczego, atrakcyjnego łabędzia. Na zdjęciach w „People” albo w „The Insider” aktorka wyglądała naprawdę czarująco. Żadna laska „rozmiar zero” czy ktoś w tym rodzaju, po prostu ładna dziewczyna. Charlotte Murphy była pewna, że w niej nie ukrywa się żaden łabędź.

Kiedy nie oglądała telewizji (lub nie słuchała wynurzeń Madison), czytała romanse – począwszy od klasyków literatury, przez Georgette Heyer aż do cienkich książeczek z serii „Silhouette”. Potem, leżąc nocą w jednoosobowym łóżku, odtwarzała w myślach przeczytane historie, w roli heroiny obsadzając samą siebie – swą szczuplejszą, ładniejszą i miłszą wersję. Głównym bohaterem bywał portier Che, Brian, lokator z drugiego piętra, lub strażak, którego kiedyś widziała na stacji metra. Ale najczęściej Che. Znała go od trzech lat, odkąd zamieszkała w Nowym Jorku. Nigdy nie zamienili więcej niż parę słów, zawsze zresztą tych samych – „Dzień dobry, co słyhać?”. Nie wiedziała o nim nic. Nie miała pojęcia, gdzie mieszka. Zeszłego lata odprowadziła go ukradkiem aż do schodów metra i zobaczyła, że jedzie na północ, ale zabrakło jej odwagi, by wsiąść do pociągu i sprawdzić, na której stacji wysiada. Nie miał obrączki, a ubrania (poza uniformem) nosił okropne, więc podejrzewała, że w jego życiu nie ma żadnej kobiety. Zona czy dziewczyna nie pozwoliłaby mu wyjść z domu w takim stroju. Czasem patrzył w przestrzeń i Charlotte widziała na jego twarzy smutek i tęsknotę. Wymyśliła mu historię życia. Piękna dziewczyna na Kubie. Złamane serce. Wiele długich nocy spędziła, wyobrażając sobie, jak sama je leczy. Po pierwszym pocałunku obraz blakł i zapadała ciemność.

Nawet Madison i Georgette nie zdołały sprawić, by wyobraziła sobie, co nastąpi później...

Jackson

Mleko było, ale zabrakło płatków. Czuł ssanie w żołądku. Służąca miała pojawić się dopiero jutro, a Jackson nie mógł tak długo czekać. Spojrzał na zegar, lekko zaskoczony faktem, że jest wpół do ósmej rano, a on nie śpi i w dodatku umiera z głodu. Takie rzeczy nie zdarzały się niemal nigdy. Do diabła.

Wstał z łóżka, włożył leżące obok spodnie od dresu i sportowe buty. T-shirt z podobizną Davida Bowiego ukrył pod szarą bluzą. Przechodząc obok lustra, zerknął w nie, odciągnął dolne powieki, by sprawdzić, czy ma zaczerwienione oczy, i wystawił język. Nie bardzo wiedział, co zrobić z zarostem. Był zbyt leniwy, by się golić, i miał za mało testosteronu, by wyhodować coś w stylu yeti. Może zrezygnować z tej bródki? Choć bawiło go zdenerwowanie matki podczas ostatniej wizyty w domu. Martha uważała, że mężczyźni, którzy noszą zarost, mają coś do ukrycia.

Na przykład obwisłą górną wargę albo krzywe zęby. W przypadku syna było to nieuzasadnione. Nienagane uzębienie Jacksona kosztowało 10 tysięcy dolarów.

Pieniądze. Gdzie są pieniądze? Portfel był pusty, nie licząc kart kredytowych. Jackson wszedł do kuchni i zauważył dziesięciodolarowy banknot leżący obok rachunku za tajskie jedzenie na wynos z zeszłego wieczoru. Chwycił go i ruszył do drzwi.

W windzie śmierdziało psem. Obrzydliwość. Poranni spacerowicze z psami. Sam za zwierzętami nie przepadał. Oparł się o boazerię i zamknął oczy. Gdy winda zatrzymała się na trzecim piętrze, myślał, że to już parter i ruszył do wyjścia, zderzając się z dziewczyną, która właśnie usiłowała wejść do środka.

– Przepraszam!

– Nie szkodzi. – Wydawała się zdumiona. Pewnie wyglądał zdumiewająco. Teraz przypomniał sobie, że nie umył zębów. Cholera. Wycofał się w najdalszy kąt windy i ukradkiem zerknął na współpasażerkę.

O, cholera. Dziewczyna była piękna. Wprost oszałamiająca. Ubrana w strój do biegania – czarne krótkie spodenki z lycry odsłaniające nogi i obcisły top na ramiączkach. Świetne ciało. Ale w Nowym Jorku jest mnóstwo pięknych ciał. Popijając latte na ławce w Central Parku, masz przegląd najlepszych dziewczyn w mieście. Podskakujące końskie ogony, wspaniałe tyłki, rozkołysane, a nie trzęsące się jak galareta. Jednak ta dziewczyna miała również twarz. Twarz Heleny Trojańskiej. Coś takiego trudniej znaleźć. Niebieskie, niemal turkusowe oczy. Naturalnie platynowoblond włosy. Skórę gładką i jasną, z delikatnym różowym odcieniem na policzkach. A usta... O, cholera.

– Idziesz biegać? – Gładki początek.

Kiwnęła głową, starając się nie patrzeć na niego jak na idiotę.

– A ty?

Nie musiał się zwierzać, że idzie do Gristedes po płatki. Gdy tylko ona uda się w przeciwnym kierunku.

– Chyba tak.

Chciał dodać coś jeszcze. Coś inteligentnego albo zabawnego. Ale właśnie zatrzymali się na parterze, dziewczyna rzuciła przez ramię krótkie „do widzenia” i ruszyła przed siebie, rozciągając się i robiąc skłony, w sposób, którego powinni zabronić. Ściągną, łydki, ramiona – po chwili biegła już na zachód, w stronę parku.

Jesus przyglądał się Jacksonowi z rozbawieniem.

– Kto to, do diabła, jest?

– Panna Mikanowski. 3A.

– A imię?

– Emily.

- Emily Mikanowski. Długo tu mieszka?
- Mniej więcej trzy tygodnie - roześmiał się portier. - Wychodzicie z domu o różnych porach.
- Codziennie tak biega?
- Codziennie. - Jesus skinął głową. - Od poniedziałku do piątku. Siódma trzydzieści. Jak w zegarku. Wraca już po moim wyjściu. Niech pan lepiej zapyta Raoula o której.

Jackson wyszedł na chodnik i patrzył na kołyszący się w oddali koński ogon panny Mikanowski.

Chyba będzie musiał wprowadzić pewne zmiany w codzienny rozkład zajęć.

RS

Maj

Eve

Eve zauważyła ogłoszenie przypięte na korkowej tablicy obok skrzynek na listy. Wisiało między zawiadomieniem o terminie najbliższego zebrania zarządu, ulotką nowej tajskiej restauracji na Lexington a ogłoszeniem osoby chętnej do wyprowadzania psów, zaopatrzonym na dole w rząderek odciętych numerów telefonu. Po południu Eve zazwyczaj kręciła się koło skrzynek trochę dłużej, niż powinna. Ktoś mógł przyjść po pocztę i przy okazji z nią porozmawiać. To już zaczynało być żalotne. Wczoraj odezwał się do niej listonosz, ale nic nie zrozumiała z powodu azjatyckiego akcentu, więc się nie liczyło. Ogłoszenie wypisane było jaskrawo-fioletowym atramentem, starannym, staroświeckim charakterem pisma. W rogach kartki autor narysował maleńkie kwiatki.

*Uczyń nasz dom piękniejszym miejscem!
Pierwsze zebranie w środę, dziesiątego maja o ósmej wieczorem na dachu.
Zapraszam wszystkich mieszkańców,
którzy pragną stworzyć tam cudowny zakątek.*

Raoul układał przysłane z supermarketu siatki z zakupami na stojaku obok skrzynek na listy. Ktoś zwycięsko stawił czoła sklepowi Fairway. Eve wciąż nieco obawiała się nowojorskich supermarketów. Odwiedziła chyba wszystkie w rozpaczliwej nadziei, że któryś będzie podobny do angielskiego Waitrose, ale taki nie istniał. Whole Foods był pełen towarów, których nie знаła, i za bardzo nastawiony na zdrową żywność. Fairway i Zabar, oba na West Side po drugiej stronie miasta, cieszyły się złą sławą. Przed wizytą tam należało podczas porannej kawy zażyć valium. W Zabar koła wózka zgarbionej starszej damy z żądzą mordy w oczach mogły łatwo zmiażdżyć nogę. W barze oliwkowym mieli tam około trzydziestu pięciu gatunków oliwek. Nie warto. Fairway zaś stanowiło spożywczy odpowiednik wieży Babel. Eve nigdy nie udało się wyjść stamtąd z produktami, po które przyszła, i bez bólu głowy. Dawała sobie radę w Dean & DeLuca. Przynajmniej nie skakał jej poziom adrenaliny. Jeśli jednak zechce tam robić zakupy, pewnie będą musieli wkrótce zacząć sprzedawać własne narządy.

- Co to za zebranie, Raoul? - zapytała. Portier rzucił okiem na ogłoszenie.
- To 4B. - Zawsze nazywał wszystkich lokatorów ich numerem mieszkania.

Eve to bawiło, wydawało się Orwellofskie. - Pani Wallace. Też jest Angielką.

– Naprawdę? Gdzie ma być zakątek, o którym pisze?

– Na dachu – odparł tonem, jakby to było oczywiste.

– Och. – Eve czekała, aż Raoul rozwinie temat. Na ogół to robił. Jesus, nocny portier pracujący od północy do ósmej rano, mówił tylko tyle, ile musiał. Che, zatrudniony od czwartej po południu do północy, czasem się odzywał, ale z tak silnym kubańskim akcentem, że Eve niewiele mogła zrozumieć, choć lubiła jego twarz i nieśmiały uśmiech. Raoul najlepiej nadawał się do jakichkolwiek wyjaśnień. Przypominał komika Lesa Dawsona, tego w fartuchu i ze sztucznym biustem.

– Pani Wallace od lat próbuje urządzić ogród na dachu. Nie pamiętam, kiedy zaczęła. Z zarządem, z właścicielami... Mówią o tym od wieków i nic się nie dzieje. W zeszłym roku w końcu się zdecydowali. Zrobią taras. Dostali pieniądze na ławki, kwiaty i całą resztę. Żeby tam ładnie urządzić. Teraz pani Wallace chce zrobić komitet mieszkańców, do pomocy.

– Wspaniały pomysł!

– Widzę, że jedną pomocnicę już ma... – uśmiechnął się Raoul.

– Na pewno znajdzie ich więcej. To cudowny plan. Większość lokatorów chętnie będzie korzystać z tarasu.

– Korzystać. Jasne – prychnął portier. – To nie to samo, co trochę popracować, pani Eve.

Wzruszyła ramionami.

– Powiem pani, kto na pewno nie pomoże... – Raoul konspiracyjnie pochylił się ku niej, zniżając głos do scenicznego szeptu. Pachniał cygarami.

– Kto? – Odchyliła się w tył.

– Stewartowie. Osiem A i B. – Słowo „i” mocno zaakcentował.

– Penthouse. Pani Stewart zawsze chodzi z pieskami. – Wzruszył ramionami, lekceważąco kreśląc pulchnymi dłońmi kształt małego psa, i zachichotał. – Wcale się nie cieszy, o nie.

– Dlaczego? – szepnęła Eve.

– Połączyli dwa mieszkania i zrobili jedno ogromne. Mają teraz całe piętro. Strasznie długo to trwało, dużo hałasu i bałaganu. Chcieli też dach tylko dla siebie. Nie lubią mieć nikogo nad sobą, rozumie pani? – Położył rękę na głowie, dłońią do góry. – Nikt nie może być wyżej.

– Rozumiem – przytaknęła Eve, myśląc, że chyba zrozumiała.

– A pani Wallace?

– Pani Wallace mieszkała tu, zanim zacząłem pracować. A zacząłem w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym.

– Mieszka sama? Raoul skinął głową.

– Teraz już tak.

Może powiedziała by coś więcej, ale młody Chińczyk, którego Eve parę razy spotkała w windzie, przyszedł zajrzeć do skrzynki na listy. Próbowła nawiązać z nim kontakt wzrokowy, powiedziała „dzień dobry”, ale odpowiedział jej tylko roztrzęsionym mamrotaniem. Łatwiej porozmawiać z portierem niż z którymś z własnych sąsiadów. Jak miło.

Raoul poszedł odebrać telefon, a Eve po raz ostatni spojrzała na ogłoszenie, zapamiętując datę – środa, o ósmej.

– Idź koniecznie! Wspaniały pomysł! Jesteś naszym rodzinnym talentem ogrodniczym.

Ed powitał pomysł pracy nad powstawaniem tarasu z przesadnym entuzjazmem. Gdy opowiedziała mu o wszystkim podczas obiadu, zareagował ze sztucznym ożywieniem. Eve poczuła się winna. Martwił się o nią – dlatego chciał, żeby poszła na zebranie.

– Świetny sposób, aby poznać sąsiadów!

Zjedli makaron i wypili po dużym piwie we włoskiej restauracji na rogu, a teraz siedzieli na ławce w parku. Ed przebrał się z garnituru w krótkie spodnie i sportowe buty. Choć minęła dziewiąta wieczorem, wciąż było gorąco. Objął Eve ramieniem, a ona oparła mu głowę na piersi i wdychała znajomy zapach.

- Muszę wreszcie kogoś poznać.
- Poznasz. Mnie było dużo łatwiej. Oczywiście.
- Tobie zawsze jest łatwiej.
- Wiem. – Uścisnął jej ramię.

Na początku ich znajomości to ona była gadułą.

Cztery lata temu, gdy brali ślub, Ed, podczas weselnego toastu, z rozkoszą poinformował wszystkich, że Eve stała się pionierką nowych, typowych dla XXI wieku, metod znajdowania partnera – wybrała go w sklepie. Nawet nie w supermarkecie. W pralni chemicznej. Zazartował, że choć tradycyjnie ludzie poznają się na weselach, tutaj metoda ta została nietypowo zmodyfikowana – ona oddawała do prania suknię drużny, którą miała na sobie w ostatni weekend na weselu siostry, on zaś odbierał właśnie szary prążkowany garnitur na odbywający się w następny weekend ślub kolegi z pracy. Nie poznali się więc na weselu, ale z powodu wesela. A raczej dwóch.

Kiedy wszedł, Eve prowadziła właśnie ożywioną rozmowę z pracownikiem pralni. Nie widział jej twarzy, ale bez przykrości spędził parę minut na obserwacji tyłeczka. Miała ciekawy głos. Niższy, niż wskazywałby na to jej wzrost i blond włosy, trochę chropawy jak na dziewczynę. Słuchał z rozbawieniem, jak szczegółowo wyjaśniała pochodzenie każdej plamy na satynowej sukni (bez ramiączek) w kolorze szampana. Pot w okolicach pach. Czerwone wino na prawo od pępka. Błoto na

rąbku spódnicy. Coś – być może krem z ptysia – pod prawą piersią. Każdej plamie towarzyszyło krótkie objaśnienie.

– W namiocie weselnym było piekielnie gorąco. Ale grał świetny zespół. Tańczyliśmy do upadłego. Tę plamę zrobił mi jakiś idiota. Nie mieli zwykłego tortu. Moja siostra to szpanerka, chciała wieżę z małych ptysi. Zjadłam ich chyba dwadzieścia pięć.

Skończyła i odwróciła się ku Edowi z przeproszającą miną. Zielone oczy. Duże zielone oczy. I zadarty nos. Przez niego nie była pięknością, zdegradował ją na zawsze do grupy ładnych i pełnych wdzięku. Ale Ed miał słabość do takich nosów.

- Przepraszam!
- Nie ma za co. To musiało być wspaniałe wesele.
- Poszli na całość. Ciągle jeszcze mam lekkiego kaca.

Była środa. Dziewczyna skrzywiła się, ale oczy jej się śmiały.

Nie chciał, żeby sobie poszła, lecz nie wiedział, co powiedzieć. Przez sekundę czy dwie jakby się zawahała, a kiedy Ed wciąż milczał, ruszyła do drzwi. Mógłby przysiąc, że wzruszyła przy tym ramionami.

Pięć minut później znów ją zobaczył. Siedziała sama w ogródku piwnym przed pubem King's Head, kilka domów od pralni i patrzyła na wyświetlacz telefonu komórkowego.

- Witam po raz drugi.
- Hej. – Spojrzała i się uśmiechnęła.
- Klin klinem?
- Słucham? – Zmarszczyła zadarty nos.
- Mówiłaś przed chwilą, że jeszcze masz kaca... – Idiota.
- Tak – roześmiała się.

Coś powstrzymało go od odejścia i zakończenia tej nieco kłopotliwej rozmowy. Potem zawsze mówił, że to przez jej nos. I zielone oczy. Ale prawdziwym powodem były komentarze w pralni. Nie mógł im się oprzeć.

Powiedziała, że czeka na znajomych. A on, że umówił się tu z przyjaciółmi i przyszedł za wcześnie. Przysiadł się do niej. Wypili po piwie. Potem jeszcze po jednym. Jej znajomi się spóźniali. Jego oczywiście nie zjawili się nigdy. O wpół do dziewiątej miał numer telefonu, a reszta, jak później mówił, należała już do historii.

Choć przed spotkaniem w pralni chemicznej nigdy wcześniej się nie widzieli, okazało się, że przez wszystkie lata ich życie biegło podobnym torem. Oboje urodzili się, w odstępnie sześciu tygodni, w 1978 roku, w niewielkich miastach hrabstwa Kent. Ona w Tunbridge Wells, on w Sevenoaks. On studiował PPE* w Cambridge, gdy ona w Nottingham kończyła pedagogikę. Zanim się poznali, przez

* PPE – Philosophy, Politics and Economics – filozofia, nauki polityczne i ekonomia.

osiemnaście miesięcy mieszkali w Chiswick, w odległości trzech ulic od siebie. Mieli wspólnych znajomych, pili w tych samych pubach i jadali w tych samych restauracjach. Jego przyjaciel umawiał się z jej koleżanką z pracy, bywali zapraszani na te same przyjęcia, ale nigdy nie zwrócili na siebie uwagi. Eve zachwyił romantyzm całej sytuacji. To, że mogli się mijać na przystanku autobusowym, w alejce supermarketu, w kolejce do kina. Że los czekał, aż będą gotowi, zanim wkroczył do akcji i kazał im się spotkać w tym samym miejscu.

Eve szukała Eda. Od zawsze. Co prawda, jak śpiewają w piosence, nie tam, gdzie nie powinna.

W odróżnieniu do niej Ed nikogo nie szukał. Był całkowicie skupiony na nauce i pracy. Dostał posadę w banku za 10 000 funtów zaraz po studiach, podczas gdy jego koledzy bawili się i włóczyli po świecie. Ed nie miał na to ochoty. Chciał pracować i odnieść sukces. Może nie za wszelką cenę, ale jednak. Przypuszczał, nie zastanawiając się specjalnie, że to z powodu pochodzenia. Był jedynakiem z rodziny robotniczej. Chodził do państwowej szkoły, a potem jako pierwszy uczeń w jej historii dostał się do Cambridge. Na uniwersytecie czuł się gorszy. Patrzył na uprzywilejowanych chłopaków po prywatnych szkołach i czasem kipiała w nim złość na myśl o tym, jak łatwo im wszystko przychodzi. Dopiero gdy skończył studia, uświadomił sobie, że Cambridge wyrównało jego szanse – odtąd przeszłość nie miała znaczenia. Jeśli będzie ciężko pracować i odnosić sukcesy, to nic więcej się nie liczy i nic go nie zatrzyma. Podróże i rozmyślanie nie miały sensu, skoro mógł robić swoje...

Z Eve było inaczej. Nie należała do wyższych sfer, lecz Ed uważał, że wyprzedza go o jedno pokolenie. Jej dziadkowie pracowali fizycznie, ale rodzice ukończyli studia, startując z takich samych pozycji jak Ed. Ojciec Eve był adwokatem w Tunbridge Wells, a matka pracowała jako nauczycielka, by potem, w sposób typowy dla pokolenia lat siedemdziesiątych, poświęcić się wychowywaniu Eve i jej siostry. Eve nie miała poczucia, tak znienawidzonego przez Eda w Cambridge, że wszystko jej się należy, i nie była zepsuta. Po prostu traktowała życie mniej poważnie. W wieku dwudziestu jeden lat podróżowała z plecakiem po Wietnamie i Kambodży. Mówiła, że uwielbia uczyć, ale nie przejawiała szczególnych ambicji na punkcie własnej kariery. Nie chciała zostać kuratorką ani dyrektorką szkoły. Pragnęła, żeby jej uczniowie dobrze się bawili i uczyli, żeby uważali ją za najlepszą nauczycielkę na świecie. Spała jak dziecko. Gdy po raz pierwszy spędzili razem noc, Ed leżał obok, patrzył na jej doskonale spokojną, wygładzoną twarz, słuchał równego oddechu i czuł zazdrość. Ciągle sypiała w ten sposób. Edowi rzadko udawało się przespać więcej niż pięć, sześć godzin. Jego umysł bezustannie pracował.

Środa, ósma wieczorem

Do licha, pomyślała Eve, za bardzo się wystroiłam.

O siódmej wzięła prysznic, włożyła białą sukienkę i zrobiła makijaż. Ed miał pracować do późna. Za pięć ósma po raz ostatni przejrzała się w wiszącym w przedpokoju lustrze i uniosła kciuki w górę, sama śmiejąc się z tego gestu. Przywołała windę, a potem, po raz pierwszy, odkąd zamieszkała w kamienicy, nacisnęła guzik ostatniego piętra. Po wejściu na dach czuła się trochę głupio. Chyba się spóźniła. W kącie, na składanych krzesłach, siedziało sześć czy siedem osób – mężczyźni, kobiety oraz jedna zde gustowana dwulatka. Wszyscy w klapkach i krótkich spodniach. Większość trzymała butelki z wodą, nieodłączny rekwizyt każdego nowojorczyka, choć w drugim kącie na stoliku stały dzbanki z jakimś kolorowym napojem i papierowe kubki. Gdy Eve weszła, wszyscy zebrani popatrzyli na nią.

Przy okazji wypróbowywania rozmaitych diet i ćwiczeń Eve zawsze była zdumiona okrutną i niesprawiedliwą prawidłowością. Oto sześciotygodniowe wysiłki w kuchni i na siłowni mogły zostać zniweczone przez sześć dni jedzenia tego, na co ma się ochotę na wakacjach lub podczas Bożego Narodzenia. Aż sześciu tygodni trzeba, by zgubić sześć kilogramów i dojrzeć zarysy płaskiego brzucha, a tylko sześć dni wystarczy, by nadrobić połowę utraconej wagi i wytworzyć w talii oponkę tłuszczu. Teraz miała wrażenie, że to samo dotyczy pewności siebie. Budowała ją przez całe dorosłe życie, rok po roku, a ona wyciekła z niej w ciągu kilku tygodni. Od niemal dwudziestu lat podsyciała w sobie wiarę, że obcy ludzie to przyjaciele, których po prostu jeszcze nie poznała, a ona sama jest interesująca i miła. Po dwóch miesiącach nie była pewna, dlaczego ktoś miałby w ogóle chcieć z nią rozmawiać. To niesprawiedliwe. Nie pamiętała, kiedy ostatnio była na siebie taka zła. Wbiła paznokcie w dłonie i wyszła w blask słońca.

– Witam wszystkich. Przepraszam za spóźnienie.

– Wcale się nie spóźniłaś. Siadaj z nami. – To z pewnością była pani Wallace. Mówiła z lekkim, ale wciąż wyraźnym angielskim akcentem (z Suffolk czy Norfolk?). – Jestem Violet. Violet Wallace.

Violet Wallace była damą mocno już leciwą, lecz wysoką i wciąż trzymającą się prosto. Na jej szyi wisiały na łańcuszku okulary w półoprawkach i naszyjnik z dużych kamieni, które szarymi żyłkami przypominały turkusy, lecz były w kolorze lawendowym. Śnieżnobiałe, chyba dosyć długie włosy nosiła splecione w węzeł umocowany czymś o wyglądzie lakowych chińskich pałeczek.

– Jak się nazywasz? – Miała w sobie coś z dyrektorki szkoły i Eve poczuła się trochę jak szóstoklasistka.

– Eve Gallagher. Jesteśmy nowymi lokatorami, mieszkamy w 7B.

– Witamy. – Violet uśmiechnęła się do niej. Nie była wcale taka przerażająca. – Słyszałam, że jesteście Anglikami. Witamy w kamienicy i w naszym małym komitecie. Miło, że chcesz się do nas przyłączyć...

Otworzyły się drzwi i na dach wyszła piękna brunetka, którą Eve pamiętała z parku. Kilka dni temu widziała ją obok Alicji w Krainie Czarów z trojgiem uroczych ciemnowłosych dzieciaków – dwoma chłopcami i dziewczynką. Wszyscy razem świetnie się tam bawili, biegali i wspinali się na rzeźbę. Teraz Eve nie była już przynajmniej najelegantszą osobą wśród zebranych. Rachael wyglądała, jakby zeszła z wystawy sklepu DKNY na Madison Avenue, by przez Czerwone Drzwi Elizabeth Arden wkroczyć na dach. Swoją drogą tak samo wytworna wydawała się w parku, w dżinsach i bluzie od dresu. Jakim cudem?

– Cześć, Violet. Chyba się nie spóźniłam?

– Ani trochę. Siadaj, Rachael. Zostało parę wolnych krzeseł. Chyba byłam przesadną optymistką... To jest Eve.

Rachael uśmiechnęła się do niej.

– Może zacznę od tego, że nas przestawię. Pewnie większości jeszcze nie znasz?

Eve rozejrzała się po zebranych. Rozpoznała niektóre twarze, ale nie wiedziała, jak się kto nazywa.

– Dobry pomysł.

– Cóż, poznałaś już mnie i Rachael. A to jest Maria.

– My się znamy! – rozpromieniła się Maria. – Mieszkamy po sąsiedzku. Witaj, Eve.

Eve uśmiechnęła się z wdzięcznością. Nazajutrz po przeprowadzce Maria zapukała do nich z talerzem pysznych *cannoli* domowej roboty. Była przemiła i zapewniała, że Eve w razie potrzeby może się do niej zwracać. Eve oczywiście tego nie zrobiła, ale przypuszczała, że propozycja była szczerą...

– To jest Emily. Todd i Gregory. Oto Kimberley, a ten chwilowo okiełznany diabełek na jej kolanach nazywa się Avery.

Mężczyźni, wskazani przez Violet jako Todd i Gregory, wybuchnęli śmiechem. Eve wydało się, że matka dziewczynki (Kimberley?) najeżyła się i lekko zeszywniała, choć wciąż nie przestawała się uśmiechać, wyszczerzając nieco zaciśnięte zęby.

– A to Charlotte.

– Witam wszystkich. – Eve pomachała ręką. Czuła się strasznie skrępowana.

Wszyscy zbiorowo jej pomachali i wreszcie mogła usiąść.

– A zatem przejdźmy do rzeczy. Jak wiecie, udało się w końcu przekonać radę, by udostępniła nam dach. Podwyższono ogrodzenie, więc czujemy się tu

bezpiecznie, a w dodatku, dziw nad dziwy, dostaliśmy pieniądze, za które wszystko odpicujemy.

W tym momencie Todd (a może Gregory) z krótkim okrzykiem uniósł pięść w triumfalnym geście.

- Teraz tylko musimy je jak najlepiej wydać... Każdy z nas będzie przychodzić na taras... Zastanówmy się, czego nam potrzeba. Będę wdzięczna za wszelkie sugestie...

Na chwilę, ale tylko na chwilę, zapadła cisza. Potem wszyscy zaczęli mówić jednocześnie. Z wyjątkiem Eve i Charlotte. Eve usiłowała coś zrozumieć z ogólnego gwaru.

- Przede wszystkim trzeba pomalować ogrodzenie. Żeby to miejsce przestało wyglądać jak więzienne podwórko.

- Może da się tu zrobić podłogę? Położyć deski czy coś w tym rodzaju.

- Doniczki, dużo doniczek.

- Ławki. I stoliki. Żeby było gdzie usiąść, napić się kawy i przeczytać gazetę.

- Pieniądze są nasze, czy musimy mieć na wszystko zgodę zarządu?

- Kilka miękkich mat, żeby dzieci mogły się bawić.

- Ale żadnych piłek.

- Piłki wykлучzone.

- W rogach mogłyby stać altanki. Obrośnięte pnączem.

- Są jakieś przepisy, prawda? Dotyczące tego, jak taras ma być wykorzystywany? Nie chcemy być zasypywani skargami na hałasy.

Violet uniosła dłonie i niemal od razu zapadła cisza. Najwyraźniej cieszyła się wśród zebranych pewnym autorytetem. Znów przypominała Eve nauczycielkę. Pracowała już z takimi kobietami. Nie były złe, ale gdy chciały, potrafiły wydawać się przerażające. Zastanawiała się, czy Violet Wallace rzeczywiście uczyła kiedyś w szkole.

- Świetnie. Pomysłów nam nie brakuje... Niektóre z nich chciałabym zapisać. Zaraz, zaraz. Po kolei... - Wyglądała na uszczęśliwioną.

Godzinę później mieli już plan i listę rzeczy do zrobienia. Facet imieniem Greg, najwyraźniej jakiś ważny członek zarządu, odpowiedział na wszystkie pytania. Był poważny i spokojny - spodobał się Eve. Jego chłopak - uznała, że tworzą parę - wydawał się bardzo zabawny, robił dziwaczne miny przy niektórych propozycjach, wybuchając zaraźliwym śmiechem. Kimberley, upewniwszy się, że dziecięce maty zostały wpisane na listę, wyszła już po dziesięciu minutach, gdy Avery zaczęła marudzić i wiercić się na jej kolanach. Rachael, przepraszając, wymknęła się po półgodzinie, tłumacząc, że musi ucałować dzieci na dobranoc. Charlotte lub Emily - Eve nie pamiętała, jak która z nich się nazywa - także się oddaliła, nie mówiąc

zbyt wiele. Reszta zebranych przystąpiła do degustacji napoi. Kolorowy płyn w dzbanku, który Eve spostrzegła tuż po przyjsciu, okazał się mrożoną grejpfrutową margaritą. Czegóż innego mogła się spodziewać?

Zrobiło się całkiem miło.

Todd i Gregory rzeczywiście byli parą.

– Strasznie podoba mi się twoja sukienka – oznajmił Todd. Mówił z prawdziwym południowym akcentem (a przynajmniej tak się Eve zdawało – brzmiał jak Bobby Ewing z serialu *Dallas*) i stanął trochę zbyt blisko. W pewnej chwili po prostu Eve powąchał. – Cudownie pachniesz. To Hermes, prawda? Un Jardin Sur Le Nil. Uwielbiam te perfumy.

– Zostaw dziewczynę w spokoju – upomniał go Greg. – Przepraszam, Eve. Todd jest, jak to się mówi, „szalenie towarzyski”. – Dwa ostatnie słowa wypowiedział z południowym akcentem Todda, choć jego własny wskazywał na pochodzenie z północnej części wschodniego wybrzeża. Niezrażony upomnieniem Todd zasypał nową mieszkankę kamienicy tysiącem pytań. Wydawał się niezwykle zainteresowany każdą odpowiedzią, choć Eve nie mogła uwierzyć, że tak jest naprawdę. Nie czuła się interesująca. To jej nowi znajomi wydawali się ciekawymi osobami. Ale ona?

W końcu uratowała ją Violet. Gdy Charlotte lub Emily, z którą właśnie rozmawiała, poszła sobie, starsza pani zbliżyła się do nich i wzięła Eve pod rękę, jakby znały się od lat.

– Strasznie cię męczy, prawda, kochanie? Gregory pokiwał głową.

– Wiesz, jaki jest Todd. Nie odpuści, zanim się nie dowie, jaki kto nosi numer buta.

– Po prostu kłam w żywe oczy. I tak się nie zorientuje. – Mrugnęła do Todda, który objął ją i z afektacją ucałował w oba policzki.

Najwyraźniej nie bał się pani Wallace. Lecz ona nie odwzajemniła pocałunków.

– Złośliwa starucha. Ale i tak cię kocham. Było cudownie. Szalenie się cieszę, że urządzimy taras. Będzie tu po prostu oszałamiająco. Nasze własne małe Shangri La.

Gdy Greg i Todd wyszli, zostały na dachu same.

– Może pomogę sprzątnąć krzesła i całą resztę?

– Nie trzeba, zrobi to pomocnik dozorczy.

Eve znów poczuła się obco i cudzoziemsko, choć Violet była miła.

– Zbierzmy tylko naczynia po napojach.

– Ciągle zapominam, jak wszystko tu jest zorganizowane.

– Przywykniesz bardzo szybko. Jestem pewna...

– Długo tu mieszkasz?

– Tak – skinęła głową. – Bardzo długo.

– Ale... jesteś Angielką?
– Zgadza się. Nigdy nie straciłam akcentu. Zresztą specjalnie się o to nie starałam. Ale potrafię, jeśli trzeba, używać amerykańskiej wymowy. Czasem tak jest szybciej!

– Z której części Anglii pochodzisz?

– Z Norfolk. A ty?

– Surrey. Chociaż dorastałam w Kent. Niedaleko Sevenoaks.

– Przyjechaliście tylko we dwoje?

– Tak. Ed dostał tu pracę.

– A ty nie? – Violet przechodziła od razu do sedna sprawy, co Eve dosyć się podobało.

– Ja mam wakacje, pewnie tak to można nazwać. Coś jak roczny urlop naukowy. Byłam nauczycielką.

Starsza pani nie udzieliła żadnych informacji na temat swojego zawodu, więc Eve doszła do wniosku, że musiała się co do niej pomylić.

– Jest ci o wiele trudniej przywyknąć do nowej sytuacji. Mąż ma pewnie za dużo pracy, by o tym myśleć.

Znów miała rację.

Eve poczuła się rozdarta. Nie chciała wypaść żałośnie. Ale pragnęła powiedzieć Violet prawdę – zresztą wydawało się, że ona i tak ją zna.

– Nie jest mi łatwo. Tęsknię za przyjaciółmi, za rodziną... – Wkładała plastikowe kubeczki po margaricie jeden w drugi. Violet położyła jej rękę na dłoni. Gest był trochę zbyt poufały, tak jak wzięcie pod ramię, ale Eve nie czuła zakłopotania. Wręcz przeciwnie.

– Nie ma w tym nic dziwnego. To zupełnie naturalne. – Pani Wallace się uśmiechnęła. W oczach miała dużo dobroci. – Wszystko wymaga czasu.

Przez jedną straszną chwilę Eve poczuła, że łzy napływają jej do oczu. Ta nagła bliskość. Nie była do niej przyzwyczajona. Zakłopotana mrugała powiekami. Uprzejmość obcych może być naprawdę rozczulająca.

Violet zajęła się napojami. Eve nie miała pewności, czy to była oznaka dyskrecji, czy też dezaprobaty dla jej łez.

– Musimy wybrać się razem na lunch.

– Bardzo chętnie.

– Świetnie. Zatem jesteście umówione. Piątek?

Eve z zapalem skinęła głową. Nie udawała, że musi sprawdzić, czy ma czas, jak zrobiłaby, gdyby zaprosił ją ktoś inny. Naprawdę miło będzie zjeść lunch razem z Violet.

Gdy weszła do mieszkania, Ed leżał na kanapie, bez butów, z rozluźnionym krawatem i butelką budweisera w ręku. W telewizji pokazywano baseball. Podniósł wzrok na żonę i puścił do niej oko.

– Jak było?

– Świetnie. Bardzo miło. A przynajmniej takie miałam wrażenie. Pani Wallace, Violet, która wszystkim kieruje, jest cudowna. Stanowcza. Przypomina Annę Madrigal i Joyce Grenfell.

– Wiem, kto to Joyce Grenfell. Ale kim, u diabła, może być Anna Madrigal?

– Najsłynniejszą właścicielką kamienicy w literaturze. Kojarzysz Armistead Maupina? *Miejskie opowieści*?

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Zapomniałam, że wyszłam za mężczyznę, który nic nie czyta.

– Przecież czytam.

– Gazety.

– I klasyków. Pamiętaj o klasykach. Ludlum, MacDonald, Fraser, King...

– Jasne, klasycy. Raz do roku, na leżaku. Tak czy inaczej, była cudowna.

– Wspaniale. A teraz chodź tutaj. – Ed przyciągnął ją do siebie, wyłączając dźwięk w telewizorze. I tak żadne nie rozumiało zasad gry. Zawodnicy znaczną część czasu po prostu stali. – Pięknie wyglądasz, mmm – wymruczał jej w szyję. – I cudownie pachniesz.

– Jesteś dziś drugim mężczyzną, który mi to mówi. – Już od wieków Ed jej takiej nie widział: wystrojonej, flirtującej, beztroskiej. Co za ulga.

– Czy mam wyprowadzić kogoś na dwór i obić mu mordę? – Całował delikatnie jej policzek i skroń.

– Nie. To gej. Jest architektem wewnątrz i nazywa się Todd. – Roześmiała się i odsunęła, bo ją łaskotał. – Czy w ogóle wiesz, kto to jest architekt wewnątrz?

Ed odpinał małe perłowe guziczki z przodu sukienki.

– Nie mam pojęcia. Patrzcie państwo. Moja manhattańska żona, członkini komitetu, ma nowego przyjaciela, i to geja. Ledwie cię poznaje. Zaraz, zaraz, zdaje się, że rozpoznaje przynajmniej to. – Rozpiął lnianą sukienkę do wysokości talii i zsunął koronkowe miseczki biustonosza, odsłaniając sutki.

– Myślisz, że to dekorator? – Eve położyła mu ręce na karku. Zaczął ją całować. Biodrami napierał na jej biodra.

– Mhm, Evie? Naprawdę mam to gdzieś. Jestem zajęty. Może byś tak przestała gadać i skupiła się na tym, co pod ręką. – Przywarł ustami do jej ust, a ona przyciągnęła go do siebie.

– Jeszcze nie jest pod ręką – wyszeptała, rozpinając mu pasek.

Nie doszli do sypialni. Kochali się szybko i gwałtownie na kanapie, wśród białego lnu i puszystych poduszek. Nawet nie opuścili żaluzji, dobrze, że przynajmniej światła były zgaszone.

Potem, pod prysznicem, Eve ze zdumieniem uświadomiła sobie, że nie uprawiali seksu od dwóch... nie, od trzech tygodni. Dlaczego nie zwróciła na to uwagi? Nie pamiętała, by kiedykolwiek mieli tak długą przerwę, cieszyła się, że ją zakończyli.

W łóżku Ed z zadowoleniem przewrócił się na drugi bok. Odetchnął głęboko – przez szeroko otwarte okno wpadł wreszcie powiew wiatru. On dokładnie pamiętał, jak długo trwała przerwa.

Emily

Emily zastukała do drzwi Charlotte, wygładziła spódnicę i założyła włosy za uszy. Musiała się spieszyć, ale zdążyła na czas. Gdy wychodziła z mieszkania, zadzwoniła matka. Dawno nie rozmawiały i Emily nie chciała ucinać rozmowy.

Kiedy pani Wallace na zebraniu komitetu ogrodowego zrobiła z nich parę, Charlotte zaproponowała wspólną kolację. Miały przygotować plan ustawienia na tarasie doniczek z kwiatami. Emily liczyła, że Charlotte wie, jak to zrobić, sama nie miała pojęcia. Poszła na zebranie, bo uważała, że to miły gest, nie zaś z powodu zamiłowań ogrodniczych. Przewidywała, że rzadko będzie korzystać z tarasu – nie należała do osób prowadzących siedzący tryb życia. W wolnych chwilach jeździła na rowerze albo biegała. Z drugiej strony – bardzo lubiła panią Wallace, kilka innych osób też robiło miłe wrażenie. No i sprawa stosunków sąsiedzkich. Emily ceniła sobie dobre relacje z sąsiadami. Tak ją wychowano. Tak postępowała jej mama. Odwiedzała staruszków z sąsiedztwa, gdy nastawały chłody. Gotowała gulasz dla młodych matek.

Charlotte jej się spodobała. Była małomówna, ale i Emily nie zawsze miała ochotę na rozmowy. Dobrze byłoby mieć w kamienicy przyjaciółkę.

Charlotte otworzyła drzwi, ubrana w kwiecisty fartuszek w stylu lat pięćdziesiątych.

– Ojej, gotujesz! – Emily wręczyła jej bukiet tulipanów kupiony w drodze ze stacji do domu.

– Dziękuję, są śliczne. Proszę, wejdź. Owszem, gotuję. Jestem chyba jedyną osobą na Manhattanie, która to robi.

– Ja na pewno nie mogę tego o sobie powiedzieć – roześmiała się Emily.

– Nikt nie może. Tylko ja.

- Moja matka jest wspaniałą kucharką, ale kiepską nauczycielką. Za to świetnie idzie mi jedzenie.

Charlotte spojrzała na jej szczupłą sylwetkę, zastanawiając się, czy to prawda.

- Przyniosłam wino. Nie wiedziałam, jakie lubisz. - Emily wyciągnęła z torby butelkę.

- Dziękuję, miło z twojej strony. - Charlotte uśmiechnęła się nieśmiało.

Odkorkowała wino i nalała do dwóch kieliszków, gdy tymczasem Emily rozglądała się po mieszkaniu. Miało taki sam rozkład jak jej własne. Ozdób było niewiele. Za to na tanich drewnianych regałach tłoczyły się setki książek, na ogół w miękkich okładkach. Na stoliku przy kanapie leżał stos albumów. Emily zobaczyła, że poświęcone są ogrodnictwu.

- Odrabiałaś pracę domową?

- Tak. Lubię pracować w ogrodzie. Robiłam to w domu. Na północno-zachodnim wybrzeżu. Tu jest inny klimat. Mroźne zimy, gorące lata, suche powietrze. Staralam się wybrać rośliny, które dobrze się przyjmą. Znasz się na tym?

- Wcale. Nigdy nie miałam ogrodu. Ale lubię kwiaty. Ogród botaniczny to mój ulubiony zakątek w mieście.

- Pięknie tam jest, prawda?

Wino rozluźniło atmosferę. Emily zrzuciła buty i rozparła się wygodnie na małej kanapie. Charlotte, ciągle w fartuszkach, przysiadła obok. Zrobiły listę roślin dla Violet i zaczęły rozmawiać o sobie. Charlotte zaskoczyło, że czuje się z Emily tak swobodnie. Nowa znajoma była piękna, niemal olśniewająca - takie kobiety zawsze trochę ją przerażały. Nie sądziła, że któraś z nich może naprawdę się nią zainteresować. Ale Emily była miła. I zaciekawiona. Pytała o Seattle, o rodzinę Charlotte, o pracę w bibliotece. Potem zaczęła opowiadać o sobie.

- Urodziłam się w Oregonie. W miasteczku Longview, trzydzieści mil od Portland. Amerykańska prowincja. Moja mama też stamtąd pochodzi. Jej rodzice osiedlili się w Oregonie po wojnie, razem z rodzinami. W tym stanie mieszka wielu Polaków. Zresztą pewnie w każdym. Rodzice to katolicy, ale byłam ich jedynym dzieckiem. Tato odszedł, gdy miałam trzy lata. Nie rozwiedli się. Mama i tak pewnie by się nie zdecydowała - zawsze była dosyć religijna. Zresztą nie wiedziała, gdzie go szukać. Pewnego dnia nie wrócił z pracy do domu. Zabrał wszystkie swoje rzeczy. Był kierowcą ciężarówki. Nigdy nie dał znaku życia.

- Okropne.

- Okropne dla niej. Ja właściwie go nie pamiętam, więc nigdy nie tęskniłam.

- A ona?

- Było coraz gorzej. Gdy ją porzucił, uznała chyba, że jest nic niewarta. Niezłe ją urządził, co? Wiesz, jeśli ktoś robi coś takiego własnej żonie i dziecku, musi być niezłe pokręcony. Ale ona zawsze uważała, że to jej wina. Miała całą kolekcję

koszmarnych facetów. Mężczyzn, którzy traktowali ją źle, bo niczego więcej nie oczekiwała. Jedni gorsi od drugich. Najgorszy okazał się ten, z którym mieszkała, gdy byłam nastolatką. Przez sześć czy siedem lat. Najpierw tylko ją zaniedbywał, a potem zaczął naprawdę źle traktować. Nie mnie, chyba na to by nie pozwoliła. Ale mamę. A ja musiałam na to patrzeć. Była jak w pułapce: mieszkali razem, nie miała własnych pieniędzy, bo nie chciał, żeby pracowała. Co za bydlę. Nie potrzebował partnerki, tylko służącej, a ona nie potrafiła uciec.

- Straszne. - Charlotte mimo woli porównała doświadczenia Emily z własnym życiem. Rodzice z klasy średniej, razem od trzydziestu pięciu lat, chodzący co niedziela do kościoła.

Emily przytaknęła.

- Mama była piękną kobietą. Prześliczną. A w wieku trzydziestu pięciu lat wyglądała na pięćdziesiąt.

- Czy ona... żyje?

- Tak. - Emily się uśmiechnęła. - Jest teraz sama. Od paru lat. Stała na nogi. Wydaje mi się, że ten okropny facet, nazywał się Len, na swój sposób zrobił jej przysługę. Obudziła się. Zdecydowała, że woli być sama niż z mężczyzną, przy którym czuje się jak zero. Ma dobrą pracę w przedsiębiorstwie budowlanym w Portland. Pomogła mi skończyć studia.

- Pewnie jej przykro, że jesteś tak daleko.

- I tak, i nie. Zawsze miała wobec mnie wielkie plany. Chciała, żebym osiągnęła to, czego sama nie zdołała. Odniosła sukces. Była niezależna. Żebym nie potrzebowała za wszelką cenę mężczyzny, nie była z kimś, kto na to nie zasługuje, kto mnie nie docenia. Wiesz, zwykle matczyne marzenia, tylko pomnożone przez dziesięć. Boże. To chyba przez wino. Wypiłyśmy całą butelkę? Przepraszam. Zaprosiłaś mnie na rozmowę o kwiatach, a ja opowiedziałam ci całe swoje życie.

- W porządku - zachichotała Charlotte.

- Nigdy tego nie robię.

- Ja też.

Uśmiechnęły się do siebie szeroko, czując, że zaczyna między nimi kiełkować coś, co może być początkiem prawdziwej przyjaźni. Emily wiedziała z doświadczenia, że w tym mieście o nią niełatwo. Nieczęsto prosiła o przyjaźń i rzadko ją otrzymywała. W poprzednim miejscu mieszkała przez dwa lata, a po przeprowadzce nie widywała się z nikim.

Wiedziała, że ukształtowały ją doświadczenia matki. Dziko niezależna, samowystarczalna, niechętnie umawiająca się na randki.

Zresztą nie było ich wiele. Nie ufała mężczyznom. Nie przepadała za nimi. W dzieciństwie zetknęła się z cechami, jakich sama nigdy by nie zaakceptowała u partnera.

Nie sądziła, że kiedykolwiek wyjdzie za mąż. Była zbyt cyniczna.

– A ty, Charlotte? Są jacyś mężczyźni w twoim życiu?

– Tylko na papierze – prychnęła, wskazując półki z książkami. – Wygląda na to, że stoimy na dwóch przeciwległych biegunach. Ty uciekasz od romantycznej miłości, a mnie nic innego nie interesuje.

– Naprawdę? – roześmiała się Emily.

– Całe życie marzę o romantycznych scenach, wielkich słowach, wspaniałych czynach.

– O rycerzu na białym koniu?

– Coś w tym rodzaju. – Charlotte też się roześmiała. Emily nie kpiała z niej tak jak Madison.

– A w rezultacie? Dwie stare panny. Jedna nie pragnie nic, druga chciałaby mieć wszystko. I obie jesteśmy same.

– O, Boże! Stare panny. Co za okropne słowo! Takie wiktoriańskie. Czy ktoś go jeszcze używa?

Rozległo się gwałtowne pukanie do drzwi. Madison wpadła do środka, nie czekając, aż jej otworzą. Na widok Charlotte i Emily stanęła jak wryta. Lekko zmrużyła oczy, po czym posłała dziewczynom oślepiający hollywoodzki uśmiech.

– Ominęła mnie impreza?

– To Emily. Właśnie wprowadziła się do mieszkania piętro wyżej. Emily – to Madison. Madison Cavanagh. Mieszka obok.

– Dzień dobry.

– Cześć. – Madison pomachała jej ręką. – Witamy.

– Dzięki.

– A więc się znacie?

– Tylko z komitetu ogrodowego.

– Ach, stamtąd. Jak się udało...? – Nie wydawała się specjalnie zainteresowana odpowiedzią. Nawet na nią nie czekała. – Charl, mogę pożyczyć rolkę papieru toaletowego? Właśnie mi się skończył.

– Zaczekaj. – Charlotte zniknęła w łazience.

Madison uśmiechnęła się z roztargnieniem. Odrzuciła włosy do tyłu.

– Mam randkę. Muszę być gotowa na dziesiątą. A jeszcze nie wiem, co włożyć...

Emily skinęła głową. Według niej Madison wyglądała na wyszykowaną do wyjścia. Nadeszła Charlotte z rolką papieru. Madison chwyciła zdobycz, przesłała w powietrzu całusa i ruszyła do drzwi.

– Wielkie dzięki. Muszę lecieć. Umówiłam się na wieczór z Tomem.

– Baw się dobrze! – Charlotte nie miała pojęcia, kim jest Tom.

- Wiesz, jaka jestem. Zawsze dobrze się bawię. Miło było cię poznać, Emily. Przyjemnego urządzania ogrodu.

Czy Emily miała paranoję, czy też naprawdę w uśmiešku Madison czaiło się poczucie wyższości?

- Ha! Co za energia.

- Owszem. Ale jest miła. - Charlotte zatrzasnęła niedomknięte drzwi.

Emily uniosła brwi.

- Naprawdę.

Emily wiedziała, że Charlotte jest miła. Nic była pewna, czy to samo można powiedzieć o Madison.

Za ścianą Madison ubrana tylko w majtki i stanik wyciągała z szafy ubrania, rzucając niedbale wzgardzone sztuki na łóżko (wiedziała, że po randce wyląduje u Toma - miał mieszkanie na ostatnim piętrze przy Pierwszej Alei ze wspaniałym widokiem na East River). Pomyślała, że Emily jest trochę za ładna, aby ją lubić. Może brak jej dopracowania. Naturalna piękność. Ale jednak piękność. I już zdążyła zaprzyjaźnić się z Charlotte. Trzeba będzie na nią uważać.

Madison należała do dziewczyn, które pięć minut po wejściu na imprezę, salę posiedzeń czy do restauracji, wiedzą, czy są najładniejsze spośród kobiet. Zazwyczaj tak było. Umiała rozpoznać, kto projektował czyjeś ubrania, czyj kolor włosów jest naturalny i ile ktoś waży (w granicach pięciu kilogramów). Emily ubierała się w Banana Republic (to minus, nie plus), była naturalną platynową blondynką, ważyła 55 kilogramów i miała wysportowaną sylwetkę.

To ktoś, na kogo naprawdę trzeba uważać.

Eve

Eve miała wątpliwości co do tej sukienki. Została kupiona we właściwym sklepie. Miała odpowiednią metkę. Kolor taki jak trzeba. Potwierdziła to sprzedawczyni. Co prawda wszystko, w czym klientka ośmieliła się wyjść z przymierzalni, budziło w pracownicy sklepu taki entuzjizm, że Eve miała ochotę ukazać się w bieliźnie i sprawdzić, czy usłyszy, iż cielisty odcień biustonosza podkreśla kolor oczu. Straciła zaufanie do ekspedientki, gdy podsłuchiwała, jak zapewnia matronę w sąsiedniej przymierzalni, że legginsy pasują do osoby w każdym wieku.

Oto niebezpieczeństwa czyhające ze strony sprzedawczyń mających prowizję od zakupu. Wprost rzucają się na klienta zaraz po wejściu do sklepu: „Nazywam się Claudia. Czy mogę w czymś pomóc? Czy widziała pani najnowszą kolekcję?”. Sukienka była w kolorze zielonego jabłuszka, którego Eve nigdy w Anglii nie nosi-

ła. Zresztą kto w ogóle ubiera się tam w sukienki? Ekspedientka tak długo rozwodziła się nad tym, jak dobrze i łatwo się ją nosi, aż Eve zaczęła się zastanawiać, co jest skomplikowanego w noszeniu bluzki i spodni. Wkładanie ich we właściwej kolejności? Usłyszała, że „po prostu musi” kupić tę sukienkę. Że dopiero na niej widać, jaki to piękny kolor. I że świetnie będą do niej pasować śliczne balerinki. Eve potraktowała radę tak dosłownie, że natychmiast udała się na parter, do działu obuwia, i oświadczyła wysokiemu mężczyźnie, który stał z rękami założonymi na plecach, że rozpaczliwie potrzebuje „ślicznych balerinek” pasujących do sukienki, tu wyciągnęła rąbek, by pokazać kolor. Swoją drogą balerinki były śliczne. Miały z przodu głębokie wycięcie, przez co szpary między palcami dość szerokich stóp Eve były wyraźnie widoczne. Pomyślała, że o to właśnie chodzi. Pewnie wyglądały trochę jak rekwizyt dla fetyszysty stóp, ale cóż ona wie. Dobrze przynajmniej, że wybrana sukienka nie wymagała dziesięciocentymetrowych obcasów, na których mieszkanki Nowego Jorku poruszały się ze sprawnością długodystansowców.

Eve pozwoliła konsultantce w dziale kosmetycznym się umalować, co było do niej zupełnie niepodobne. Pamiętała, jak raz, tuż przed ślubem, Cath namówiła ją na podobny zabieg w stoisku Guerlaina u Harrodsa. Wyglądała wtedy strasznie – jak córka Barbary Cartland. Cath tylko prychnęła – a Eve poszła do łazienki zmyć wszystko z twarzy. Nowojorski makijaż był dużo bardziej udany. Przypominała teraz swoją nieco ulepszoną wersję. Konsultantka triumfowała, że tak umiejętnie udało jej się zamaskować wszystkie pęknięte naczynka i ślady po trądziku. Eve w ogóle nie wiedziała, że je ma, ale posłusznie okazała wdzięczność za zakamufłowanie usterek. Niemal cudem udało się także częściowo odbarwić jej różowe policzki. Wreszcie opuściła stoisko z torbą ciężką od kosmetyków oraz obietnicą, że podobny efekt łatwo uzyska w domu. Hm. Nawet poszła do fryzjera.

Oto nadeszła chwila, by z niegustownej angielskiej poczwarki wyfrunął piękny nowojorski motyl. Jak wtedy, gdy Cher w *Zaćmieniu księżycy* bierze dzień wolny, farbuje siwe włosy, a Nicolas Cage zakochuje się w niej przed Centrum Lincoln. Gdy Julia Roberts, po zabiegach w Beverly Hills, pokazuje Richardowi Gere'owi, jaką ładną jest kobietą. Lub gdy myszki wyczarowują dla Disneyowskiego Kopciuszka różową szyfonową suknię.

Ale w rzeczywistości wszystko wyglądało nieco inaczej. Po zrzuconiu ślicznych balerinek – które już zaczęły ją uwierać – Eve zadzwoniła do Cath i dopiero po drugim sygnale przypomniała sobie, że jeśli w Nowym Jorku jest wpół do szóstej wieczór – to w Anglii jest wpół do jedenastej w nocy – czyli pora trochę zbyt późna na rozmowy o ekstrawagancjach mody. W głosie Geoffa, który odebrał telefon, po-brzmiewała nutka paniki. Eve przypomniała sobie, że szwagier łatwo się denerwuje.

- To ja. Przepraszam. Zupełnie zapomniałam o zmianie czasu. - Słyszała, jak Geoff oddycha z ulgą. - Spałeś? - zapytała z poczuciem winy.
- Mniej więcej. Ale na kanapie, więc przypomniałaś mi, że czas do łóżka.
- Nie dziękuj. A moja siostra?
- W ogóle nie jest śpiąca. Właśnie wróciła ze spotkania klubu miłośników książki. Sądząc po zapachu, nie wiem, czemu nie porzuca pozorów i nie nazwą się po prostu klubem miłośników tequili.
- Jesteś bezczelny. - W dali dał się słyszeć głos siostry. - Czytamy książki. Zanim zaczniemy pić.
- Skoro tak mówisz, stara alkoholiczko. Oddaję ci słuchawkę. Buziaki, Eve.
- Czytamy książki! - Znajomy głos Cath i jej angielski akcent zdawały się otulać Eve jak stary ciepły koc. Tęskniła za tym. Wczoraj do północy oglądała na DVD *Pastora na obcasach* oczarowana akcentem i znajomymi aluzjami. Mądry miarowy głos Davida Dimbleby komentującego w BBC TV wprost doprowadzał ją do łez i nie miała odwagi poszukać programu prowadzonego przez Jenni Murray.
- Wiem. Słyszałam. Co było w tym miesiącu?
- *Chłopiec z latawcem*. Pięć głosów na „tak”, jeden na „nie” i dwa „może”, ale jeden chyba się nie liczy, bo ona prawie na pewno tylko oglądała film. Zresztą w przypadku tego rodzaju książek nikt nie jest naprawdę szczery. Są jak nowe szaty cesarza. A Richard i Judy w roli współczesnych Mojżeszów przekazują na kamiennych tablicach reguły ich interpretacji. My jesteśmy tylko uczniami.
- Nie czytałam.
- Wstyd. Zobacz film. Co słyhać? Bo chyba nie dzwonisz, żeby dyskutować o problemach literackich. Swoją drogą, Geoff ma rację. Piliśmy tequilę.
- Źle wyglądam.
- Dopiero teraz to do ciebie dotarło?
- Zamknij się. Czeka mnie oficjalna kolacja. To znaczy, niezupełnie oficjalna. Pomysł Eda. Chce, żebym poznała dziewczyny, żony, czy kim tam są, jego kolegów z pracy. Próbuje w ten sposób pomóc mi w asymilacji. Chciałam odpowiednio wyglądać. Wydałam 300 dolarów na sukienkę i niewygodne buty, uczesałam się u fryzjera i kupiłam jakieś niesamowite mazidło na policzki, dzięki któremu jestem nieco mniej... ogorzała.
- Brzmi cudownie.
- Ale wciąż nie wyglądam tak jak trzeba. W każdym razie nie czuję się tak.
- Wiem. Zapomniałaś o odpowiednim nastawieniu.
- Co masz na myśli, wariatko?
- Proste. Żadna sukienka na świecie nie sprawi, że będziesz pasować do towarzystwa, jeśli swoim zachowaniem nie pokażesz, że tak jest. Myśl pozytywnie, a wszystko ułoży się dobrze.

- Łatwo powiedzieć.
- Bo to jest łatwe.
- I tak new age'owskie, że mdło mi się robi.
- Ale wiesz, że mam rację.
- Hmm.
- Teraz spieprzaj i baw się dobrze. Zadzwoń jutro rano.

Zadzwońska.

- No i... - Zawsze zaczynały i kończyły rozmowy w środku zdania, tak jakby minuty, godziny czy dni, które tymczasem upłynęły, nie istniały. Ed i Geoff wyśmiewali się z nich.

- Nie nazwałabym tego dobrą zabawą.

- Opowiedz, jak było. Polly jest w szkole, a George siedzi jak przymurowany i ogląda *Dora poznaje świat*. Właśnie zrobiłam sobie herbatę i mogę ci poświęcić co najmniej dziesięć minut. Dzięki temu nie będę musiała rozładowywać zmywarki. Co to była za restauracja?

- Wspaniała. W śródmieściu, bardzo modna. Dach jest okrągły, więc masz wrażenie, że siedzisz na dnie beczki, a wszędzie sterczą gałęzie, na których wiszą lampki choinkowe. Ślicznie to wygląda. Pyszne jedzenie, choć podają porcje jak dla czteroosobowej rodziny, co nie ma sensu, ponieważ tutejsze kobiety najwyraźniej nic nie jedzą. Ciągle myślałam o tej scenie z *Przeminęło z wiatrem*, kiedy Mammy na siłę karmi Scarlett przed przyjęciem u Wilkesów. Za każdym razem, gdy podnosiłam widelec do ust, coś w mojej głowie mówiło: „nie wypada, po prostu nie wypada”. Oczywiście zostają jeszcze koktajle. Te można pić bezkarnie.

- Na pusty żołądek?

- Na to wygląda.

- Jacy byli ci ludzie?

- Mężczyźni mili. Bardzo uprzejmi. Niemal oficjalni. Jak bohaterowie Henry'ego Jamesa.

- W takim razie lepsi od większości facetów, których poznałam w Londynie.

A kobiety?

- Przeróżające.

- Dlaczego?

- Są takie... doskonale. Szczupłe. Ale bardzo szczupłe. Mają idealne zęby, włosy i paznokcie. I noszą wielkie brylanty. Naprawdę, Cath. Jedna miała brylant wielkości Gibraltaru.

- Pewnie sztuczny.

- Chyba nie. Prawdziwy.

- No, dobrze, są doskonale. A miłe?

– Dosyć miłe. Ale trochę sztywne. Nic nas nie połączyło. Z żadną nie poczułam więzi.

– A musisz? To znaczy, czuć tę więź?

– Nie o to chodzi. Tylko z kim mam tutaj spędzać czas? Liczyłam, że kogoś poznam, choćby jedną kobietę, z którą złapię dobry kontakt. Na razie moi najlepsi przyjaciele to portier i starsza dama z dołu, chyba po osiemdziesiątce.

– Wydaje się wspaniałą osobą.

– Jest wspaniała. Ale to za mało, prawda? Za mało. Cath dobrze o tym wiedziała.

Eve nie powiedziała jej, że pokłóciła się z Edem, wracając taksówką do domu. Podejrzewała, że pokazałoby to męża w nie najlepszym świetle.

Oświadczył, że w ogóle się nie starała. Nie mogła uwierzyć, że potrafi być taki wredny. Przecież kupiła sukienkę. I poszła do fryzjera.

Ed odrzekł, że to nie ma nic do rzeczy. Może wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby zauważył zmianę w wyglądzie żony. Stał przy barze, gdy nadeszła (tylko ona nie spieszyła się znikąd na spotkanie i nie miała dziś nic pilniejszego do roboty poza kupieniem sukienki i uczesaniem włosów). Pocałował ją, ale nic nie powiedział i Eve nie była pewna, czy potrafiłby wyjaśnić, co się w niej zmieniło.

Jak mógł być taki głupi? Czy naprawdę nie widział różnicy między nią a tamtymi kobietami?

Zdaniem Eda różnica polegała jedynie na tym, że one starały się być miłe i dobrze się bawić, a ona nie. Warknął to z taką złością, aż się zdumiała.

Odwróciła się. Była zbyt zmęczona, by się kłócić. Od uśmiechania się przez cały wieczór bolała ją głowa. Patrzyła na mijane ulice. Nawet w nocy panował tu duży ruch. Chodnikami wędrowały tłumy ludzi.

W domu od razu się położyła. Ed przyszedł później. Wtulił się w plecy żony i objął ją ramieniem. Powiedział, że przeprasza, że mówił niewybaczalne rzeczy. Milcząc, poklepała go po ręku na znak wybaczenia, trochę śpiąca, trochę zdenerwowana. Bolała ją głowa.

Ed miał rację.

Na początku, kiedy jeszcze czuli się turystami, spacerowali po Central Parku. Teraz, choć minęło tyle tygodni, Eve wciąż jeszcze poznawała to miejsce. Turyści prawie nigdy nie zapuszczali się na północ. Trzymali się „dolnej”, południowej części parku. Spacerowali, patrząc na mapy, przy Wollman Rink. Eve, przechodząc tędy, zawsze myślała o *Love Story* – o Ali McGraw, tak pięknie czekającej na nieuniknioną śmierć, i Ryanie O'Nealu, któremu wcale nie było zimno, choć stał na śniegu w sportowej marynarce. Mijała dawną mleczarnię, karuzelę, rzeźbę Alicji w Krainie Czarów nad Conservatory Pond, ogród zoologiczny z wielkimi wolierami dla ptaków i zwariowanymi niedźwiedziami polarnymi, które podczas pływania stukały głowami o brzegi małego basenu.

Turyści omijali najciekawsze rejony. Idąc promenadą, w dół po szerokich schodach obok fontanny Bethesda, po których przechadzał się w *Okupie* Mel Gibson, a potem mijając fontannę, do której George Clooney zaniósł Michelle Pfeiffer w *Szczęśliwym dniu*, docierało się do ulubionych miejsc Eve: Turtle Pond, neogotyckiego zameczku Belvedere Castle i Great Lawn. Trafiali tam przypadkowi turyści wracający z muzeów Metropolitan lub Guggenheim, ale na ogół spotykało się tylko nowojorczyków. Eve uważała, że najpiękniejszy widok w mieście rozciąga się z północnego brzegu Jacqueline Kennedy Onassis Reservoir, na wysokości 96 Ulicy. Potracana przez biegaczy i piechurów stała tam przez długie chwile, patrząc na rysujące się na tle nieba budynki. Zawsze odczuwała zachwyt. Zdumiewało ją, że mieszka w tak niezwykłym miejscu. W zielonych płucach miasta panował spokój i można było posłuchać własnych myśli. Przychodziła tu prawie codziennie.

Pewnego niedzielnego popołudnia, na samym początku pobytu, jedli z Edem lunch w Boathouse. Nie w eleganckiej, restauracyjnej części lokalu, gdzie na stołach leżały białe obrusy, a gości obsługiwali bezrobotni aktorzy, lecz w barze obok. Nowi przybysze czekali tam w drzwiach, aż zwolni się stolik, rzucając gniewne spojrzenia na tych, którzy jedli powoli lub ośmielili się tkwić nad pozostałą na dnie szklanki resztką jasnego piwa. Eve zauważyła siedzącą dwa stoliki dalej kobietę. Jadła samotnie, czytając „New York Timesa”. Wyglądała jak Bodicea – wysoka, mocno zbudowana – nie gruba, ale krzepka i silna. Nosiła coś w rodzaju skórzanego, sznurowanego z przodu gorsetu, a z jej ramienia spływał długi do pasa srebrzysty warkocz. Obok leżał wielki plecak, z gatunku tych, które rodzice kupują dzieciom, gdy po skończeniu studiów ruszają one w podróż życia. Stary, brudny i wypchany. Zwisała z niego na sznurkach, łańcuchach i linach kolekcja zdumiewających przedmiotów – garnuszek, gazety z dwóch czy trzech dni, książka Davida Fostera Wallace'a, brezentowa płachta. Kobieta bez wątplenia była bezdomna, ale nie wyglądała na brudną czy niedożywioną. Jadła kanapkę jak osoba niezbyt wygłodzona. Poza niezwykłością faktu obecności kogoś takiego w Boathouse, uwagę Eve zwrócił jej niezwykły sposób bycia. Siedziała wyprostowana, pełna godności, nieruchomo i spokojnie. Nie wydawała się skonsternowana własną sytuacją ani spojrzeniami innych ludzi. Czytała gazetę, jadła kanapkę, nie zwracając na nic uwagi, całkowicie niezależna.

- Widziałeś ją? – zapytała Eve, gdy wyszli z Edem z restauracji.
- Tak, prawdę mówiąc, widywałem ją już wcześniej.
- Kiedy? – Nowy Jork był dziwnym miastem, choć mieszkało w nim osiem milionów ludzi, niektóre twarze wpadały w oko niemal każdego dnia.
- Podczas biegania. Mieszka chyba tam. – Wskazał ręką część zwaną Ramble, znajdującą się tuż za Boathouse. Stanowiła najdzikszy zakątek Central Parku. Ścieżki kluczyły wśród drzew i gęstwiny krzewów. Zapuściwszy się w nie,

można było zapomnieć, że przebywa się w centrum miasta. – Widziałem ją kilka razy.

– Mieszka w parku? Przez cały czas?

– Chyba nie ona jedna. Bezdumni zbudowali tu sobie coś w rodzaju slumsów. Koczują w nich przez cały rok. Widziałaś jej garnuszek? I gazety? Pewnie w nocy wkłada je pod ubranie dla ochrony przed chłodem. Miała też matę.

Eve skinęła głową.

– Okropne. Boże, nie mogę sobie tego wyobrazić.

– Ja też nie. Jeszcze gorzej jest w lutym, kiedy przychodzą prawdziwe mrozy.

– Dlaczego władze miasta nic z tym nie zrobią?

– Co mają zrobić? Słyszałem w pracy, że kiedy temperatura bardzo spada, miasto ma obowiązek wysłać do parku straż, by otoczyła bezdomnych i zabrała ich do jakichś noclegowni. Ale tamci wcale nie chcą iść. Chowają się.

– Boże, jakie okropne muszą być te noclegownie, skoro ludzie wolą w czasie mrozu zostać na dworze. – Eve zadrżała. – Jak myślisz, dlaczego ich to spotkało?

– Nie wiem – pokręcił głową. – Czasem to wybór.

– Jak można wybrać bycie bezdomnym?

– Chyba nie mamy pojęcia, jak cholernie jesteśmy szczęśliwi. Niektórzy wolą się wycofać. Nie radzą sobie. Wolą mieszkać tutaj, samotnie, licząc tylko na siebie, niż stawić czoła światu, w którym żyje reszta z nas.

– Myślisz, że ona tak właśnie wybrała?

– Robi wrażenie zadowolonej.

Kobieta naprawdę wyglądała na zadowoloną. Tak jakby miała wszystko, czego jej potrzeba. Eve zastanawiała się, jakie były jej losy.

– Pewnie tak. – Wzięła Eda pod ramię i przytuliła się do niego. – W jakiś dziwny sposób to rozumiem. Pomyśl, jakie proste jest jej życie.

– Proste? Chyba niewyobrażalnie ciężkie.

– Tak, ale tylko na poziomie pierwotnej walki o przetrwanie. O jedzenie, wodę i miejsce do spania. Nie musi się martwić o zapłacenie podatków. O to, czy odpowiednio ubrała się na przyjęcie, albo czy w ogóle zostanie zaproszona.

– Mimo wszystko wolę nasze życie.

– A ja, gdybym zdecydowała się żyć jak ona, ruszyłabym stopem na południe. Łatwiej sypiać w krzakach w Miami niż tutaj...

Coś im wtedy przerwało i zmienili temat. Zresztą był przygnębiający. Ale Eve nie zapomniała o spotkanej w Boathouse kobiecie. Spacerując w tej części parku, rozglądała się za nią. Raz czy dwa widziała ją z daleka. Siedziała na ławce, a przy niej leżał plecak. Nie czytała ani nie rozmawiała. Po prostu patrzyła przed siebie. Eve podeszła bliżej, zastanawiając się, czy starczy jej odwagi, żeby usiąść obok.

Szybko nauczyła się, że bezdomni w parku zazwyczaj mają całą ławkę dla siebie. Nie wiedziała, dlaczego nieznajoma tak bardzo ją interesuje, i w końcu zabrakło jej odwagi, by się przysiąść. Ale spojrziała na kobietę, a ona spojrziała na nią. Skinęła głową mijającej ją Eve i znów zapatrzyła się w przestrzeń.

Rachael

Rachael Schulman rzadko odpowiadała na prywatne e-maile przed dziesiątą wieczorem. Do domu zawsze wracała o siódmej. Wszyscy w pracy wiedzieli, że pani wiceprezes do spraw marketingu i PR wychodzi o szóstej trzydzieści, bez względu na to, jaka szaleje wokół burza. Usypianie dzieci było rzeczą świętą i nie mogło jej przy tym zabraknąć. David nie miał tyle szczęścia. Jego pracodawcy wykazywali mniej zrozumienia, a praca prokuratora wymagała częstych wyjazdów – choć zazwyczaj tylko na dzień czy dwa. No, ale jego obecność nie była dla dzieci stałym punktem dnia. Rachael pamiętała, jak jej matka po powrocie z pracy do domu, w butach na obcasach i wąskiej spódnicy, pachnąca Chanel, klękała każdego wieczoru przy łóżku córki, by ucałować ją na dobranoc. Gdy już utuliła dzieci do snu – Mię dwa razy – zabierała się za porządkowanie ich codziennych spraw: wizyt u pediatry, dentysty, lekcji pianina, zabaw z innymi dziećmi, wakacyjnych obozów, przyjęć urodzinowych. A także rozrywek i zobowiązań całej rodziny – na teraz i na później – kolacji z przyjaciółmi, biletów na przedstawienia. Zaproszeń wymagających podziękowań i odpowiedzi.

Dodatkowy etat stanowił dom w Connecticut – zamówienie konserwacji basenu i ogrodnika w lecie, a pług odśnieżającego w zimie. Ale i tak domu na wsi na nic by nie zamieniła – był rodzinną przystanią i sanktuarium. Kupili go dużo wcześniej niż mieszkanie w mieście – gdy tylko zebrali pieniądze. Prawdę mówiąc nawet przedtem. Matka nie mogła się nadziwić, że woleli wieś od Hamptons. Rachael pamiętała dzień, w którym jej o tym powiedzieli. Uniosła ze zdziwieniem brew i zapytała: „Co, na litość boską, będziecie tam robić?”. Śmiali się potem z Davidem z jej sugestii, że z dala od wypielegnowanych trawników i atlantyckich plaż Long Island nie ma nic godnego uwagi. Co roku, odwiedzając rezydencję rodziców, Rachael utwierdzała się w przekonaniu, że postąpiła słusznie, zakładając rodzinną bazę gdzie indziej. Nie mogła sobie wyobrazić innego domu, choć matka czasem sugerowała, że pewnego dnia, „gdy będzie ją na to stać”, wymieni go na lepszy. Nie chciała. Brakowało jej czasu na refleksje, ale czasem, zastanawiając się nad życiem, cieszyła się, że ma takie, jakiego zawsze pragnęła. O którym marzyła.

Doskonale życie wymagało jednak dużo pracy. E-maile wysyłała więc dopiero późnym wieczorem. Był to jej „czas dla siebie”. Przebrana w spodnie do jogi i starą studencką bluzę od dresu, zasiadała z laptopem na najwygodniejszej kanapie w salonie i popijając pinot noir, zabierała się za listy. Tak, Jacob chętnie przyjdzie się pobawić w czwartek po szkole. Oczywiście, Rachael poprowadzi stoisko na szkolnym kiermaszu. Nie może umówić się na kolację w następny wtorek, za to ma wolny piątek i, tak, wspaniale byłoby się spotkać... Do e-maila Violet na temat tarasu na dachu dotarła dopiero o wpół do jedenastej. Choć nie wymagał od niej szczególnego wysiłku, ciężko westchnęła.

– Strasznie wzdychasz – rzucił David, który na przeciwległej kanapie, także z kieliszkiem w ręku, czytał „New Yorkera”.

– Przepraszam. Nie chciałam tak głośno. Właśnie przeczytałam list od Violet na temat komitetu ogrodowego. Chce, byśmy zadeklarowali, kiedy mamy czas popracować.

– Nie wiem, po co w ogóle się zgłaszałaś. Nigdy nie masz czasu. Zwłaszcza w lecie. Przecież będziesz wtedy na wsi, prawda?

W lipcu i sierpniu Rachael pracowała trzy dni w tygodniu, dojeżdżała do Nowego Jorku we wtorek rano i wracała na wieś w czwartek wieczorem. Było to wyjście może nie idealne, ale najlepsze z możliwych. Zorganizowała to po urodzeniu Mii. David przyjeżdżał do nich w piątek po pracy i w niedzielę wracał pociągiem do miasta. O resztę dbała niania Milena.

– Pomyślałam, że jedno z nas mogłoby się zaangażować.

– Ja nie mam czasu i dobrze o tym wiem.

Rachael nie zdawała sobie sprawy, że zasugerowała coś przeciwnego, zmuszając męża do obrony swych praw. David nie brał na siebie niemal żadnych obowiązków domowych. Nigdy się tego typu rzeczami nie zajmował. Czasem, ale tylko czasem, irytowało ją to. Miał świetną pracę, odnosił sukcesy, był utalentowany i godny zaufania. Ale w domu nikt by się tego nie domyślił. Zwał na nią całą robotę. Całą. I niekiedy, na chwilę, Rachael ogarniała złość.

– Właśnie słyszę. Nie prosiłam cię, żebyś się angażował. Nikt z nas nie ma czasu, prawda? Tak wygląda współczesny świat. Będziemy korzystać z tarasu. Dzieci też. Zresztą skoro tu mieszkamy, a ja należę do zarządu, czułam, że powinniśmy wziąć w tym udział. Jest też pewien haczyk, wiesz, że nie potrafię Violet niczego odmówić... – Uśmiechnęła się kącikiem ust, może po to, by powiedział, że ma miękkie serce.

Ale David już nie słuchał. Rachael wygłaszała kazanie do samej siebie, bo on przecież dawno się nawrócił. Jego żona była mistrzynią robienia tego co najważniejsze. Wiedział, że przystąpi do komitetu, gdy tylko zobaczył ogłoszenie.

Dlatego że poślubił kobietę dokładnie taką jak jego matka. Choć był dorosły, tak jak w dzieciństwie i okresie dojrzewania dążył do doskonałości i przegrywał. Przegrywał każdego dnia.

Rachael nie wyglądała jak matka Davida i przez pierwsze lata małżeństwa wcale jej nie przypominała. Prawdę mówiąc, razem sobie z niej kpili. Pamiętał nawet, jak w pewnej chwili złożyła uroczystą przysięgę, że nigdy nie upodobni się do teściowej. W końcu się zorientował, że jest inaczej, ale było już za późno.

Gdy się poznali, David studiował na ostatnim roku, a Rachael na drugim. Należała do ładnych, z natury promiennych, wysportowanych i ogólnie lubianych dziewczyn. Było jasne, że pochodzi z bogatej rodziny. Zdradzały to idealne zęby i droga biżuteria. Stanowiła typ panny z dobrego domu. Znał go dobrze – pochodził z podobnego środowiska. Z innego wybrzeża, lecz z tego samego świata.

David był Kalifornijczykiem, rozpieszczonym, najmłodszym z trzech synów. Matka odziedziczyła rodzinną fortunę, ojciec zrobił ją sam, choć zawsze go to dziwiło – był w duszy hipisem i nie zależało mu na majątku. Napisał opartą częściowo na własnych wspomnieniach książkę o życiu w San Francisco w latach sześćdziesiątych, która stała się kultowym bestsellerem i na jej podstawie nakręcono film. Rodzice Davida rozwiedli się, gdy miał siedem czy osiem lat. Odtąd bracia mieszkali z matką w dużym domu w Sausalito, głównie wyczekując weekendów spędzanych po drugiej stronie mostu, w San Francisco, w dość obskurnym ojcowskim domu bez windy. Zanim David wyjechał na studia, matka zdążyła wyjść za mąż dwukrotnie, a potem po raz trzeci. Teraz chyba mieszkała sama. Czasem myślał, że wolał od niej swoich trzech ojczymów. Jeden handlował nieruchomościami, drugi był scenarzystą, a trzeci dermatologiem. Podejrzewał, że ostatniego poślubiła tylko po to, by mieć dostęp do darmowego botoksu. Zresztą stopień matczynych cierpień po trzecim rozwodzie trudno było ustalić, gdyż po tylu zastrzykach nie mogła już przekonywająco ani zmarszczyć brwi, ani się uśmiechnąć.

Była nieubłagane krytyczna i wszyscy – włączając w to mężów i dzieci – wciąż sprawiali jej zawód. Kiedyś przestała odzywać się do Davida, gdy na koncercie pianistycznym w szóstej klasie opuścił trzy nuty w ćwiczonym od tygodni utworze. Pamiętał, jak wyszedł za matką ze szkoły, zawstydzony, zły i upokorzony – nienawidząc jej niemal tak bardzo jak samego siebie za nieudany występ.

Swoim dzieciom każdego dnia powtarzał, że je kocha i że są cudowne. Z trudem zmuszał się do jakiegokolwiek krytyki. To Rachael poprawiała błędy ortograficzne i karciała za złe maniery przy stole.

David nigdy nie mógł zrozumieć, dlaczego jego rodzice zdecydowali się na wspólne życie. Łączyło ich tylko to, że oboje byli atrakcyjni. Przynajmniej matka, choć zanim zaczęła korzystać z botoksu, na jej twarzy wciąż malował się wyraz niezadowolenia. Ale ich systemy wartości, przekonania, a nawet poglądy na drobne życiowe przyjemności różniły się biegunowo. Raz, przed ślubem z Rachael,

David zapytał ojca, co go łączyło z matką, a on zaciągnął się głęboko dymem z papierosa i zastanowił chwilę. Potem posłał synowi smutny uśmiech.

- Zanim wyście się urodzili? Głównie seks i narkotyki. - Nagle się roześmiał:
- Nigdy nie lubiła rock and rolla.

Ojciec, łagodny, kochany tato, wciąż lekko zaskoczony, najpierw życiem, a potem śmiercią, zmarł cztery lata temu na raka płuc. Chorobę wykryto tuż po ślubie Davida z Rachael. Odchodził, gdy jego synowa dowiedziała się, że trzecie dziecko będzie dziewczynką. David wyszeptał ojcu tę wiadomość, tuż zanim zapadł w wywołaną lekami śpiączkę na kilka trudnych do zniesienia dni. Od jego pogrzebu nie widział się z matką. Nie zerwali kontaktów, nie doszło do żadnej awantury. Ale wiedział, że była dla niego niedobra, i nie szukał jej. A ona chyba także nie potrzebowała Davida. Jego bracia z rodzinami mieszkali wciąż w Kalifornii, jeden w San Francisco, a drugi na przedmieściach Los Angeles, lecz również rzadko widywali się z matką.

Z kolei Rachael była typową mieszkanką Wschodniego Wybrzeża. Jediną ukochaną córką dojrzałej pary – prawnika korporacyjnego i logopedy. Wychowała się na Manhattanie, kilka przecznic od miejsca, w którym teraz mieszkała, a lato spędzała wraz z opiekunkami i starszymi braćmi na Long Island, w dużym domu w Southampton. O ile David dorastał w cieniu matczynego rozczarowania, o tyle Rachael żyła w świecie, w którym wszystko było cudowne. (Nawet jeśli prawda wyglądała inaczej – David dopiero po kilku latach zdał sobie sprawę, że rodzina żony to ludzie, którzy na widok huraganu uśmiechają się i rzucają beztrąsko – „cóż za orzeźwiający powiew”). Przybyła na Uniwersytet Kalifornijski z żeńskiej szkoły na Upper East Side jako osoba wygadana, lecz naiwna. Nieprzypadkowo zamieniła Wybrzeże Wschodnie na Zachodnie i oddzieliła się od domu pięciogodzinnym lotem. Choć rozpieszczona i, jak mawiali przyjaciele, kosztowna w utrzymaniu, była też wielkoduszna, zabawna i szczerą. Zakochała się w Davidzie, surferze i wolnym duchu, który starał się upodobnić do ojca, ku wiecznemu rozczarowaniu matki. On zakochał się w blasku, śmiechu i osiąganej bez wysiłku doskonałości Rachael. Przez pierwszy rok lubił siadać blisko i przyglądać się, jak spaceruje, jak jej gładkie czarne włosy tańczą w takt kołysania się krągłego tyłka. Jej sposób chodzenia, seksowny, uroczy i pewny siebie, skradł mu serce.

Flirtowali nie tylko ze sobą. W tamtych czasach flirt pełnił rolę rozmowy. Przebywali w tych samych grupach towarzyskich, dużych i beztrąskich, takich, do których wszyscy chcieliby należeć. Przez pierwszy rok nic więcej się nie działo. Żadne nie uczyniło pierwszego kroku, choć potem przyznali się sobie, że zawsze czuli, iż to kiedyś nastąpi. Pewnego wiosennego dnia David zawiózł Rachael do Santa Monica swoim starym, rozklekotanym chevroletem, by udzielić jej lekcji surfowania. Pływał na falach całe życie, a ona nigdy nie stała na desce. Tamtego ranka nie wiedziała, co bardziej jej się w nim podobało. Wygląd silnego, musku-

larnego Neptuna czy sposób, w jaki ją uczył: cierpliwie i przyjaźnie. Nie kpił, gdy nie zdążyła jeszcze uklęknąć na desce, a już spadała w białą pianę. Właśnie w tej pianie pocałowali się po raz pierwszy. Wyłowił ją po kolejnej nieudanej próbie, a pocałunek był zimny, słony i cudowny. Od tej chwili David stracił głowę.

Rachael potrzebowała trochę więcej czasu. Była rozdarta między miłością a własnymi ambicjami. David napracował się, by przekonać ją, że może mieć i jedno, i drugie. Właśnie wtedy zakiełkowała w nim myśl, że na Rachael nie zasługuje. Sam nie musiał się przekonywać co do niej – wiedział dokładnie, ile jest warta. Czuł jednak, że musi ją zdobyć, udowodnić, że on także coś znaczy.

Wesele urządzili w hotelu St. Regis, w grudniu, gdy Rachael skończyła studia. Uważali, że nie ma na co czekać, a poza tym rodzina Rachael wpadłaby w furję, gdyby po prostu ze sobą zamieszkali. Żeniąc się, David czuł, jakby dostał główną rolę w brodwayowskim przedstawieniu. Nie brał żadnego udziału w przedślubnych przygotowaniach. Przyszła teściowa szalała, Rachael zaś poddawała się temu, jak nakazywało jej dwudziestoletnie doświadczenie. Miała osiem drухen, a Davida zobowiązano do dostarczenia ośmiu drużbów. (Dwóch braci, czterech przyjaciół ze studiów i dwóch nieco oszołomionych kolegów z nowojorskiej kancelarii prawniczej, w której zaczął pracować po zaręczynach, wybranych głównie ze względu na żydowskie pochodzenie, fotogeniczność i wolny czas w niedzielę). Poza tym miał przyjść na ślub i ostrzyć włosy. Na tym jego udział się kończył.

W wieczór przed ceremonią, jak na zamówienie, spadł śnieg (nie ośmielił się tego nie zrobić). Jego płatki wirowały uroczo, gdy wychodzili z eleganckiej kolacji przedślubnej w 21 Club. Potem posłusznie przestał padać, by w dzień ślubu na czystym błękitnym niebie zaświeciło jasne słońce. Zdjęcie młodej pary, które przed domem w Hamptons zrobił fotograf współpracujący z „Elle” i „Voque”, ukazało się w dodatku „Styl” niedzielnego „New York Timesa” wraz z pięcioakapitową notatką zawierającą m.in. historię pierwszego pocałunku w morskiej pianie. W podróż poślubną pojechali na St. Barts. David wolałby wyprawę do Ameryki Południowej, ale podróż była prezentem od ciotki Rachael. Podczas tamtych wakacji żona, w białym bikini i słomkowym kapeluszu z szerokim rondem, wydawała mu się kimś cudownym. Nie mógł się nią nasycić, w łóżku i poza nim, i z trudem wierzył we własne szczęście. Przyglądał się jej, gdy tego nie widziała, wciąż od nowa zdumiony, że za niego wyszła. Że wybrała właśnie *jego*. Był z niej taki dumny. Teraz Rachael zabierze go do swego złoconego świata, gdzie wszystko jest cudowne, i będą w nim żyli długo i szczęśliwie.

Żył tak już od dziesięciu lat. I wysiłek, by wszystko zawsze było cudowne, powoli stawał się nie do zniesienia.

Todd i Greg

Najlepiej rozmawiało im się w łóżku. Już przed ośmiu laty, po pierwszej wspólnej nocy kończącej randkę w ciemno w East Village, zaczęli rano ze sobą rozmawiać niczym stare dobre małżeństwo. Nie przestali do tej pory. Mieli własne skróty myślowe, powiedzonka i często jeden kończył zdanie za drugiego. Gadali godzinami, leżąc na wielkim miękkim materacu, czytając od deski do deski „Time-sa”, oglądając CNN, jedząc bajgle i pijąc herbatę earl grey. Ostatnio niektórzy z ich przyjaciół postarali się o dzieci (Todd mawiał, że Nowy Jork lat dziewięćdziesiątych przypomina dom towarowy Harrodsa w latach osiemdziesiątych – nie ma na świecie rzeczy, której nie dałoby się w nim kupić), ale oni mieli dość rozumu, by wiedzieć, jaką przykrość sprawiłaby im rezygnacja z łóżkowych pogawędek na rzecz nieprzespanych nocy, wczesnego wstawania i płam z kakao na cienkich eleganckich prześcieradłach. Większość znanych im młodych rodziców cieszyła się, gdy mogła dokończyć zdanie, nie mówiąc już o bajglu z łososiem i czytaniu działu „Styl”. „Zachwycali się” więc dziećmi przyjaciół (tak jak zachwycali się ich nowymi obiciami, psami czy wystawami w galerii na Chambers Street) od czasu do czasu, zachowując zdrowy dystans.

Na ogół Todd mówił, a Greg słuchał, choć Todd twierdził, że słowa partnera są jak perły mądrości rzucane przed wieprze jego paplaniny. Każdy z nich był spełniony, miał niezależne, udane życie, które wieczorami i w weekendy ubarwiali sobie nawzajem. Todd snuł zabawne opowieści o klientach i ich domach – dziwnych gustach i niemożliwych do spełnienia zachciankach. Greg, który pracował jako anestezjolog w szpitalu dziecięcym St. Jude, rewanżował się wzruszającymi historiami o pacjentach i ich rodzinach. Rozmawiali o sztuce i filmie, na ogół mając odmienne zdania, o polityce (tu byli jednomyślni), a także o tym, w której restauracji zjedzą niedzielny brunch (tu głosy rozkładały się pół na pół). Dziś wieczorem gawędzili o swoich sąsiadach. Ściślej mówiąc, o Charlotte Murphy i zabawie w Pigmaliona. Doszło do sprzeczki. Zaczął ją Greg w roli pułkownika Pickeringa.

– Po prostu źle się czuje w swoim ciele. Na spotkaniu z Violet nie pozwoliła nikomu do siebie podejść. Kiedy się do niej odezwałem, zrobiła krok do tyłu. Myślałem, że zapomniałem umyć zęby. Nie patrzy ludziom w oczy.

– Zgadzam się. Jest nieśmiała, niezwykle nieśmiała. I źle ubrana. Powinna przejść całkowitą metamorfozę. Mówię ci, mogłaby być zupełnie ładniutka.

– Hmm.

– I przyszła na zebranie komitetu Violet. To znaczy, że jest otwarta na ludzi.

– Otwarta na posadzenie paru roślin w doniczkach, a nie na atak gejowskiej bojówki.

– Żaden atak, nic z tych rzeczy. Czy ja kiedyś kogoś atakowałem? Słuchaj, powinniśmy wziąć ją pod swoje skrzydła.

Greg uniósł brwi.

– Po prostu przyprzemy ją do muru. Porozmawiamy...

– Ona nie potrzebuje metamorfozy, tylko jakiegoś wspaniałego faceta. I tyle. Wiesz, dziewczyny w marszczonych spódnicach też mogą się zakochać. Muszą tylko znaleźć chłopaka w wytartych dżinsach.

– Jesteś starym romantykiem.

– A ty masz obsesję na punkcie wyglądu. Wszystko oceniasz pod tym kątem. To przejaw próżności...

– Nie jestem próżny.

– Jasne. A ja nie jestem gejem.

Eve

Eve zastanawiała się, czy wypełnianie pustych godzin chodzeniem po lekarzach w celu sprawdzenia stanu swego zdrowia świadczy o rozpaczliwej desperacji, czy o rozsądnym korzystaniu z wolnego czasu i nieograniczonych chyba możliwościach ubezpieczenia. Nowojorkczyk z pewnością wybrałby odpowiedź numer 2. (Potrafili kręcić nie tylko na rowerze stacjonarnym w klubie fitness Equinox). Eve skłaniała się ku odpowiedzi numer 1 (jakiegokolwiek kręcenie jeszcze nie weszło jej w krew). Zresztą, nie ona tu zawiniła. Pierwszą kostkę domina przewrócił Ed. Umówił żonę do lekarza, zaniepokojony (i, szczerze mówiąc, zirytowany) jej uporczywym kaszlem, który nie dawał mu w nocy spać. Eve utrzymywała, że to nic groźnego. A teraz miała się udać do przyjmującej w okolicy specjalistki od chorób wewnętrznych, którą poleciła Edowi koleżanka z pracy. Żaden tam lekarz rodzinny. Specjalistka od chorób wewnętrznych. Już sama nazwa brzmiała agresywnie. Eve wiedziała, że płuca, chore czy nie, technicznie znajdują się wewnątrz ciała, ale czy trzeba to określać tak... dosłownie. Stwierdziła jednak, że lepiej, na wszelki wypadek, poradzić się specjalisty, choć w Anglii nie odwiedzała lekarza rodzinnego od... niepamiętnych czasów. Przynajmniej będzie miała coś do roboty – wstanie, ubierze się, wezwie taksówkę. Gdzieś pójdzie. Jak wszyscy inni ludzie.

Specjalistka od chorób wewnętrznych okazała się osobą energiczną, kompetentną i niezbyt miłą. Eve opisała symptomy kaszlu w spokojny, pseudonaukowy sposób, którego od zawsze używała wobec lekarzy, nie chcąc za nic w świecie uchodzić za histeryczkę lub hipochondryczkę. „Lekarka” w zielonej piżamie wy-

słuchała jej w pełnym rozbawienia milczeniu, po czym oświadczyła, że jest pielęgniarką, poprosiła o włożenie zielonej koszuli i poinformowała, że doktor Cohen zjawi się wkrótce, by „nad nią popracować”. Eve zbulwersowała sprawa koszuli – coś takiego miała na sobie tylko raz, w dzieciństwie, gdy wycinano jej wyrostek, wtedy jednak nie przejmowała się wystawianiem tyłka na wiatr (niby czemu? Nie wiele miała do wystawiania). W końcu jednak posłusznie się przebrała i usiadła smętnie na brzegu kozetki, czekając na panią doktor. Obiecywała sobie, że sama popracuje dziś wieczorem nad Edem za to, że ją w to wpakował.

Doktor Cohen była równie mało skłonna do wysłuchania Eve jak pielęgniarka. Najeżyła się i oświadczyła, że diagnoza należy do niej. Nosiła strój tak elegancki, że Eve nie włożyłaby nic lepszego na herbatkę u królowej. Jedwabną spódnicę i buty na wysokich obcasach oraz kolczyki z wielkimi czarnymi perłami. Zamiast po prostu osłuchać Eve i zdecydować, jakich antybiotyków potrzebuje, uznała, że musi ją zważyć (wie pani, że przydałoby się schudnąć pięć kilogramów), zmierzyć ciśnienie (trochę za wysokie jak ten wiek – jaki sport pani uprawia?), pobrać pięć probówek krwi (lepiej przyjrzyjmy się temu cholesterolowi) i zrobić awanturę o to, że dziesięć lat temu przez sześć miesięcy paliła papierosy, nie zrobiła w zeszłym roku cytologii, a nigdy w życiu mammografii (ostatni zarzut wygłosiła niemal drżącym głosem). W dodatku nie przepisała Eve żadnych antybiotyków. Pod koniec wizyty jej pacjentka myślała, że zabójstwo będzie dla Eda zbyt łagodną karą – stanowczo za mało krępującą i bolesną. Może powinna umówić go na badanie prostaty – ubezpieczenie z pewnością to pokryje.

Zaopatrzona w dziesięć różnych numerów telefonów – jak spostrzegła w autobusie, także do dermatologa i stomatologa kosmetycznego – oraz dwie ulotki na temat właściwego odżywiania i gimnastyki, ciężko obrażona i upokorzona diagnozą, mogła w końcu opuścić gabinet, ślubując sobie, że tylko bardzo poważna choroba z powrotem ją tu sprowadzi. W autobusie chichotała złośliwie pod nosem, wyobrażając sobie, że wpada pod samochód, a przybyli na miejsce pracownicy pogotowia odkrywają, że zamiast czystej bielizny, którą każdy powinien nosić na wypadek tego rodzaju katastrofy, ma na sobie majtki z napisem: Nie zawoźcie mnie na amerykański ostry dyżur. odeślijcie do Anglii, skorzystam z usług państwowej służby zdrowia. Siedząca obok niej kobieta zaniepokojona chichotem (oraz całą medyczną literaturą) przesiadła się do innego rzędu. Eve roześmiała się jeszcze głośniej. W końcu lepsze to od zwykłego mówienia do siebie, nieprawdaż? Rozmawiała ze sobą podczas spacerów wokół jeziora w Central Parku, stwierdzając z zadowoleniem, że wszyscy wokół są zbyt zajęci słuchaniem muzyki z iPodów lub rozmowami przez komórki, by w ogóle to zauważyć.

A jednak, kilka tygodni później, siedziała w poczekalni u ginekologa. Cath powiedziała, że powinna do niego pójść.

- Czemu nie chcesz sprawdzić, czy wszystko z tobą w porządku? Idź. Niech cię przebadają. Lepiej dmuchać na zimne.

Po czym opowiedziała okropną historię o poznanej w szkole mamie, która przegapiła trzy badania cytologiczne, została zdiagnozowana zbyt późno, by coś dało się jeszcze zrobić, i umarła tuż przed jasełkami. Eve podejrzewała, że wydarzenia te rozegrały się nie tyle w szkole, ile na kartach magazynu „Good Housekeeping” oraz w bujnej wyobraźni Cath, ale i tak opowieść wywarła zamierzony efekt.

Nie licząc krwawych historii o raku, wizyta Cath w zeszłym miesiącu wspaniale się udała. Siostra z radością odstawiła George'a i Polly na kilka dni do teściowej.

- Radzi sobie dużo lepiej od Geoffa - śmiała się. - Jemu musiałabym zostawić chyba tysiąc informacji. Wszędzie poprzyklejać kartki. W który otwór prakki wlewa się płyn do zmiękczenia tkanin, czym komu posmarować grzanekę, gdzie i kiedy odbywają się zajęcia każdego z dzieci. Jest beznadziejny. To znaczy nie tyle tępy, ile celowo nieprzyswajający takich informacji. Jakby był dumny ze swej bezużyteczności w domu. W każdym razie u jego mamy dzieci można po prostu zostawić i uciec. Dostaną za dużo słodyczy i każda psota ujdzie im na sucho, ale przynajmniej zajęte zabawą nie będą za mną tęskniły, a babcia nie zniszczy im w praniu wszystkich ubrań.

Przez cały tydzień siostry bawiły się wspaniale. Zachowywały się jak prawdziwe turystki, a Cath nosiła zieloną styropianową koronę Statui Wolności dużo dłużej, niż wypadało. Płakały, trzymając się za ręce, we wstrząsającym i wzruszającym muzeum w Strefie Zero. Potykały się na kocich łbach dzielnicy Meatpacking District, usiłowały bezskutecznie zdobyć stolik w Pastis, po wypiciu margarity w hotelu Gansevoort. Pewnego dnia Eve spędziła mnóstwo czasu w sklepie Century 21, walcząc z innymi klientkami o tanie džinsy 7 For All Mankind. Były w Macy's i w Bloomingdale's. W FAO Schwarz Cath zmusiła Eve do tańczenia bosu na ogromnym pianinie, na oczach tłumu wściekłych rodziców, których dzieci musiały czekać, aż one skończą. Kupowała też najrozmaitsze rzeczy, winiąc za rosnącą stertę toreb w kącie gościnnego pokoju korzystny kurs euro wobec dolara. Między atakami na sklepy śmiały się, plotkowały, jadły i gadały do późnej nocy. Eve czuła, że od przyjazdu tutaj z nikim naprawdę nie rozmawiała, więc była to miła odmiana.

Pewnego wieczoru w meksykańskiej restauracji wyznała siostrze, że czuje się samotna. Ed nie miał ochoty na meksykańskie jedzenie. Zresztą przez cały tydzień trzymał się z boku, zostawiając je samym sobie. Eve miała nieprzyjemne wrażenie, że przyjął z ulgą przyjazd szwagierki. Złapał chwilę oddechu i mógł pracować do późna. Nie chciała udawać przed Cath - nigdy tego nie robiła. Przyznała, jakie to wszystko jest dla niej trudne. Siostra zareagowała bardzo rozsądnie.

– Przejdzie ci. Czego się spodziewałaś? Że wszystko od pierwszej chwili ułoży się świetnie? Musisz wziąć się w garść i sama zacząć działać. Nikt nie zapuka do drzwi mieszkania numer 7A, pytając, czy Eve wyjdzie się pobawić. Skończyliśmy już osiem lat. Masz dużo do zaoferowania. Taka mięczakowatość wcale do ciebie nie pasuje.

– Wiem. To pewnie dlatego, że wszystko tu jest takie inne. Oni są inni – Amerykanie.

– Po prostu bądź sobą. Staniesz się atrakcją. Dziwaczną Angielką. Uwielbiają takie rzeczy. – Cath zrobiła zeza i wysunęła dolną szczękę

– Kiedy cię słucham, wszystko wydaje się proste – roześmiała się Eve.

– Bo jest. Zawsze miałaś mnóstwo przyjaciół, prawda? Dlaczego tutaj ma być inaczej? Rusz głową, mała. Zaplanuj jakieś wycieczki. Na miłość boską, mieszkasz w najbardziej podniecającym mieście świata, a cały ten cholerny kraj leży u twoich stóp. Masz męża i trochę forsy dla odmiany. Nie przeszkadzają ci jeszcze żadne bachory. Naprawdę nie widzę powodu, żebyś nie miała się świetnie bawić. Słyszysz?

– Słyszę. Nagana została przyjęta.

– I słusznie. A jak nie, to leć do Anglii, zamieszkaż z Geoffem i dziećmiakami, wydłubuj herbatniki z sizalowej wykładziny, a ja przyjadę tutaj i będę szaleć za ciebie, ty niewdzięczna krowo.

Kiedy Cath tak mówiła, brzmiała zupełnie jak mama. I wyglądała tak samo. Od przyjazdu do Nowego Jorku Eve bardziej niż zwykle tęskniła za matką. Dziwne, bo przecież zmarła dawno temu. Wiele ją ominęło – zakończenie przez córki studiów, ich śluby. Eve miała wtedy tylko dziesięć lat. Cath czternaście, więc było jej trudniej. Także później. Tato, próbując sprostać sytuacji i poradzić sobie z własnym smutkiem, za bardzo oczekiwał od niej wsparcia. Cath szybko musiała dorosnąć.

Ale była podobna do mamy. Kpiąca, zabawna, energiczna. Mamie tak bardzo podobałby się Nowy Jork. I co to byłaby za radość móc ją tu gościć. Tęsknota za osobą, której nie widziała przez ponad pół życia, niosła poczucie dziwnego niezaspokojenia. Eve nie wiedziała nawet, za czym tęskni, i zastanawiała się, czy nie za jakimś wyobrażeniem, którego tak naprawdę nie pamięta.

Dzięki Bogu była Cath. Wtedy i teraz. Tato po śmierci mamy zupełnie się załamał, choć przecież kochał córki. A potem ożenił się z Dawn, której one po prostu nie trawiły. Nie były wtedy samotnymi, zagubionymi dziećmi – jedna miała dwadzieścia trzy lata, a druga lat dwadzieścia siedem. Ale macocha okazała się osobą z innej bajki. Zatem dzięki Bogu za Cath.

Przyjaciele to nie rodzina. Eve miała do nich pretensję, choć wiedziała, że jest niesprawiedliwa. Nic się u nich nie zmieniło, umawiali się w pubie i urządzali im-

prezy. Czuła się odrzucona, choć rozumiała, że to idiotyczne. Przecież gdyby nie wyjazd, chodziłaby tam z nimi. Nie mogła oczekiwać, by każdego dnia warowali przy telefonie i przysyłali e-maile. Wiedziała, że jest nie fair. Ale nie przypuszczała, że tak szybko o niej zapomną. Kilka osób planowało odwiedziny, lecz bardziej chodziło im o zakupy niż o Eve. Nie opowiadała o swoim złym nastroju. Miałyby poczucie porażki. Przy Cath nie dbała o to.

Eve nie wiedziała, czy Cath najpierw poszłaby do ginekologa – czyżby rzeczywiście żyła teraz życiem siostry? – ale postanowiła, że od tego zacznie. Poczekalnia przypominała ożywione zdjęcia z poradnika Miriam Stoppard. Rząd kobiet z brzuchami różnych rozmiarów – od wersji „może objadła się na lunch” do wypukłości zdawałoby się niemożliwej z punktu widzenia fizjologii. Wszystkie były dokładnie widoczne pod obcisłą lycrą. Nie okrywały ich żadne fartuchy w stylu Laury Ashley ani sukienki maxi. Zebranych tu kobietom najwyraźniej nie przeszkadzały pępki sterczące niczym ogromny trzeci sutek. Chyba nie przybrały też na wadze w żadnych innych miejscach. Cath – jedyna ciężarna, jaką Eve widziała nago, twierdziła, że wyglądała wtedy jak żywy środek antykoncepcyjny. Ogromna, z pokładami galaretowatego tłuszczu na biodrach, pupie i pod kolanami. Tutejsze kobiety stanowiły reklamy prokreacji. Lśniące włosy (hej, Nowy Jorku, jak to się robi?), zadbane paznokcie, gładka skóra. Ubrania ciążowe z lycry. Żadnych opuchniętych kostek niemieszczących się w sandałach od Jimmy'ego Choo.

Eve nie знаła siedzących w poczekalni przyszłych matek, ale rozpoznawała w nich członkinie jednego plemienia. Wiedziała, co będą robić za kilka miesięcy. Często widywała takie kobiety. Prawdę mówiąc, niemal je śledziła. Pchały kolorowe wózki firmy Bugaboo przez Madison Avenue, kupowały kawę latte w Dean & DeLuca i sukienki w rozmiarze czwartym w różnych butikach. W Central Parku ćwiczyły z osobistymi trenerami. Wczoraj przyglądała się grupie kilku matek. Wszystkie wozily nowo narodzone dzieci w trzykołowych wózkach terenowych. Kiedy biegły, twarze maluchów owiewał wiatr. Używały rączki wózka jako drążka, robiąc przysiady i skłony. A potem zostawiały wózki na szczytach schodów prowadzących do fontanny Bethesda, obok Boat Lake, i, wciąż od nowa, biegały po nich w górę i w dół, podczas gdy trener wydawał zachęcające okrzyki, śpiewał dzieciom oraz podskakiwał. Eve widywała też, jak schodziły z Cedar Hill w towarzystwie zaopatrzonych w nosidełka mężów, którzy wpatrywali się w żony niczym w nowe Joanny d'Arc. Znała je. Wiedziała, jak cudowne życie prowadzą i jakie mają szczęście.

Lekarka, dzięki Bogu, nie przypominała specjalistki od chorób wewnętrznych. Okazała się łagodniejsza – pod względem wyglądu i zachowania. Była starsza od wystrojonej doktor Cohen na wysokich obcasach, miała na oko ponad pięćdziesiąt lat, i wydawała się niemal pulchna, co Eve od przyjazdu do Nowego Jorku zaczęło

kojarzyć się z łagodnością i zrelaksowaniem. Stawała się powoli zwolenniczką otyłości.

– Z czym pani do mnie przyszła, Eve?

– Kiedy umawiałam się na wizytę, chodziło mi o, jak to się nazywa...?

– Cytologię?

– Właśnie. Ale lekarka, u której byłam, powiedziała, że powinnam też zrobić mammografię, potrzebne mi więc skierowanie...

– A teraz...? – Ginekolog odsunęła okulary na czoło i z lekkim uśmiechem popatrzyła pytająco na Eve.

– Teraz... Teraz myślę, że chciałabym zajść w ciążę. – Po raz pierwszy wypowiedziała to głośno, po czym uśmiechnęła się promiennie, a lekarka odpowiedziała jej tym samym.

Eve pomyślała, że zachowuje się dziwacznie. Jakby wpadła na ten pomysł po wejściu do gabinetu. To nieprawda. Zawsze chciała mieć dzieci. Co prawda nieco później. Lecz przecież nie pracowała. Nie brakowało jej wolnego czasu. Pieniądze wreszcie nie stanowiły problemu. Dlaczego nie rozpocząć starań o dziecko?

Chciała mieć czwórkę. Dwóch chłopców i dwie dziewczynki. Wysokich, silnych chłopaków podobnych do Eda, którzy już jako nastolatki ją przerosną. Będą mocować się na dywanie, grać w piłkę i w krykieta, łamać ręce. A ładne, małe dziewczynki będą z nią gotować, chodzić na zakupy, oglądać *Stalowe magnolie* i *Bezsenność w Seattle*. Zwierzać się ze swoich miłości i prosić o radę. Ed mówił, że jest mu obojętne, ile będą mieli dzieci, jeśli tylko więcej niż jedno. Sam był jedynakiem i nie chciał takiego losu dla własnego dziecka. Zależało mu na rodzinie.

Rodzina dla obojga znaczyła bardzo wiele, choć z innych powodów. Eve chciała odtworzyć to, co pamiętała z dzieciństwa, z czasów, gdy żyła mama. Ed pragnął wszystko zmienić. Eve uważała, że pokazano jej w mistrzowski sposób, jak wychowywać dzieci, Ed wiedział, że niemal każdą rzecz zrobiłby inaczej.

Pokryte miękkim puchem główki pojawiły się w ich wspólnym życiu bardzo wcześnie, bo Cath urodziła swoje pierwsze dziecko kilka miesięcy po tym, jak oni zaczęli się spotykać. Eve oszalała na punkcie siostrzenicy i pokochała ją od pierwszego wejrzenia. Wybiegła z pracy w środku dnia, gdy Cath zadzwoniła i powiedziała jej, że dziecko przyszło na świat. Spędzała z małą tyle czasu, na ile tylko pozwalały życie i nowy związek. Zachowała w pamięci jasne, cudowne wspomnienie – obraz Eda ostrożnie biorącego na ręce Polly, białe zawiniątko z pomarszczoną twarzą ledwie widoczną między brzegami kocyka i czapeczki. Serce Eve zabiło wtedy mocniej. Ed wpatrywał się w dziecko, całkowicie nim zafascynowany. W jednej chwili stał się dla niej kimś innym, ważniejszym, nie jakąś tam przelotną miłością. Czy mężczyźni zdają sobie sprawę, że takie zainteresowanie to potężny

afrodyzjak? Cath uśmiechnęła się do siostry nad głową Eda i unosząc brwi, z aprobatą pokiwała głową.

Kilka miesięcy później, gdy planowali wspólne mieszkanie i Eve wiedziała, że to poważny związek – najpoważniejszy, w jakim do tej pory była, po raz pierwszy w życiu opóźniła jej się miesiączka. Zaniepokojona, kupiła podczas przerwy na lunch test ciążowy. Wypadł negatywnie, a następnego dnia nastąpił gwałtowny krwotok, któremu towarzyszyły bolesne skurcze. Ed niemal smutny, a na pewno zamyślony, przytulił się do niej w łóżku, gładząc po obolałym brzuchu.

– Pewnego dnia – powiedział cicho. – Tak będzie. Gdy podejmiemy decyzję. Gdy będziemy gotowi.

Spodziewała się westchnienia ulgi. Może serii trudnych pytań, jak w ogóle mogło do tego dojść, skoro tak bardzo uważali. Nie oczekiwała, że powie: „Gdy będziemy gotowi”. Jak gdyby istniało jakieś „my”. A gotowość była tylko kwestią czasu. Nigdy żaden mężczyzna nie mówił do niej w ten sposób. Czyżby mieli być razem na zawsze? „Gdy będziemy gotowi”.

Eve poczuła nagle, że jest gotowa. Była tego pewna.

Doktor Jones zapewniła, że z jej zdrowiem wszystko w porządku i nie powinna mieć kłopotów z zajściem w ciążę. Pięć kilogramów nadwagi, które w ustach doktor Cohen brzmiało jak obrzydliwa otyłość, nie stanowiło problemu. Na wszelki wypadek pobrała rozmaz do badania cytologicznego, nakazując Eve ułożyć się z nogami w niewygodnych uchwytach, po czym wręczyła jej buteleczkę kwasu foliowego i odesłała do domu z porozumiewawczym mrugnięciem i zaleceniem, by „zaczęli próbować”.

Eve nareszcie wiedziała, czego chce, i miała całe popołudnie, by zastanowić się, jak przekonać do tego również Eda. Przychodził dziś na obiad do domu, co zdarzało się coraz rzadziej. Pracował do późna. Dzwonił i mówił, żeby zjadła sama – on i tak był na lunchu, więc wystarczy mu kanapka. Czasem po godzinach spotykał się z klientami albo z kolegami z pracy. Kilka razy namawiał Eve, by się do nich przyłączyła, ale zawsze znajdowała jakąś wymówkę. Nie czuła się na siłach. Bała się, że coś pójdzie nie tak. Nie chciała go zawieść – choć nigdy nie zdradziła mu prawdziwego powodu. Dlatego dużo czasu spędzała sama w domu, oglądając amerykańską telewizję. Nie umiała uruchamiać pilotem informacji o repertuarze ani połapać się w gazecie z programem telewizyjnym, więc skakała z kanału na kanał. W ten sposób obejrzała od połowy wiele świetnych filmów. Nigdy jakoś nie trafiła na początek. Widziała przynajmniej cztery razy Debrę Winger umierającą w *Czułych słówkach*, ale nigdy Jacka Nicholsona upijającego się z Shirley McLaine. Julia Ormond dwukrotnie poślubiła trzeciego z braci w *Wichrach namiętności*, lecz nigdy nie przeżyła romansu z Bradem Pittem. Mimo to Eve z nadzieją naciskała guziki pilota.

Ed obiecał, że dziś po pracy wróci do domu. Pierwszy raz w tym tygodniu. Przysięgał, że nic go nie opóźni ani nie zatrzyma. Kupiła butelkę szampana i tackę obranych krewetek (doszła do wniosku, że ostrygi byłyby zbyt oczywiste oraz, jej zdaniem, zbyt obrzydliwe). Zastanawiała się, ale tylko przez chwilę, czy nie oczekiwać go przy stole nago, przystrojona w umieszczone w strategicznych miejscach krewetki lub koronkowy fartuszek. Ale Ed, zamiast paść w jej ramiona, pewnie wybuchnąłby śmiechem. Wolał białą bawełnę od czerwonej koronki. Taką Eve przynajmniej miała nadzieję. Inaczej oznaczałoby, że ożenił się z niewłaściwą dziewczyną... Podczas wieczoru panińskiego dostała seksowną bieliznę z paskiem do podwiązek i całą resztą. Przymierzyła ją teraz, ale czuła się idiotycznie, więc wcisnęła ją w głąb szuflady. Za to ogoliła nogi pod prysznicem.

Gdy usłyszała, że Ed otwiera drzwi, wyszła mu naprzeciw i pocałowała go mocno w usta. Był to jednoznaczny sygnał.

- Witaj.
- Mmm. - Ed oddał pocałunek. Jak zawsze. - Witaj.

Mężczyźni trochę przypominają zwierzęta - żadne złe samopoczucie czy kiepski nastrój nie przeszkodzą im w uprawianiu seksu. Kiedyś, gdy spotykali się już od paru miesięcy, Ed złamał nogę. Eve, bardzo przejęta, odebrała go z ostrego dyżuru, zamierzając otoczyć czułą opieką i pomóc znieść ból i szok. Nie minęła godzina i kochali się na kanapie.

Spojrzał na nią uważnie.

- Co się stało? Cała aż promieniejesz.

Eve się uśmiechnęła. Ed położył ręce na biodrach żony, wciskając lekko kciuki w jej ciało.

- No, mów. Co tam wymyśliłaś?
- Kupiłam coś na obiad. I szampana.
- Teraz naprawdę zaczynam się bać. Rozbiłaś samochód?
- Przecież nie mamy samochodu, głuptasie.

Eve otworzyła butelkę i nalała szampana sobie oraz mężowi. Stuknęli się kieliszkami.

- Za nas. - Ed rozluźnił krawat. Eve wzięła głęboki oddech. Planowała rozpocząć z odrobiną finezji i najpierw trochę porozmawiać. Zamiast tego po prostu wyrzuciła z siebie jedyne pragnienie, które przepełniało jej myśli. - Chcę, żebyśmy mieli dziecko.

Jeśli Ed był zaskoczony, nie okazał tego.

- Teraz? - W jego głosie dzwięczało niemal rozbawienie.
- Tak, teraz. To wspaniały moment. Popatrzył na nią sceptycznie.
- Dopiero przyjechaliliśmy. Powinniśmy się trochę zadomowić.

– Jesteśmy zadomowieni. Przynajmniej ja. A ty od pierwszej chwili czułeś się tu jak w domu. Może nie zauważyłeś, ale rzeczy są rozpakowane... – Wskazała na śliczne jak z obrazka mieszkanie, myśląc przy tym, że sofa pokryta brązowym zamszem nie była chyba najlepszym pomysłem... Ed powędrował wzrokiem za gestem żony, po czym znów spojrzął na jej twarz. – Przecież nie będziemy mieli dziecka od jutra. Chyba wiesz, że ciąża trwa dziewięć miesięcy. Zresztą nie wiadomo, czy zajdę w nią od razu, możemy długo czekać. Po prostu chcę, żebyśmy zaczęli próbować. Odstawili antykoncepcję. I pieprzyli się jak króliki.

– Ta część mi się podoba – uśmiechnął się pożądlawie i dorzucił poważniejszym tonem: – Skąd ten pomysł?

– Pytasz tak, jakbyśmy nigdy wcześniej o tym nie rozmawiali.

Nagle przypomniała sobie wieczór w ogrodzie, gdy po raz pierwszy powiedział jej o Nowym Jorku. Odbyli wtedy podobną rozmowę.

– Nie chciałem, aby to tak zabrzmiało. Wiem, że rozmawialiśmy. I że oboje tego pragniemy. Po prostu ciekaw jestem, dlaczego chcesz mieć dziecko właśnie teraz.

– Nie pracuję. Tobie wszystko dobrze się układa... mieszkamy tutaj.

– I czujesz się trochę samotna. Wiem, Evie. Po prostu nie jestem pewien, czy to dobry moment. Nie będziesz potrzebowała pomocy?

– Ty mi pomożesz. Nie chcę dziecka dlatego, że nie mam tu przyjaciół. Nie myślę niemowlęcia ze szczeniakiem. Ale skoro już o tym mowa, owszem, jestem samotna. Jakżeby inaczej? Zbudowanie nowego życia wymaga czasu. Daję słowo, że nie jestem nieszczęśliwa. Samotność nie jest nieszczęściem. Kocham nasze mieszkanie, Nowy Jork i ciebie. A dziecko chcę urodzić dla nas obojga. Założyć rodzinę, o której zawsze rozmawialiśmy. To prawda, liczę, że dzięki temu łatwiej się tu odnajdę. Będziemy spotykać się z ludźmi, którzy mają małe dzieci. Szkoła rodzenia, te sprawy. Przedszkole, podstawówka. Cath, odkąd ma dzieci, poznała zupełnie nowych ludzi i spędza z nimi cały czas.

– I tego właśnie chcesz?

– Oczywiście. Dobrze to przemyślałam.

Będiesz częściej bywał w domu. Razem będziemy znaczyć dla ciebie więcej, pomyślała, ale nie powiedziała tego głośno.

Ed pociągnął duży łyk szampana i odstawił kieliszek na stół. Trudno było zgadnąć, o czym myśli. Eve czekała.

– A ty, nie chcesz mieć dziecka?

– Dopiero się przeprowadziliśmy. – Potarł dłonią czoło. – Próbuję wyczuć, na czym stoję. Ale oczywiście kiedyś... tak.

Eve wiedziała, że ma nadąsaną minę.

– Naprawdę ci na tym zależy?

Zarzuciła mu ręce na szyję i zaczęła całować po policzkach, ustach, nosie.

– Tak, tak, tak!

Scena jak z opery mydlanej. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz o coś Eda prosiła.

– No, dobrze. Spróbujemy. Odsunęła się i zadrżała mu w twarz.

– Mówisz serio?

– Przecież to potrwa przynajmniej dziewięć miesięcy. Będę miał dość czasu, by się przyzwyczać. Tak. Mówię serio.

– Kocham cię. – Tym razem pocałowała go naprawdę.

– Ja ciebie też. – Ed potrząsnął głową i wychylił kieliszek do dna. – Zaczynamy dzisiaj?

– O, tak. Od razu...

Czuła się jak przed wieloma laty, podczas ich pierwszej wspólnej nocy. Dużo rzeczy wydarzyło się wtedy dla Eve po raz pierwszy. Pierwszy raz spała z Edem. Pierwszy raz to nie ona wyznała miłość. Pierwszy raz kochała się z facetem zupełnie trzeźwym i przy zapalonych światłach – w sposób zamierzony, świadomie i z premedytacją. Wiedziała. Wiedziała niemal od razu, od spotkania w pubie. To był on. Przez parę miesięcy czekała, by się przekonać, czy jej pewność nie okaże się złudzeniem. Lecz nie. Istniał naprawdę. A dzięki temu, że zdecydowała się poczekać, wszystko było dużo piękniejsze, niż sobie wymarzyła.

Dziś wieczorem także robili coś w sposób zamierzony. Coś cudownego. W oczekiwaniu, aż Ed wyjdzie z łazienki, przysiadła po turecku na skraju łóżka. Pojawił się w biało-niebieskich pasiastych spodniach od pizamy, zawiązanych nisko na biodrach. Spojrzała na jego tors, brązowy po weekendach w parku i muskułarny od poranków w siłowni i prawie straciła dech. Ten dobrze jej znany mężczyzna dzisiaj wydawał się inny. Ed zatrzymał się w drzwiach i spojrzał na nią.

– Dzieciak z ciebie. Denerwujesz się?

– Trochę.

– Dlaczego, głuptasie? Trzeba to zrobić w jakiś inny sposób? Czyżby w pozycji, której jeszcze nie próbowaliśmy?

– Nie o to chodzi. W pozycjach, których nie próbowaliśmy, nie można zajść w ciążę, ty świntuchu. Nie śmieję się ze mnie.

– Wcale się nie śmieję. Przysięgam. Jesteś słodka.

– Chciałam być seksowna.

– Jesteś słodka i seksowna. – Eve pomyślała o światowych kobietach, które Ed spotyka w pracy. Miała nadzieję, że słodycz wciąż na niego działa.

– Po prostu to poważna sprawa.

– Wiem. – Położył jej dłoń na policzku i wsunął palce we włosy. – Pamiętasz, że pewnie nie uda się za pierwszym razem?

– Jasne. Nie jestem głupia. To może trwać miesiącami. Ale może także zdarzyć się tej nocy.

Policzyła w myślach, zastanawiając się, jaki wpływ na podjęcie decyzji miały hormony i co oznaczał nagły przyływ pewności odczuwany w gabinecie lekarki. Dziwne, ale chyba właśnie teraz był właściwy moment. Dzisiaj. A więc mogła zajść w ciążę tej nocy. Postanowiła nic nie mówić Edowi. I tak wystarczająco się z niej nabijał. Poza tym zgodził się pewnie tylko dlatego, że myślał, iż to potrwa dłużej. Choć otwarcie się do tego nie przyznał.

– W takim razie lepiej zrobimy wszystko jak należy. Tak jak trzeba.

Seks z Edem zawsze był taki jak trzeba. Eve, zwykle u fryzjera, czytywała artykuły o roli świeżości w małżeńskim życiu seksualnym oraz o parach, które padają w rutynę i nudę. Nigdy tego nie rozumiała. Ed dokładnie wiedział, jak ją pobudzić, potrafił to zrobić, na dziesięć różnych sposobów, które stosował stale, choć w różnej kolejności. Jeśli chciał, mógł doprowadzić sprawę do końca w ciągu pięciu minut, co czasem świetnie się sprawdzało (nazywali to, nie wiadomo czemu, malowaniem według szablonu), a niekiedy było wręcz konieczne (gdy musieli za pół godziny zwolnić pokój w hotelu, groziło im spóźnienie do pracy lub znajomi przychodzili na niedzielny lunch). Ale mógł się z nią także kochać godzinę, a nawet dwie, co było jeszcze lepsze. Ed uwielbiał seks i ją też tego nauczył. Zanim go poznała, ta dziedzina życia była dla niej źródłem zmartwień i lęku. Podejrzewała, że może nie jest najlepszą kochanką. Nie z Edem.

Wiedziała, że mąż posługuje się seksem, by postawić na swoim, wygrać spór lub przynajmniej go rozmydlić, lecz, szczerze mówiąc, cóż z tego, skoro było jej z tym tak dobrze? Sprytny Ed. Gdy się kochali, nie umiała się gniewać, pozostać niezadowolona. W takich chwilach robiłaby dla niego wszystko. Poprosił, by za niego wyszła, tuż po jej orgazmie (co nie znaczy, że bez tego rozważałaby odmowę). Tamtego wieczoru, gdy powiedział jej o Ameryce, także kochał się z nią, by przypieczętować umowę. Tym razem jednak to Eve chciała w łóżku coś załatwić.

Na lekcjach biologii uczyła się, że z fizjologicznego punktu widzenia orgazm jest po to, by rytmiczne skurcze mięśni wprowadziły spermę w głąb pochwy i ułatwiły zapłodnienie. Dziś, leżąc pod Edem i czekając, aż fala skurczów dobiegnie końca, koncentrowała się na nich, zaciskając powieki. Gdy otworzyła oczy, Ed przyglądał jej się z uśmiechem.

– Ciągłe się ze mnie nabijasz?

– Po prostu cieszę się widokiem twojej nowej seksownej miny. – Zmarszczył się w podobny sposób.

– Uch! – Leniwie uderzyła go w ramię.

– Pomogło?

– Nie zmuszaj mnie, żebym zrobiła ci coś złego.

– Już zrobiłaś. Jak myślisz, jak czuje się ktoś wykorzystany właśnie w charakterze byka rozplodowego? Jak zwierzę. To poniżające.

– Jasne.

Na chwilę zapadli w przyjemną drzemkę. Eve oparła głowę na piersi Eda, a on delikatnie gładził jej nagie plecy.

– Dostanę wreszcie kolację? Umieram z głodu. Musisz teraz dbać, żebym nie opadł z sił.

– Dostaniesz. Chcesz zjeść w łóżku?

– Czemu nie? Nie chce mi się ubierać.

Eve narzuciła szlafrok i poszła do kuchni po krewetki, sos i kieliszki, do których wlała resztę szampana. Kiedy wróciła, Ed spał z głową opartą na poduszce, ściskając w rękę pilota. W telewizji leciał baseball. Przekłęta gra. Ed miał zmierzwione włosy, a na twarzy cień popołudniowego zarostu. Widok śpiącego męża, po tym, jak uprawiali seks, zawsze był dla niej nagrodą. Miał straszne problemy z zasypianiem. Boże, tak bardzo go kochała. Postawiła tacę na komodzie, odgarnęła Edowi włosy i delikatnie pocałowała go w czoło.

– Kocham cię.

– Ja też cię kocham, Evie. – Nie otwierając oczu, ułożył usta do pocałunku.

Po raz pierwszy od długiego czasu Eve poczuła, że wszystko się ułoży. Leżąc obok Eda, zapragnęła, by ich „starania” potrwały kilka miesięcy. Są cudowne. To nieprawda, że on nie chce dziecka. Oczywiście, że chce. Ich dziecka. Miała nadzieję, że będą ich mieli dwoje lub troje. Kiedyś. Po prostu wolał jeszcze trochę pocze-kać. Ma masę pracy, lubi ją, ale ma jej tak dużo. Zabiera każdą ofiarowaną godzinę. Ed zajmował się w Nowym Jorku podobnymi sprawami co w Wielkiej Brytanii, tylko na znacznie większą skalę. I ludzie byli inni. Musiał nauczyć się rozumieć, o co im chodzi. Trudna sprawa. W dodatku martwił się o Eve. Był wciąż zmęczony. W przyjemny sposób, ale jednak. Gdy za parę miesięcy Eve zajdzie w ciążę... wszystko się ułoży.

Czerwiec

Jackson

Jackson nie był głupi. Przez całe życie słyszał opinie o swojej inteligencji, co prawda zawsze opatrzone słowami: „ale” lub „gdyby tylko”. Nauczyciele mówili rodzicom, że jest bystrym chłopcem, brak mu jednak umiejętności oceny sytuacji i zastosowania w praktyce zdobytej wiedzy. Według profesorów był zdolny, ale leniwy. Zdaniem ojca, „nie tyle mądry, ile przemądrzały”. Matka zaś utrzymywała, że ma głowę nie od parady, szkoda tylko, że nie robi z niej użytku.

Był wystarczająco inteligentny, by jakoś sobie radzić. Przejść przez szkołę średnią. Dostać się na Uniwersytet Duke'a (choć gdyby miał inne nazwisko, nic by z tego nie wyszło). Skończyć studia.

Problem w tym, że niewiele go interesowało. Miewał za to obsesje. We wczesnym dzieciństwie były to traktory firmy John Deere. Potrafił wymienić numery wszystkich modeli. W wieku dwunastu lat – wojna secesyjna, którą zainteresował się podczas wycieczki do Gettysburga. Znał na pamięć liczbę ofiar, plany bitew, fragmenty przemówień Abrahama Lincolna. Kiedyś, przez cały rok, we wszystkie wieczory i weekendy, składał pontiaka firebird, rocznik 1978. Po ukończeniu i przejażdżce ulicami przestał się nim interesować.

Teraz dostał obsesji na punkcie Emily Mikanowski. Chciał ją poznać. Zrozumieć. Pragnął, by niezwykle błękitne oczy odpowiedziały mu spojrzeniem, by jej usta się do niego uśmiechnęły.

A ona chyba nawet nie wiedziała o jego istnieniu.

Raoul, Jesus i Che pomogli Jacksonowi zdobyć informacje na temat pięknej nieznajomej. Zwłaszcza cudownie niedyskretny Raoul. Jackson zawsze wiedział, że nauka hiszpańskiego kiedyś mu się przyda. Mówił średnio, ale lepiej niż oni po angielsku. Poza tym sam fakt podjęcia wysiłku sprawiał, że chętniej wchodzili z nim w konszachty. Co w połączeniu z hojnymi świątecznymi napiwkami oraz, od czasu do czasu, sześcioma butelkami piwa...

Słyszał, że Emily pracuje w NBC i pochodzi z Oregonu. Nazwisko świadczyło o polskich korzeniach. Wiedział, że działa w nowym Komitecie Ogrodniczym. Że spotyka się z Charlotte Murphy, szarą myszką z drugiego piętra, która z kolei trzymała z Madison Cavanagh – do czasu wprowadzenia się Emily najładniejszą dziewczyną w kamienicy, choć niezupełnie w typie Jacksona. Że każdego ranka od 7:30 do 8:00 biega, a w weekendy jeździ na rowerze, profesjonalnym modelu, którego nie przechowuje w schowku. Wiedział, bo to sprawdził. Gospodarz domu traktował porządek w schowku jak operację militarną. Wszyscy musieli oznakować ro-

wery lub ponieść konsekwencje (jakie – nie wiadomo, ale nikt nie chciał zadzierać z panem Gonzalesem, specem od zapchanych toalet. Opłacało się mieć go po swojej stronie). Jeden rower na osobę. Bez wyjątków. Roweru z nalepką „Emily Mikowski” nie było.

Jackson nie miał żadnych znajomości w NBC. Oglądał ich programy, to wszystko. Nigdy nie był w Oregonie. Prędzej by umarł, niż zaangażował się w jakieś prace ogrodnicze, a poza tym nie miał zaufania do Violet Wallace, która wyglądem i zachowaniem przypominała mu dyrektorkę szkoły średniej. Charlotte Murphy, spotkana na korytarzu, patrzyła na Jacksona wzrokiem przerażonego królika. Madison Cavanagh też zresztą przypominała króliczka, choć na przerażoną nie wyglądała.

Pozostawał sport. Niestety, nie przepadał za nim. Ostatni raz zdarzyło mu się biec – do autobusu – za czasów rządów Clintona. Parę razy próbował joggingu w porze, gdy nie istniało niebezpieczeństwo spotkania z Emily. Kilka ćwiczeń rozciągających wyszło świetnie. Problemy się zaczęły, gdy ruszył przed siebie. Pierwszego dnia stracił oddech już na rogu. Drugiego, po trzystu metrach, zymiotował do kosza na śmieci w parku. Nawet muzyka zespołów Good Charlotte i Blink-182 grzmiąca w słuchawkach iPoda nie mogła zmusić go do dalszego biegu. Po dwóch tygodniach, podczas których nie wypalił nawet jednego papierosa, przebiegł milę bez zatrzymywania się. Nie był jednak w stanie przy tym ani rozmawiać, ani atrakcyjnie wyglądać. Podejrzywał też, że Emily, poruszająca się z dwukrotnie większą prędkością, z łatwością go prześcignie. Wszystko wskazywało na to, że nie tędy droga, bez względu na to, jak miły byłby widok znikającego w dali jej rozkołysanego końskiego ogona. Pozostawał rower.

Violet

Eve i Violet jadły lunch w kawiarni w New Jersey. Przyjechały tu starym buickiem Violet, słuchając w drodze piosenek Joan Baez, by obejrzeć meble ogrodowe w dużej hurtowni niedaleko Elizabeth. Parę dni wcześniej Violet nazwała to przez telefon „udaniem się na rekonesans”. Eve cieszyła się, że wybrano ją na towarzyszkę wyjazdu za miasto. Czuła się trochę jak przed pierwszą randką. Była zafascynowana Violet niczym uczennica. Stara Angielka została jej pierwszą prawdziwą przyjaciółką w Nowym Jorku. Ostatecznie Koreanka w salonie manicure'u i wysoki czarny facet w Starbucks, który codziennie rano wręczał Eve kawę bez kofeiny z odtłuszczonym mlekiem, się nie liczyli. Przyjaciołom nie daje się napiwków.

Eve nie wyjeżdżała dotąd z Nowego Jorku przez tunel Lincolna. Był dla niej tylko wiecznie zakorkowanym miejscem wspominanym w telewizyjnych wiadomo-

ściach. Wraz z Edem przylecieli i odlecieli z lotniska JFK, położonego na peryferiach dzielnicy Queens. W zeszłym roku, gdy przybyła do Stanów, pierwszymi osobami, które ujrzała po opuszczeniu lotniska, była grupa dzieciaków grających w krykieta na kawałku trawy między autostradą a obitymi sidingiem domami. Ten widok dziwnie dodał jej otuchy. Niedługo potem, podczas weekendu, wybrali się na przejażdżkę łódką o nazwie Bestia odpływającą z przystani dla wycieczek wokół Manhattanu. Ed powiedział, że nie wytrzyma pełnej trzygodzinnej trasy. Chciał tylko zobaczyć z bliska Statuę Wolności (i wspiać się na jej koronę, co po 11 września zostało zakazane). Kupili więc bilety na motorówkę z wymalowanymi na dziobie zębami i płomieniami, która stawiała sobie właśnie taki cel – przy wtórze wieśniackiego rock and rolla gnała jak rakietą ku Liberty Island, zatrzymywała się tam na chwilę konieczną dla zrobienia zdjęć i wracała, starając się ochlapać pasażerów wodą tak bardzo, jak to tylko możliwe. Było wspaniale – zabawnie i wesoło. Przepływali nad tunelem Lincolna, a kapitan łódki, Crazy Horse, powiedział, że jeśli uważnie popatrzą w wodę, dojrzą jego dach. Eve była jedyną osobą, która spojrzała, a Crazy Horse szydził i wyśmiewał się z niej.

Przejazd przez tunel, w odróżnieniu od przepłynięcia nad nim, nie był ani zabawny, ani wesoły. Stały w korku kierowane komendami policjantów prawie przez godzinę. Jechały tak długo i powoli, że Eve ogarnęło wręcz uczucie klaustrofobii. New Jersey, a przynajmniej jego część po drugiej stronie tunelu, okazało się szarym rejonem przemysłowym. Violet powiedziała, że na wybrzeżu jest bardzo pięknie, a dalej, w głębi lądu okolice są żyzne i zielone. Mówiła tonem osoby znajdującej się na rzeczy. Eve ciekawiło jej życie, lecz na pytania było jeszcze za wcześnie. Violet wydawała się trochę zamknięta w sobie. Nie była chłodna, choć Eve miała nieodparte wrażenie, że traktuje ją cieplej niż innych mieszkańców kamienicy. Przywodziła na myśl powiedzenie o „cichej wodzie”. Może to sprawa wieku – innego pokolenia. Epoki rezerwy i chłodu.

Ta część New Jersey nie była ani żyzna, ani zielona. Eve przypuszczała, że dzięki niej Nowy Jork może funkcjonować, ale było coś przygnębiającego w przemysłowych nieużytkach ciągnących się całymi kilometrami. Jednak hurtownia okazała się warta wyprawy. Oferowała towary w różnych stylach, z rozmaitych materiałów i w takiej ilości, że nawet po godzinnej wędrówce wszystkiego nie obejrzały. Podobały im się meble z drzewa tekowego, ale nie mogły się zgodzić, czy pozwolić im z czasem wyszarzyć na dworze (Violet) czy też olejować je dla zachowania pierwotnego koloru miodu (Eve). Poza tym były bardzo drogie. Czarne kute żelazo odpadało, zbyt mocno nagrzewałoby się na słońcu. W grę wchodziły jeszcze wiklina lub plastik. Niezniszczalny, łatwy do umycia i dosyć tani. Zanotowały parę szczegółów do rozważenia na zebraniu komitetu, spisały ceny, a Eve zrobiła zdjęcia telefonem, żałując, że zapomniała zabrać aparatu. Rozglądały się za staro-

świeckimi fotelami o siedzeniach z pasiastego płótna, w rodzaju tych, które wynajmuje się na plażach Bournemouth lub Weymouth, ale nie mogły ich znaleźć.

Zmęczone oglądaniem usiadły w kawiarni i zamówiły panini z herbatą. Eve zawsze piła herbatę w towarzystwie Violet, która nie znosiła kawy oraz całej kawowej kultury Nowego Jorku. Twierdziła, że nie rozumie, dlaczego ludzie nie potrafią przejść stu metrów bez wielkiego papierowego kubka z gorącym mlekiem o smaku kawy, zupełnie jakby miasto pełne było dużych dzieci uspokajanych przez produkty mleczne. Eve, jadąc z kubkiem kawy ze Starbucks do mieszkania, zawsze czuła się tak, jakby przemycała alkohol, i miała nadzieję, że w drzwiach windy nie pojawi się nagle Violet. Zresztą herbata była naprawdę smaczna. Violet udzielała kelnerce instrukcji na temat temperatury wody, rodzaju torebek, mleka i cukru, niczym Meg Ryan przy zamawianiu kanapek w *Kiedy Harry poznał Sally*. Wolała porcelanową filiżankę od grubego kubka. To marudzenie, z którego podśmiewała się Eve, szybko stało się częścią ich wspólnego rytuału, w którym czuły się dobrze.

Plotkowały trochę na temat komitetu. Violet chyba wszystkich znała i wszystko o nich wiedziała. Eve zastanawiała się, jak to możliwe – zadawała tak mało pytań. Bardzo lubiła Todda i Grega (kochają się, jak każde normalne małżeństwo – dałby Bóg, żeby wreszcie zalegalizowali ich związki w Nowym Jorku i biedaki nie musiały jeździć do Massachusetts, żeby wziąć ślub), Marię Piscatella i przerażająco elegancką Rachael Schulman.

Opowiedziała Eve trochę o historii kamienicy. Arthur Alexander spod 3D był synem dawnego właściciela. Eve znała go z widzenia – starszy, niechlujny mężczyzna w windzie nie patrzył jej w oczy, a od czasu do czasu zalatywał tanim winem.

– Masz szczęście, że w ogóle wsiada z tobą do windy – stwierdziła Violet. – Jeśli widzi w środku Todda albo Grega lub, co gorsza, Todda i Grega, w ogóle nie wchodzi. Chyba się boi, że go zarażą i wysiądzie na trzecim piętrze jako gej. Głupi stary cap.

Podobno ojciec Arthura w latach sześćdziesiątych sprzedał budynek kancelarii prawniczym i bankowi, które przekształciły go w co-op, a zarobione pieniądze stracił w nieudanych inwestycjach w Atlantic City. Zostało tylko zajmowane teraz przez Arthura dwupokojowe mieszkanie na trzecim piętrze.

– Nie wiem, czemu oczekiwał, że ojciec zarobi także na niego – prychnęła Violet. – Mnie nikt nie zostawił fortuny ulokowanej w nieruchomościach.

Wyznała, że trudno jej polubić Kimberley Kramer.

– Jest taka spięta. Nigdy się nie uśmiecha, przynajmniej oczami, a jeśli czegoś nie lubię, to uśmiechu, który nie odbija się w oczach. Mruży powieki i narzeka. A to dziecko... Kim kręci bicz na samą siebie. We wszystkim jej ustępuje. Avery rządzi w domu i dobrze o tym wie. Proszę się o kłopoty, zapamiętaj moje słowa.

– Czy miałaś, czy masz... – Eve nie wiedziała, jak sformułować pytanie. W mieszkaniu Violet nie widziała zdjęć żadnych dzieci, a ona sama nigdy o nich nie wspominała. Uświadomiła sobie, że nie ma pojęcia, czy jej przyjaciółka ma dzieci. A to było dla niej ważne.

– Dzieci? Nie. – Przez moment na twarzy Violet pojawił się wyraz rezerwy i Eve zaniepokoiła się, czy nie naruszyła jakichś granic. Po chwili starsza pani podjęła przerwany wątek: znów mówiła o Avery Kramer i jej słynnych atakach złości. Che twierdził, że raz w hallu kopnęła matkę, gdy ta nie chciała jej podnieść do skrzynki na listy. Według Violet publiczne kopanie matki zajmowało jedno z pierwszych miejsc na liście rzeczy, których się nie robi.

– Ja bym chciała mieć dzieci. Prawdę mówiąc, Ed i ja właśnie staramy się o dziecko – powiedziała Eve nieśmiało. Pewnie właśnie w ten sposób Violet dowiadywała się wszystkiego. Ludzie chcieli jej się zwierzać. W dziwny sposób pragnęli jej aprobaty. – Zawsze o tym rozmawialiśmy i wydaje mi się, że nadszedł właściwy moment. Nie pracuję, mieszkamy tylko we dwoje... Byłoby cudownie stać się rodziną.

– To wspaniale, kochanie. – Violet uśmiechnęła się do niej łagodnie. – Mam nadzieję, że nie będziecie musieli długo czekać. Zapowiadasz się na bardzo miłą mamę. – Położyła dłoń na rękę Eve i przez chwilę siedziały w milczeniu, podczas gdy niosące cudowną pewność zdanie zawisło w powietrzu w zapachu cedru i roztopionego sera.

Minęły dwa tygodnie od czasu, gdy Eve uwiodła Eda za pomocą szampana, krewetek i gorącego pragnienia, by zapłodnił ją swym nasieniem. W sobotni rano wyszła z łazienki nago, zbyt rozgrzana gorącym prysznicem, by włożyć szlafrok. Ed poprzedniego wieczoru wybrał się na mecz baseballu z kolegami z nowej pracy (zastąpili oni całkowicie kolegów z pracy starej) i wypił trochę piwa, dlatego leżał jeszcze w łóżku, co było do niego niepodobne.

Popatrzył na nią. Nie pożądliwie, lecz z zaciekawieniem.

– Wyglądasz inaczej.

– Dlaczego? Nic się nie zmieniło.

– Inaczej.

– To dość niejasne. I niezbyt pochlebne.

– Nie mogę wyrazić się jaśniej. Po prostu wyglądasz inaczej. – Przekrzywił głowę, opierając się na poduszce. – Miałaś już okres? Choć od kilku lat byli małżeństwem, Eve wciąż wolała nie rozmawiać z Edem na te tematy. Może to skutki chodzenia do katolickiej szkoły? Na sprawy fizjologii najchętniej spuściłaby zasłonnę milczenia.

– Nie.

- Więc się spóźnia?
- Tylko dzień czy dwa. – Eve włożyła majtki, ogarnięta nagłym wstydem. Nie miała nic przeciwko temu, by patrzył na nią pożądliwie, ale taka chłodna ocena była denerwująca.
- Powinnaś zrobić test.
- Myślałam o tym. Ale chyba jeszcze za wcześnie.
- Jesteś pewna?
- Nie wiem. Nie robiłam testów od tamtego razu. Wtedy sprawdzało się dopiero po kilku tygodniach.
- To było lata temu. Założę się, że wszystko się zmieniło. Teraz pewnie dowiadujesz się o wszystkim pięć minut po bzykaniu.

Wykrzywiła się do niego.

- Nie chcę wpadać w obsesję.
- Idę po test! – Ed wyskoczył z łóżka. – Mam przeczucie.
- Zwariowałeś – roześmiała się Eve.
- Może. Zresztą i tak chcę kupić kawę i gazetę. Zaraz wracam. – Włożył krótkie spodnie, wczorajszą koszulkę, przyglądził ręką włosy, a na pożegnanie pocałował Eve w policzek i klepnął w tyłek.

Gdy wyszedł, Eve przejrzała się w lustrze, czego na ogół starannie unikała. Stwierdzenie, że wygląda inaczej, sprawiło, iż dostrzegła szczegóły, na które przedtem nie zwróciła uwagi. Dziwną miękkość. Obejrzała się z boku i wypięła brzuch. Spojrzała na nabrzmiałe piersi o pociemniałych sutkach. Gestem ciężarnych kobiet złączyła ręce pod nieistniejącą wypukłością i zastanowiła się, jak będzie wyglądała. Czy tak jak Cath, czyli Moby Dick, według jej własnego określenia. A może jak mama? Widziała zdjęcia matki w ciąży z Cath i trochę późniejsze, z nią samą. Szczupła, drobna, w minisukienkach, z rękami i nogami normalnej grubości oraz tylko jednym podbródkiem. A może będzie podobna do Sheili, najlepszej przyjaciółki Cath? Siostra mówiła, że jeśli chciała kiedyś kogoś zabić, to Sheilę, snującą niekończące się opowieści o tym, jak mało przytyła w ciąży, podczas gdy Cath leżała ospała na kanapie, skarżąc się na otarcia ud i wielkość piersi. „Byłam podobna do Posh Spice – oznajmiła Sheila. – Ty bardziej przypominasz Fergie”. Chodziło o księżną Yorku, a nie wokalistkę Black Eyed Peas. Cath wzniosła tylko oczy do nieba. Eve, choć lojalna wobec starszej siostry, miała nadzieję, że wda się w matkę. Lecz obracając się przed lustrem i oglądając uda oraz talię, musiała przyznać, że czarna lycra od stóp do głów, tak modna w poczekalni doktor Jones, chyba do niej nie pasuje.

Miło było znaleźć się znowu w centrum uwagi Eda. Ostatnimi czasy rzadko się to zdarzało. W ciągu ubiegłych dwóch tygodni bardzo często „próbowali” (mężczyźni to naprawdę stworzenia dążące do wyznaczonego celu), lecz jeśli chodzi o

późne powroty i wczesne wstawanie, nic się nie zmieniło. Gdy się nie kochali, nie poświęcał jej zbyt wiele czasu. Wczoraj Eve, jak zwykle, zrobiła sobie manicure i pedicure w salonie za rogiem i dla kaprysu zapłaciła dodatkowe 15 dolarów za dziesięciominutowy masaż. Klęczała okrakiem na fotelu, a masażysta oklepywał jej plecy, szyję i ramiona. Gdy wygładzał kciukami spięte mięśnie ramion, wydało jej się to czynnością tak intymną, że poczuła się prawie nieswojo. Dotyk był intensywny i całkowicie na niej skoncentrowany. Eve wiedziała, że samotność odczuwa się także fizycznie. W dawnym życiu bliscy często ją dotykali. Teraz nie robił tego nikt prócz Eda. Wtedy, w centrum ogrodniczym, dotknięcie ręki Violet przyniosło jej pociechę, bo było czymś wyjątkowym.

Ed w końcu wrócił, niosąc kawę na szarej tekturowej tacce oraz torbę z apteki. Wysypał z niej na łóżko cztery testy.

– Nie wiedziałem, który wybrać. Są strasznie drogie. Wziąłem po jednym z każdego rodzaju.

Przeczytali objaśnienia na pudełkach i Eve wybrała test obiecujący najdokładniejsze wyniki w najwcześniejszym terminie. Reszta na pewno przyda im się później. Nie tak łatwo zachodzi się w ciążę. To może trwać miesiącami. Ani na chwilę nie dopuszczała do siebie myśli, że w ogóle się nie zdarzy. Nie im. Wykluczone.

– Naprawdę sprawdzamy?

– Jasne. I tak się nad tym zastanawiamy.

– Nie chce mi się siku.

– Wypij to. – Podał żonie latte, a potem usiadł, przyglądając się jej z uśmiechem.

– Wyglądasz jak kot, który dostał cappuccino. Zdecydowała, że może jednak pójdzie do łazienki.

– Idziesz ze mną?

– Nie, dziękuję. Tę przyjemność sobie odpuszczę. I tak, gdy przyjdzie pora, spędzę na dolnym odcinku wystarczająco dużo czasu.

– Nie, jeśli to będzie ode mnie zależało – odkrzyknęła z łazienki. – Mam nadzieję, że gdy zaczną rodzić, zorganizują wam telekonferencję i zawiadomię cię już po wszystkim.

– Nie chcesz, żebym cię trzymał za rękę?

– Myślisz, że na coś się przydasz?

– Może górnej połowie.

Eve weszła do sypialni, wymachując kawałkiem plastiku.

– Uważaj, z łaski swojej. – Ed zasłonił twarz.

– Nie bądź taki delikatny. Masz sekundnik na zegarku?

Usiedli i patrzyli – na test oraz wskazówkę sekundnika – trącając się łokciami jak dzieci. Eve chciało się śmiać i wirowało jej w głowie. Różowa linia pojawiła się i różowiała coraz bardziej, nie pozostawiając żadnych wątpliwości.

Nie mogła uwierzyć. To nieprawda. Od razu? W pierwszym miesiącu? Takie rzeczy spotykają tylko uwiedzione przez dziedzica bohaterki powieści Catherine Cookson lub głupie dziewczęta na szkolnych zabawach. Nie zdarzają się rozsądnym, zrównoważonym dorosłym w prawdziwym życiu. Postanawiasz mieć dziecko, kochasz się i zachodzisz w ciążę. Ot tak. Zalewało ją uczucie zachwyty i zdumienia, a jednocześnie ogarniał strach. Czuła, jak zaciska mięśnie, jakby tylko w ten sposób ciąża mogła się utrzymać.

Popatrzyła na Eda, delektując się wyrazem jego twarzy. W oczach męża także odbijało się zdumienie i radość, ale nie było strachu. Uczepiła się prostoty jego reakcji, odpychając negatywne uczucia...

– O Boże. Udało się!

Podskoczył, porwał ją na ręce i okręcił w kółko.

– Będziemy mieli dziecko.

– Będziemy mieli dziecko.

Chyba dobrze udało mi się ukryć panikę, pomyślał Ed, biorąc Eve w objęcia. Zostało jeszcze parę miesięcy. Sukces przy pierwszej próbie. Normalnie byłby z siebie dumny, teraz trochę go mdliło. Duże ryzyko. Miał nadzieję, że podjęcie go się opłaci i żona będzie tak szczęśliwa, jak obiecywała.

Trudno było mu przywyknąć do nowej, wymagającej Eve. Zdumiewała go. I, mówiąc szczerze, trochę irytowała. Wszystko układało się tak wspaniale. Dlaczego nie mogła odrobinę bardziej się postarać? Na przykład tamto spotkanie w restauracji. To byli mili ludzie. Miły wieczór. Atak żony w drodze do domu bardzo go zaskoczył. Nie dała im żadnej szansy – oceniła bardzo surowo i tylko na podstawie wyglądu. Przecież nigdy taka nie była. Ed uwielbiał swoją pracę. Chętnie zostawał w niej dłużej – zawsze było coś do zrobienia, a poza tym pragnął zwrócić na siebie uwagę właściwych ludzi – pokazać, że zasłużył na awans. A Eve dzwoniła czasem już o wpół do piątej lub o piątej, pytając, kiedy przyjdzie, czy chce zjeść obiad w domu, czy na mieście. To odbijało się na wynikach pracy, zaczynał patrzeć na zegarek, czuł presję, że powinien wracać do żony.

Teraz, gdy Eve tuliła się do niego, modlił się w myślach, by dzięki ciąży znów stała się niezależna. A nie pełna jeszcze większych oczekiwań.

Kim

Avery spała. Leżała na plecach, z rozrzuconymi rączkami i nóżkami, z jedną dłonią zaplątaną w lokach. Było gorąco i skopała prześcieradło. W takich chwila-

lach Kim czasem siadywała przy niej. Bujany fotel, który kupiła, gdy zaszła w ciążę, stał obok łóżeczka. Kołysała się w nim i patrzyła.

Avery była jej nagrodą. Nigdy w życiu niczego tak bardzo nie pragnęła ani nie pracowała tak ciężko, by to dostać.

Nie miała pojęcia, jak by było, gdyby zaszła w ciążę ot tak, po prostu. Łatwo, szybko, bez interwencji lekarzy. Pewnie zachowywałyby się zupełnie inaczej. Ale Avery była wyjątkowa.

Sztuczne zapłodnienie okazało się paskudnym przeżyciem. Badania, testy, zastrzyki, miesiące przyjmowania hormonów, po których czuła się inną osobą. Poczucie niższości, huśtawka nadziei i rozczarowań. Kim ceniła swoją prywatność – nienawidziła inwazyjnych badań, rozmów z obcymi na osobiste tematy. Nigdy się do tego nie przyzwyczaiła i wciąż czuła zażenowanie. Każdy dzień był trudny. Nie umiałyby przejść przez to jeszcze raz. Nie rozumiała, jak inne kobiety to robią. Kiedy ultrasonograf wychwycił bicie serca, dowód, że wewnątrz niej coś się przyjęło, coś rośnie, modliła się o jeszcze jedno serce. W Nowym Jorku było mnóstwo bliźniaków z in vitro – nie dawało się przejść Park Avenue, by nie natknąć się na podwójny wózek. Dzieci na zamówienie. Kim wiedziała, że wraz z nią w poczekalni u ginekologa siedziały kobiety, które wcale nie potrzebowały sztucznego zapłodnienia – wybierały je, by mieć całkowitą kontrolę nad ciałem i czasem poczęcia. Chciały tylko raz zajść w ciążę, raz wziąć urlop macierzyński i odzyskać dawną figurę. Kim myślała o nich z niechęcią. Jak śmiały? Ona na nic nie miała wpływu – mogła tylko zrezygnować. Ale nie potrafiła. Co stałoby się z jej życiem? Z małżeństwem? Pragnęła, by lekarze powiedzieli, że spodziewa się bliźniąt. Wtedy nie musiałaby już nigdy więcej podejmować decyzji o sztucznym zapłodnieniu.

Ale dziecko było tylko jedno. Avery. I ona musiała wystarczyć. Tamtego wieczoru poczucie winy z powodu własnej niewdzięczności przeszło Kim jak nóż.

Teraz, skoro biło już serce, wszystko miało ułożyć się lepiej, sądziła, że dołączy do „normalnych” kobiet w ciąży, które zaszły w nią od razu i bez kłopotów. Ale nie potrafiła. Nie mogła się odprężyć, uwierzyć, że będzie dobrze. Wiedziała, że zachowuje się nieznośnie. Wszystko ją przerażało, cały świat stanowił potencjalne zagrożenie dla dziecka. Miała paranoję na punkcie jedzenia, obcych ludzi, środków transportu, telefonów komórkowych i mycia warzyw na sałatkę. Wiedziała, że marudzeniem w restauracjach doprowadza Jasona do szału. Gdy lekarze kazali jej na pół roku położyć się do łóżka, razem z mężem odetchnęli z ulgą. Na przemian spała i czytała. Całego Henry'ego Jamesa, F. Scotta Fitzgeralda, Edith Wharton. Zanurzała się w książkowe światy, próbując stłumić uczucie paniki. Godzinami pisała dziennik przeznaczony w przyszłości dla Avery, ale z kartek zamiast radosnego oczekiwania bił niepokój i lęk. Nie wiedziała, czy kiedykolwiek odważy się pokazać go córce. Zmieniła więc reguły gry. Cóż z tego, że podczas ciąży nie może się uspokoić? Nie ona jedna. Uspokoi się, gdy dziecko bezpiecznie i

zdrowo przyjdzie wreszcie na świat. Wtedy Kim dołączy do grona „normalnych matek”. Ludzie zobaczą, jak z dzieckiem w wózku robi zakupy, spaceruje, ogląda małe żółwie w stawie w Central Parku. Nie domyśla się, nie rozpoznają, co dzieło się przedtem.

Avery na życzenie swej matki urodziła się przez cesarskie cięcie. Według lekarzy Kim mogła rodzić siłami natury, ale było to dla niej zbyt niestabilne – zakładało zbyt duży margines błędu. Ironia losu. Ona, która przez cały rok nie znosiła wszelkich ingerencji medycznych, teraz chciała, aby poród był tak medyczny, jak to tylko możliwe. Zielone prześcieradła działały uspokajająco, a spokojny, śpiewny głos pielęgniarek kołysał do snu. Dla Jasona cała sytuacja była trudna. Wiedziała, że czuje się zepchnięty na margines. Mógł tylko siedzieć na stoiku u wezłowania żony i gapić się na prowizoryczną zieloną kurtynę zawieszoną nad jej brzuchem. Kim nie była w stanie ani o nim myśleć, ani spojrzeć, by sprawdzić, jak się czuje. Zbyt koncentrowała się na tym, co się z nią dzieło. Koniec i zarazem początek. Czy bywają jeszcze w życiu takie chwile?

Dwa lata później wciąż była skupiona na sobie i na dziecku. Wciąż nie potrafiła zmierzyć się z uczuciami Jasona, patrzeć na niego czy o nim myśleć. Wiedziała, co się dzieje, ale nie umiała tego zmienić. Żona i matka. Dlaczego tak trudno spełniać obydwie role? Przeczytała tyle książek. Jason śmiał się kiedyś z poradników żony, których sterta zalegała w mieszkaniu. Potem patrzył na nie z nadzieją. Teraz nie robił nawet tego. Książki zawiodły tak samo jak ona męża. Nie dawały odpowiedzi, a wiedza o wspólnocie doświadczeń nie pocieszała na długo. Propozowane rozwiązania nie działały. Kim wiedziała, że mężczyźni mają problem, by znów zobaczyć kobietę w żonie rodzącej, a potem karmiącej dziecko. Że nowe matki martwią się zmienioną figurą, obniżeniem popędu seksualnego, zmęczeniem. Jednak w jej przypadku chodziło o coś innego.

Kim pragnęła, aby wszystko zostało po staremu. Kobiety, o których czytała w poradnikach, chciały się zmienić.

Jackson

Gdyby kondycję fizyczną można było dostać za pieniądze, Jackson byłby już w szczytowej formie. Rower kosztował więcej niż pontiak firebird, którego kupił w wieku siedemnastu lat. A tamten przynajmniej miał silnik. I wygodny fotel. Siodelko roweru było tak diabelnie niewygodne, że musiał nabyć kombinezon z lycry jak dla uczestnika Tour de France, z wszytą na siedzeniu wkładką, przez którą czuł się jak John Wayne lub gigantyczny niemowlak. Za to nogi w tym stroju wyglądały dziwnie cienko. Kombinezony były białe, czarne albo w jaskrawych kolo-

rach. Wybrał czarny, bo w białym przypominał olbrzymi plemnik. Jackson bał się, że nowy strój jest jak czek bez pokrycia. Facet w sklepie podsumowywał wszystko słowami: „Zajebiste, chłopie”. Cóż, właśnie zarobił na miesięczny czynsz. Niestety, nie wyjaśnił swemu klientowi, że stare powiedzonko, jakoby nikt nie zapominał jazdy na rowerze, nie odpowiada prawdzie. To, co Jackson robił teraz, zupełnie takiej jazdy nie przypominało. A miał rowery. Przez całe życie. Czerwony trójkołowy z wielkim dzwonkiem. Chopper. BMX. Ten był zupełnie inny.

Pierwszy raz przewrócił się sto metrów od sklepu. Dwoje dzieci na chodniku wybuchnęło głośnym śmiechem. Musiał wyglądać jak idiota. Okazało się, że stopy ma zatrzaśnięte w pedałach i jeśli nie gna na złamanie karku, pojazd niebezpiecznie się chwieje, a rowerzysta spada na ziemię. Tym razem otarł tylko skórę na łokciach. Po trzecim upadku krwawiły mu wszystkie kończyny i był prawie pewny, że zdarł sobie naskórek z lewego boku. Śmiały się z niego dzieci, jakiś bezdomny i matrona w średnim wieku jadąca lexusem. A dwóch taksówkarzy obrzuciło go przekleństwami. Tak zakończyła się przygoda z rowerem.

- Panie Grayling, czy oznakował pan swój rower?
- Niby po co? Mam nadzieję, że ktoś ukradnie tego przeklętego grata.

Sińce i stupy zagoiły się dosyć szybko, ale myśl o Emily Mikanowski wciąż dokuczała mu jak otwarta rana. Nie chodził tak za żadną dziewczyną... chyba nigdy. Zazwyczaj to one uganiały się za nim. Kłopot w tym, że Emily pewnie nie zdawała sobie sprawy z tego, co się dzieje – w dużej mierze wszystko rozgrywało się w wyobraźni Jacksona. Prawdę znali jedynie portierzy. Byli świadkami eksperymentów ze sportem i dobrze wiedzieli, jaki jest ich powód. Jesus radził Jacksonowi, by przestał być takim oferumą. „Niech pan się z nią umówi. Zaprosi na randkę”. Te mądrości padały z jego ust dość rzadko, zazwyczaj wtedy, gdy nie udawało mu się ukradkiem oglądać w portierni meczów piłki nożnej lub baseballu.

- Nie mogę, stary. Po pierwsze, nigdy jej nie widuję. Po drugie, jestem oferumą. Mam problem, nie lubię czuć się odrzucony.

Jesus prychnął szyderczo jak ktoś, kto dobrze wie, czym jest odrzucenie.

- To niech pan napisze list. Dziewczyny kochają takie rzeczy.

I tak w końcu Jackson sięgnął po konwencjonalne metody, korzystając z rady samotnego portiera w średnim wieku, jakby udzielał jej sam Deepak Chopra. Wsunął dziewczynie liścik pod drzwi.

Droga Emily!

Nie znasz mnie, jesteśmy sąsiadami. Mieszkam na górze pod 5a. Nazywam się Jackson Grayling, ale znajomi mówią na mnie Trip. Kiedyś spotkaliśmy się w windzie.

Może moja propozycja wyda Ci się dziwna, ale bardzo chciałbym zaprosić Cię na obiad. Tam, gdzie lubisz. Odpowiada mi każdy wieczór.

Nigdy wcześniej tego nie robiłem, stąpaj więc lekko, bo stąpasz po snach.*

Proszę, zadzwoń do mnie, nr 555 0172.

Trip

Nie wiedział, czy wspominać o spotkaniu w windzie. To było strasznie dawno i mogło nie zostawić najlepszego wrażenia. Lub, co gorsza, żadnego (przykra, ale całkiem realna możliwość – Trip miał pełną świadomość, że Emily wydaje mu się tak atrakcyjna w dużej mierze dlatego, że w ogóle nie zwraca na niego uwagi). W końcu jednak doszedł do wniosku, że dzięki wzmiance o windzie dziewczyna ujrzy w nim nie tyle nagabującego ją świra, ile sympatycznego sąsiada i potencjalnego ukochanego. Cytat z Yeatsa był genialnym posunięciem. Pasował idealnie. Jackson znalazł go na pewnym zaproszeniu na ślub, na którym był w lutym. Dziewczyny lubią poezję. Myślą, że faceci cytujący wiersze są smętni, głębcy i wrażliwi.

Emily

Emily, elegancko ubrana, siedziała w hallu własnej kamienicy i czuła się idiotycznie. Raoul uśmiechał się, jakby wiedział, o co chodzi, wprawiając ją tym w zakłopotanie. Zadzwońiła winda i wysiedli z niej Todd i Greg wraz z Ulissesem.

- Pięknie wyglądasz, kochanie!
- Prześlicznie! Kim jest ten szczęśliwiec?

Skrepowana, wzruszyła ramionami. Todd uściskał jej rękę.

- Mam nadzieję, że w takim stroju zabierze cię w jakieś miłe miejsce.
- Z klimatyzacją.

– Święte słowa – zakończyła Eve, wchodząc do hallu z dwoma siatkami ze sklepu Gristedes, lśniaca i spocona z gorąca. – Na dworze jest straszny upał.

Rozpoczęła się rozmowa na temat tarasu na dachu. Emily kiwała głową, uśmiechała się i we właściwych momentach wtrącała odpowiednie słówko, mając nadzieję, że wszyscy sobie pójdą, zanim w hallu pojawi się Trip.

Drzwi windy otworzyły się, ale wysiadł z niej Arthur. Uśmiechnęła się do niego, a on jak zwykle ją zignorował i rzucając wściekle spojrzenia na Todda i Grega, podreptał ku wyjściu, omijając parę gejów łukiem tak szerokim jak to tylko możliwe. Raoul przytrzymał mu drzwi ze słowami „dobry wieczór, panie Alexandrze”, ale Arthur tylko odburknął coś niezrozumiałego.

Eve zrobiła śmieszna minę do Todda i Grega.

* „Stąpaj więc lekko, bo stąpasz po snach” – fragment wiersza W.B. Yeatsa *Poeta pragnie szaty niebios*, tłum. L. Marjańska.

– Zawsze gdy widzę tego człowieka, mam ochotę obsypać cię pocałunkami! – powiedział Todd do partnera.

– Na pewno byłby wniebowzięty. – Greg wniósł oczy do nieba. – Może zaprosimy go w przyszłym tygodniu na Paradę Równości?

Eve zachichotała.

Emily było żal staruszka. Przypominał trochę jej własnego dziadka. Za stary i zbyt konserwatywny, by pogodzić się ze zmianami. Współczesny świat pewnie wydaje mu się zdumiewającym miejscem.

Gdy Trip zszedł do hallu, z trudem rozpoznała w nim faceta, który kilka tygodni temu wpadł na nią w windzie. Był starannie ogolony i ostrzyżony, a zamiast workowatych dresów miał na sobie garnitur. No, cóż.

Może Charlotte miała rację? W ciągu ostatnich tygodni bardzo się do siebie zbliżyły. Były na kolacji i parę razy wieczorem oglądały razem telewizję. Charlotte gotowała. Mówiła, że to miła odmiana po pichceniach tylko dla siebie. W dodatku była świetną kucharką, więc Emily chętnie przyjmowała zaproszenia. Lubiła towarzystwo sąsiadki. Zaczęła się nawet zwierzać – co nie przychodziło jej łatwo. Tego wieczoru, gdy znalazła liścik, opowiedziała o nim nad porcją lasagne. Charlotte przeczytała go z dłonią na ustach, po czym spojrzała na Emily, a jej oczy błyszczały jak gwiazdy. Może Trip naprawdę zasługiwał na to, by dać mu szansę? Szczerze mówiąc, Charlotte od razu stopniała jak lód. Błagała przyjaciółkę, by zadzwoniła do Jacksona. Groziła, że w razie odmowy sama to zrobi, podając się za nią (choć Emily wiedziała, że to nieprawda).

– Tylko nie mów nic Madison. Uważa go za swoją własność.

– Umawiali się?

– Nie. Ale i tak bierze go pod uwagę...

Emily wzruszyła ramionami. Jej zdaniem Madison odnosiła się tak do wszystkich mężczyzn.

– Nie sądzisz, że to dziwaczne? Taki list ni stąd, ni zowąd. Ledwie zamieniliśmy słowo. Trochę się boję.

– Według mnie to romantyczne. Jak ja bym chciała wrócić do domu i znaleźć coś takiego pod drzwiami.

– To czemu sama nie pójdziesz z nim na obiad?

– Jasne, świetny pomysł. Jestem dokładnie w jego typie.

– Dlaczego zawsze tak surowo siebie oceniasz? Jesteś śliczna.

– A ty zmieniasz temat. Zadzwonisz do niego?

– Sama nie wiem...

– Kiedy ostatni raz byłaś na randce?

– Nie pamiętam... nie tak dawno... w marcu...

– To idiotyczne. Jesteś młoda, samotna i oszałamiająco piękna. Powinnaś oganiać się od mężczyzn.

– Daję ci słowo, że tego nie robię.

– I zacytował Yeatsa. Yeatsa! Wiesz, jaki to piękny wiersz?

– Nie przepadam za poezją.

– A ja tak. Zapewniam cię, że to najromantyczniejszy utwór, jaki znam. Jeśli nie umówisz się z tym facetem, jesteś nienormalna. – Charlotte wsparła ręce na biodrach. Wyglądała wręcz groźnie.

W końcu przekonała Emily, choć ona, wykręcając numer Tripa, czuła się jak idiotka. Na szczęście trafiła na automatyczną sekretarkę – na dźwięk ludzkiego głosu pewnie odłożyłaby słuchawkę. Powiedziała, że ma czas w piątek. Spotka się z nim w hallu na dole, a jeśli termin mu nie odpowiada, niech da znać. Potem spojrzała na Charlotte i wybuchnęła śmiechem.

– Nie mogę uwierzyć, że mnie do tego namówiłaś.

– A ja, że się wahałaś.

– Cóż, klamka zapadła.

Teraz zastanawiała się, dlaczego właściwie to zrobiła. Był przystojny, Charlotte miała rację. Dużo lepiej wyglądał bez brody. Ale przecież nie w tym rzecz. Wygląd nie ma znaczenia. Czuła się dziwnie.

– Cześć.

– Cześć. – Był niemal równie skrępowany jak ona. – Świetnie wyglądasz.

– Ty... też.

Raoul gapił się na nich z coraz szerszym uśmiechem. Przypominał kota z Cheshire.

– Chodźmy już – zaproponował Trip.

– Wezwać taksówkę, proszę pana?

– Dzięki, Raoul. Przespacerujemy się na róg.

– Miłej zabawy.

Emily była pewna, że do nich mrugnął. Co ona właściwie tu robi? Normalnie się tak nie zachowywała. Zapowiadał się bardzo długi wieczór.

Emily nigdy wcześniej nie była w tej restauracji, choć wiele o niej słyszała. Pojechali do centrum, na 13 Zachodnią Ulicę. W taksówce ledwie się do siebie odzywali. Był w niej telewizor, więc oglądali wiadomości z taką uwagą, jakby mieli z nich później zdawać egzamin. Nie patrzyli na siebie, nie licząc spojrzeń rzucanych kątem oka.

Zupełnie jak w liceum. Prawdę mówiąc, wbrew opinii Charlotte, Emily nie miała wielu chłopaków. Była wystarczająco ładna, by niejeden się zniechęcił, dochodząc do wniosku, że to nie jego liga. Wystarczająco na dystans, by odstręczyć

tych, którzy może podjęliby ryzyko. I wystarczająco obojętna, by odrzucić kilka dobrych propozycji. Tylko raz, w ostatniej klasie liceum, miała chłopaka „na poważnie”, ale wyjechał na studia na południe kraju i wszystko szybko się rozwiało, nad czym on bolał dużo bardziej niż ona. Czasem Emily martwiła się, że jest dziwaczna. Ale na ogół o tym nie myślała. Teraz w taksówce, niezręczna i onieśmialona, przypomniała sobie dlaczego...

Było strasznie gorąco. Jak w sierpniu, a nie w czerwcu. Nawet lekki powiew grzał niczym powietrze z suszarki. Mijane ulice tętniły życiem. W centrum miasta ludzie wylęgali z barów na chodniki, a z wielu zakątków dobiegała grana na żywo muzyka. Emily czuła się jak rozrywkowa dziewczyna, do czego nie była przyzwyczajona. Restauracja Spice Market okazała się cudownie mrocznym, stylowym miejscem. Trip czuł się tutaj jak w domu. Kelner w stroju buddyjskiego mnicha zaprowadził ich do prostokątnego stołu, przy którym stały dwie niskie, wyściełane balijskie ławki, i zapytał, czego się napiją. Emily – sama nie wiedząc czemu – zamówiła imbirową margaritę. Pomyślała, że alkohol rozluźni atmosferę. Czuła się niezręcznie. On chyba też, skoro przyniesione piwo wychylił do połowy jednym haustem. Wokół przy stolikach ludzie śmiali się i rozmawiali, a Emily była zażenowana. Na szczęście menu okazało się skomplikowane, więc na podejmowaniu decyzji co wybrać i słuchaniu objaśnień kelnera minęło kolejne dziesięć minut. Wyglądało na to, że zamówione dania będą jedli na spółkę. Może to coś da.

Trip uśmiechnął się do niej. Nie da się ukryć, miał seksowny uśmiech. Poruszył w Emily jakąś głęboko ukrytą strunę.

– Jesteś bardzo ładna.

Fatalny sposób na rozpoczęcie rozmowy. Jeśli facet nie umie wymyślić nic lepszego, chyba ma problem. Taka uwaga mogła podziałać na niektóre dziewczyny, ale nie na nią. Emily poczuła, że się rumieni.

– Przepraszam, zawstydzilem cię.

Uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

– Czy dlatego mnie zaprosiłeś?

– Między innymi.

Jaki jeszcze mógłby mieć powód?

– Powiedz mi coś o sobie. Wcale się nie znamy. Dziwne, prawda? Mieszkamy jedno nad drugim, widzimy się przynajmniej raz dziennie, ale nic istotnego o sobie nie wiemy.

– Możemy zaraz to zmienić.

Nadszedł kelner z satay i pierożkami. Niepewnie dłubali pałeczkami w jedzeniu.

– A co chciałabyś o mnie wiedzieć?

– Nie mam pojęcia. Cokolwiek. Skąd pochodzisz, jaka jest twoja rodzina, co robisz? Może tyle na początek. I skąd się wzięło twoje przezwisko.

– Trip. Głupie, prawda? – roześmiał się. – To tradycja. Jestem trzecim Jacksonem Graylingiem. Drugi to Jackson Grayling młodszy. Potem idzie Jackson Grayling Trzeci albo Trip. Wszystkie „dobre rodziny” (narysował palcami w powietrzu znak cudzysłowu) mają swojego Tripa. To dowód długiej historii i pozycji. Okropny amerykański snobizm. I przejaw zadziwiającego braku wyobraźni. Pochodzę z... Nowego Jorku. Tu spędziłem dzieciństwo. Na Piątej Alei. Chodziłem do Regis School, a studiowałem na Uniwersytecie Duke'a. Jak wszyscy mężczyźni w rodzinie od sześciu pokoleń. Nie mam rodzeństwa. Rodzice żyją, ciągle są małżeństwem i ciągle doprowadzają mnie i siebie nawzajem do szału. Teraz przeważnie mieszkają w West Palm Beach na Florydzie. Ale dużo podróżują. Tato jest na emeryturze.

Emily skinęła głową.

– A ty?

– Wychowałam się w Oregonie. Moi dziadkowie byli Polakami.

Wiedział o tym, oczywiście, ale skinął głową i lekko unióśł brwi, jakby ta wiadomość była prawdziwą rewelacją.

– Wyjechali z Europy po wojnie, wraz z rodzicami, i osiedlili się w Portland, na którego przedmieściach się urodziłam. Też jestem jedynaczką. Studiowałam w Oregonie, a teraz pracuję w NBC przy produkcji *Today Show*. Na dzienną zmianę. Wyszukuję informacje potrzebne w porannym programie. Przyjechałam do Nowego Jorku po skończeniu studiów, bo właśnie tu mogę robić to, co bym chciała.

– Masz tu jakąś rodzinę?

– Nie, wszyscy zostali na zachodzie.

– Często jeździsz do domu?

– Raz, dwa razy w roku. A ty, dużo czasu spędzasz na Florydzie?

– O, nie. To raj, ale dla emerytów. Nie znoszę tego miejsca. Zresztą mama często przyjeżdża do Nowego Jorku, by sprawdzić, jak mi się wiedzie.

Emily uśmiechnęła się. Coś wspólnego? Może odrobinę.

– Moja mama bardzo interesuje się tym, co robię. Tęskni za mną. Ciągle dzwoni. Ale nie przepada za Nowym Jorkiem, a ja do tej pory nie miałam jej gdzie przenocować. Gdy przyjeżdżała, musiała spać w hotelu, to drogo kosztuje. Ona nie zarabia wiele. No i chodzi do pracy...

Trip uśmiechnął się na wspomnienie ostatniej wizyty matki, żalując, że koszty pobytu i praca zawodowa jej nie zatrzymują na Florydzie.

– Co jeszcze chcesz o mnie wiedzieć? Ośmielona margaritą Emily uniosła pytająco brwi.

– Dlaczego zaprosiłeś mnie na obiad?

- Już ci powiedziałem. Jesteś bardzo ładna. Zapomniałaś?
- To wszystko?

Przecież nie był to jedyny powód. Wcale nie.

- Wydałaś mi się interesująca.
- A więc... czym się zajmujesz, Tripie Grayling?

Większość dziewczyn, z którymi się umawiał, nie zadawała nigdy tego pytania. Wiedziały. A jeśli nie, ta kwestia nie stanowiła problemu. Nie miała znaczenia. Zastanawiał się, co odpowiedzieć. Nagle ogarnęła go chęć, by skłamać. Ale Emily była dziewczyną, której nie warto oszukiwać. Tyle już wiedział.

- W tej chwili nie pracuję...
- W tej chwili?
- Zastanawiam się, co naprawdę chciałbym robić.
- A co robiłeś przedtem? - Nie dawała się zbyć.
- Od skończenia studiów nic specjalnego. Trochę podróżowałem. - Miał nadzieję, że zabrzmiało to interesująco. Gdyby drażyła temat, musiałby się przyznać do długich wakacji w południowej Kalifornii zamiast duchowych poszukiwań i rozwijających umysłowo przygód w Nepalu.

Kiedy to było?

Hmm. W dwa tysiące piątym. - Czy w restauracji wysiadła klimatyzacja? Tripowi zrobiło się gorąco. Uwierał go kołnierzyk.

- A co studiowałeś? Zakładam, że nie prawo ani medycynę?

Zabrzmiało to jak kpina.

Przyniesiono główne dania i Emily porzuciła temat rozmowy, ale jej stosunek do Tripa się zmienił. Nagle stała się ostrożna. Rozmowa znowu zrobiła się sztywne i sztuczne. Trip uświadomił sobie, że cokolwiek powie, ujawni rzeczy, o których niekoniecznie pragnął ją informować.

Za to wszystko, o czym opowiadała Emily, sprawiało, że wydawała mu się jeszcze bardziej interesująca. Kiedy w końcu skierował rozmowę na jej pracę, mówiła z ożywieniem, pełna ambicji i zdecydowania. Trochę się odprężyła. Najwyraźniej bardzo lubiła to, co robi. Gdy wspominała matkę, w jej głosie czuło się miłość i podziw. O ojcu nie powiedziała nic, z wyjątkiem tego, że oszedł, gdy była jeszcze mała. Musiało im być trudno, choć nie mówiła o tym. Stanowiła całkowite przeciwieństwo Jacksona. Każde wypowiedziane słowo zdawało się to potwierdzać.

Randka zakończyła się w sposób, do którego Trip nie był przyzwyczajony. Liczył na pocałunki w taksówce, tymczasem siedział i patrzył, jak Emily wygląda przez okno. Spodziewał się, że będzie w dobrym nastroju - ale czuł się okropnie.

- Spotkasz się ze mną jeszcze? - zapytał kilka metrów przed markizą osłaniającą wejście do kamienicy, wiedząc, że Jesus będzie czekał i podsłuchiwał.

– Chyba nie. – Emily wpatrywała się we własne buty. – Ale dziękuję za dzisiejszy wieczór.

– Dlaczego nie?

Westchnęła, przestępując z nogi na nogę.

– Za bardzo się różnimy, Trip. Nic nas nie łączy, poza tym, że mieszkamy w jednym domu. Nic z tego nie będzie. Więc po co?

– Zawsze musi być jakiś powód?

– Oczywiście. A chyba go nie ma.

– Walisz prosto z mostu.

– Nie chcesz, żebym była z tobą szczerą?

– Chcę. Ale skąd masz pewność?

– Po prostu mam. Przykro mi, że ranię twoje uczucia. Ale po co marnować czas? Twój i mój.

– No, tak.

Znów wpatrywała się w buty. Chciał jeszcze raz spojrzeć w niebieskie oczy. Przykucnął, zmuszając ją, by podniosła wzrok.

– A zatem, dobranoc – uśmiechnęła się do niego.

Nie miał wyboru. Przeszli kilka kroków dzielących ich od drzwi wejściowych. Jesus uniósł pytająco brwi, a Jackson smętnie wzruszył ramionami. Gdy winda zatrzymała się na piętrze Emily, dziewczyna wysiadła, jak mogła najszybciej.

– Dobranoc, Emily.

– Dobranoc. Jeszcze raz dziękuję.

Wrócił do mieszkania, gdzie powitało go mrugające światełko automatycznej sekretarki. Jego przyjaciel Josh, sądząc z odgłosów, znajdował się w jakimś hałaśliwym barze i krzyczał do słuchawki.

– Hej, Grayling? Gdzie się, do diabła, podziewasz? Bierz dupę w troki...

Ledwie zrozumiał adres. Spojrzał na zegarek. Wiadomość zostawiono godzinę temu. A, co tam. Nie będzie tkwił w mieszkaniu, czując się jak zero. Sięgnął po rzucone przed chwilą na stół klucze i wyszedł, by zalać alkoholem obce mu poczucie niższości.

Mieszkanie 3A

– Charlotte?

– Jak było?

– Nie śpisz jeszcze? Napiałabyś się herbaty?

– Zaraz będę.

Charlotte włożyła aksamitny szlafrok i pobiegła na górę do mieszkania Emily. Akurat czytała naprawdę ciekawy fragment *Mandoliny kapitana Corellego* – Corelli i Pelagia właśnie mieli się pocałować. Lecz tu w grę wchodził przecież prawdziwy romans.

– No więc... opowiadaj...

Emily podała jej kubek z herbatą.

– Niewiele jest do opowiadania. Nie mamy ze sobą nic wspólnego.

– Zawsze uważałam, że w miłości nie odgrywa to aż takiej roli. Pan Darcy nie miał nic wspólnego z Elizabeth Bennet.

– Jeśli zamierzasz bombardować mnie mądrościami Jane Austen, możesz wracać do domu. Była podstarzałą dziewczyną.

– A cóż w tym złego? Sama pewnie nią zostanę...

– Wybacz.

Charlotte lekceważąco machnęła ręką i uśmiechnęła się szeroko.

– Musisz przyznać, że jest przystojny.

– Owszem. A także gnuśny, pusty i, jak przypuszczam, nieodpowiedzialny.

Szukam kogoś zupełnie innego.

– I co? Spotkasz się z nim jeszcze?

– Jesteś beznadziejna. – Emily ze śmiechem pokręciła głową. – Czy ty w ogóle mnie słuchasz? Po co miałabym to robić?

– Nie wiem. Po prostu mam przecucie, że wy dwoje...

– Charlotte Murphy, ty stale miewasz rozmaite przecucia. Na przykład w związku z Che.

Charlotte się zaczerwieniła. Niemal pożałowała, że w ogóle wspominała o portierze. Zrobiła to pewnego wieczoru nad sushi i sake. Nigdy nie mówiła o nim Madison. Ale Emily to co innego.

– Chyba już czas zacząć działać?

– To zupełnie inna sprawa. I dobrze o tym wiesz.

– Zgadza się. Che naprawdę ci się podoba!

– Nie dałaś Tripowi żadnej szansy.

– Dałam, Charlotte. Poświęciłam mu cały wieczór. Nic z tego nie wyszło...

Emily wiedziała, że nie do końca mówi prawdę. Coś między nimi zaiskrzyło. Trip jej się podobał, nie mogła okłamywać samej siebie, nawet jeśli wykręcała się wobec Charlotte. Ale zbyt dużo przemawiało przeciw niemu.

Eve

Ed obiecał, że pójdzie z nią do lekarza. Podała mu adres. Prawdę mówiąc, dwa razy. Zapisała na kartce, ale rano, w dniu wizyty, zadzwonił z wiadomością, że kartkę zgubił, i prosił, by wysłała mu adres e-mailem.

- Przecież właśnie rozmawiamy. Zaczekaj, zaraz ci go podam.
- Nie znasz na pamięć?
- Nie. Zaczekaj sekundę.
- Nie mam sekundy, jestem na zebraniu. Nie możesz przesłać e-maila?

Idiotyzm. Wysłała list składający się z jednej linijki, bez pozdrowienia czy choćby emotikonu.

Gdy spotkali się przed wejściem do budynku, w którym przyjmowała ginekolog, ciągle była zła.

- Wielka rzecz, nic się nie stało. – Ed wzruszył ramionami.
- Nie chcę „wysyłać ci e-maili” w takich sprawach. Nie jestem jakąś cholerną sekretarką, tylko twoją żoną.
- Eve, zachowujesz się bez sensu. Jakie to miało znaczenie? Jestem tutaj, prawda? Chciałaś, więc przyszedłem. Specjalnie przeznaczyłem na to czas.
- Niemożliwe! Cóż za poświęcenie! – W jej głowie dźwięczał sarkazm.
- Nie o to chodzi. – Głos Eda ze zdenerwowania zabrzmiał z kolei piskliwie. – Boże, jaka ty jesteś przewrażliwiona. Jeśli tak ma to wyglądać...
- Zamknij się. I nie waż się mówić, że to wina hormonów.
- A czyja? Moja? Może mi powiesz, co właściwie złego zrobiłem?
- Zachowujesz się, jakbym nic dla ciebie nie znaczyła.
- Naprawdę nie wiem, o co ci chodzi.
- I na tym właśnie polega problem. – Gniew szybko zmienił się w żal i Eve poczuła, że zaraz się rozplacze. Nie tak miało być. Nie tego się spodziewała.

Ed patrzył, jak drży jej dolna warga. Naprawdę nie rozumiał, dlaczego z drobiazgu urósł taki problem. Spieszył się. Zgubił adres. Zadzwonił. Przyszedł do lekarza, na litość boską. W środku dnia.

- Może wejdziemy? Spóźnimy się na wizytę.
- W porządku. Chodźmy.

W poczekalni usiedli obok siebie. Czekają tam jeszcze kilka kobiet, wszystkie w bardziej zaawansowanej ciąży niż Eve, ale żadnych mężczyzn. Ed natychmiast poczuł się usprawiedliwiony, no proszę, inni ojcowie nie zjawili się wcale.

Eve z roztargnieniem przeglądała magazyn. Nie chciała przez następnych osiem miesięcy walczyć z mężem o każdy drobiazg. Pragnęła, by okres oczekiwania na dziecko był to dla niego równie ważny i podniecający jak dla niej. Zeby za-

angażował się emocjonalnie w życie domowe, tak samo jak w pracę. Czuła zmęczenie, a przecież wszystko dopiero się zaczęło.

Miał trochę racji, jeśli chodziło o hormony. Wiedziała, że brakuje jej cierpliwości. Że zachowuje się trochę irracjonalnie. Ale Ed uważał, że pokłócili się z powodu e-maila. (Mężczyźni – przynajmniej ci, których znała – mieli krótką pamięć. Nie wyciągali wniosków na przyszłość. Dlatego można się było z nimi kłócić wciąż o to samo. Potrafili myśleć tylko o jednej rzeczy jednocześnie). Ed nie rozumiał, albo nie chciał zrozumieć, że przyczyn jest wiele. Późne powroty do domu, wczesne wychodzenie do pracy, weekendowe telekonferencje z Londynem, zazdrość Eve o jego nowe życie. Nie łączył tych spraw z ich kłótnią, z tą chwilą.

Położyła mu rękę na kolanie. Nakrył ją dłonią. Zachowywał się teraz jak niegrzeczne dziecko. Prosił o przebaczenie (nawet jeśli wciąż niezupełnie wiedział za co). Zanim recepcjonistka poprosiła ich do gabinetu, Eve mu darowała. Nie chciała psuć ważnej chwili. To minie.

Kim

North Fork, Hamptons

Było piątkowe popołudnie i Avery spała. Miała tak spać jeszcze około godziny, a Kim była bardzo zajęta. Na ogół w takich chwilach czytała albo uciinała sobie drzemkę na fotelu w cieniu werandy, rozkoszując się samotnością i ciszą. Ale nie w piątki. W piątek rano ruszała na podbój supermarketu Stop and Shop, w którym zakupy trwały dwa razy dłużej, niż powinny, gdyż Avery upierała się, by samodzielnie wkładać do koszyka każdy przedmiot. Co prawda potem była taka zmęczona, że przesyiała smacznie całe popołudnie, podczas gdy Kim sprzątała na przyjazd Jasona. Letnie weekendy budziły w niej przerażenie. Dni powszednie spędzała rozkosznie, lecz w miarę jak zbliżał się piątek, ogarniało ją coraz większe napięcie. Soboty i niedziele były sztywne, wymuszone i nieprzyjemne. Dopiero z końcem weekendu mogła wreszcie odetchnąć. Zbliżał się poniedziałek, jej ulubiony dzień, najbardziej oddalony od kolejnej soboty.

Zdumiewające, ile bałaganu może narobić jedna mała dziewczynka. Kim stała w drzwiach pokoju dziennego, westchnęła, a potem chwyciła plastikowe pudło na zabawki, usiadła po turecku na podłodze i zaczęła sortować plastikowe ludziki, klocki z literami alfabetu oraz duże klocki lego.

Przeprowadzała się tu na letnie miesiące – od czerwca do września – odkąd na świecie pojawiła się Avery. Domek należał kiedyś do rodziców Jasona. Był mały i trochę zniszczony. Znajdował się nie w modnych Hamptons, lecz w spokojniejszej,

wiejskiej okolicy na North Fork. Tu wciąż można było jechać całymi milami wśród pól albo wyjść bez makijażu po mleko do miasteczka i nie spotkać żadnych znajomych. Kim uwielbiała takie klimaty. Kryty gontem domek miał trzy sypialnie (w tym tylko jedną na tyle dużą, by pomieściła podwójne łóżko), wspólną łazienkę z dość podejrzaną armaturą i maleńką kuchenkę, a także prawie pół hektara ładnego ogrodu. Do plaży jechało się samochodem dziesięć minut. Przed kilku laty Jason planował zbudowanie basenu, ale przestał o tym mówić, gdy urodziła się Avery. Kim za bardzo bała się o dziecko.

Na wsi czuła się spokojniejsza. Od poniedziałku do piątku. Zaczęła ustawiać książki z obrazkami na półce pod oknem. Avery miała zwyczaj wyciągać wszystkie, zanim wybrała ulubioną. W tym tygodniu była to *Opowieść o Despero*. Kim musiała ją czytać córce pięć razy dziennie. Avery miewała takie obsesje. Ale i tak przed zdjęciem książki z półki oglądała wszystkie po kolei.

Jason pierwszy raz przywiózł Kim na wieś w lecie. Właśnie się poznali. Miał dwadzieścia cztery lata, a ona była o rok młodsza. Przyjechali w piątek po pracy autobusem. Jego rodzice spędzali tu wakacje. Kim nigdy wcześniej ich nie widziała i denerwowała się przed spotkaniem, ale szybko poczuła się swobodnie. Tata Jasona piekł steki na starym grillu na tarasie, a mama w kuchni, przy osuszaniu liści bostońskiej sałaty, powiedziała, że Kim jest pierwszą dziewczyną, którą jej syn przywiózł na wieś, żeby im ją przedstawić. Domyśliła się więc, że traktuje sprawę poważnie. Sam jej tego nie powiedział.

Po doprowadzeniu do porządku pokoju dziennego Kim chwyciła kosz z czystymi zdjętymi ze sznurka prześcieradłami i ruszyła po wąskich schodach do sypialni. W tamtych czasach największą zajmowali oczywiście rodzice Jasona, a on i Kim dostali wąskie łóżka w dwóch sąsiednich pokoikach. Późną nocą Jason zakradł się do niej i położył obok, a jego ręce błądziły po jej nagiej skórze. Starali zachowywać się jak najciszej, choć i tak następnego dnia, po śniadaniu, tato Jasona mrugnął do niej nad stertą naleśników. Tamtej nocy była pełnia, a Kim wciąż pamiętała nachylającą się na nią twarz Jasona oblaną księżycowym światłem. Całowali się, a w uszach dźwięczało jej słyszane w kuchni wyznanie jego matki.

Teraz dom należał do nich. Rodzice Jasona umarli w odstępie roku, zanim Avery przyszła na świat. Matka na raka jajników, a ojciec dziesięć miesięcy później z powodu wylewu, na peronie stacji metra przy 42 Ulicy. Świecki kaznodzieja w drodze na Times Square, skąd głosił przechodzącym tłumom wieść o zbawieniu, zdjął noszoną na piersiach i plecach podwójną tablicę i udzielił mu pierwszej pomocy, ale było już za późno. Nie zostawili wiele w spadku – umarli dość młodo, a leczenie matki Jasona pochłonęło dużo pieniędzy. Za to syn i synowa odziedziczyli po nich dom i wszystkie wspomnienia z nim związane. Teraz to oni spali w dużym

łóżku w największej sypialni. Kim, nakrywając materac czystym prześcieradłem, pomyślała, że dziś równie dobrze mogliby przenieść się do pojedynczych łóżek.

Usłyszała z korytarza, jak Avery mruczy przez sen, a potem się uspokaja. Podkraśniała się cicho i zajrzała przez uchylone drzwi. Był to pokój, w którym spędziła tu swoją pierwszą noc. Po przyjściu na świat córki pomalowała ściany na żółto i za pomocą szablonu narysowała na nich stokrotki. Avery leżała z rozrzuconymi rączkami i nóżkami, ssała kciuk. Policzek, na którym się opierała, był czerwony i poodgnięty, a włosy wilgotne z gorąca.

Kim przytknęła drzwi i wróciła do swoich zajęć. Oblekła poszewki na poduszki, a na wierzch zarzuciła starą patchworkową kołdrę, którą rodzice Jasona dostali w prezencie ślubnym. Pasowała do tego pokoju. Wygładziła ją starannie, niemal nabożnym ruchem. Matka Jasona bardzo tę kołdrę lubiła. Mówiła, że jak długo będą pod nią spali, nie wkradnie się między nich nic złego. Kim pociągnęła nosem. Gdyby tylko była to prawda. Kołdra nie uchroniła od złego jej i Jasona. Nie zapewniła bliskości.

Kim przyjechała na wieś w trzecim tygodniu czerwca samochodem wyładowanym ubraniami, torbami z jedzeniem i zabawkami. Esmé dojeżdżała autobusem z Brooklyn Heights. Od wtorku do czwartku pomagała jej przy Avery i robiła pranie. A Jason zjawiał się w piątek po południu wraz z tłumem dojeżdżających, którzy wsiadali na skrzyżowaniu 44 Ulicy i Trzeciej Alei, słuchając muzyki z iPodów, rozmawiając przez komórki, ściskając w dłoniach kubki kawy ze Starbucks. Po wczesniej kolacji wyjeżdżały po niego do Cutchogue. Mała zawsze domagała się, by kupić jej koktajl mleczny w sklepiku naprzeciwko przystanku, i piła go przez słomkę, siedząc na masce samochodu. Było to dla niej bardziej podniecającym wydarzeniem niż spotkanie po pięciu dniach z własnym ojcem.

Kim stała obok, przytrzymując córkę, by nie zsunęła się z maski. Gorąco obiecywała sobie w duchu, że dołoży większych starań, aby ten weekend minął im przyjemniej niż poprzedni.

Zazwyczaj wszystko psuło się, zanim jeszcze zdążyli wsiąść do samochodu. Gdy Jason całował ją suchymi ustami w policzek i wrzucał torbę na tylne siedzenie. W piątkowe wieczory bywał zmęczony i jakby pełen pretensji o to, że przez cały tydzień musiał pracować i mieszkać samotnie w mieście. Wydawało się, że pobyt na wsi i spotkanie z rodziną nie sprawiają mu żadnej przyjemności.

Ostatnio, przed jego przyjazdem, zrobiły z Avery chorągiewki z kolorowego papieru, a w czwartek wieczorem, po położeniu córki spać, Kim rozwiesiła je na sznurku rozciągniętym wokół pokoju dziennego. Jason, idąc na górę, w ogóle ich nie zauważył. Gdy wrócił boso, przebrany w płócienne spodnie i T-shirt, i pokazały mu z Avery swoje dzieło, tylko uśmiechnął się niewesoło, chorągiewki zaś okazały się jedynie przeszkodą w przejściu do lodówki po zimne piwo.

Rzadko się kochali. Po urodzeniu Avery Kim kilka razy nie miała ochoty. Teraz Jason nigdy jej tego nie proponował, a gdy czasem robiła to ona – nie tyle z pożądania, ile z przekonania, że powinna, że musi, na ogół odmawiał, wykręcając się zmęczeniem. Kim zastanawiała się, czy mąż mści się na niej, czy chce pokazać, jak to jest być odrzuconym, czy też po prostu przestała go pociągać.

Kiedy od czasu do czasu dochodziło między nimi do zbliżenia, czuli dziwnie niezaspokojenie, jakby już w samym akcie kryło się coś niemal niegodziwego. Kim nie wiedziała, które z nich bardziej ponosi za to odpowiedzialność. Mąż nigdy jej potem nie przytulał. Odwracał się, odsuwał daleko, choć tu, na wsi, łóżko było przynajmniej trzydzieści centymetrów węższe niż w mieszkaniu. Nie pomagała czarodziejska kołdra.

Kim czuła, że w ich związku dzieje się bardzo źle, ale nie umiała tego naprawić. Zastanawiała się, czy Jason jej nie zostawi. Oglądała programy Ophry i doktora Phila i wiedziała, że powinni porozmawiać – ze sobą albo z kimś jeszcze – ale za bardzo się bała. Tego, co powie sama, i tego, co on mógł powiedzieć. Była zawstydzona i przerażona. Wiedziała, że im dłużej taka sytuacja trwa, tym jest im trudniej. Przepaść między nimi się pogłębia, a podróż z powrotem potrwa dłużej.

Nie rozmawiali więc ze sobą o sprawach naprawdę ważnych. Byli uprzejmi i oschli. Sobota i niedziela mijały na tęsknym wyczekiwaniu na krótki przejazd na przystanek autobusowy. Na szczęście Avery odwracała ich uwagę od siebie.

Jason

Czasem wydawało mu się, że Avery w ogóle nie jest jego dzieckiem. Tak bardzo należała do Kim, że dla niego nie starczało już miejsca. Nie wolno mu było nigdy o niczym postanowić. Kim decydowała, w co Avery zostanie ubrana, co zje oraz kiedy, z kim i co będzie robiła. Nie było żadnych rozmów, dyskusji, pytań, co on sądzi na ten temat. Nie pozwalała mu nawet zmieniać pieluch, w obawie, że zrobi to źle i Avery się odparzy. Największą przykrość (a sprawiało mu ją wiele rzeczy) czuł, gdy w piątkowy wieczór schodził po stopniach tego przekłętą autobusu, a w oczach córki, przyglądającej się, jak idzie w jej stronę, nie było nawet cienia radosnego podeksycytowania. Drobne ramionka nie zaciskały się na jego szyi. Co się, do diabła, działo? To samo z Kim. Cała jej postać wyrażała niepokój. Nadzieja, jeśli miał jakąś, jadąc autobusem, zniknęła, zanim zdążył podejść do samochodu.

Wciąż pamiętał, jak przywiózł tu Kim po raz pierwszy. Boże, jaki wtedy był w niej zakochany. Rodzice dali im osobne pokoje, bez sensu, zważywszy, że praktycznie mieszkali już razem na Manhattanie. Kiedy stali na podeście schodów i

wymieniali niewinny pocałunek na dobranoc, myślał, że bez trudu wytrzyma bez niej do rana. Ale nie potrafił. Nie wtedy. Jak nastolatek zakradł się do jej pokoju. Pamiętał, jak w milczeniu usiadła na nim. Pamiętał jej wygięte plecy, brązowe sutki oblane światłem księżyca, gdy kołysząc się, doprowadzała go do intensywnego orgazmu, bardziej podniecającego, bo w ciszy, przy wtórze cykad i koników polnych. Milczenie między nimi znaczyło kiedyś zupełnie coś innego. Tamtej nocy postanowił, że ożeni się z Kim, jeśli tylko ona się zgodzi. Był pijany jej obecnością tutaj, w domku, z jego rodziną.

Kochali się wtedy prawie codziennie – w jej lub w jego mieszkaniu. Raz w ogrodzie botanicznym, a kiedyś niemal w taksówce. Zdarzyło się, że wymknęli się po pierwszym daniu z restauracji, gdzie jedli obiad z dziesiątką znajomych z okazji czyichś urodzin, aby pójść do domu i pójść do łóżka. Pewnego wieczoru spotkali się na drinka po pracy w Soho Grand Hotel, a Kim powiedziała, że nie ma nic pod suknią i wsunęła Jasonowi w dłoń klucz od pokoju hotelowego. Potem uprawiali niewiarygodny seks w wannie apartamentu, którego nie potrzebowali i na który nie mogli sobie pozwolić. Raz, podczas podróży służbowej, gdy zatrzymał się w hotelu Hilton w Filadelfii, znalazł Kim nagą w łóżku – przyjechała po południu pociągiem, aby zrobić mu niespodziankę.

Ledwie rozpoznawał ją w kobiecie leżącej teraz obok niego. Nie potrafił wytłumaczyć, nawet przed sobą, jak do tego doszło. Nie wiedział, czy to jego wina. Miał jednak pewność, że dłużej nie wytrzyma takiej sytuacji.

Powtarzał sobie, że seks nie ma znaczenia. Istnieją przecież inne rodzaje bliskości. Lecz rzeczywistość wyglądała przecież inaczej. Zresztą, nie chodziło tylko o stronę fizyczną. Dziwaczne, ale wstydził się swoich potrzeb, jak czegoś złego, jakby okazał się prymitywny dlatego, że je ma. Ich życie seksualne legło w gruzach, gdy okazało się, że Kim nie może zajść w ciążę. Przestało być przyjemnością, stało się wykonywaniem zadania. Nie robili już tego dla siebie, robili dziecko, w dodatku bez skutku. Jason czuł się upokarzany, wciąż od nowa, wobec lekarzy specjalistów i samej Kim. Obwiniała go. W jej oczach malowało się przekonanie, że nic takiego by się nie zdarzyło, gdyby była z kimś innym. Od pierwszego dnia zachowywała się, jakby problem dotyczył tylko jej. Nie jego. Nie mogła pojąć, że niemożność zajścia w ciążę odnosi się w takim samym stopniu do nich obojga. Jason też chciał mieć dziecko. Dzieci. Jego koledzy z pracy trzymali na biurkach wielkie zdjęcia pulchnych maluchów, zwalniali się wcześniej z powodu wywiadówki, podczas weekendów budowali zamki z piasku, narzekali na wycieczki do Disneyworldu. Też tego pragnął. Też go to bolało.

Potrafił myśleć racjonalnie. Rozumiał, dlaczego cały proces był tak okropny i paskudny dla nich obojga. Mógł nawet wybaczyć Kim, że pogrążona w bólu i strachu nie widziała, że on też cierpi. Mógł, bo ją kochał. Zawsze. Inaczej tak by go to nie dotykało. Każdy mężczyzna cierpi, nie mogąc dać ukochanej kobiecie tego,

czego pragnie najbardziej. Ale zupełnie nie potrafił zrozumieć tego, co się wydarzyło później.

Zaczął się zaraz po przyjściu na świat Avery. Była bardzo wyczekiwany dzieckiem. I ślicznym. Miała być rozwiązaniem wszystkich problemów. Niestety, tak się nie stało. Jej narodziny zapoczątkowały kolejny problem. Odkąd się zjawiła, Kim przestała okazywać, że potrzebuje Jasona, pragnie go czy choćby kocha.

Kiedy Jason był młodszy, nie myślał wiele o miłości. W początkach związku z Kim cieszył się, że nie musi swojego uczucia analizować, oceniać czy omawiać. Miłość istniała – prosta i naturalna – i to było cudowne. Teraz dużo rozmyślał na ten temat i nie wiedział, czy dalej wierzy w taką miłość. Czy można w nieskończoność kochać kogoś, kto nie odwzajemnia uczucia? Kiedy wydaje się ono zaprzeczeniem wszystkiego, czym było, gdy nie jest już proste i naturalne, tylko trudne i dziwaczne. W końcu serce daje za wygraną. Jason czuł, że jest tego bliski.

Nie zakochał się w Rachael Schulman. Wiedział o tym. Jego uczucie miało drugie dno. Dokładnie je przeanalizował, gdy po raz pierwszy z przerażeniem uświadomił sobie, że rozmyśla o sąsiadce. Po pierwsze żądza. Na męskim i zwierzęcym poziomie po prostu chciał się z nią przespać. Właściwie wszystko w niej go podniecało i czasem czuł się jak głupi nastolatek, który nie potrafi kontrolować pożądliwych myśli czy nieposłusznych części ciała. To pierwsze uczucie nie było zbyt niebezpieczne, bo rozumiał je, tak jak na ogół rozumiał, że nie zostanie odwzajemnione. Rachael Schulman równie dobrze mogłaby być Heidi Klum lub Keirą Knightley. Bardziej niepokoiło go drugie dno tej fascynacji. Zakochał się w wizji małżeństwa, które zdawali się mieć Rachael i David. Więcej niż małżeństwa – rodziny. Jedności, którą tworzyli. Rachael uosabiała dla niego własne niespełnione marzenia. Im piękniej wyglądała, tym bardziej chciał się grzać w blasku ich życia i tym gorsza wydawała mu się własna sytuacja.

W sobotę od rana było słonecznie i gorąco. Gdy się obudził, Kim krzątała się już po domu. Wstawała razem z córką. Pozornie po to, by mógł się wyspać po całym tygodniu pracy. Jason wiedział jednak, że jego nieobecność wcale im nie przeszkadza. Mógł zostać w łóżku przez cały ranek i nikt by do niego nie zajrzał. Leżał do dziewiątej. Potem włożył krótkie spodnie i T-shirt i zszedł do nich. Po śniadaniu Avery zażądała, by pojechali na plażę. Jason patrzył przez przeciwsłoneczne okulary, jak Kim pracowicie smaruje córkę kremem z filtrem SPF 150. Dziewczynka w czerwcu wydawała się bledsza niż w marcu.

Sama musiała wcześniej spalić się na słońcu – wciąż miała przypieczone ramiona, lecz gdy zaproponował, że posmaruje ją kremem ochronnym, odmówiła. Przywykł, że jego dotyk, nawet w najbardziej niewinnej sytuacji, wydawał się napełniać ją wstrętem, niczym dotknięcie trędowatego. Kim włożyła stary sarong w żółwie kupiony na Florida Keys, dokąd pojechali po ślubie na wycieczkę, i crocksy, obrzydliwe gumowe klapki, które miała w ośmiu kolorach i fasonach. Jason

nienawidził ich z siłą nieadekwatną w stosunku do damskiego obuwia. Starał się nie myśleć o balerinkach Rachael i jej perłoworóżowych paznokciach u nóg. Kim, zamiast umyć włosy, ściągnęła je w mizerną kitkę. Jason uświadomił sobie, że nie zależy jej, jak wygląda w jego obecności. Wcale nie chce, aby na nią patrzył.

Dookoła na idealnym białym piasku tkwiły jak wyrzut sumienia idealne rodziny. Ojcowie i synowie w takich samych szortach odbijali piłkę. Matki opiekowały się niemowlętami, chroniąc je przed słońcem w plażowych namiotach. Wyciągały kremy ochronne i napoje z wielkich turystycznych lodówek ciągniętych na kółkach po piasku. Dziewczeta w bikini piszczwały na brzegu, gdy lodowata woda zatoki Long Island obmywała im palce u nóg.

Avery, zabezpieczona przed słońcem, usadowiła tłustą pupę kawałek dalej i zaczęła kopać w piasku niebieską łopatką. Kim usiadła obok Jasona. Wyczuł, że szuka jakiegoś tematu do rozmowy. Czegóż nieistotnego.

– Potrafi tak kopać godzinami. Wczoraj usypała kopiec wyższy od siebie.

Starala się. Avery stanowiła jedyne łączące ich ogniwo.

– Naprawdę? – zapytał tonem, jakby ta uwaga była interesująca.

– Ma sporo siły.

Wiedział o tym. Dziś rano w łazience Avery uderzyła go kantem dłoni w nerki, gdy próbował ogolić się przed małym, zaparowanym lusterkim. W ten uroczy sposób próbowała powiedzieć: „Przepuść mnie, tatusiu”.

– Widujesz tu kogoś?

– Co masz na myśli?

Jej obronny ton był ostrzeżeniem, ale mówił dalej. Kto wie? Może czasem kłótnia jest lepsza od milczenia?

– Znajomych. Ludzi z Manhattanu, którzy mieszkają w okolicy. Prowadzisz jakieś życie towarzyskie?

– Oczywiście. – Jason nie miał odwagi zapytać, na czym ono polega. – Ale na ogół cieszymy się ciszą, plażą i sobą nawzajem.

Ten stan buddyjskiego spokoju najwyraźniej zdarzał się tylko podczas jego nieobecności. Nie po raz pierwszy tego lata Jason z bólem zdał sobie sprawę, że Kim wolałaby, by w ogóle tu nie przyjeżdżał i żeby nie musieli udawać szczęśliwej rodziny. A to jego dom, do diabła. Z własnej pensji płaci za wszystko.

– Czy Rachael nie wspominała, żebyśmy się spotkali?

Popatrzyła na niego tak ostro, że zastanowił się, czy czasem nie poczerwieniał.

– Rachael większość czasu spędza w Connecticut. Tam mają dom. Tutejsza posiadłość należy do jej rodziców.

– Wiem. Ale mówiła przecież, że przyjeżdżają na weekend Czwartego Lipca.

To prawda. Niedługo po rozmowie w windzie, jeszcze w kwietniu, przysłała im e-maila. Oczywiście dobrze to zapamiętał. Napisała, że przyjadą wszyscy. Rodzina

i przyjaciele. Zawsze w tym dniu urządzą wielkie przyjęcie i Kramerowie koniecznie powinni ich odwiedzić, jeśli będą w tym czasie w Hamptons. Niech Kim do niej zadzwoni, to ustalą szczegóły. Wytłumaczy jej, jak dojechać.

Jason nie mógł się przyznać, że ta informacja nie jest mu potrzebna. Znał adres. Mniej więcej przed rokiem listonosz omyłkowo włożył do ich skrzynki listy Schulmanów. Jason wyjął je i zanim zorientował się, że zaszła pomyłka, otworzył jeden. Był tam liścik do Rachael od jej matki, ze zdjęciami chłopców, pewnie przez nią zrobionymi. Jason nie przeczytał go (widocznie pozostały mu jeszcze jakieś zasady), ale zapamiętał adres wytłoczony na górze kartki obok maleńkiej, delikatnej rozgwiazdy. Oddał listy portierowi, przylepiwszy do nich karteczkę, na której napisał:

„Przepraszam! Myślałem, że to nasze!” z mnóstwem zawadiackich wykrzykników. A w następny weekend powiedział Kim, że wcześniej rano chce się wybrać na przejażdżkę. Pojechał aż do Southampton i znalazł dom. Nie wiedział właściwie, dlaczego to robi. Była to jedna z tych wielkich rezydencji tuż przy plaży, z prywatnym dostępem do morza. Pięknie utrzymany klasyczny, szaro-biały kolonialny dom z wielkim wypielegnowanym trawnikiem i długim podjazdem. Z lewej strony widać było skrawek basenu z turkusową wodą, a za nim siatkę kortu tenisowego.

Powoli przejechał obok dwa razy. Więcej się nie ośmielił. Wyobrażał sobie Rachael dorastającą w tym domu, kręcącą hula-hoop przed garażem i opalającą długie nogi nad chłodną, przezroczystą wodą. Wiedział, że jest w tej chwili bliski szaleństwa, ale nie dbał o to.

A teraz niczego więcej nie pragnął, jak tylko pójść tam na przyjęcie z okazji Czwartego Lipca. Kim nie odpowiedziała.

Wbił palce w piasek i starał się mówić spokojnie.

- Może byśmy się wybrali? Zapowiada się dobra zabawa.
- Korki na drodze to nic zabawnego. Możemy jechać pół dnia.
- Pojedźmy naokoło, przez Shelter Island. Avery spodoba się prom. Możemy sobie zrobić całodniową wycieczkę.

Posłuzenie się Avery w takim celu było ciosem poniżej pasa. Ale chyba pomogło. Kim wzruszyła ramionami. Ten gest budził więcej nadziei niż kręcenie głową.

- Zadzwoisz do niej? Brak odpowiedzi.
- Jak chcesz, to ja zadzwonię...
- Sama to zrobię.

Lipiec

Eve

Czwarty lipca

Eve zastanawiała się, czy nadeszła już pora, by zacząć jeść za dwoje. Skończyła właśnie najlepsze lody w swoim życiu i nie wiedziała, czy pozwolić sobie na jeszcze jedną porcję – dla dziecka. Usiłowała wywołać w myślach orzeźwiający obraz siedzących w poczekalni u lekarza eleganckich mamus w strojach z lycry w rozmiarze drugim, ale widziała tylko smakowitą kombinację malinowego sorbetu z lodami czekoladowymi. W dodatku było strasznie gorąco.

Ed trzeciego lipca musiał pojechać służbowo do Waszyngtonu, więc Eve proponowała, że wybierze się z nim pociągiem, a potem zostaną w mieście na następne dwa dni. Zwiedzą stolicę w urodziny narodu. Zanim urodzi się dziecko. To ostatnie zdanie wypowiadała teraz bardzo często, choć Ed śmiał się i mówił, że jest w ciąży dopiero od paru tygodni, więc nie ma powodów do paniki. Eve namawiała go, by spędzili wakacje na Hawajach... „zanim urodzi się dziecko”, ale na razie wystarczył i Waszyngton. Przecież ich życie już na zawsze podzieliło się na okresy „przed dzieckiem” i „po dziecku”. Nic nie będzie takie jak kiedyś. Eve nie mogła się doczekać, co często powtarzała.

Poprzedniego wieczoru Edowi zrobiło się wręcz przykro.

– Mówisz tak, jakby do tej pory było najwyżej w porządku, jakby całe nasze małżeństwo stanowiło tylko czekanie na to, co naprawdę się liczy...

Usiadła mu na kolanach i przytuliwszy jego głowę do piersi, głaskała po włosach.

– Zamierzasz być jednym z tych zazdrosnych tatusiów? Takich, co to nie lubią się dzielić?

– To zależy. – Otarł głowę o jej biust. – A ty będziesz jedną z mamus, które zaniedbują mężów?

– Nie. Nie. Nie. Nie. – Obsypała mu twarz pocałunkami.

Eve kochała pociągi. Jej miłość do nich narodziła się podczas podróży koleją po Europie po zakończeniu szkoły średniej. Uwielbiała stukot kół, ich jednostajny, usypiający rytm. Amtrak – wielki, wysoki, z trzema stopniami prowadzącymi do wagonu – całkowicie spełnił jej wyobrażenia o amerykańskim pociągu. Podróż trwała trzy urocze godziny. Eve siedziała oparta o Eda na szerokim wygodnym fotelu, słuchała, jak rozmawia przez komórkę o sprawach, których nie rozumiała, a nawet nie chciała rozumieć, i czytała magazyn „Martha Stewart Living”. Zastana-

wiała się, czy kiedykolwiek stanie się osobą kolekcjonującą zabytkowe cukierniczki i drewniane nożyki do masła. Zapewne nie. Snuła marzenia. Nikomu, z wyjątkiem lekarza, nie mówiła dotąd o dziecku. Cath dowie się pierwsza. Ale jeszcze nie teraz. Na razie był to najcudowniejszy sekret jej i Eda.

Czekała, kiedy zaczną się mdłości. Raz czy dwa razy rano, leżąc w łóżku, zastanawiała się, czy to już, ale tylko jej się wydawało. Strasznie bolały ją piersi i stale czuła się jak tuż po trzydaniowym obiedzie, jednak nie miała mdłości, co przyjmowała z wdzięcznością, lecz także z dziwnym rozczarowaniem.

Padła za to ofiarą hormonalnej huśtawki nastrojów. Raz ogarniała ją dzika radość i czuła się niczym rozkładająca ramiona hipiska, która kocha cały świat. Innym razem popadała w czarną rozpacz, wszystko martwiło ją i przerażało. Bywały dni, gdy doprowadzał ją do łez bezdomny śpiący na schodach kościoła i chciała zabrać do domu wąsatą staruszkę liczącą drobne na kawę w tanim barze obok stacji metra. Czuła się wtedy niewdzięczna. Myślała o słowach starej piosenki – *So how can you tell me you're lonely*. Przecież miała wszystko. Kiedyś w parku rozglądała się za kobietą widzianą w Boathouse, ale nie spotkała jej, choć spacerowała prawie przez godzinę. Usiadła na ławce, na której ostatnio odpoczywała nieznajoma, obiecując sobie, że jeśli tym razem się zjawi, na pewno z nią porozmawia. Ale bezdomna nie przyszła.

Gdy Ed przebywał na służbowych spotkaniach, czuła się dziwacznie, zupełnie jak dziecko na wagarach. Nie była przyzwyczajona do eleganckich hoteli, w których się teraz zatrzymywali – Four Seasons w Nowym Jorku i Ritz Carlton tutaj – po trzydziestu latach nocowania w Holiday Inn oraz trzygwiazdkowych hotelikach i pensjonatach. Wzięła długą kąpiel (niezbyt gorącą, jak radzono w książce dla przyszłych mam), a potem, otulona wielkim, ciężkim szlafrokiem frotte zwinęła się w kłębek na łóżku i jedząc przyniesione do pokoju śniadanie, oglądała stare odcinki *Ostrego dyżuru*. Po południu przeszła piechotą kilka przecznic dzielących hotel od Georgetown, zdaniem portiera najlepszego miejsca na zakupy, i spędziła kilka miłych godzin, chodząc po rozmaitych sklepach wzdłuż głównej ulicy. Kupiła krawat dla Eda, ładne srebrne kolczyki dla samej siebie i, niemal bez poczucia winy, dwa maleńkie białe body dla dziecka. Potem wróciła do hotelu i kiedy zjawił się Ed, drzemała na łóżku. Obudził ją delikatnym pocałunkiem, ale żadne z nich nie miało siły na odkrywanie miasta. Zjedli kolację w pokoju, oglądając *Szklaną pułapkę*. Na długo przed jej końcem zasnęli, zaplątani w zbyt ciepłe szlafroki i cienkie prześcieradła.

Eve nie miała pojęcia, że będzie tu tak gorąco. W Waszyngtonie położonym bardziej na południe było o pięć stopni więcej niż na Manhattanie, za to brakowało powiewu znad oceanu. Ed próbował objaśnić jej cechy klimatu w głębi lądu, ale dla Eve było zbyt gorąco na słuchanie meteorologicznych pogadanek. Wczoraj wy-

brali się na przejażdżkę rowerem wodnym po Tidal Basin w pobliżu pomnika Jeffersona. Prosiła Eda, żeby pedałował coraz szybciej, gdyż powietrze wtedy trochę się poruszało, i po półgodzinie spocony mąż ledwie dyszał, za to temperatura Eve spadła o jeden stopień. Ale i tak było wesoło. Dawno nie zwiedzali niczego razem, w ogóle bardzo rzadko robili to wspólnie. Eve dużo podróżowała, zanim się poznali, ale Ed wolał podczas wakacji w inny sposób się relaksować i ładować wyeksploatowane przez pracę akumulatory. Dotąd wyjeżdżali z Anglii tylko po to, by poszukać słońca. Najodważniejsze decyzje, jakie wówczas podejmowali, dotyczyły zajęcia leżaka po tej czy innej stronie basenu, najwięcej przygód zaś zdarzało im się w łóżku po trzech koktajlach.

Przed weekendem Eve kupiła przewodnik i mapę oraz zrobiła listę rzeczy, które powinni zobaczyć, gdyby tylko nie było tak okropnie gorąco, a jej przez cały czas nie chciało się spać. Z góry postanowili odłożyć na następny raz odwiedziny w słynnym Air and Space Museum (dziecko mogłoby się okazać wielbicielem Amelii Earhart i samolotu Tiger Moth). Przeszli bardzo powoli od Kapitolu, przez Mail, do niewiarygodnie wysokiego pomnika Waszyngtona, a potem do zniewalającego swą potęgą pomnika Weteranów Wojny w Wietnamie. Eve stała i płakała, wzruszona do łez na myśl o młodych ludziach, których nazwiska wyrzeźbiono w czarnym granicie, a którzy byli przecież czyimiś dziećmi, spoczywali kiedyś pod matczynym sercem i ktoś snuł na ich temat marzenia. Ed łagodnie odprowadził ją na bok, mrużąc, że może tym razem darują sobie zwiedzanie Muzeum Holokaustu i cmentarza Arlington. Potem Eve opadła z ulgą na stopnie pomnika Lincolna, wsunęła się w mały skrawek cienia i pozostawiła Edowi wspinanie się na szczyt i oglądanie wielkiego Abe.

Teraz myślała o drugiej porcji lodów. I o tym, że od miesięcy nie czuła się taka szczęśliwa, choć przecież samotność, która prześladowała ją po przyjeździe, wcale się nie zmniejszyła. Spędzała trochę więcej czasu z innymi mieszkankami kamienicy, o Violet coraz częściej myślała prawie jak o przyjaciółce, ale właściwie niewiele się zmieniło. Trudno przyznać (brzmiać przy tym jak osoba normalna), że dziecko w brzuchu dotrzymuje nam towarzystwa. Ale tak było i starała się patrzeć w przyszłość. Cięża przyniosła z sobą zapowiedź wielu nowości. Będzie dziecko, tak bardzo wytęsknione już i kochane. A z nim szkoła rodzenia, inne dzieci i ich matki, wspólne zabawy, lekcje muzyki, przynależność do klubu spacerujących z wózkami. Eve będzie trzymać za rękę malutką dziewczynkę wspinającą się w parku na figurę Alicji w Krainie Czarów. Potem dziewczynka, trochę większa, pójdzie do szkoły ubrana w fartuszek w biało-niebieskie paski, jaki noszą uczennice Marymount, szkoły niczym z książek o Madeline. Ten kryty miedzianym dachem budynek przy Piątej Alei, naprzeciwko Metropolitan Museum, Eve mijała codziennie, idąc na spacer wokół jeziora. Znajdzie swoje miejsce oraz cel w życiu i wszystko będzie cudownie. Wrócił Ed. Uśmiechnął się do niej.

- Wyglądasz na szczęśliwą. Zgrzaną, ale szczęśliwą.

- Jestem, kochanie. Używając nieśmiertelnych słów, które podobno zostały wypowiedziane na jednym z tych schodków: „Miałam sen...”.

Powędrowali ulicami w stronę Białego Domu. Okazał się zaskakująco mały, choć według przewodnika miał 132 pokoje. Poprosili jakiegoś nieznajomego, by zrobił im zdjęcie, gdy stali oparci o czarną barierę przed wejściem. Potem, trzymając się za ręce, wrócili do hotelu.

- Zarezerwowałem na wieczór stół w restauracji.

Erie Ripert, sławny szef kuchni z Le Bernardin w Nowym Jorku, otworzył niedawno restaurację w ich hotelu. Eve jeszcze na Manhattanie przeczytała od deski do deski przewodnik po restauracjach *Zagat Suwey* i umieściła Le Bernardin w pierwszej dziesiątce lokali do wypróbowania. „Zanim urodzi się dziecko”.

- Naprawdę? Cudownie!

- Pomyślałem sobie, że zaproszę żonę na kolację. Ścisnęła go za rękę.

- Wiem, że ostatnio byłem okropny.

Nie zaprzeczyła.

- Obiecuję, że się bardziej postaram. Nie musimy o tym rozmawiać. To znaczy, możemy, jeśli chcesz, ale według mnie nie ma takiej potrzeby. Zrozumiałem. Postaram się włożyć we wszystko więcej wysiłku.

Próbowała nie zwracać uwagi na użyte przez niego słowa: „postaram się” i „wysilek”. Dobrze im było razem w Waszyngtonie – cieszyła się, że tu przyjechali.

- Dziękuję.

Zatrzymał się, objął żonę i mocno przytulił do siebie.

- Kocham panią, pani Gallagher. – Potem pochylił się i pocałował ją w brzuch, nie zwracając uwagi na rozbawione spojrzenia boyów hotelowych. – I ciebie też kocham, potomku Gallagherów.

Oczy Eve wypełniły się łzami. Ed rzadko pozwalał sobie na takie gesty i bardzo ją to wzruszyło.

Rachael

Czwarty Lipca był ulubionym świętem Rachael. Uwielbiała jego powszechność, letnią pogodę, jedzenie, fajerwerki, głupie, łzawe uczucie dumy, które wzbierało w niej, gdy słyszała *Gwiazdzisty sztandar*. Jej rodzice nigdy nie byli szczególnie religijni, więc gdy dorastała, Rosz ha-Szana, Jom Kippur i Pesach nie miały dla niej takiego znaczenia jak amerykańskie święta: Czwarty Lipca i Święto Dziękczynienia. Odkąd jej pradziadowie w ubiegłym wieku przybyli tu z Rosji, rodzina nie przestrzegała szabatu ani postu. Rachael rozumiała i podziwiała tych, którzy to

robili, i w młodszym wieku myślała, by bardziej zaangażować się w praktyki religijne. Studiując w Kalifornii, zastanawiała się, co by było, gdyby zakochała się w kimś innej wiary, niepewna reakcji swych niby-niepraktykujących rodziców. Ale tak się nie stało. David nie zaglądał do synagogi od czasów własnej bar micwy, ale przynajmniej ją miał. W ogóle nie praktykował, nie wierzył w Boga i wyrażał wdzięczność, że można jednocześnie być żydem i ateistą. Ślub wzięli pod chupą, David rozbił butem kieliszek – było pięknie. A potem bez większych problemów prowadzili raczej świeckie życie (z krótkim i traumatycznym zwrotem w stronę judaizmu z okazji obrzezania Jacoba i Noah). Z uwagi na dzieci obchodzono rodzaj hybrydy Bożego Narodzenia i Chanuki, co zdawało dobrze egzamin chyba tylko w Nowym Jorku. Była choinka, menorą, pieczona gęś i prezenty przez dziewięć dni. Nie odwiedzano kościoła ani synagogi, za to w pierwszy dzień świąt chodzono czasem do kina. Jeśli dzieci czuły się trochę zagubione, nigdy o tym nie wspominały (obawiając się może zmniejszenia liczby prezentów).

Rachael wolała więc amerykańskie święta – dni, w których czczono pionierskiego ducha i wolę przetrwania oraz triumf wolności nad tyranią. A że bliższe jej było lato niż zima – ulubionym świętem stał się Czwarty Lipca.

W dzieciństwie wydawało jej się, że ten dzień trwa dwa razy dłużej od wszystkich innych dni gorącego, niekończącego się lata. Wszędzie wisiały chorągiewki i flagi. Wszyscy mieli wspaniałe nastroje. Dorosli zajęci popijaniem piwa i daiquiri zapominali o dzieciach, zdrowych posiłkach oraz godzinach chodzenia spać. Pamiętała, jak będąc małą dziewczynką, biegała z wielką bandą kuzynów i znajomych dzieci opita słodkim bezalkoholowym piwem i objedzona ciasteczkami przypiekany na ogromnym ognisku wznoszonym co roku na plaży przed domem, starając się unikać spojrzeń każdego, kto potencjalnie mógłby posłać ją do łóżka. Właśnie Czwartego Lipca całowała się po raz pierwszy, późnym wieczorem na wydmach. Miała wtedy czternaście lat, aparat na zębach, pachniało pieczonymi piankami, a z tarasu przy domu niosła się piosenka *Thunder Road* Bruce'a Springsteena.

A teraz stała ze szklanką własnego daiquiri, patrzyła na zabawy własnych dzieci i przepelniało ją głębokie, przyjemne uczucie spełnienia. Wszystko było takie jak zawsze, takie, jak być powinno.

Zmieniły się tylko szczegóły. Rachael była dorosła i wśród gości pojawili się jej przyjaciele, znajomi rodziców zaś, starsi, mniej ruchliwi, obserwowali przygotowania z głębokich foteli, z których dźwigali się z trudem i narzekaniem. Jej dzieci, jak ona kiedyś, chowały się, śmiały i czekały na rozpoczęcie fajerwerków. Spojrzała na Davida otwierającego puszki piwa na drugim końcu długiego tarasu. Gdy spotkali się wzrokiem, posłała mu całusa. Jaki cudowny dzień. David poprzysuwał sobie sprawy w pracy i przyjechał już wczoraj, by pomóc w przygotowaniach, choć rodzice zawsze zatrudniali catering i obsługę baru.

Znacząca zmiana. David z teściową nie od początku przepadali za sobą. Prawdę mówiąc, Rachael podejrzewała, że matka uważa, iż David nie zasługuje na jej córkę, choć gdy pytał, a początkowo pytał o to dość często, gwałtownie zaprzeczała. Nie wiedziała, czy opinia matki odnosiłaby się do każdego mężczyzny, czy dotyczyła tylko Davida. Początkowo irytowało go to. Mówił, że przez teściową nabawi się kompleksu niższości. Rachael zapewniała męża, że nie ma racji. Też ją to złościło. Matka była bardzo krytyczna. W niezwykle denerwujący sposób wyolbrzymiała każdą wadę, nie pozwalając o niej zapomnieć. W pewne Święto Dziękczynienia, gdy upokorzyła Davida przy stole, Rachael zwróciła jej uwagę. Uśmiechnęła się, poszła za nią do kuchni i tam, gdy nikt nie słyszał, syknęła, by wreszcie dała mu spokój. Matka odpowiedziała sztucznym uśmiechem i wróciła bez słowa do jadalni, ale przez resztę świąt i w ogóle od tej pory zachowywała się nienaganie. Złagodniała po narodzinach Jacoba – David był teraz ojcem jej wnuka, co dawało mu wyższą pozycję, czyniło nietykalnym.

Teraz, po latach, Rachael wzruszał widok tych dwojga razem. Zresztą wiele rzeczy ją dziś wzruszało. Przyjaciele, z którymi dorastała, mieszała się z grupą nowych znajomych. Tego roku, po raz pierwszy, zaprosiła parę osób z kamienicy. Eve i Eda, bo byli mili, a poza tym mogli nie mieć żadnych planów na ten najbardziej amerykański dzień roku. Niestety, wyjechali. Todd i Greg wpadli wcześniej na chwilę, jak powiedzieli, w ramach wycieczki objazdowej po coraz wspanialszych przyjęciach. Zaprosiła ich, gdy dowiedziała się, że będą w Sag Harbor w świąteczny weekend, a Todd oświadczył, że umiera z chęci, by obejrzeć jej dom. Miała nadzieję, że się nie rozczarował – wnętrza, w których dominowały wiklina i perkal, niewiele zmieniły się przez ostatnich dziesięć lat – lecz on zachwycał się proporcjami pokoi, oszłamniającymi widokami, a jeśli uważał, że całość zyskałaby na urządzeniu jej meblami Manuela Canovasa i Philippe'a Starcka wartości pół miliona dolarów, zachował to dla siebie. Obaj właśnie wyszli, by kabrioletem bmw Grega udać się na pokaz fajerwerków w Amagansett.

Rachael zdziwiła się, gdy zadzwoniła Kim, oznajmiając, że zjawią się na przyjęciu z Avery. Zaprosiła Kramerów tylko dlatego, że była prawie pewna odmowy. Nie nazwałaby siebie i Kim przyjaciółkami. Dobre sąsiadki – tak. Ale nie miało to nic wspólnego z prawdziwą przyjaźnią. Zeszłego lata odbyły kilka dość sztywnych spotkań, próbując, bez większego efektu, zainteresować sobą Mię i Avery, ale nigdy nie umawiały się same na kawę czy lunch. Rachael nie sądziła, że to w ogóle możliwe. Miała zbyt mało czasu dla kobiet, których towarzystwo naprawdę lubiła – dawnych koleżanek ze szkoły czy ze studiów – by spotykać się jeszcze z kimś takim jak Kim. Uważała ją za sztywną i przewrażliwioną. Rachael miała problem z kobietami, które spełniały się tylko w roli matek. Nie wiedziała, gdzie pracowała Kim przed urodzeniem Avery, i pamiętała, że łatwo krytykować innych, ale nie podobało jej się, że zatrudnia Esme. Po co opiekunka na prawie pełny etat osobie,

która sama nie pracuje i siedzi w domu? Co robią we dwie przez cały dzień? Avery wymagała opieki – ale przecież nie dwóch dorosłych osób. Esme i Milena rozmawiały czasem w parku, jak to nianie mają w zwyczaju, i Rachael wiedziała, że Kim wyprowadza Esme z równowagi ciągłym sprawdzaniem wszystkiego i brakiem zaufania. Pewnie nie było jej łatwo.

Patrzyła, jak Mia, w letniej sukience w czerwone, białe i niebieskie paski oraz tiulowych skrzydełkach, które nosiła na plecach przez cały dzień, mocuje się w piasku z Sadie, wnuczką sąsiada, i przypomniała sobie, że jej córka tak samo nie pasuje do Avery, jak ona do Kim. Avery wciąż marudziła, domagała się czegoś, nie chciała się niczym dzielić, a Mia, najmłodsza z trójki rodzeństwa, wesola, pewna siebie i dojrzała jak na swój wiek, nie miała do niej cierpliwości. Dzieci nie są głupie. Potrafią całkiem dobrze ocenić charakter innych.

A teraz cała trójka zjawiała się na przyjęciu. Wymagało to pewnego wysiłku – w taki dzień jak dzisiaj droga z ich części Long Island musiała zająć sporo czasu. Kim, prawdę mówiąc, wyglądała ładniej niż zwykle, ubrana była w koraloworóżową sukienkę odsłaniającą złociste ramiona i biały koronkowy szal. Miała też, co rzadko jej się zdarzało, lekki makijaż. Jason był facetem niebrzydkim, lecz zupełnie nie w typie Rachael. Banalnie przystojny blondyn o dość regularnych rysach i zielonkawych oczach. Nie miał interesującej twarzy, a takie właśnie lubiła. Davidowi mogła przyglądać się godzinami – pełnym iskierek brązowym oczom, delikatnym zmarszczkom między brwiami i po obu stronach nosa. Milionom uśmiechów, z których każdy lekko różnił się od innych. I małej bliźnie na prawym policzku.

Kramerowie rozmawiali właśnie ze starymi partnerami do brydża rodziców Rachael, choć oczy Kim wciąż uciekały w stronę Avery zajętej obsypywaniem się piaskiem za pomocą niebieskiej łopatkki. Rachael pomyślała, że trzeba ich ratować – staruszek był strasznym nudziarzem i zagorzałym republikaninem. Powinni raczej porozmawiać z którymś z młodszych gości. Ruszyła wolno w ich kierunku.

Jason patrzył, jak nadchodzi, i czuł przyspieszone bicie serca. Wyglądała tak pięknie! Jej skóra, choć lato dopiero się zaczęło, była brązowa, ramiona silne, a jednocześnie kobiece i, na pewno, jedwabiste w dotyku. Nosiła jasną, krótką sukienkę bez rękawów, odsłaniającą ręce i dużą część nóg, a w jej uszach połyskiwały brylantowe kolczyki. Gdy pochyliła się, by go pocałować, poczuł znajomy, cudowny zapach.

– Jason, Kim! Tak się cieszę, że przyjechaliście! Wspaniale was widzieć! Cześć, Avery! – Pochyliła się i zmierzwiła dziewczynce włosy. Pod cienką sukienką Jason zauważył zarys stringów i lekko zatrzęsły się pod nim kolana. Rzadko widywał Kim w bieliźnie, a od pewnego czasu wcale mu na tym nie zależało. Kiedyś nosiła stringi. Teraz już nie. Strasznie przejmowała się małą fałdką pozostałą po

cesarskim cięciu. Nienawidziła jej, choć dla Jasona ta usterka nie miała większego znaczenia.

– Dziękujemy za zaproszenie. Chyba trochę się spóźniliśmy. – Kim, jak zwykle, była sztywna i skrepowana.

– Ależ skąd. Zresztą, nie przegapiliście przecież fajerwerków. – Wskazała na niebo, na którym słońce wciąż stało wysoko i mocno grzało. – Znaleźliście już coś do jedzenia?

– Jeszcze nie – odpowiedział Jason.

– Musicie podejść do bufetu i się poczęstować. Moja matka czwartego lipca zwykle szaleje z potrawami. Są homary, krewetki, filety...

– Brzmi smakowicie.

Rachael próbowała znaleźć jakiś temat rozmowy. Zawsze w towarzystwie Kramerów miała z tym problem. Było to dość wyczerpujące.

– Minęliście się z Toddem i Gregiem. Wpadli tu po drodze do Amagansett.

– Ach tak.

Jason stał nieco za blisko i przyglądał jej się trochę zbyt natarczywie. Rachael zastanawiała się, czy Kim to widzi. Czasami zachowywał się tak w windzie – gdy David z nimi nie jechał. Nie było to może „obleśne”, jak powiedziała Mia, ale czuła się zażenowana. Doszła do wniosku, że Jason należy do osób o nieco innym poczuciu przestrzeni osobistej.

– Jak... mija wam lato?

– Avery i ja będziemy w domku aż do Święta Pracy – odparła Kim.

– Ja jeżdżę tam i z powrotem autobusem – dodał Jason. – A ty?

– My przebywamy w mieście albo w Connecticut. Dorastałam w tym domu, więc, gdy przyjeżdżam, mam co robić, ale tak naprawdę nie czuję się już mieszkanką Southamptona. Na szczęście jest wybór. Choć nie wyobrażam sobie, że mogłoby mnie tu zabraknąć Czwartego Lipca. Chyba ani razu nie opuściłam tego święta.

Jason pokiwał głową, jakby powiedziała coś niezwykle głębokiego, a tylko on to zrozumiał.

– Nie mieszkasz przez cały czas w Connecticut?

– Nie. – Z żalem pokręciła głową. – Byłoby wspaniale, ale praca... – Wzruszyła ramionami. – Staram się spędzać przynajmniej część tygodnia z dziećmi. Millie jest z nimi, chodzą na tenisa, warsztaty naukowe i mają różne atrakcje. Ja, niestety, muszę pracować.

Kim uśmiechnęła się kwaśno.

– Musisz? Czy chcesz? – zapytała ostro.

Jason i Rachael wytrzeszczyli oczy, zdumieni jej niegrzecznością. Kim chętnie cofnęłaby pytania, które właśnie zawisły w powietrzu, ale zło już się stało. Mogła

tylko brnąć dalej. Rachael, zbyt wstrząśnięta, by się gniewać, po raz pierwszy uświadomiła sobie, jak bardzo Kim musi być nieszczęśliwa. Tylko ktoś naprawdę niezadowolony z życia mógł zachować się tak paskudnie. Właściwie czuła dla niej litość.

- Szkoda tylko, że tak dużo czasu spędzasz z dala od dzieci.

Rachael westchnęła. Ileż to razy słyszała podobny ton w głosie niepracującej matki? Nawet nie miała ochoty się bronić – skończyła z tym, gdy Jacob nauczył się chodzić. Po prostu było jej smutno, że kobiety tak łatwo potępiają decyzje innych kobiet. Nie dostrzegają, że każda z nich (a przecież istnienie tylu możliwości jest wielkim szczęściem) to kompromis. Wbiła paznokcie w dłoń i zmusiła się do uśmiechu, starając się nie zapominać, że ona też krytykowała w myślach Kim. Jason patrzył na żonę z gniewem. Nawet odsunął się od niej o krok.

- Na pewno świetnie się bawią.

- Też tak sądzę. – Rachael uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością.

- Kim, gdybyś wróciła do pracy, na pewno zachowywałabyś się tak samo. – Teraz posunął się w obronie Rachael trochę dalej, niżby sobie tego życzyła. Dotarło do niej, że stoi na linii ognia klócej się pary.

- Avery jest taka mała, że w ogóle nie biorę tego pod uwagę.

Kim dobrze wiedziała, że sąsiadka wróciła do pracy, kiedy Mia skończyła trzy miesiące. Rachael nie miała ochoty prowadzić tej rozmowy. Ten dzień nie był przeznaczony na kłótnie. Odwróciła lekko głowę, próbując przyciągnąć wzrokiem Davida, ale on śmiał się właśnie z czyichś słów i niczego nie zauważył.

- Po prostu przyście Avery na świat kosztowało mnie tak wiele. – Kim uśmiechnęła się z przymusem. – Nie zniosłabym, gdyby wychowywał ją ktoś inny.

O Boże! Teraz postanowiła użyć jako argumentu *in vitro*. Naprawdę chwytła się dziś wszystkiego. Zresztą nie po raz pierwszy. Rachael ogarnęła wściekłość. Jakby poczęcie, ciąża i urodzenie dziecka przebiegające w bardziej konwencjonalny sposób były czymś nieistotnym – jakby jej dzieci nie „kosztowały tak wiele”. I jad skorpiona ukryty w słowach: „Wychowywał ją ktoś inny”. Mógłby zranić, gdyby miała dla Kim więcej szacunku. Z drugiej strony, wtedy sąsiadka byłaby osobą, która nigdy nie powiedziałałaby czegoś takiego.

Rachael uśmiechnęła się do niej z roztargnieniem, napotkała wzrok Jasona i popatrzyła w inną stronę.

- To chyba ktoś, z kim sto lat temu byłam na obozie letnim! Przepraszam, ale muszę się przywitać. Poczestujcie się homarem. I znajdźcie dobre miejsce do oglądania fajerwerków. Naprawdę robią stąd wrażenie!

Kim, gdyby mogła, cofnęłaby czas o pięć minut. Jason patrzył na nią z takim obrzydzeniem, że czuła, iż ze wstydu chyba zapadnie się pod ziemię.

– Musiałaś być taka wredna? – rzucił, odwracając się tyłem. Były to ostatnie słowa, jakie wypowiedział do niej tego wieczoru.

Kim

Wracali samochodem do domu z Avery śpiącą smacznie na tylnym siedzeniu. Kim czuła wiszącą w powietrzu dezaprobatę Jasona. Czuła ją przez cały wieczór, gdy siedząc obok niego, patrzyła na rozbłyskujące na bezchmurnym niebie fajerwerki i żałowała, że nie obejmuje jej ramieniem. Wokół widziała wtulone w siebie pary. Wiedziała, że postąpiła okrutnie i mściwie, nawet jeśli powiedziała tylko kilka słów. Miał prawo być zły. Nawet bardzo. Nie rozumiała, dlaczego to zrobiła.

Nieprawda. Rozumiała dobrze. Nigdy nie powiedziała tego Jasonowi ani Rachael. Z trudem przyznawała się nawet przed sobą. Zazdrość wobec Rachael Schulman rosła w niej jak nowotwór. Sąsiadka miała wszystko. Była piękna, smukła, drobna, nieskazitelna. W każdym stroju wyglądała ładnie. Mąż ją uwielbiał, a trójka dzieci, których przyjście na świat nie kosztowało jej połowy zdrowia, grzecznie się zachowywała. Miała setki przyjaciół, pracę, bogatych rodziców, mnóstwo możliwości. Mogła twierdzić, że wybrała Connecticut i wcale nie jest już mieszkanką eleganckiego, snobistycznego Hamptons, a jednocześnie królować tam w rezydencji wielkości zamku Camelot. Życie Rachael się nie rozsypywało. Nie bała się, że wszystko wokół niej może runąć w każdej chwili jak domek z kart. Nie była nieszczęśliwa.

– Przepraszam za to, co powiedziałam. Zachowałam się niewybaczalnie.

Jason prowadził, nie odrywając wzroku od szosy. Nie odwrócił się, by spojrzeć na żonę, choć ona mówiła, patrząc wprost na niego.

Mógł od razu uciąć temat lub ciągnąć go przez resztę wieczoru, weekendu, przez resztę ich przekłętego życia.

– Owszem. – Zatem będzie rozmowa.

Wcześniej, biorąc prysznic, Kim myślała, że może dziś w nocy będą się kochać. Wkładając bieliznę, poczuła nawet lekki przypływ pożądania na myśl, że potem on ją z niej zdejmie. Na przyjęciu będą się dobrze bawić i w przyjaznym nastroju wrócą do domu. Jason zauważy, że starała się ładnie wyglądać. Może nawet to powie? Czemu wszystko nie miałyby ułożyć się w ten sposób. A gdy wieczór się skończy, będą leżeć razem pod czarodziejską kołdrą jego matki.

Teraz sama myśl o tym wydawała się idiotyczna. Nic podobnego nie nastąpiło i nie nastąpi. Kolejna porażka. Pamiętała przecież, jak było kiedyś. A na wsi wszystkie wspomnienia wracały ze zdwojoną siłą. Przeszłość nie dawała jej spokoju. Czy Jason też o niej pamięta?

Cisza. Gęsta, ciemna i nieprzenikniona. Wreszcie się odezwał.

– Dlaczego to zrobiłaś?

Słowa rosły jej w gardle. Obronne, małostkowe, niesprawiedliwe.

– Nie wiem – odpowiedziała łamiącym się głosem.

– Czy jesteś tak cholernie nieszczęśliwa, że musisz rozsiewać podły nastrój wszędzie, gdzie tylko się pojawisz? – Tym samym tonem, nowym i bezwzględny, mówił do niej na plaży. Przerzął ją.

Na myśl o łzach Kim Jason poczuł zniecierpliwienie i niesmak. Jaki ona ma powód do płaczu? Zepsuła mu popołudnie i wieczór. Rachael podeszła do nich dopiero na samym końcu, gdy już wychodzili. Avery złościła się i hałasowała, choć inne dzieci jak zaczarowane wpatrywały się w fajerwerki, leżąc spokojnie na chłodnym piasku lub na kolanach rodziców.

Byli toksyczni, cała ich trójka. A on nie wiedział, kiedy i dlaczego to się stało. I czuł nienawiść.

Tej nocy Kim udała się na dobrowolne wygnanie do sypialni Avery. Jason, chociaż nie zgłosił sprzeciwu, gdy zabierała poduszki i koc ze swojej części łóżka, jakoś nie mógł zasnąć. Jego myśli mknęły jak szalone w nieruchomym powietrzu. O trzeciej nad ranem poszedł napić się zimnej wody. Wracając na górę, przystanął przed drzwiami pokoju Avery. Córka przeszła do łóżka żony i obie, zwrócone do siebie twarzami, leżały splecione na wąskim posłaniu. Kim opiekuńczo obejmowała małą ramieniem, a ona zarzuciła jej rączkę na szyję. Jason poczuł przypływ czułości, tak obcy, aż nim to wstrząsnęło. Stał i przyglądał się im przez chwilę. Leżały oblane światłem tego samego księżyca, który kiedyś, w innym życiu, oświetlał jego i Kim.

Potem w łóżku ukrył twarz w dłoniach i płakał; nie robił tego chyba od dnia, w którym urodziła się Avery.

Rachael

W Southampton wynajęta obsługa właśnie kończyła sprzątanie. Resztki jedzenia, wystarczające, by wykarmić niewielką wieś, zapakowano i upchnięto w dwóch ogromnych lodówkach. Rodzice Rachael poszli spać. Dzieci także, zupełnie wykończone. Mia i Jacob zasnęli i ani drgnęli, gdy David zaniósł ich na górę do łóżek. Rachael leżała na ogromnej wiklinowej sofie na tarasie, opierając stopy na kolanach męża. Za domem szumiał ocean. Uświadomiła sobie z uśmiechem, że to najprzyjemniejsza chwila przyjęcia. Zadowoleni goście udali się do swych domów i znów zapanowała cisza. Chciało jej się spać. Żeglowała z dziećmi od siódmej rano, gdy David grał w Salisbury w golfa z jakimiś znajomymi z pracy. Spalił sobie nos.

Jak zwykle. Długi, cudowny dzień. Złocisty. Tak nazywali dni, w których nie zmieniliby nawet sekundy. Pierwszym był ten wśród morskiej piany, wiele lat temu. Pomyślała, że dostali ich więcej, niż zasłużyli. A oto minął kolejny. Są tacy szczęśliwi. Przez chwilę pomyślała o Jasonie i Kimberley i obraz tamtych dwojga, ich spojrzeń, przepłynął po jej złocistym niebie jak czarna deszczowa chmura.

Dobrze się bawili, ale nie mogła się doczekać, kiedy wrócą do Connecticut. Jutro pojedą do domu, przeprawia się dwoma promami. Jeśli wyruszą zaraz po śniadaniu, dzieci wczesnym popołudniem będą już siedziały w basenie. Na resztę tygodnia wzięła wolne, a Millie zrobiła sobie urlop, więc następne cztery dni spędzą tylko w piątkę. Co za rozkosz.

– Wyjeżdżamy jutro rano?

David masował jej stopę. Zwolnił ruchy i nacisk palców stał się słabszy.

– A, właśnie.

– Co?

– Miałem ci powiedzieć wcześniej, ale tyle się działo.

– Powiedzieć co?

– Muszę jutro pojechać do pracy. Pewnie na następne dwa dni. Dzwonili do mnie rano, gdy byłem na polu golfowym. Przyszły nowe informacje w związku z dużą sprawą, która czeka na proces...

– I koniecznie trzeba się nią zająć teraz?

– Obawiam się, że nie ma innego wyjścia.

– W święto Czwartego Lipca?

– Sprawa idzie do sądu w przyszłym tygodniu, więc niestety tak.

– Cholerny świat. Tak się cieszyłam, że spędzimy resztę długiego weekendu razem: tylko my i dzieci.

Pochylił się i pocałował duże palce stóp żony.

– Ja też. Przysięgam, że przyjadę w piątek wieczorem, nawet jeśli starszy partner ma się wściekać. Weekend będzie dla nas. Obiecuję.

Rachael z nadaśaną miną wysunęła dolną wargę.

– Cóż, chyba muszę się z tym pogodzić – powiedziała z urazą.

– Chyba tak – przedrzeźniał jej ton.

– Niech ci będzie. Ale musisz mi to wynagrodzić.

– Zrobię wszystko. Twoje życzenie, pani, jest dla mnie rozkazem.

– Hm. Zacznijmy od masażu stóp. Proszę o trochę szybsze tempo. Mia zrobiłaby to lepiej.

David uniósł lewą stopę i pieszczotliwie ugryzł ją w mały paluszek.

– Lepiej, prawda?

Szarpnęła się i z piskiem próbowała uwolnić nogę z mocnego uścisku. Przytrzymał ją jedną ręką, ustami dotknął łydki, a potem kolana i nagiego brązowego uda. Nastrój od razu uległ zmianie.

– Coś jeszcze?

Rachael przestała chichotać. Objęła dłońmi głowę męża, przyciągając ją lekko ku sobie podczas tej rozkosznej podróży. Wsunęła mu palce we włosy, tuż przy uszach.

– Chyba mam pewien pomysł... wejdźmy do środka...

– Czemu? Od kiedy stałaś się pruderyjna? Twój rodzice są w łóżku. Dzieci śpią jak zabite...

– Hmm... pruderyjna. Jak śmiesz!

– Pragnę cię Rach. Tu i teraz.

David

Następnego dnia, wczesnie rano, Rachael podwiozła Davida do miasteczka na przystanek (odrzucił propozycję, by rodzina udała się do Westport przez Manhattan i zostawiła go tam po drodze). Po wejściu do autobusu zobaczył siedzącego w piątym rzędzie Jasona Kramera i lekko przygasł. Było pustawo, większość ludzi została pewnie w domu na długi weekend, nie mógł więc udawać, że go nie widzi. Sąsiad podniósł oczy znad książki i pomachał do niego, a David opadł na przeciwległe podwójne siedzenie.

– Też musisz jechać do pracy?

– Niestety tak.

– Ciężko stąd wyjeżdżać, co?

– Bardzo ciężko.

O tej porze dnia słowny ping-pong przychodził Davidowi z pewnym trudem. Wolałby wypić w spokoju kawę, podrzemać, popatrzeć, jak wiejski krajobraz przechodzi w nowojorskie przedmieścia. Nie miał ochoty na pogwarki z Jasonem Kramerem.

– Wspaniałe przyjęcie. Fajerwerki robiły niezwykle wrażenie.

– Rodzice Rachael zawsze urządzają wielką fetę z okazji Czwartego Lipca.

– Same efekty pirotechniczne musiały kosztować tysiące dolarów.

David mieszkał w Nowym Jorku od wielu lat, lecz nigdy tak naprawdę nie przyzwyczał się do rozmów o pieniądzu. Sam nie miał ochoty opowiadać o tym, ile zapłacił za samochód, mieszkanie, szkołę dzieci czy pierścionek zaręczynowy dla żony, choć nowojorczykowi wszystkie te tematy wydawały się jak najbardziej na miejscu.

– Możliwe. Nie zasięgał u mnie porady w sprawie budżetu. – Wiedział, że zabrzmiało to trochę cierpko, a Jason się spieszył. No i bardzo dobrze.

– Naturalnie. Chodziło mi tylko o to, że były wspaniałe.

– Owszem. – David skinął głową i uśmiechnął się półgębkiem, na znak przebaczenia.

– Rachael pięknie wyglądała. Szczęściarz z ciebie, Davidzie.

– Dobrze o tym wiem.

Wiedział też, że powinien zrewanżować się podobnym komplementem, ale nie mógł z czystym sumieniem powiedzieć Jasonowi nic miłego na temat Kim. Szczerze mówiąc, niespecjalnie mu się podobała. Na ogół chodziła zaniedbana i z kwaśną miną, choć zeszłego wieczoru z daleka wyglądała nie najgorzej, a blisko nie podchodził.

Mimo wszystko...

– Ty też. Avery ci rośnie. Będzie kiedyś wysoką dziewczyną.

– Osiemdziesiąt pięć centyli. – Jason ledwie mógł uwierzyć, że to powiedział.

Kim recytowała podobne liczby po każdej wizycie u pediatry (których było nieproporcjonalnie wiele). Szczerze mówiąc, nie miał pojęcia, co właściwie znaczą. Wiedział tylko, że zdaniem Kim to dobra wiadomość.

David wydawał się nieco zaskoczony. Pewnie też nic z tego nie zrozumiał. Przez chwilę Jason starał się sprawiać wrażenie zajętego swym BlackBerry, wysyłaniem e-maili i odsłuchiowaniem wiadomości z poczty głosowej. Nie było ich wiele. Mógłby zostać na Long Island przez dzień czy dwa. Gdyby chciał. Spojrzał na Davida, który drzemał z głową na oparciu fotela. Jason nie zastanawiał się nad wyglądem innych mężczyzn, lecz teraz, skoro miał okazję, przyjrzał się uważnie sąsiadowi. Był przystojny, lecz w dość niekonwencjonalny sposób. I nie aż tak bardzo. Choć nosił drogi garnitur, wyglądał jak człowiek nie tyle z Wall Street, ile z Venice Beach. Kalifornijskiej duszy nie mogła stłumić granatowa jednorzędowa marynarka z lekkiej wełny i krawat od Ferragamo. Włosy na karku były z pewnością odrobinę za długie i z zaczesanej do tyłu fryzury wymykały się kosmyki. Nos miał zaczerwieniony od słońca. Powiesił marynarkę na wieszaku obok fotela, rozpiął dwa górne guziki koszuli i rozluźnił krawat. Jason widział gęste, ciemne włosy na jego piersi. I niezłą muskulaturę. David musiał często odwiedzać siłownię.

Oto mężczyzna, który każdej nocy śpi obok Rachael Schulman. Dotyka jej, kiedy tylko ma ochotę. Trzyma w ramionach to gładkie, brązowe, jędrne, drobne ciało, a czekoladowobrązowe oczy patrzą w jego własne z miłością i pożądaniem, pełne szczęścia.

Co, do diabła, robił piątego lipca w pierwszym porannym autobusie?

Jason patrzył na ich pożegnanie.

Rachael opierała się o samochód. Musiała wskoczyć do niego prosto z łóżka. Jej włosy nie były jak zwykle gładko uczesane, tylko rozczochrane i szalone. Miała na sobie białą bluzkę na cienkich ramiączkach i luźne spodnie w kwiatki, za szerokie w pasie. Opadały nisko na biodra, odsłaniając płaski brzuch.

David pocałował żonę w usta, jedną ręką przytrzymując głowę, a drugą zaborczo przyciskając jej pośladki do własnych bioder. Nie był to pocałunek przeznaczony dla oczu innych ludzi, ale Jason nie stracił z niego ani sekundy.

I wiedział na pewno, że gdyby jego życie małżeńskie wyglądało w ten sposób, nie siedziałby teraz w autobusie odjeżdżającym o 7:30.

Ruch na drodze był niewielki. Gdy David otworzył oczy, byli już w Queens. Dwadzieścia pięć minut później pożegnał się z Jasonem i stanął na chodniku w środku miasta. Zapowiadał się kolejny gorący dzień. Męcząca, ciężka wilgoć, typowa dla środka lata, wisiała już w powietrzu.

Otworzył klapy komórki i wystukał numer, jednocześnie zatrzymując taksówkę jadącą w stronę górnego Manhattanu.

- To ja.
- Gdzie jesteś?
- Na skrzyżowaniu Pięćdziesiątej i Trzeciej.
- Już? Musisz być napalony.
- Jestem. To chciałaś usłyszeć?
- Czekam.

Rozłączył się i wsiadł do żółtej taksówki, która zatrzymała się obok. Podał adres, a potem usiadł wygodnie, ocierając z brwi kropelki potu.

Jason popatrzył za odjeżdżającym samochodem, zastanawiając się, dlaczego David pojechał w kierunku północnym, skoro jego biuro znajdowało się przy stacji Grand Central, jedną przecnicę stąd na wschód.

Emily

Emily zaczęła brać udział w minitriathlonie, gdy była w pierwszej klasie szkoły średniej. Zawsze lubiła sport. Początkowo startowała z drużyną. Pływała albo jechała na rowerze, ale jej ulubionym etapem zawodów był bieg. W ostatniej klasie po raz pierwszy wystartowała sama w triathlonie sprinterskim. A na pierwszym roku studiów ukończyła solo triathlon olimpijski. Obecnie brała w nim udział po raz czwarty i po raz pierwszy w Nowym Jorku.

W Oregonie przychodziła jej kibicować mama, ale tu Emily trzymała całą sprawę w tajemnicy. W pracy nie wiedział nikt. Nie zależało jej na kibicach, liczyła

się własne osiągnięcia. Nigdy nie przepadała za sportem zespołowym. Lubiła rywalizować ze sobą, nie z innymi ludźmi – czerpała satysfakcję ze skrócenia czasu, a nie z pobicia walczącego z nią rywala. Powiedziała o wszystkim Charlotte, która oświadczyła, że jest dla niej pełna podziwu. Ale przyjaciółka i tak by nie przyszła – wybierała się na weekend do Seattle na ślub kuzynki. I bardzo dobrze. Strasznie by się wszystkim przejmowała. Była miła i dobra, ale Emily nie lubiła zamieszania.

Mama podarowała jej rower na dwudzieste pierwsze urodziny. Kosztował fortunę i musiała na niego długo oszczędzać. Była to szosówka Kestrel Talon, której rama ważyła poniżej półtora kilo. Nigdy nie miały zbyt dużo pieniędzy na przyjemności. Starczało na wszystko, czego potrzebowała Emily, lecz mama odmówiła sobie wielu rzeczy, aby kupić ten prezent. W kamienicy był specjalny schowek, ale Emily nie miała zamiaru zostawiać swego ulubieńca między zardzewiałymi damkami a dziecięcymi czterokołowkami. Wisiał na haku w pokoju dziennym, a Emily to nie przeszkadzało, bo uważała, że jest piękniejszy niż dzieło sztuki. Prawdę mówiąc, dla niej nim był.

Jej ulubioną część triathlonu stanowił bieg. Dziesięciokilometrowy. Drobiazg, gdyby wcześniej nie trzeba było płynąć i jechać na rowerze. Podczas pływania oszczędzała nogi, ale po czterdziestokilometrowym pedałowaniu uda trzęsły się jak galareta. Tym razem najbardziej denerwowała się pływaniem w Hudson. A raczej samą wodą. Nie lubiła tego etapu zawodów przypominającego przepychanie się w ludzkiej zupie. Choć podzielono ich na grupy – amatorów i profesjonalistów, a w grupie amatorów także ze względu na wiek i płeć – pierwszy moment, gdy wszyscy ruszali i zaciekle walczyli o miejsce w wodzie, wywoływał w niej panikę.

Wydała trzymiesięczne oszczędności na nowy kombinezon, zaprojektowany specjalnie na takie okazje. Nie wymagał przebierania się i można było zyskać cenne minuty. Najgorszy moment to wyjście z wody.

Adrenalina krążyła jej w żyłach. Uwielbiała to uczucie. Uzależniało jak narkotyk. Zeszłego lata w Oregonie latała na paralotni. Czuła to samo – gorąco, brak tchu, podniecenie. Czegoś takiego nie da się opowiedzieć – to trzeba przeżyć.

Właśnie zakończyła rejestrację. Ktoś z obsługi markerem wypisał jej na ręce i nodze numer 1232 i umocował na nadgarstku opaskę z czasem startu. Ruszała za 20 minut. Był wczesny ranek, więc nie zrobiło się jeszcze gorąco. Woda doskonała. Prognoza pogody zapowiadała niewielką wilgotność jak na tę porę roku, choć podczas biegu słońce będzie już mocno grzało. Zastanowiła się, czy iść do toalety, ale stwierdziła, że to tylko nerwy. Przez minutę czy dwie biegła w miejscu i robiła wymachy ramion. Najgorszy moment zawodów. Chciała już zacząć.

Przeplnięcie wymaganego dystansu zajęło jej 28 minut. Pierwszy moment, dopóki wokół się nie rozluźniło, rzeczywiście okazał się nieprzyjemny. Za dużo ciał, za dużo poruszających się rąk i nóg. Ktoś kopnął ją mocno w prawe biodro –

jutro będzie miała siniaka. Martwiła się też, czy nie wypila za dużo brudnej wody, ale w ogólnej chlapaninie nie dało się tego uniknąć. Za to miała niezły czas. Gorszy niż własny rekord, ale dość dobry. Na rowerze starała się jechać jak najszybciej. Liczyła, że właśnie teraz trochę nadrobi. Ostatnim razem pokonała 40 kilometrów w 59 minut. Ale w zeszłym tygodniu, podczas treningu, udało jej się to zrobić w 54 minuty. Wyskoczyła z wody, nie zważając na drżenie ud i tłum kibiców zebranych za taśmami odgradzającymi 97 Ulicę i park Riverside. Odnalazła rower i wsiadła na niego, wsuwając stopy w specjalne buty przymocowane do pedałów.

Dlatego nie zauważyła Jacksona.

To Raoul zdradził mu, że Emily bierze udział w nowojorskim triathlonie. Kilka dni temu podszedł do niego w hallu i przekazał wiadomość scenicznym szeptem, niczym jakiś nieudolny szpieg. Jackson nie miał odwagi zagadnąć Emily wprost, wyszukał w Google^ odpowiednie informacje. Domyślał się, co by odpowiedziała, gdyby spytał, czy może przyjść jej kibicować. Wiedział, co to jest triathlon, ale nie miał pojęcia, jakie odległości wchodzi w grę, dopóki nie przeczytał o tym w Wikipedii. Był pod wrażeniem, a na myśl o własnych wyczynach rowerowych ogarniało go zażenowanie. Nie po raz pierwszy pomyślał, że w przypadku Emily Mikanowski porywa się z motyką na słońce.

Nie wiedział, kto z nią przyjdzie. Pewnie cały legion wielbicieli. Ale postanowił spróbować.

Wynurzyła się z wody szybciej, niż przypuszczał, już po niecałych trzydziestu minutach. W kombinezonie wyglądała jak Ursula Andress. Zobaczył ją od razu. Ściągnęła czepek, a jej platynowy koński ogon opadł na ramiona. I przebiegła tuż obok Jacksona, nie zwracając na niego uwagi. Cholera. Tego nie było w planie.

Szybko pognał na następny etap.

Niestety, widzów i kibiców nie wpuszczono na West Side Highway – organizatorzy uznali, że to zbyt niebezpieczne. Jackson nie zobaczył więc zakończenia wyścigu rowerowego. Musiał czekać półtorej godziny, a może nawet dłużej, aż skończy się trzeci etap triathlonu – bieg. Ruszył na miejsce od razu, ze stanowczym zamiarem zajęcia pozycji gdzieś z przodu. Trasę biegu wyznaczono w parku, kończyła się niedaleko przecinającej go 72 Ulicy, obok muszli koncertowej. Od rana zebrał się tam spory tłum i panowała atmosfera festynu. Jakiś zespół grał na bębnach. Jackson zastanawiał się, czy postąpił bardzo głupio, zjawiając się tu. Przyszły setki ludzi, może nawet tysiące. A Emily nikogo się nie spodziewała i nie będzie się za nim rozglądać.

Organizatorzy wyznaczyli specjalny sektor dla kończących zawody. Rozdawano tam wodę i koce. Udzielano pomocy medycznej. Długi rząd ludzi w koszulkach z logo triathlonu trzymał setki zawieszonych na wstążkach medali. Zawodnik przebiegał linię mety, oddawaj swój numer, dostawał, czego mu było potrzeba, odbie-

rał medal i wychodził z ogrodzonego sektora na teren parku. Tam właśnie czekał Jackson. Nie widział, jak Emily dobiegła do mety, lecz stał w miejscu, gdzie tłum się przerzedzał i łatwiej było ją zauważyć.

Wreszcie się zjawila. Przez chwilę rozmawiała z facetem, który zawieszał jej medal na szyi, śmiejąc się z tego, co mówił. Nie rozglądała się po zebranych. Może nikt z jej znajomych nie przyszedł. Oprócz niego. Chyba nie spodziewała się nikogo ani niczego. Tak pięknie wyglądała. Jak Amazonka.

Wtedy zobaczyła Jacksona. Zresztą trudno było go przeoczyć. Miał na sobie fosforyzującożółtą koszulkę z wypisanym wielkimi drukowanymi literami różowym hasłem:

NAPRZÓD EMILY

Koszulka gryzła się wściekle z czerwoną baseballową czapką ozdobioną tym samym napisem. Obydwie zamówił w jednym z tanich punktów robiących nadruki w pobliżu Times Square.

Stał teraz z otwartymi szeroko ramionami, wypiętą pierśią, uśmiechnięty.

A Emily także się uśmiechnęła, specjalnie dla niego. I poczuł, że było warto. Podeszła bliżej, a jej niebieskie oczy rozbliły.

- Zwariowałeś.
- Podziwiam cię.

Roześmiała się. Charlotte po powrocie z Seattle pewnie zemdleje. Po prostu zemdleje. Właściwie to całkiem miłe. Wywołujące zamieszanie. Ale miłe.

- Myślałem o balonikach.
- Nie cierpię baloników.
- Albo kwiatkach.
- I tak by zwiędły. Strasznie tu gorąco.
- Właśnie. Ja też zwiędłem, ale po mnie tak tego nie widać.

Stali w odległości pół metra i patrzyli na siebie.

– Wszystko w porządku? To znaczy, dobrze się czujesz? Nie wyobrażam sobie...

– Czuję się świetnie. Fantastycznie. Później wszystko mnie będzie boleć. I będę spała jak zabita. Ale teraz aż promienieję.

- To prawda.

Promieniała.

- Mogę cię odprowadzić do domu?

Chyba nie zaprotestuje?

- Będzie mi bardzo miło.

Cudownie było iść razem. Obcy ludzie gratulowali, dzieci przybijały piątki. Nowojorczyki kochają sportowców. Jackson myślał, że pewnie uważają ich za parę, i czuł się wspaniale.

Emily milczała, ale nie przeszkadzało mu to tak jak podczas obiadu. Może się po prostu zmęczyła? Tak czy inaczej, było mu dobrze.

Gdy doszli do kamienicy, odwróciła się, wykonując zabawny ukłon.

– Dzięki, Trip. To było bardzo miłe.

– Nie ma za co.

Skinęła nieśmiało głową.

– Pójdę teraz na górę się wykapać.

– W porządku.

– No to do zobaczenia.

Tylko tyle? Liczył na więcej. Ale coś kazało mu nie nalegać. Niech Emily pomyśli trochę o tym wszystkim. O nim. Przecież nie ma pośpiechu. Na taką dziewczynę jak Emily Mikanowski warto poczekać.

W niedzielne popołudnie winda, którą jechał Jackson, zatrzymała się na piętrze Emily. Zamarło mu serce. Trzymając kciuki, modlił się, by wsiadła właśnie ona, a nie Azjata czy gburowaty Arthur. I został wysłuchany. Emily miała na sobie kobaltową letnią sukienkę na ramiączkach. Niosła kosz z ubraniami, butlami płynu do prania i do zmiękczenia tkanin.

– Cześć – uśmiechnęła się ciepło, po czym ruchem głowy wskazała plastikowy kosz. – Robię pranie.

– Mogę ci pomóc? – Zabrał go, nim zdążyła zaprotestować.

– Dzięki.

– Nie ma za co. Jak tam mięśnie?

– W porządku!

Na parterze próbowała odebrać mu kosz, lecz on, nie zatrzymując się, pomaszerował do służbowej windy, którą zjechali do piwnicy.

– Naprawdę nie musisz tego robić.

– Drobiazg. Posłuchaj. Nie będzie żadnych wielkich słów. Obiecuję. Widzę, że to nie w twoim stylu. Ale co powiesz na kawę? W czasie, gdy rzeczy się piorą? To przecież tylko chwila. Dwadzieścia minut, góra pół godziny. Nie mów mi, że masz coś lepszego do...

– Tylko to! – Sięgnęła do koszyka po egzemplarz „People”. – Poddaję się...

Kupił dwa mrożone latte. Poszli do parku i usiedli na ławce przy wejściu od strony 72 Ulicy. Wokół spacerowało mnóstwo ludzi. Był weekend. Cały Nowy Jork wyszedł na dwór cieszyć się piękną pogodą.

– Myślę, Emily, że mieliśmy fatalny początek.

– Jackson... – próbowała mu przerwać.

– Proszę, posłuchaj mnie przez chwilę. – Uniósł rękę, więc zamilkła. – Nie byłem z tobą szczerzy. Niezupełnie. Jeśli chodzi o mnie... Przyznaję, nie pracuję. Żyję na koszt rodziców, którzy są na tyle cierpliwi albo głupi, że pozwalają mi na to, czekając, aż w końcu dorosnę. Za dużo piję, od czasu do czasu wypalę jointa. Kładę się późno, nigdy nie ścielę łóżka. Spałem ze zbyt wieloma dziewczynami i na większości z nich mi nie zależało. Mam fatalną kondycję: nie potrafię nawet podbiec do autobusu. To wszystko prawda. Prawie na pewno nie zasługuję na ciebie i wcale tak nie twierdzą. Jesteś piękna, inteligentna, wysportowana i w ogóle. Jesteś... jesteś cudowna. Próbowałem cię bajerować, bo nigdy w życiu nie byłem mniej pewny siebie niż przy tobie. Ciagle tak jest. Ale coś się wydarzyło. Czegoś takiego nie czułem nigdy dotąd. Na wiele spraw spojrzałem inaczej i naprawdę, naprawdę, mną to wstrząsnęło. I jeszcze jedno: myślę, że ty też to poczułaś. Choć trochę. Tak mi się wydaje. I dlatego chciałem przyjść tu z tobą, wypić kawę i... powiedzieć to wszystko. Na wypadek gdybyś uznała, że mogłabyś nie osądzać mnie na podstawie tego, kim, według ciebie, jestem lub byłem. Ale trochę bardziej wziąć pod uwagę to, kim mogę się stać. I jeśli moja propozycja nie budzi w tobie obrzydzenia, może rozważyłabyś zjedzenie ze mną obiadu jeszcze raz. Rozpoczęcie wszystkiego od nowa.

Zabawny chłopak. Ale miał rację. W kilku sprawach. Rzeczywiście szybko wyrobiła sobie zdanie na jego temat. I naprawdę, mimo wszystko, coś wtedy między nimi zaiskrzyło. A teraz to przemówienie.

– Obiad?

– Tylko obiad. – Potwierdził skinieniem głowy. – Albo lunch. Albo brunch. Albo nawet śniadanie.

– Byle tylko było coś do jedzenia?

– Możemy nie jeść. Jeśli wolisz, możemy zagrać w kręgle.

– Nie cierpię kręgli – roześmiała się wreszcie.

– Dzięki Bogu. Gram fatalnie. Tak samo jeżdżę na rowerze.

– Niech będzie lunch.

– Lunch. Brzmi wspaniale. Cudownie. Kiedy?

– Któregoś dnia. Niedługo. Może.

– Wygłosiłem wielką przemowę, a ty pozostałaś niewzruszona...

– Muszę przecież wykorzystać swoją przewagę – uśmiechnęła się Emily.

Eve

W połowie lipca, we wtorek, o wpół do siódmej wieczorem na całym Manhattanie zgasły światła. Stało metro. Zatrzymały się klimatyzatory chłodzące powietrze w mieszkaniach, biurach i sklepach. Umilkły telewizory nadające wczesne wieczorne wiadomości. Była to pierwsza poważna awaria prądu tego lata. Sześć milionów mieszkańców niewielkiej wyspy wystawiło na próbę stary, skomplikowany system energetyczny, który zaprotestował, zawahał się, a wreszcie dał za wygraną. Elektrownia Con Edison, obsługująca większość sieci energetycznej w Nowym Jorku, rzuciła się na ratunek, ale jej rzecznik poinformował dziennikarzy, że przywrócenie prądu w większej części miasta potrwa co najmniej osiem godzin i mieszkańcy muszą się spodziewać, że do późnej nocy wszystko będzie pogrążone w ciemnościach. Na takie wypadki ludzie powinni mieć przygotowane latarki. Każdego lata elektryczność wysiadała przynajmniej w jednej z pięciu gmin Nowego Jorku. Ostatnia wielka awaria prądu w całym mieście miała miejsce w 2003 i wciąż krążyły na jej temat rozmaite historie. Zaledwie tydzień temu pewna sympatyczna kobieta w sklepie na Amsterdam Avenue opowiedziała Eve, jak z dzieckiem w spacerówce wracała stąd piechotą do domu w Queens. Na wysokości Sześćdziesiątej Którejś Ulicy spotkała kobietę z dzieckiem na ręku i dalej poszły razem, korzystając z wózka na zmianę. Od tamtej pory są przyjaciółkami. Powiedziała, że jak po 11 września nowojorczyki z dnia na dzień stali się innymi ludźmi, tak przeszli przemianę podczas tamtej awarii. Wspólny wróg – to wszystko, czego nam potrzeba. A czy będzie nim al Kaida, czy Con Ed, nie ma większego znaczenia.

Ed wyjechał służbowo do Chicago. Póki było jasno, Eve znajdowała sobie jakieś zajęcia. Czuła lekkie podniecenie, a jednocześnie irytację – wieczorem w telewizji mieli być *Chirurgi*. W ogóle telewizja, a zwłaszcza ulubione programy, w ciągu ostatnich miesięcy odgrywały w jej życiu nieproporcjonalnie ważną rolę. Czasem opowiadała Edowi o ich bohaterach takim tonem, jakby istnieli naprawdę (sama prawie zaczynała w to wierzyć), a on kręcił głową i trochę się z niej naśmiewał. Znalazła latarkę, którą na skutek opowieści o awarii kupiła dwa tygodnie temu w sklepie Bed Bath & C Beyond. Ustawiła świece, przeznaczone na romantyczne obiady i uwodzicielskie wieczory, w kuchni oraz na parapecie okna w salonie. Napełniła wodą czajnik i kilka garnków. Nie wiedziała dokładnie po co, ale uznała, że to dobry pomysł. Zastanawiała się, jaki los czeka zawartość zamrażalnika, ale przecież na to nie mogła nic poradzić. Niestety, zrobiła w weekend duże zakupy. Kupiła tyle torebek z mrożonymi owocami, ile tylko dało się upchnąć w lodówce, gdyż postanowiła codziennie raczyć siebie i dziecko sokami i koktajlami. Nie miała pojęcia, ile czasu trzeba, by zapasy rozmroziły się i zepsuły. Oby awaria nie potrwała aż do rana – trochę się tego bała. Zwykle, gdy Ed wyjeżdżał, zosta-

wiała na noc włączony telewizor lub radio, a dziś zapowiadało się, że spędzi ten czas bez prądu – w ciszy i w ciemnościach. Zadzwoniła komórka, wyświetlił się numer męża.

- Hej, wyłączyli prąd.
- O Boże. Naprawdę?
- Naprawdę. Jak zwykle ci się udało.
- Przecież tego nie planowałem. – Od razu przyjął postawę obronną.
- Żartowałam. – To zdarzało się już nazbyt często. Wystarczyły trzy zdania i rozmowa stawała się nieprzyjemna. Eve wiedziała, że jest przewrażliwiona. Ale on też był opryskliwy.
- Brzmiało, jakbyś mówiła poważnie. – Zapadło niezręczne milczenie.
- Po prostu bardzo bym chciała, żebyś tu był.

Potrzebowała tylko paru słów współczucia. Trochę wsparcia.

Miał rację – nie stało się nic wielkiego. Gdyby ją pocieszył, wszystko byłoby w porządku.

Nie zrobił tego.

- Do licha, Eve, to zwykła awaria prądu. Zapal sobie świeczkę, do cholery. Kładź się do łóżka, przecież i tak bez przerwy śpisz.
- Jesteś niesprawiedliwy. – Rano wychodził o siódmej, jak miała nie spać? A jeśli wieczorami, czekając na niego, drzemała na sofie, cóż z tego – w końcu była w ciąży.
- Nie rozumiem, dlaczego robisz tyle hałasu o nic.

Rzuciła telefonem. Nigdy wcześniej tego nie robiła. Nigdy przez wszystkie wspólne lata nie zakończyła rozmowy w gniewie. Ręka jej drżała i łzy napłynęły do oczu.

Telefon zadzwonił i na wyświetlaczu znów pojawiło się imię Eda. Poczekała, aż włączy się poczta głosowa.

Potem sprawdziła. Nie zostawił żadnej wiadomości.

Myślała, że zadzwonił ją przeprosić, ale zapomniała, jak bardzo potrafi być uparty. Dziś wieczorem nie będzie pojednania.

Charlotte

Charlotte była w tej chwili najszczęśliwszą kobietą w mieście. Nie mogła się doczekać, aż opowie o wszystkim Emily. Takie rzeczy zdarzały się tylko w książkach. I w marzeniach. Nie w prawdziwym życiu. A oto, proszę. Winda się zatrzymała. Gdzieś pomiędzy pierwszym a drugim piętrem. Pomyśleć tylko, że zastanawiała się, czy nie iść po schodach – w przerwie na lunch czytała artykuł o tym, jak

poprawić kondycję fizyczną podczas wykonywania codziennych zajęć. Radzono w nim, by więcej chodzić po schodach, ale było tak strasznie gorąco, a Charlotte taka zmęczona. Wsiadła więc do windy, by wjechać piętro wyżej. I utknęła w niej. Wcale się nie bała. Gdy tylko winda stanęła, zaczęło migać światelko alarmu. Właściwe osoby wiedziały już, co się stało. Ale prąd wysiadł w całym mieście i mogły upłynąć długie godziny, zanim strażacy dotrą do budynku. W końcu przyjadą. Uratują ją. Charlotte miała jednak nadzieję, że nie nastąpi to przed upływem wieczoru. Niech najpierw uratują wszystkich innych.

Che był z nią w windzie. Che. Był. Z nią. W windzie. Wiózł właśnie pizzę do pentahouse'u. Zwykle wjeżdżał z dostawcą i wtedy utknęliby tu we trójkę, lecz tym razem pracownik pizzerii się spieszył. Może Stewartowie nie dawali napiwków? Charlotte wcale by to nie zdziwiło. Nie uśmiechali się, nie mówili dziękuję, a napiwki należały przecież do tej samej kategorii. Gdy Che wsiadł do windy, w Charlotte zamarło serce. Takie rzeczy się nie zdarzają.

Wracała właśnie z pracy. Przepuściła dwa pociągi – nie miała siły wciskać się do zatłoczonych wagonów. Potem wstąpiła do Tasti D-Lite na „mrożony przysmak” zawierający 0% tłuszczu. Czytała, że naprawdę składa się z gazu i sztucznych substancji, ale jakie to miało znaczenie, skoro zawierał tylko 70 kalorii i chłodził? Oto Nowy Jork. Ze względu na klimatyzację zjadła deser w sklepie. Było strasznie wilgotno. Charlotte nie mogła się nadziwić, że te drobne decyzje (próbowanie czekoladowego ciasta, oczekiwanie na posypkę, jedzenie przy barze) przywiodły ją właśnie tutaj. Minuta wcześniej lub minuta później i znajdowałaby się w zupełnie innym miejscu. Chwała Bogu, że przed wyjściem z pracy poszła do toalety. Ostatnią przecnicę szła za Arthurem Alexandrem, ale wyprzedziła go na światłach. Jak to dobrze, że chodzi powoli i jest taki niemiły, nie miała najmniejszej ochoty mu towarzyszyć. Teraz pewnie siedział w hallu, mrużąc pod nosem przekleństwa. Ale nie było go z nimi w windzie.

Razem z Che przyglądali się z uwagą boazerii i płytkom na podłodze. Portier przestępował nerwowo z nogi na nogę. Gdy niechcący napotkał wzrok Charlotte, wskazał z lekkim uśmiechem pudło z pizzą.

- Jeśli utknjemy tu na dłużej, przynajmniej nie będziemy głodni.
- To prawda – uśmiechnęła się.
- Dużo książek. – Popatrzył na jej torbę. Charlotte przytaknęła.
- Pracuję w bibliotece. W tej wielkiej.
- Na środkowym Manhattanie? Ze schodami i lodowiskiem w zimie? Tej z filmu?

- Właśnie tej. – Skinęła głową. Wszyscy tak mówili. Piękna historyczna biblioteka działała w tym miejscu od 1911 roku, ale świat nie miał pojęcia o jej istnieniu, dopóki nie nakręcono tam zdjęć do filmu *Pojutrze*.

- W filmie spalili wszystkie książki, nie? – Che uniósł brwi.
- Tak. – Mina Charlotte wyrażała zabawne przerażenie.
- Co pani tam robi? W bibliotece?
- Pracuję w głównej sali. Obsługuję czytelników.
- Lubi pani czytać?
- Bardzo. – Tylko to mam w życiu, pomyślała. Zapadła cisza.
- A ty, Che? – Po raz pierwszy zwróciła się do niego po imieniu. – Lubisz czytać?

- Po angielsku nie bardzo. Mój angielski nie jest najlepszy. Do mówienia wystarczy. Do czytania nie.

- A po hiszpańsku? – Charlotte wpadła w panikę zaraz po zadaniu pytania. Na Kubie mówią chyba po hiszpańsku?

Che wzruszył ramionami. Rozmowa o czytaniu najwyraźniej go męczyła. Charlotte zastanawiała się, co by tu jeszcze powiedzieć.

- Jesteś Kubańczykiem, prawda?
- Tak. Wszyscy portierzy w kamienicy są z Kuby. Gospodarz domu, jego pomocnik, portierzy. Cała obsługa. Mała Hawana na Upper East Side. – Uśmiechnął się szeroko, zadowolony z żartu.
- Mieszkaś w Ameryce od urodzenia?
- Piętnaście lat. Mam obywatelstwo od dwa tysiące trzeciego.
- A twoja rodzina... została na Kubie?
- Mama i siostry.
- Często je odwiedzasz?
- Byłem w dwa tysiące piątym. A przedtem w pierwszym.
- A tutaj... masz jakąś rodzinę?
- Nie. Nikogo.

Charlotte przyjrzała mu się uważnie, szukając w jego twarzy dowodów na złamane serce, które mu wymyśliła, ale zobaczyła tylko zażenowanie. Pewnie za długo rozmawiają jak na portiera i mieszkankę domu. Martwiła się, czy nie jest zbyt wścibska. Przez chwilę panowała cisza. Charlotte uświadomiła sobie, że w windzie jest bardzo gorąco. Oparła się o boazerię w nadziei, że twarz za bardzo jej się nie błyszczy. Może, co gorsza, czuć od niej pot?

Che także oparł się o ścianę. Uśmiechnęli się do siebie speszeni.

- Gorąco. Przytaknęła.
- Jesteś z Nowego Jorku?
- Tak w ogóle to nie.
- A skąd?
- Z Seattle.
- Z drugiej strony kraju. – Wskazał głową na zachód.

- Właśnie.
- Dlatego przeniosłaś się do tutaj? Żeby odjechać daleko?

Zapewne tak, choć do tej pory nikt tego w ten sposób nie określił. Problem w tym, że, jak by to powiedzieć, zabrała siebie ze sobą. Była tą samą Charlotte Murphy co w Seattle. Zabawne, że bariera językowa przyczynia się do rozjaśnienia pewnych spraw.

- Murphy to irlandzkie nazwisko, prawda?
- Tak. Wszyscy przecież skądś pochodzimy. Moi pradziadkowie przyjechali tu z Cork, na początku ubiegłego wieku, by rozpocząć nowe, lepsze życie.
- Ja też. Z Kuby.
- Jak myślisz, wrócisz tam kiedyś? Na zawsze?
- Na zawsze nie. Jestem teraz Amerykaninem. Wrócę, żeby tylko odwiedzić rodzinę.

Miał uroczą twarz. Charlotte przypuszczała, że pewnie większość kobiet nie mdlałaby z zachwytu na jego widok – nie był typem filmowego gwiazdora. Trochę za chudy, niemal drobny, o przeredzonych ciemnych włosach. Na jego twarzy zawsze widać było cień popołudniowego zarostu, ostro kontrastujący ze skórą niczym u postaci z komiksu. Miał za to największe i najciemniejsze oczy na świecie. W kształcie migdałów, o długich czarnych rzęsach. Zakochała się w nich.

- Lepiej usiądźmy. Awaria może potrwać. – Charlotte usiadła na podłodze, skromnie owijając nogi szeroką spódnicą. Spojrzała na Che. – Siadaj, proszę.

Usiadł, przysuwając kolana do piersi. Pudło z pizzą położył na podłodze między nimi. Charlotte zmusiła się, by spojrzeć mu w twarz. Uśmiechnęła się, a jego oczy odpowiedziały jej tym samym.

Jackson

W mieszkaniu numer 5A Trip ze zdziwieniem usłyszał pukanie do drzwi. Wiedział, że sąsiadów, Todda i Grega, nie ma w domu. Gdy światło zgasło, wybrał się do nich zapytać, czy nie mają zapasowej latarki. Skazany na nudny wieczór bez gier sieciowych i telewizji, zapalił jointa i dopóki nie rozległo się pukanie, zastanawiał się, czy po prostu nie iść spać. Przyszło mu też do głowy, by sprawdzić, co robi Emily, ale pewnie siedziała u Charlotte. Poza tym chyba nie zniósłby kolejnego odrzucenia.

- Mogę dotrzymać ci towarzystwa? – Madison opierała się o framugę, kołysząc butelką wina, zasapana po pokonaniu trzech kondygnacji. – Wiesz, trochę się boję.

Nie wyglądała na osobę, którą łatwo przestraszyć. Miała na sobie króciutkie dżinsowe spodenki i białą bluzkę na wąskich ramiączkach. Biel bawełny podkreślała opaleniznę nabytą, Trip mógł się o to założyć, w maju i czerwcu w Southampton w wynajętym domu pełnym przystojnych młodych ludzi. Raz czy dwa widział, jak czekała na autobus. Brązową skórę pokrywała mgiełka potu. Zabawne, niektórzy nawet pocą się w seksowny sposób. Wilgotne pasma blond włosów wymykały się z węzła i wily wokół długiej, smukłej szyi. Madison Cavanagh była gorącą dziewczyną w pełnym tego słowa znaczeniu. Trip cofnął się bez słowa, otwierając szeroko drzwi, a sąsiadka z nieśmiałym uśmiechem weszła do środka, kopnięciem zamykając je za sobą. W kuchennej szufladzie znalazł kilka świec, które ustawił obok kanapy, ale i tak w mieszkaniu panował mrok. Gdy wyglądało się przez okno, nic nie było widać – co robiło surrealistyczne wrażenie. Także odgłosy dochodzące z zewnątrz były zupełnie inne. Wycie syren, a od czasu do czasu czyjeś krzyki. W tle aż dzwoniła niesamowita cisza. Umilkł szum miasta.

– Masz kieliszki?

Znalazł dwa. Madison nalała wina i wzniosła toast.

– Na zdrowie. Za energię. – W jej ustach każde słowo brzmiało dwuznacznie.

Opadła na kanapę, przerzucając długą nogę przez poręcz, i poklepała leżącą obok poduszkę.

– Usiądź przy mnie, Jacksonie Graylingu Trzeci.

– Trochę oficjalnie to zabrzmiało, nie uważasz? – powiedział, ale usiadł.

– Czy to nie dziwne? Chyba od dwóch lat jesteśmy sąsiadami, a jeszcze tego nie robiliśmy.

– Nie siedzieliśmy razem w ciemnościach?

– Nie spędzaliśmy ze sobą czasu. Typowo nowojorskie. Mieszkamy jedno nad drugim, ale trzymamy się od siebie z daleka.

Tripowi przemknęły przez myśl słowa Emily wypowiedziane na pierwszej randce. Madison przysunęła się bliżej. Pomyślał, że zaraz znajdzie się „nad nim” – nie kryła specjalnie swych zamiarów na dzisiejszy wieczór. Widocznie postanowiła posunąć sprawę nieco dalej. Zawsze z nim flirtowała, ale, szczerze mówiąc, mieli różne rozkłady dnia, więc rzadko ją widywał.

– Nowy Jork to zwariowane miejsce.

– Trochę o tobie wiem. Przez osmozę.

– A co wiesz?

– Wystarczająco dużo. – Wychyliła kieliszek do dna. – Świece są seksowne, prawda? W ich świetle każdy wygląda pięknie. – Ton głosu wskazywał, że jej zdaniem, sama wygląda pięknie w każdym świetle, łącznie z jarzeniowym, i to uprzejmie ze strony świec, iż wieczorem wyświadczają taką przysługę reszcie populacji.

Trip wiedział, o czym myśli Madison, i bawiło go to. Trzeba przyznać, trochę też podniecało, choć marihuana spowolniała reakcje. Zapowiadała się długa noc...

Nie zamierzał niczego jej ułatwiać. Mówić, że jest piękna, choć wyraźnie tego oczekiwała. Była typową dziewczyną z Manhattanu. Wystarczająco dobrze znał kobiety, by mieć pewność, że w wygląd wkłada wiele pracy, a chcąc utrzymać na stałe taki efekt, musi mieć na tym tle lekką obsesję. Pewnie codziennie chodzi na siłownię. Nie patrząc, wiedział, że będzie wygolona, wydepilowana i umalowana wszędzie gdzie należy. Była jedną z dziewczyn, które zaraz po seksie biegną do łazienki, oraz takich, które lubią kochać się przed lustrem. Niezupełnie w jego typie, chyba tylko ze względu na płeć.

– Wiesz, że dziewięć miesięcy po awarii prądu zawsze rodzi się więcej dzieci?

– Też gdzieś o tym czytałem – roześmiał się. – Cóż jeszcze można robić bez gier komputerowych. Choć nigdy nie rozumiałem, dlaczego ludzie nie poszukają z latarką prezerwatywy.

– Nie chodzi tylko o nudę. Ciemność coś w nas budzi. Jakies prymitywne instynkty.

– Naprawdę? – Zupełna bzdura, ale kierunek, w którym zmierzała rozmowa, trochę go zainteresował.

– Czujesz to, Trip? – Bez żenady położyła mu rękę na udzie. Roześmiał się.

– Niezłe z ciebie ziółko.

– Szczerze mówiąc, wiem. – Odrzuciła włosy do tyłu i wypięła biust.

Oczywiście, że wiedziała. Słyszała o tym od lat. Trip nie miał pojęcia, czemu właśnie on i czemu dziś wieczorem. Zresztą co za różnica. Nad wieloma sferami życia specjalnie się nie zastanawiał – bo i nad czym tu dumać? Wolał płynąć z prądem.

– Nie słyszałaś nigdy o subtelnej sztuce uwodzenia?

– Hej, mogę być subtelna. Wyobraź sobie, że znam seks tantryczny. Po prostu nie wyglądasz na specjalnie wyrafinowanego faceta.

– Uważasz, że jestem zbyt leniwy na coś bardziej wyszukanego?

Madison nie odpowiedziała. Uśmiechnęła się tylko jak kot, który dostał śmietankę.

– A nie mam racji?

Kiedyś może by ją miała. Nawet na pewno. Jackson nie mógł do końca zrozumieć własnych reakcji. Oto znalazł się w sytuacji przypominającej fantazje z pism pornograficznych. O Boże, nawet jego własne. Ładna, właściwie piękna dziewczyna, awaria prądu, seks podany na talerzu, bez konieczności opuszczania mieszkania i jakiegokolwiek wysiłku. Już powinien zsuwać jej ramiączka bluzki. Odwijając prezent, który los rzucił mu w ramiona.

Tymczasem siedział nieruchomo. Marihuana na pewno spowolniła reakcje, ale było coś jeszcze. Oszołomiony nie rozumiał, co się z nim dzieje.

Madison odstawiła kieliszek na stolik, przełożyła nogę przez kolana Tripa, po czym usiadła na nich okrakiem. Wyjęła mu z ręki kieliszek i postawiła obok własnego. Każdy jej ruch był spokojny i celowy. Sięgnęła po dłonie mężczyzny i położyła je sobie na pośladkach, jednocześnie przesuając się w stronę jego krocza.

- Ciekawe, czy jesteś tak leniwy, że będę musiała sama odwalać całą robotę? - Wyzywająco ugryzła dolną wargę Tripa białymi idealnymi zębami, po czym wygięła plecy, ocierając się biustem o jego tors.

Cóż, ostatecznie był tylko człowiekiem. Trip z cichym pomrukiem wysunął biodra do przodu i przyciągnął dziewczynę do siebie, całując jej usta, twarz i szyję. Zsunął ramiączka bluzki. Nie miała stanika i jego policzki musnęły różowe sutki. Łakomie possał najpierw jeden, potem drugi. Madison ściągnęła bluzkę, a Trip chwycił jej drobne, okrągłe piersi. Zaczęła manipulować przy guzikach jego koszuli, z namiętym jękiem wsuwając palce w miękkie włosy na torsie.

Wtedy stało się coś bardzo dziwnego. Zawinił chyba narkotyk. Trip nagle doznał uczucia, że obserwuje samego siebie, gdzieś z rogu pokoju. Zaledwie minuty, sekundy dzieliły go od bzyknięcia takiej laski jak Madison Cavanagh, od wejścia w jej chętnie, wilgotne wnętrze. Wiedział, że byłoby fantastycznie. Madison знаła się na rzeczy. Nie ona pierwsza, i pewnie nie ostatnia, sama pchała mu się do łóżka. Przystojny, bogaty, niefrasobliwy chłopak nigdy nie miał z tym problemów.

Jego pierwszą kochanką była opiekunka na letnim obozie w Montanie. Miał piętnaście lat, a ona dwadzieścia dwa. Zaciągnęła go do łóżka, podczas gdy reszta uczestników ćwiczyła okrzyki dopingujące drużynę, i dała mu prawdziwy powód do okrzyków. Później przez długi czas zapach pleśni i kremu do opalania wywoływał u niego erekcję. Od tamtej pory miał nieprzyzwoicie wielką liczbę chętnych kochanek. Dziewczyn, które poznał na studiach. Mimo że było ich tak wiele, cieszył się dobrą opinią, bo zawsze traktował kobiety uprzejmie. Po prostu je lubił. Postępował uczciwie i był dobry w łóżku. Wiedział, bo same mu o tym mówiły. I opowiadały jedna drugiej. Ale to nie studentki były jego faworytkami. Przespał się z nauczycielką gry na pianinie, profesorem uniwersytetu i raz, gdy trafiła się okazja, z psychoterapeutką matki. Starsze kobiety były najlepsze. Fantastyczne kochanki, pełne wdzięczności i doświadczone. Nie chciały się z nim umawiać, iść do kina czy na obiad. Nie pragnęły go oswoić, złapać na haczyk ani zmienić. Po prostu miały ochotę się z nim przespać.

Dokładnie tego samego domagała się teraz w mroku Madison. A on nie miał ochoty. Co więcej, chyba nie był w stanie. Nie mógł w to uwierzyć. Dlaczego...? Nie było przecież żadnego powodu. To tylko seks. Wcale mu na niej nie zależało. Nagle, po raz pierwszy, ten fakt zdawał się mieć znaczenie.

Trip znieruchomiał i czekał, aż Madison się zorientuje, że nastąpiła zmiana. W końcu otworzyła oczy i spojrzała na niego z lekkim zdziwieniem. Oddychała ciężko. Zarost Tripa zostawił na jej policzkach czerwone zadrapania.

- Co się stało? - Odrzuciła włosy z twarzy.
- Przepraszam cię. - Czy naprawdę mówił te słowa? - Nie chcę, żebyśmy to robili.
- Słucham?
- Jesteś piękną dziewczyną, Madison. Tylko że... jakoś nie mam nastroju.
- Co? Dwadzieścia sekund temu byłeś innego zdania.

Nie wiedział, co powiedzieć, więc wzruszył ramionami. Położył jej rękę na ramieniu.

Madison uznała, że warto podjąć jeszcze jedną próbę. Nachyliła się i polizała Tripa w ucho. To już zupełnie go zniechęciło. Odepchnął ją, tym razem mniej delikatnie. Dziewczyna straciła jego dłoń.

- Zrobiłam coś nie tak?
- Nie w tym rzecz.
- Nie chodzi o mnie, prawda? - W jej głosie nagle zabrzmiała gorycz. Co za zmiana.

- Oczywiście, że nie.

Naciągnęła bluzkę na piersi i przytrzymując ją jedną ręką, odrzuciła włosy w tył. Roześmiała się z ironią.

- To dla mnie coś nowego.
- Przepraszam. Powinienem był powiedzieć od razu. Tylko że na początku nie wiedziałem...

Madison zeszła mu z kolan, odwróciła się tyłem i poprawiła bluzkę. Patrzył na nią.

- Nie tłumacz się. To bez znaczenia. Przyszłam tu tylko dla zabicia czasu. Twoja strata, Trip.
- Nie wątpię.

Wiedział, że nie jest taka twarda, na jaką próbuje wyglądać. I że nie da się wybrnąć z sytuacji w sposób mniej dla niej upokarzający.

Czy to z powodu Emily? Pewnie tak. Trip wpłynął na nieznane wody. Czuł się zagubiony. Szkoda, że wcześniej palił trawkę. Było mu przykro. Nie powinien pozwolić Madison, by rozpoczęła swą grę. Od początku przecież wiedział, do czego zmierza. Tylko nie był ze sobą szczerzy.

Madison ruszyła do wyjścia, z zażenowaniem poprawiając włosy. Podeszedł do niej.

- Naprawdę bardzo mi przykro.
- I słusznie. Do widzenia. - Nie patrzyła mu w oczy. Otworzył jej drzwi.

Na korytarzu stała Emily z małą latarką. Niebieskimi oczami patrzyła na widoczną w słabym świetle scenę – na zarumienioną, półnagą Madison, na rozpięte guziki koszuli Tripa. Jak ona na niego spojrzała...

– Cześć, Emily. – Madison starała się, by jej głos brzmiał beztrzesko. – Do zobaczenia, Trip.

Minęła Emily i ruszyła w kierunku schodów, nie oglądając się za siebie. Cieszyła się, że ma pretekst i może szybko odejść. Emily stała nieruchomo i patrzyła na Tripa. Nie potrafił wyczytać z jej twarzy, o czym myśli.

– Emily? – powiedział błagalnie.

– Przepraszam. – Dlaczego go przepraszała? Odwróciła się, by odejść tak jak Madison.

– Emily, proszę. Między nami nic nie było.

Zatrzymała się i spojrzała na niego.

– Nie musisz się przede mną tłumaczyć z tego, co robisz.

Ale chcę, pomyślał. Bardzo chcę.

A ona odeszła, zabierając nikły promyk światła, i został sam w ciemnościach.

Violet

Na dole, na czwartym piętrze, Eve zapukała do Violet z nadzieją, że zastanie ją samą. Przyjaciółka otworzyła, wciągnęła ją do środka i pospiesznie zamknęła drzwi.

– Eve, dzięki Bogu, że to ty. Wchodź szybko. Bałam się, że to znowu Hunter Stern „spiesz mi na pomoc”. W głębi duszy jest strasznym szowinistą i spędziłabym okropną noc, rozmawiając o jakichś psychologicznych bzdurach.

– Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam. Ed jest w Chicago.

– Przeszkadzasz? Bardzo mi miło, że będę miała towarzystwo. Proszę, wejdź.

Mieszkanie Violet wyglądało pięknie – meble i obrazy wydawały się ładniejsze w blasku świec. Może dlatego, że Violet miała w sobie coś wiktoriańskiego i takie oświetlenie do niej pasowało. Co nie znaczy, że była staroświecka. Pod wieloma względami wydawała się, mimo wieku, bardziej otwarta na nowości niż Eve. Chodziło o cechy bardziej subtelne. O delikatność i spokój, tak nietypowe w dwudziestym pierwszym stuleciu.

Płonące świece stały niemal wszędzie – wysokie, grube, pod szklanymi osłonami, małe, okrągłe, w ażurowych miseczkach, a wysmukłe, eleganckie, w srebrnym kandelabrze.

W ich świetle Violet przyjrzała się Eve i spostrzegła, że przyjaciółka płakała. Miała zaczerwienione oczy i plamy na dekolcie.

– Co się stało? Płakałaś. Wszystko w porządku? Eve zażenowana skinęła głową.

– Bez sensu pokłóciliśmy się z Edem... Przez telefon.

– Kochanie. – Violet objęła ją, a Eve położyła jej głowę na ramieniu wdzięczna za uścisk i brak pytań. Przyjaciółka przytuliła ją lekko jeszcze raz i przeszła do pokoju.

– Wygląda jak dekoracja do *Upiora w operze*, prawda?

– Jest przepięknie – zaprotestowała Eve.

– Też tak uważam. Piję tarninówkę, może się skusisz?

– O, Boże, tarninówka. Nie miałam jej w ustach od lat... Wiesz, Violet, że to pierwszy alkohol, którym się upiłam?

– Elegancko. Ja – cydrem. Na dożynkach. Spadłam ze stogu i złamałam nadgarstek. Ojciec mało mnie nie zabił.

– Brzmi bardzo sielsko, jak w *Jabłeczniku i Rosie*. Ja nie miałam pojęcia, że tarninówka jest taka mocna, i zachowałam się niewybaczalnie na dwudziestych pierwszych urodzinach koleżanki.

– A ja na spotkaniu parafian. – Roześmiały się obie. – Więc jak? Tu nie mamy widowni. Jesteśmy zupełnie bezpieczne. Wypijesz kieliszek?

– Nie mogę, Violet. – Równie dobrze mogła się przyznać. Oczywiście nie minęło jeszcze dwanaście tygodni. Ale Ed twierdził, że nie utrzyma tajemnicy tak długo. Zresztą, Violet nikomu nie powie. Wzruszyła ramionami, a na jej twarzy pojawił się radosny uśmiech. – Szczerze mówiąc, jestem w ciąży.

– Moja złota. To wspaniale! Chodź tutaj! – Violet uściskała ją i ucałowała w oba policzki. – Szybka robota.

– Prawda? Ed jest z siebie bardzo dumny.

– Nie dziwię mu się! – Nalała pełny kieliszek i uniosła w stronę przyjaciółki.

– Zaraz poszukam dla ciebie czegoś do picia, ale najpierw muszę wznieść toast za tę historyczną wiadomość. Za Eve i Eda oraz ich nadzwyczajną płodność. Od dawna jesteś w ciąży? Kiedy urodzi się dziecko?

– Na początku marca.

– To jeszcze całe wieki.

– Wiem. Też mi się tak wydaje. Właściwie jestem w ciąży od pięciu minut.

– A wszystko dzieje się tu, w środku. – Violet wskazała na brzuch Eve. –

Czysta magia.

Cóż za cudowne określenie. Eve uświadomiła sobie, że widzi to dokładnie w ten sam sposób. W jej ciele dzieją się magiczne rzeczy. Magiczne, niewytłumaczalne i cudowne.

Violet wzniosła toast.

– Gratuluję, kochanie. Proszę, siadaj. Nic dziwnego, że Ed się o ciebie martwi. – Wzięła Eve za rękę i przez chwilę trzymała ją na kolanach. – Proszę, obiecaj mi coś. Niech ono nie będzie jedynakiem. Miej więcej dzieci. Dużo.

– Bardzo bym chciała.

– I tak się stanie. To świetnie. – Jeszcze raz uścisnęła rękę Eve. Potem zmieniła temat. Opowiedziała przyjaciółce o ostatniej wielkiej awarii prądu. Hunter Stern przyszedł ją ratować, wypili każde po butelce czerwonego wina, po czym pokłócili się na temat psychologii i korzyści płynących z zachowania rezerwy (nadmęty stary osioł). Tak hałasowali, że piętro niżej Arthur zaczął walić w sufit kijem od szczotki, czym śmiertelnie ich przestraszył.

– Zasnęłam potem jak kamień i nawet nie zauważyłam, kiedy włączyli prąd – śmiała się Violet. Umiała wspaniale opowiadać, w sposób niemal teatralny, a Eve słuchała jej z wielką przyjemnością. Przestała myśleć o Edzie i głupiej kłótni.

Potem przez chwilę siedziały w milczeniu.

– Violet Wallace, jesteś tajemniczą starą sową.

– Pewnie tak. Ale gdybym od razu wszystko ci opowiedziała, straciłabyś powód, żeby mnie odwiedzać.

– Żartujesz? Przychodzę, bo jesteś cudowna. – Eve roześmiała się i dopowiedziała w duchu: Przychodzę, bo jesteś najlepszą przyjaciółką, jaką tu mam, bo cię potrzebuje. Ale była zbyt nieśmiała, by to wyznać głośno.

– Cudowna i tajemnicza. Zabójcza kombinacja...

Eve położyła głowę na oparciu kanapy i na chwilę zamknęła oczy. Violet poczuła, że ogarnia ją fala czułości do tej dziewczyny, a zaraz potem – zdziwienie. Takie uczucia były do niej niepodobne.

– Opowiedz mi, jak przybyłaś do Ameryki.

– To strasznie długa historia. Zanudzisz się.

– Hej! – Eve z zapałem pochyliła się ku niej. – Straciłam *Chirurgów*. Potrzebuję trochę rozrywki. Proszę, opowiedz. Bardzo chciałabym o tym usłyszeć.

Violet przetarła ręką oczy i Eve przestraszyła się, że wkroczyła na niedozwolony teren.

– To znaczy... nie musisz... jeśli naprawdę nie chcesz...

Ale Violet uśmiechnęła się do niej serdecznie.

– Żartujesz sobie. My starzy właśnie po to żyjemy. Wystarczy nas poprosić. A skoro i tak jesteś więźniem awarii prądu, zacznę od samego początku...

Odstawiła kieliszek, po czym złożyła ręce na podolku. Eve wtuliła się w poduszki kanapy i podwinęła nogi, cała zamieniając się w słuch. Głęboki głos Violet, angielski akcent, niemal niezmienny mimo lat spędzonych w Ameryce, działał uspokajająco.

- Zatem, w prawdziwie dickensowskim stylu, pozwól, że zacznę od... Jak to się mówi? Już wiem! Od zdania „Urodziłam się”. Urodziłam się podczas listopadowej burzy, w tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym roku, na farmie w Norfolk, w sypialni moich rodziców. Kolejny trudny poród dla matki oznaczał trzecie rozczarowanie dla ojca. Moje siostry, Iris i Daisy, liczyły sobie wtedy jedna cztery, a druga dwa lata. A ja, podobnie jak one, miałam być chłopcem. Chłopcem do pomocy na farmie. Musisz wiedzieć, że zdobycie pomocnika stanowiło obsesję mego ojca. Urodził się w tysiąc dziewięćsetnym roku, dokładnie na przełomie wieków i był najmłodszym z czterech synów. Rodzina Hillów posiadała tę farmę od pięciu pokoleń – a we wsi Hillowie mieszkali od... nie wiem kiedy. Chyba od zawsze. Moja babka była dobrą żoną i wydała na świat czterech dzielnych chłopców – Matthew, Paula, Johna i mojego ojca, Adama. Podczas ostatniego porodu zmarła, spokojna o los farmy w następnym pokoleniu. W tamtych czasach nie było to niczym niezwykłym. Większość ludzi nie miała dostępu do lekarzy, lekarstw czy szpitali. Niewiele wiem o dzieciństwie mego ojca – nie licząc kilku dat i paru opowieści, więc nie potrafię sobie wyobrazić, jak radził sobie dziadek z czterema chłopakami i na czterdziestu akrach. Wiem, że pił, a to, ile wypijał i co wtedy robił, uczyniło mego ojca abstynentem na całe życie. Dlatego tak się rozzłościł, gdy w wieku dwunastu lat upiłam się cydrem na dożynkach. Dziadek miał drugą żonę, Mabel, lecz nie pamiętam, co się z nią stało. Oboje umarli przed moim urodzeniem. Była chyba nie tyle macochą – złą czy jakakolwiek – ile towarzyszką libacji. Oboje najprawdopodobniej zapili się na śmierć. Myślę, że chłopcy, łącznie z ojcem, mieli bardzo ciężkie życie i to oni wykonywali większość robót na farmie. Aż wybuchła wojna. Matthew i Paul zaciągnęli się od razu. John dostał kartę powołania nieco później. Tato był za młody. Jak wiesz, urodził się w tysiąc dziewięćsetnym roku, więc wojna skończyła się, nim chłopcy w jego wieku zostali zmobilizowani. Był za młody na pierwszą wojnę, a za stary na drugą. Jego pokolenie miało szczęście. Choć niepójście na front też ma zapewne swoje konsekwencje. Został w domu i pracował na farmie, najpierw z Johnem, a potem sam. Czekał, aż wrócą bracia albo on do nich dołączy, jeśli wojna potrwa wystarczająco długo. Gdy wybuchła, był jeszcze dzieckiem, miał trzynaście lat. Jego dzieciństwo, które od początku trudno nazwać szczęśliwym, całkiem się skończyło. Zresztą żaden z braci nie był wtedy naprawdę dorosły. Matthew miał chyba dziewiętnaście lat, Paul – osiemnaście. Dzieciaki. Oczywiście pełni brawury. Bzdury typu: „Wrócimy przed Bożym Narodzeniem”. Cóż, nie wrócili – żaden z nich. Matthew poległ we Francji na początku tysiąc dziewięćset piętnastego roku. Rodzina nigdy nie odzyskała ciała ani nie dowiedziała się dokładnie, jak zginął, ale stało się to pod Gallipoli. Paul wrócił na farmę pod koniec tysiąc dziewięćset szesnastego, poparzony i oślepiony w bitwie pod Sommą. Mniej więcej w tym samym czasie John został powołany do wojska. Stracił nogę zaraz po podpisaniu zawieszenia broni i zmarł na zakażenie krwi

w drodze do domu. W krótkim czasie niemal całą rodzinę zmiotło z powierzchni ziemi.

– O Boże. Straszne.

– Trudno sobie teraz coś takiego wyobrazić, prawda? Taki los spotkał nie tylko Hillów, lecz prawie każdą farmę w dolinie, wieś w kraju... całe pokolenie. Tak wielu ich poległo. Niemal ćwierć miliona pod Gallipoli. Blisko pół miliona pod Sommą. Potworne.

Violet umilkła. Eve nie wiedziała, co powiedzieć.

– Chyba napiję się jeszcze ginu. – Starsza pani podeszła do kredensu i napełniła kieliszek.

– To zupełnie niewyobrażalne. Taka bezsensowna strata.

– Zupełnie.

– Jak przyjął to twój ojciec? Mówił coś o tym?

– Nigdy – prychnęła Violet. – Rozmawianie to wymysł współczesnych czasów. Mężczyźni, tacy jak mój ojciec, nie poruszali wtedy podobnych tematów.

Eve pomyślała o własnym ojcu, który po śmierci matki nie umiał mówić o tym, co się stało. Ona i Cath rozmawiały i płakały, a on siedział na dole przed wyłączonym telewizorem, paląc papierosy.

– Myślę, że bardzo przeżył śmierć najstarszego brata. Pewnie był dla niego kimś w rodzaju ojca. Na swój sposób Matthew miał z nich wszystkich najwięcej szczęścia. Przynajmniej zginął na miejscu. Wojna zabiła też Johna i Paula – tylko zajęło jej to więcej czasu. I na zawsze zmieniła mojego ojca. Te nieszczęścia tak złamały mu serce, że nigdy nie doszedł do siebie. Kiedy wojna zabrała lub okaleczyła wszystkich bliskich, nie był już zdolny do dobroci czy delikatności, nie umiał kochać naprawdę. Zawsze bez matki i praktycznie bez ojca. Musiał być... twardy. Pamiętam wuja Paula. Zmarł, kiedy miałam siedem lat. Zawsze się go bałam. Te przerażające oczy – białe jak mleko, matowe. Ciągłe w ruchu – drgające, niewidzące niczego. Jedną stronę twarzy i szyi pokrywały straszne blizny – wielkie, lśniące, różowe pręgi znikające pod kołnierzykiem koszuli. Wiedziałam, że tak wygląda cała lewa strona jego ciała. Miał też poparzone płuca, więc kaszlał, charczał i świszcział. Słyszałam go w nocy. Ale najgorsze były oczy. Choć niewiele starszy od ojca, wyglądał jak starzec – ohydny i przerażający. Pamiętam, jak mama namawiała mnie, bym z nim porozmawiała – zawsze siedział w bujanym fotelu, w rogu wielkiej kuchni. Tkwił tak przez piętnaście lat, kaszlący, niewidomy, tęskniący za śmiercią. Mówiła: „Pokaż wujkowi swoją lalkę” albo: „Może poczytasz wujkowi książkę i opowiesz, co jest na obrazkach?”. Kiwał głową i wyciągał dłonie w stronę, skąd dobiegał mój głos. Ale jego oczy wciąż się poruszały, a ja nie byłam w stanie podejść bliżej.

Eve popatrzyła na siedzącą naprzeciwko niej niemal osiemdziesięcioletnią Violet i próbowała wyobrazić sobie małą dziewczynkę lękającą się kalekiego wuja.

– Paul był chyba jedyną osobą, której ojciec okazywał czułość. Jedyną, jaką widziałam. Troszczył się o brata jak o dziecko. Mówił o tym zgrzyliwie i rzeczowo, lecz gdy patrzyło się na nich dwóch razem, widać było, że potrafi okazać ciepło. Tak jakby Paul był wszystkim, co mu zostało. A przecież miał rodzinę. Jeśli w moich słowach słyszysz współczucie, jest to efekt pięćdziesięciu lat przemyśleń. Wierz mi, nie zawsze tak było. Bardzo długo go nienawidziłam. Zdziwiłabyś się, za jakie rzeczy potrafiłam go obwiniać.

– Kiedy umarł?

– Dopiero w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym. Nie widywałam go. W latach sześćdziesiątych sprzedał farmę i przeniósł się do domu starców. Pod koniec życia cierpiał chyba na rozedmę płuc.

– Przykro mi. Urwał wam się kontakt?

– Nigdy go nie mieliśmy – prychnęła Violet. Pokręciła głową, jakby uświadamiając sobie, że pominęła duży fragment opowieści i musi znów zebrać myśli. – Po zakończeniu wojny został z farmą, pijanym ojcem i kalekim bratem. Miał obsesję zdobycia kogoś do pomocy. Na pewno tylko dlatego ożenił się z moją matką. Nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego za niego wyszła. Choć trzeba przyznać, że był przystojny. Może na jej nieszczęście podobali jej się twardzi pomylenicy, a może sądziła, że go zmieni. Nie wiem. Nigdy o tym nie rozmawiałyśmy. Wtedy się tego nie robiło. Po prostu człowiek musiał sobie radzić. Nie tak jak teraz, gdy każdy uważa, że ma prawo gadać na swój temat, finansując przy okazji Huntera Sterna i jego słabość do czerwonego wina. Ojciec był wrednym draniem. Nie pamiętam, by któraś z nas, łącznie z matką, przytulił lub pocałował. Bóg jeden wie, jak nasza trójka została poczęta. Nie widziałam rodziców w jakikolwiek sposób okazujących sobie uczucie. Nigdy nie wziął matki za rękę, nie pogłaskał po głowie czy choćby dotknął. Co prawda, nigdy jej też nie uderzył. Ale nie okazywał miłości.

– Co się stało z twoją mamą?

– Umarła, gdy miałam mniej więcej piętnaście lat. Na świadectwie zgonu napisali, że to był rak, ale zawsze myślałam, że się po prostu skurczyła. Przez całe moje dzieciństwo robiła się coraz mniejsza i mniejsza. Malą, chudłą, bladą i słabłą na naszych oczach. Jak roślina. Nikt o nią nie dbał, więc umarła. Pod koniec, gdy już leżała w łóżku, w którym przez całe lata spała obok ojca, a my zostałyśmy poczęte i przyszłyśmy na świat, wyglądała jak lalka nakryta kołdrą. W końcu pewnie zabił ją rak, ale cały proces rozpoczął się dużo wcześniej. Zmarła, bo była odrzucona, złamano jej serce. – Violet mówiła coraz ciszej, patrząc w palenisko kominka.

– Obwiniałaś za to swojego ojca?

– Ojca. Siostry. Samą siebie.

– Przecież to nie twoja wina.

– Zawsze czułam, że powinnam była ją uratować. Kochałam ją jak nikogo na świecie. Ale to nie wystarczyło.

– Za wielki ciężar wzięłaś sobie na barki. Przecież byłaś bardzo młoda. Mama chorowała. Ludzie chorują. Oczywiście, z tego, co mówiłaś, wynika, że nie była szczęśliwa. Ale za to, tak jak za raka, nie ponosisz odpowiedzialności.

– Pewnie masz rację. – Violet pokręciła głową, a potem przez chwilę siedziała w milczeniu.

Eve zastanawiała się, czy Violet nie czuje się zmęczona. Może sama powinna teraz coś opowiedzieć dla poprawienia nastroju? Albo wspomnieć o własnej matce, która umarła w wieku czterdziestu dwóch lat? Ale chciała dowiedzieć się czegoś więcej.

– I oto z prawej strony sceny odchodzi matka, a z lewej wkracza mąż – roześmiała się Violet. – Obawiam się, że moja historia jest banalniejsza, niżbym sobie tego życzyła. Wybrałam klasyczne rozwiązanie – ucieczkę. Zwiałyśmy z domu najszybciej, jak się dało. Gdy mama umarła, Daisy była już żoną kolegi ze szkoły, uległego chłopca, który nie poszedł na wojnę, bo miał zniekształconą stopę. A Iris przy pierwszej okazji wyjechała do Londynu, gdzie została pielęgniarką. Znow wszyscy porzucali farmę i ojca, co nie poprawiało podłego nastroju, w którym tkwił od dwudziestu lat. Chyba naprawdę uważał, że w tysiąc dziewięćset czterestym roku zastrzelono arcyksięcia w Sarajewie, a w trzydziestym dziewiątym Hitler napadł na Polskę tylko po to, by zrzucić na Adama całą robotę na tej przeklętej farmie. Wielki światowy spisek mający na celu zagrzebanie go po szyję w jęczmieniu i burakach.

– A ty? Pomagałaś mu?

– Tylko dopóki sama się stamtąd nie wyrwałam.

– Jak to zrobiłaś?

– Wyszłam za Jankesa, kochanie. Wyszłam za Jankesa. W ten sposób trafiłam na statek, który w czterdziestym siódmym roku przywiózł mnie tutaj. Ale to długa historia.

– Coś takiego! Byłaś wojenną panną młodą.

– Sama widzisz. Mówiłam ci, że moje życie to banał. Tylko z samej Anglii było nas chyba sto tysięcy. Tysiące z Australii, a z całego świata...

– Nie banał. To niezwykle fascynujące.

– Naprawdę?

– Oczywiście, że tak. Niewiarygodnie romantyczne.

– Nie wyprzedzaj wypadków. Tak bym tego nie nazwała...

– No to opowiedz mi sama. Kim on był?

Violet się uśmiechnęła. Przemknęło jej przez myśl, że może Eve stara się tylko poprawić jej nastrój. Patrzyła, jak dziewczyna wyciąga nogi i podkula je na nowo, a potem opiera wygodnie głowę na poduszce. Chyba naprawdę chciała dowiedzieć się, jak to było.

– Nazywał się Gus Campbell. Gus. Czy istnieje bardziej amerykańskie imię? Eve się roześmiała.

– Pochodził z Elizabeth w stanie New Jersey. Miał dwadzieścia cztery lata, gdy się poznaliśmy, a dwadzieścia pięć, gdy za niego wyszłam. Mierzył metr dziewięćdziesiąt, był wielki jak stodoła. I miał bardzo gęste włosy. Typowe dla Amerykanów, zauważyłaś? Każdy chlubi się gęstą czupryną. Pewnie zasługa diety. Gus był bladym, piegowatym blondynem, o brwiach tak jasnych, że prawie niewidocznych. Potrafił spiec się na słońcu nawet w pochmurny dzień. W lecie zawsze był w paski – wściekle czerwone i śnieżnobiałe. Na szyi, na rękach. Nawet na nogach, nad skarpetkami. Po prostu ludzka zebra.

– Jak się poznaliście?

– Podczas wojny musieliśmy sobie jakoś radzić. Jak to mówią, wtedy były inne czasy. Właściwie bardzo podniecające. Może nie w ogniu walki, pod bombami, ale mówiąc szczerze, nas to nie dotknęło. Były braki w zaopatrzeniu, kartki żywnościowe i amerykańscy żołnierze. Przeplacani, niewyżyci seksualnie, wszechobecni. Z gęstymi włosami, grubymi głosami i wielkim krajem daleko stąd, gdzie nie było kartek, worków z piaskiem ani bomb. Wydawał nam się jakąś cholerną krainą Oz. Ciągłe słyszy się o jedwabnych pończochach, czekoladzie i podobnych rzeczach – naprawdę je mieli. Ale bardziej podniecające od tabliczki czekolady Hersheys czy tuszu do rzes było ich zachowanie. Zwalające z nóg. Miałam wrażenie, jakby wszyscy Anglicy nagle stali się biało-czarni, a tamci tryskali barwami technicoloru. Byli wspaniali, a my, jak ćmy leciałyśmy bezwstydnie prosto w ogień. W powietrzu wisiało napięcie. Żyliśmy według zasady: Carpe diem. Nikt nie wiedział, co go czeka, byliśmy trochę szaleni. Myśleliśmy: teraz albo nigdy. A ja, po Bóg wie ilu latach tkwienia na farmie, miałam ochotę na odrobinę szaleństwa.

– Rozumiem. – Eve skinęła głową.

– Przychodzili do miasteczka. Do pubu, herbaciarni i kiosku z gazetami. Zabawna była reakcja miejscowych. Starsi odnosili się do przybyszów wrogo. Ale ci poniżej dwudziestu pięciu lat szaleli z podniecenia. Najbardziej, oczywiście, dziewczęta.

– Czy to była miłość od pierwszego wejrzenia?

– Mój Boże, Eve, jesteś sentymentalna. Nic podobnego. Raczej pożądanie. Był taki wielki. To najbardziej mi się w nim podobało. Wysoki i silny. I te blond włosy. Przypominał jakiegoś wielkiego... wikinga! – Śmiała się z samej siebie.

– Wikinga! – Eve także wybuchnęła śmiechem.

– Właśnie. Ale takiego, co poklepuje i łaskocze, zamiast gwałcić i rabować.

– I sprawy potoczyły się szybko?

– Jak na tamte czasy, tak. Podczas wojny wszystko dzieje się nieco szybciej.

Ale według dzisiejszych standardów – niekoniecznie. Teraz ludzie od razu biorą ślub. Zanim zdążą się naprawdę poznać. Pewnie dlatego, że potem łatwo mogą się rozstać. Nie muszą być niczego pewni, bo nic już nie jest na zawsze.

– Ale ty byłaś zupełnie pewna?

– Czy to w ogóle możliwe?

– Ja chyba byłam. Nie mogłam sobie wyobrazić, że nie wyjdę za Eda. Że nie będę właśnie z nim. Wydawał się osobą, która jest mi przeznaczona. W dniu ślubu z całą pewnością byłam pewna. Inaczej chyba bym za niego nie wyszła. Ślub w kościele to nie żarty. Ci wszyscy ludzie, ksiądz i... Bóg.

– Cóż, tu się różnimy. Ja nie musiałam być pewna na oczach całej parafii, miałam tylko dwóch świadków. Nie wierzę też, aby Bóg brał w tym udział. Wtedy, teraz czy w ogóle. Wiedziałam jedno – że Gus to moja przepustka do innego życia. Tego rzeczywiście byłam pewna. Czy go kochałam? Bardzo chciałam. Kochałam to, o co walczył. Chyba myślałam, że go kocham. Na pewno mi się podobał. Był pierwszym chłopakiem, z którym się naprawdę pocałowałam – wiesz, tak aż drżały mi kolana. Jako starszy wiedział więcej na ten temat. Wciąż pamiętam jego zapach. Pachniał... inaczej – czystością i... czymś jeszcze. Dobrobytem.

– Był bogaty?

– Skąd. Chociaż wtedy mogło mi się tak wydawać. Zamożniejszy niż my i większość ludzi, wśród których dorastałam. Jego rodzina miała małą firmę budowlaną w stanie New Jersey. Nieźle im się powodziło.

– Szybko się pobraliście?

– Poznałam go w czterdziestym czwartym roku przed kinem w Norwich. Poszliśmy na niedzielny poranek zobaczyć Cary'ego Granta w filmie *Arszenik i stare koronki*. Gus był w mundurze. Zawsze miałam słabość do mundurów. Szczerze mówiąc, ciągle mam. Zobaczył kiedyś, jak przechodziłam obok remizy. Moja przyjaciółka Joan umawiała się już wtedy z jego kolegą Johnem – oni nas ze sobą poznali. Potem chętnie spotykaliśmy się we czwórkę. Lubiłam jego akcent. A jemu pewnie też coś się we mnie spodobało – w tamtych czasach wyglądałam nie najgorzej.

To widać. Nawet zbliżając się do osiemdziesiątki, Violet była urodziwą kobietą. W młodości musiała być naprawdę ładna.

– Tak się zaczęło. Umówiliśmy się na randkę. Potem spotykaliśmy się zawsze we czwórkę: Joan i John, Gus i ja. I tyle. Nie mogliśmy zbyt często się widywać. Gus był w bazie. Ja na farmie, gdzie miałam cholernie dużo roboty. Pisaliśmy do siebie. Pewnie nic wartego czytania.

– Żadnych długich, poetyckich listów miłosnych?

- Ani jednego – uśmiechnęła się Violet. – Raczej notki o rzeczach, o których powinniśmy rozmawiać. Wiesz, podstawowe informacje na swój temat. Żeby się lepiej poznać.

- Twój tato go lubił?

- Któż to wie? Na początku Gus napisał do niego, prosząc o pozwolenie na korespondowanie ze mną, ale ojciec chyba nie raczył odpowiedzieć. Na farmę przyszedł tylko raz. Nie rozmawiali długo. Pamiętam, jak Gus powiedział, że nie będzie ojca prosił o błogosławieństwo, bo pewnie i tak odmówi. Strasznie mi się to spodobało.

- Ojciec nie przyszedł na ślub?

- Nie. Pracował. Żadne z nas nie miało na ślubie nikogo z rodziny. Taką podjęliśmy decyzję. Nie chciałam, aby stare życie mieszało się z nowym. Moim świadkiem była Joan, a Gusa – John. Był rok czterdziesty szósty. Amerykanie niedługo odpływali. Musieliśmy się spieszyć z załatwianiem formalności. Zebrać od wszystkich kartki na ubrania, by kupić porządny garnitur. Nie mieliśmy tortu ani żadnego wesela. Tylko podwieczorek w najlepszym hotelu w Norwich dla naszej czwórki. Gus pewnie wolałby wziąć ślub u siebie, w New Jersey. Podobno jego matce było przykro, że nie brała udziału w ceremonii. Ale bez ślubu nie pozwolili by mi wyjechać z kraju. Narzeczonych nie wypuszczano. Pewnie na wypadek, gdyby mężczyźni zmienili zdanie. Tak jak John. Powiedział Joan, że jedzie do Sacramento, by przygotować wszystko na jej przyjazd. Miałyśmy różne wspólne plany. Nie wiedziałyśmy, iż z Sacramento w Kalifornii do Elizabeth w New Jersey jest tak daleko. Nikt wtedy nie wiedział, jaki to wielki kraj. John przysięgał, że nie będzie go najwyżej pół roku. Miał wrócić z Kalifornii po Joan, ale nigdy więcej się nie pojawił. W końcu wyszła za mleczarza imieniem Colin. W roku koronacji. Po tej historii chyba nigdy tak naprawdę nie doszła do siebie. Ze mną sprawa wyglądała inaczej. Byłam mężatką. Panią Gusową Campbell. Wyjechałam. Ale bez romantycznej otoczki. Zdziwiłabyś się, w jak formalny sposób to wszystko się odbywało. Pewnie nie było wyjścia – wyjeżdżało nas tak wiele.

- To znaczy jak?

- W sposób zorganizowany. Gdy dostałyśmy zezwolenie na wyjazd, większość mężczyzn wróciła już do Ameryki. Nie mogłyśmy wyjechać prywatnie. W tamtych czasach nie latało się oczywiście samolotami, nie było też statków pasażerskich, z wyjątkiem tych wyznaczonych przez rząd do przetransportowania nas. „Queen Mary”, SS „Argentyna”... Ja popłynęłam na „Queen Elizabeth”. Było z tym masę zawracania głowy. Rodzina Gusa musiała za mnie poręczyć – napisać, że się mną zaopiekują i tak dalej. Potrzebowano rozmaitych papierów – świadectwa urodzenia, aktu małżeństwa. Obrączka nie wystarczała. Trzeba było udowodnić, że spełniasz wszystkie warunki, a w Nowym Jorku czeka na ciebie prawdziwy mąż. Musiałam zgłosić się do ambasady amerykańskiej w Londynie, by wypełnić nie-

zbędne formularze. Pierwszy raz pojechałam tam pociągiem zupełnie sama. Przedtem byłam w Londynie tylko raz, z matką. Zabrała mnie i siostry na koronację króla Jerzego. Ojciec się wściekał, ale ona oświadczyła, że to ważne. Zapamiętałam stolicę jako kolorowe miasto – czyste i piękne. Wizyta w czterdziestym szóstym roku była prawdziwym szokiem. Wszystko wydało mi się szare, zniszczone i zrujnowane. Poddano nas badaniom lekarskim i zaszczepiono. Która chciała, mogła się obrazić. Wiele lat później przeczytałam o Ellis Island – o emigrantach, którzy przede mną wyruszyli do Ameryki. W porównaniu z nimi nie było nam źle, ale wtedy... W tamtych czasach nie byliśmy przyzwyczajone do obmacywania i zagładania w różne części ciała. Szczerze mówiąc, ja wciąż nie jestem. Potem zakwaterowano nas w obozie wojskowym. Przeszliśmy kolejne badania. Pocięłam się, że nie jestem sama w takiej sytuacji. Spotkałam dwie dziewczyny z moich okolic i trzymałyśmy się razem. Jedna jechała do Teksasu, a druga nie pamiętam dokąd. We trzy miałyśmy razem sporo zabawy. Wtedy, w obozie, wypaliłam pierwszego papierosa.

- Przecież nie palisz.
- Ale robiłam to przez prawie czterdzieści lat. Dopóki nie przestało być zabawne. Teraz wciąż słyszy się te ponure przepowiednie.
- A potem?
- Potem zawieziono nas pociągiem na statek. „Queen Elizabeth”.
- To był statek pasażerski?
- Coś w tym rodzaju. Tylko nie został dla nas przystosowany. Nigdy nie słyszałam o statku pasażerskim, na którym w jednej kajucie spałoby dziesięć do piętnastu dziewczyn.
 - Sypialnia pełna panien młodych.
 - Panien młodych i dzieci. Wiele dziewczyn przed wejściem na statek zdażyło zajść w ciążę, a nawet urodzić.
 - Nie wyobrażam sobie, jak to musiało wyglądać.
 - Mnóstwo hałasu i podniecenia. Ani odrobiny prywatności. Nie daj Boże, jeśli ktoś dostał choroby morskiej. Na szczęście byłam odporna – nawet nie zrobiło mi się niedobrze. Zresztą wiele dziewczyn mdliło po prostu ze zdenerwowania. Pewnie niejedna zastanawiała się, czy podjęła słuszną decyzję.
 - Ale nie ty?
 - Ja ani trochę. Stałam na pokładzie jak Kate Winslet w *Titanicu*, z szeroko rozłożonymi ramionami, gotowa rzucić się w nowe życie.
 - A twoje siostry?
 - Czy smutno mi było się z nimi rozstawać? Chyba nie. Obie już wtedy wyprowadziły się z domu. Po śmierci mamy każda z nas musiała sobie sama radzić. Ojciec w ogóle mnie nie obchodził. Nie myślałam też wiele o Gusie. Po prostu nie

mogłam się doczekać, kiedy dopłynę na miejsce i wszystko się zacznie. Nowe życie w nowym kraju.

- Zaczekaj. Jak on miał na nazwisko? Gus jak?
- Gus Campbell.
- Nie Wallace?
- Nie.
- A więc Wallace to...?
- Mój drugi mąż. Ale to nie temat na dzisiejszy wieczór. W gardle mi zaschło. A ty wystarczająco dużo już się nasłuchałaś. Może teraz sama coś opowiesz?
- Nie byłoby nawet w części tak ciekawe.
- Ja chętnie posłucham.

Prąd włączono o wpół do dziesiątej wieczorem. Osłepiający błysk świateł i odblask telewizyjnych ekranów zastał wszystkich w niecodziennych sytuacjach. Mieszkańcy, którzy w momencie awarii byli poza domem, ruszyli w drogę powrotną.

Maria Piscatella wróciła do przygotowywania kurczaka *cacciatore*. Miała nadzieję, że Earnest nie tkwił przez cały czas w gorącym, dusznym wagonie metra. Hunter Stern wysuszył butelkę czerwonego wina, której nie zamierzał otwierać. Zrobił to na pamiątkę awarii w 2003 roku i swej najlepszej od wieków kłótni ze wspaniałą przeciwniczką, sąsiadką Violet Wallace. Potem zabrał się za przeglądanie notatek do jutrzejszych wizyt. Todd i Greg, którzy z przyjemnością oddawali się najbanalniejszemu w takich sytuacjach zajęciu, włożyli szlafroki od Missoniego i udali się do kuchni, postkoitalnie głodni. Jason Kramer chwycił pilot od telewizora i zaczął przeskakiwać między odcinkiem *Kryminalnych zagadek Las Vegas* a relacją CNN z awarii prądu, wdzięczny losowi, że Kim i Avery są w Hamptons.

Eve drzemała spokojnie na kanapie. Violet chodziła wokół niej na palcach i gasząc świece, od czasu do czasu spoglądała z uśmiechem na dziewczynę. Nie chciała jej budzić. Cieszyła się, że tu jest. Dziwnie było spędzić wieczór w dwudziestym wieku, we własnej przeszłości. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz mówiła o ojcu czy myślała o Gusie.

Jackson siedział na kanapie, na której tkwił przez cały wieczór, próbując zrozumieć, co się stało. Kilka pięter niżej Madison i Emily leżały w łóżkach, upokorzone i zakłopotane. Emily robiła sobie gorzkie wyrzuty za to, że uwierzyła, iż Jackson Grayling Trzeci może być kimś innym i wyjątkowym. Po wyłączeniu prądu przez półtorej godziny zastanawiała się w duchu, czy iść na górę, by się z nim zobaczyć, czy też nie. Żałowała, że posłuchała wewnętrznego głosu, który ją na to namówił. Od początku miała rację. Teraz przynajmniej wiedziała na pewno.

Charlotte wysiadła z windy zgrzana, zmęczona i obolała, ale szczęśliwa. Pomyślała, że wreszcie nadszedł czas na snucie planów.

RS

Sierpień

Jackson

Co on właściwie tutaj robił? Po raz pierwszy w życiu spędzał sierpień w Nowym Jorku. Powinien być teraz w Hamptons. Wyglupiać się z kolegami, pływać na łódkach i jet ski. W szortach i klapkach. Pić piwo, tequilę, jeść bułki z homarem. Palić ogniska, bzykać się z ładną dziewczyną, z którą akurat zakończył wieczór. Zasypiać przed świtem i wylegiwać się do południa.

Tak do tej pory wyglądało jego lato.

I co, źle mu było? Teraz pocił się w koszuli i płóciennych spodniach, wysłuchując skarg matki na miejskie upały.

Martha wachlowała się energicznie hiszpańskim koronkowym wachlarzem, rozważając, czy nie poszukać innego stolika.

- Tam jest więcej cienia. Może się przesiądziemy?
- Jak uważasz.
- Dzięki Bogu, że nie ma ojca. Byłby wściekły. Lubi upały tylko wtedy, gdy wieje wiatr od morza, a dziś w mieście powietrze zupełnie stoi.

No właśnie. Dlatego umówił się z matką. Wiedział, że nawet jeśli ojciec to głowa rodziny, matka jest szyją, która tą głową kręci.

- Ładnie wyglądasz. - Na chwilę przestała się wachlować i przyjrzała mu się uważniej. - Bardzo ładnie.

Odkąd syn skończył dwa lata, koszula w pastelowym kolorze od *Ralph Lauren* i płócienne spodnie stanowiły ilustrację wyobrażeń matki o jego ładnym wyglądzie. Nie musiał się więc długo zastanawiać nad tym, co dzisiaj włożyć. Należało ten strój jedynie kupić, bo nie miał podobnego od czasu, gdy matka przestała go ubierać. Ogolony i na dodatek gładko uczesany wiedział, że wygląda jak wzór posłusznego syna, za którego chciał uchodzić w jej oczach.

- Muszę przyznać, Trip, że zrobiłeś mi miłą niespodziankę. Gdy zadzwoniłeś, byłam pewna, że siedzisz w którymś z tych nędznych plażowych domków w Hamptons. Nie sądziłam, że cię zobaczę. Bardzo się cieszę. I tak ładnie wyglądasz...

Oczywiście nie chodziło tu o *Marthę*. Powodem była *Emily*, ale nie miał zamiaru się z tego zwierzać. Wersja przygotowana dla matki głosiła, że jak obiecywał od lat, zastanowił się wreszcie nad tym, co chciałby robić. I zdecydował, że nadszedł czas, by zaczął pracować dla ojca. Powinien dowiedzieć się więcej o swym przyszłym zajęciu - zarządzaniu rodzinnym majątkiem.

Emily nie wiedziała o majątku. Nie sądził, by mógł mu w czymś pomóc. Powie jej później. Na razie chciał ją przekonać, że można go traktować serio. W tym celu musiał podjąć pracę.

Ledwie znana kobieta odmieniła całe jego życie. Nie rozumiał, jak to się stało, i czuł się bezradny wobec własnych uczuć. Emily nie miała pojęcia o tym, co zrobiła.

A teraz potrzebował pomocy matki.

Charlotte

Była chyba najgorętsza noc w lecie. Charlotte nie mogła zasnąć. Zazwyczaj romanse szybko kołysały ją do snu, ale od wieczoru spędzonego w windzie razem z Che nie przeczytała ani jednego. Stosik powieści – nowych i starych, ulubionych – trzymany zwykle przy łóżku, leżał teraz na podłodzie obok nocnego stolika, a jego miejsce zajęły inne lektury.

Swój pomysł zaczęła wprowadzać w życie już następnego dnia. Myślała o nim w łóżku, zbyt podniecona, żeby zasnąć. Przyszła do pracy wcześniej i za pomocą wyszukiwarki internetowej znalazła potrzebne informacje. Co robili ludzie, kiedy nie było Google'a?

Zamówiony program do nauki języka hiszpańskiego z wydawnictwa Rosetta Stone przysłano w tym samym tygodniu. Wybrała tę metodę, gdyż obiecywała najszybsze rezultaty. Wypożyczyła też kilka książek z biblioteki. Słownik angielsko-hiszpański i rozmówki.

Przez krótki czas uczyła się tego języka w szkole. Bez szczególnych sukcesów czy zainteresowania. Wolałaby francuski. Już wtedy marzyła o Paryżu, najromantyczniejszym mieście świata. Ale w jej szkole średniej nie uczono francuskiego. Był tylko hiszpański.

Bardzo szybko przypomniwała sobie niektóre zwroty. Potrafiłaby zamówić coś do picia i *tapas* albo zarezerwować bilet na prom. Dowiedzieć się, gdzie jest katedra, i przedstawić brata. Bezużyteczne szkolne zwroty. Potrzebowała czegoś innego.

Ktoś jej mówił, że ludzie, którzy chcą rzucić palenie, odchudzić się lub poprawić asertywność, słuchają czasem w nocy kaset z informacjami przenikającymi podczas snu do ich mózgu. Próbowwała robić to samo z płytami z Rosetta Stone. Niestety, spała na brzuchu i słuchawki wciąż zsuwały jej się z głowy, więc w końcu dała za wygraną. Słuchała płyt w drodze do pracy i z powrotem, podczas prasowania oraz długich weekendowych spacerów – jedyne ustępstwa wobec tutejszej obsesji na punkcie dbania o sylwetkę. Powtarzała wciąż od nowa zapamiętane

słowa i zwroty. Martwił ją akcent – nie potrafiła zrolować „r”, a „th” zbyt seplenio. Ale przypomniała sobie dużo słówek i wiele wiadomości z gramatyki.

Jej dobra koleżanka z biblioteki, Samantha, wyszła za Ekwadorczyka i mówiła płynnie po hiszpańsku. Charlotte próbowała z nią czasem rozmawiać podczas przerwy na lunch i zastanawiała się, kiedy odważy się przemówić do Che w jego ojczystym języku.

To za mało rzucić po prostu: *Hola* i *Adios* lub *Como sean usted*. Zabrzmiałyby protekcjonalnie. Chciała z nim naprawdę porozmawiać. Marzyła o takiej chwili: oto wychodzi z windy lub Che otwiera przed nią drzwi budynku, a ona nagle mówi coś zabawnego – żart albo anegdotkę. Che jest zdumiony i zachwycony. A ona dowcipna – po hiszpańsku.

Tak robią zakochani. Wielcy kochankowie w literaturze. Poświęcają się dla sprawy. Ali McGraw myliła się. Albo jej scenariusz. Miłość nie oznacza, że nigdy nie musisz przeproszać. Co za idiotyczna kwestia. Tylko mężczyzna mógł coś takiego napisać. Co prawda Charlotte brakowało osobistych doświadczeń, ale miała ojca i brata, obejrzała filmy oraz przeczytała książki na temat tysiąca par, wiedziała więc, że mężczyźni po prostu nie lubią przyznawać się do winy. Dlatego Erich Segal napisał to bzdurne zdanie. By uwolnić kolejne pokolenia mężczyzn od konieczności przeproszania. Miłość to poświęcenie, cierpienie i oddanie. Kochankowie walczą. Pokonują przeciwności. Przenoszą góry. Uczą się hiszpańskiego.

Gdy po raz pierwszy od awarii prądu spotkała Che, z rozczarowaniem stwierdziła, że wrócili do dawnych obojętnie uprzejmych relacji. Żadnych przeciągłych spojrzeń czy ukradkowych muśnięć dłoni podczas przekazywania przesyłki. Nie wspominali o tamtym wieczorze. Patrząc na nich, nikt by się nie domyślił, że zaszło między nimi coś wyjątkowego. Każde kolejne przygnębiająco przyziemne spotkanie wzmacniało determinację Charlotte. Nauczy się hiszpańskiego, będą ze sobą rozmawiać i, po latach, wieczór w windzie stanie się częścią ich własnej legendy, opowiadanej wciąż od nowa, upiększanej, lecz mimo to romantycznej.

Violet

Na dachu kamienicy Eve i Violet opadły z ulgą na tekową ławkę i wypily po dużym łyku lemoniady z wielkich szklanek przyniesionych z mieszkania starszej damy. Lód szybko stopniał, lecz napój wciąż jeszcze był zimny. Mimo późnego popołudnia na dworze panował upał.

Przez cały tydzień było bardzo gorąco – rozradowani prezenterzy siedzący w klimatyzowanych studiach co chwila przekazywali odbiorcom, że temperatura jest o dziesięć stopni wyższa niż zwykle o tej porze roku. Miało się zacząć ochładzać,

ale nic takiego nie nastąpiło. Było goręcej niż w lipcu. Eve nie mogła się doczekać jesieni. Wilgoć w powietrzu, która zawsze męczy, w ciąży jest niemal nie do zniesienia. Spuchły jej kostki u nóg – nie spodziewała się, że nastąpi to tak szybko. A zmęczenie po prostu odbierało wszelkie siły. Czasem rano nie była w stanie podnieść się z łóżka. A jeśli już wstała, nagle – na zakupach, podczas spaceru w parku lub rozmowy z Edem – niewiarygodne osłabienie nakazywało jej przerwać, cokolwiek właśnie robiła, i zwinąć się w kłębek na łóżku. Sen przychodził natychmiast, przetaczał się po niej jak fala. Ostatnio, z powodu upałów, sypiała tylko pod prześcieradłem. W mieszkaniu były klimatyzatory – wielkie hałaśliwe urządzenia przesłaniające widok w oknach wszystkich pokoi – ale Eve wyłączała je, bo nie znosiła tego brzęczenia. Chyba irytowało to Eda. Wracał wieczorem, ociekając potem, miał rozluźniony krawat i rozpięty górny guzik koszuli, więc upał w mieszkaniu bardzo go drażnił. Ale Eve nie była w stanie włączyć klimatyzacji, gdy przebywała tu sama. A przebywała często. Głównie spała. Z ucinanych w ciągu dnia drzemek budziła się zawsze zgrzana, spocona i z bólem głowy. Ed poszedł do Bed Bath & Beyond i kupił kilka staroświeckich wentylatorów. Były cichsze, ale dużo mniej wydajne – poruszały trochę ciężkie powietrze, lecz tak naprawdę nie rozwiązywały problemu.

Ed dużo czasu spędzał teraz poza domem. I bardzo dobrze. Eve wydawała się sobie mało interesująca. Nie miała ochoty rozmawiać z mężem, gdy wracał wieczorem, ani siedzieć z nim na kanapie. Wolała sama rozciągnąć się na niej wygodnie i w milczeniu oglądać *Kryminalne zagadki Las Vegas*. Na nic więcej nie starczało jej energii. W nocy, w łóżku, z mężem było jeszcze bardziej gorąco. Te uczucia sprawiały jej przykrość, miała nadzieję, że przejdą. Zbyt często, gdy przebywali razem, psuła się atmosfera. Eve zrzędziła, Ed bywał szorstki. Wystarczyło pięć minut i oboje ogarniała irytacja. Po awarii prądu Ed wrócił do domu skruszony i potulny. Były pocałunki i uściski, na nowo zapanował pokój, lecz biorąc pod uwagę przyczyny kłótni, nic tak naprawdę się nie zmieniło. Eve wciąż oczekiwała zainteresowania, Ed nadal ją zaniedbywał. Chciała od niego więcej, niż mógł jej dać. W końcu coś się w niej zamknęło. Skoncentrowała się na sobie. I na spaniu...

Bywały dni, gdy w ogóle nie odzywała się do nikogo. Czasem zdawało jej się, że zapomniała już, jak prowadzić nawet niezobowiązujące rozmowy. Pewnego razu po przyjściu na taras zastała tam Charlotte. Przez chwilę siedziały w niezręcznym milczeniu.

Charlotte, ze słuchawkami na uszach, czytała książkę. Słuchała chyba jakiejś taśmy do nauki języka. Na widok sąsiadki przerwała zakłopotana, mimo próśb, by sobie nie przeszkadzała.

– Uczysz się hiszpańskiego? – Eve spojrzała na książkę, którą dziewczyna trzymała w ręku.

– Tak – odpowiedziała Charlotte tonem, jakby przyłapano ją na jakimś przestępstwie.

– Brawo. Mnie nauka języków w szkole zupełnie nie szła. Nigdy nie brałam się za hiszpański. Mieliliśmy francuski, niemiecki i w charakterze dodatkowej tortury łacinę. Obawiam się, że byłam głąbem, jeśli chodzi o wszystkie trzy. A tobie jak idzie?

Mimo starań Eve, rozmowa kulała. Uznała, że to jej wina.

Charlotte wrzuciła taśmy i książki do torby z napisem Nowojorska Biblioteka Publiczna. Wychodząc, popatrzyła z uśmiechem na rysujący się pod bawełnianą bluzką brzuch Eve.

– Spodziewasz się dziecka, prawda? Violet mi mówiła. Nie gniewasz się, że pytam...?

– Ależ skąd.

– Co się wtedy czuje?

– Zmęczenie, mdłości, strach, zachwyt. Wszystko naraz.

– Brzmi... cudownie.

Przez moment Eve zastanawiała się, czy Charlotte mówi to z sarkazmem, ale zdecydowała, że chyba nie.

– Myślę, że to fantastyczne.

– A ty? Chciałabyś kiedyś mieć dzieci?

– Tak. Dwoje lub troje. Zawsze tego pragnęłam.

Eve skinęła głową.

– Ja też. – Miała nadzieję, że w jej głosie nie zabrzmiał triumf. Nie wiedziała, czy nie obraziła dziewczyny. Ale Charlotte wyglądała na rozmarzoną. A potem szybko odeszła.

Violet nie przyjmowała do wiadomości dobrowolnej hibernacji Eve. Nie czekając na zaproszenie, przychodziła dwa lub trzy razy w tygodniu i ściągała ją z kanapy. Zawsze z jakąś konkretną propozycją. Pójdą na lunch do Metropolitan Museum i obejrzą wystawę barokowych gobelinów albo wypiją herbatę w Bemelman's Bar w hotelu Carlyle. Zjedzą dim sum w Chinatown lub babeczkę w Magnolia Bakery w West Village. Eve zaczęła wyczekiwać na jej wizyty.

Violet nigdy nie sprawiała wrażenia staruszki. Często wydawała się wręcz młodsza i sprawniejsza od Eve, spowolnionej wczesną ciążą. Po mieście poruszały się taksówkami. Violet uważała, że podróże metrem, zwłaszcza w lecie, nie należą do przyjemności. Godzinami przesiadywały w kawiarnianych ogródkach, rozmawiając i pijąc lemoniadę.

Dziś wybrały się do River Club na spotkanie ze starą przyjaciółką Violet, która mieszkała we wspaniałym wielkim domu nad East River. Był to jednocześnie klub i budynek mieszkalny – Eve wyobrażała sobie, jak wytworne są tam apartamenty.

Jednak całość była nieco archaiczna. Miało się wrażenie podróży w czasie, w lata trzydzieste. Pływały w małym basenie wykładanym kafelkami w stylu art deco – starsze panie w kwiatowych czepkach, jakie nosiła Esther Williams. Przebierały się w niewielkich kabinach za zasłonami z perkalu, w asyście kąpielowych, a potem jadły kanapki i piły mrożoną herbatę podaną przez kelnera w śnieżnobiałym uniformie w pięknym prywatnym ogrodzie, pod parasolami. Cynthia, przyjaciółka Violet, należała kiedyś do nowojorskiej śmietanki towarzyskiej i Eve jak urzeczona słuchała plotek o rozmaitych skandalach. Nie знаła żadnej z zamieszanych w nie osób, ale opowieści Cynthii były fascynujące. Jednak w końcu podczas rozmowy przyjaciółek zasnęła i obudziła się dopiero, gdy Cynthia dotknęła jej ramienia dłonią o nienagannie wymanicurowanych paznokciach. Zakłopotana zaczęła się usprawiedliwiać, ale stara dama uniosła rękę gestem nieznoszącym sprzeciwu.

– Moja kochana! Sama przespałam każdą z sześciu moich ciąż. I, o ile pamiętam, jedno zapłodnienie. – Mrugnęła do Eve. – Nie masz za co przepraszać.

Po powrocie do domu Eve zrzuciła sandały i przesunęła rozgrzanyimi palcami po deskach tarasu.

– Tak się cieszę, że urządziliśmy ten ogród. Jest jak mała oaza w miejskiej dżungli.

– Ja też się cieszę. Ale wydaje mi się, jakby nikt, prócz nas, z niego nie korzystał.

– Należymy do grupy popołudniowej. Wiem, że Todd i Greg przychodzą wieczorem, któregoś dnia rozmawiali o tym w windzie. A czasem rano Millie przyprawia tu dzieci Rachael. Słyszałam, jak się bawiły.

– Nie spodziewałam się, że będzie tak ślicznie.

– Powinniśmy urządzić przyjęcie z okazji otwarcia tarasu.

– Świetny pomysł.

– Może zrobmy to, zanim skończy się ładna pogoda?

– Czemu nie? Tylko pewnie i tak przyjdą te same osoby co zwykle. Nie wyobrażam sobie, by Stewartowie zaszczycili nas swoją obecnością. Albo Arthur. Chyba że wpadnie tu z sekatorem i pościna wszystkie kwiaty...

– Naprawdę jest taki okropny?

– Jeszcze gorszy. Nie mam do niego cierpliwości.

– Czy był kiedyś żonaty?

– O Boże, nie – roześmiała się Violet. – Żał mi kobiety, która by się w nim zakochała. Musiałaby być masochistką. Arthur Alexander należy do najmniej sympatycznych ludzi, jakich spotkałam w życiu.

Eve zastanawiała się, czy może istnieć osoba składająca się z samych wad. Życie wydawało jej się teraz dużo bardziej szare, a jej sądy stały się mniej stanowcze. Jakoś nie wierzyła, że Arthur Alexander jest całkiem zły.

– Imprezę najlepiej zaplanować po Święcie Pracy – ciągnęła Violet. – Może w następny weekend?

– Dobrze się dzisiaj bawiłam. Dziękuję, że mnie zabrałaś. Cynthia jest prze-zabawna.

– Owszem.

– Naprawdę ma sześcioro dzieci?

– Teraz pięcioro. Straciła syna w Wietnamie. Według najnowszych doniesień ma też dwanaścioro wnuków i kilkoro prawnuków. Prawdziwy klan. Wątpię, czy pamięta imiona choć połowy z nich, mówię tu o prawnukach. Własne dzieci chyba rozpoznaje.

– Okropne – zachichotała Eve.

– Potrafi im to wynagrodzić. Nie jest babcią typu „usiądź mi na kolanach, przeczytam ci bajeczkę”. Za to zakłada fundusz powierniczy, funduje studia, rezydencję w Nantucket. Myślę, że cała szóstka umiała to dobrze wykorzystać.

– Jejku. Sześcioro dzieci! Nie mogę sobie tego nawet wyobrazić.

– Zawsze opiekowało się nimi kilka niań. Cynthia nie zajmowała się dziećmi w takim stopniu, w jakim ty pewnie będziesz to robić. Była zbyt zajęta, no i zbyt wielka z niej dama.

– Jak to się stało, że się zaprzyjaźniłyście?

– W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych była klientką mojego męża. Chodziłyśmy razem na tak zwane przyjęcia z tańcami. Bardzo się polubiłyśmy. Znajomość ze mną była dla niej czymś nowym. Urodziła się i dorastała wśród śmietanki towarzyskiej Manhattanu. Wciąż pamiętam, jak spotkałam ją po raz pierwszy na przyjęciu w hotelu Waldorf Astoria. Przeżywał wtedy dni swej świetności i należał do najlepszych hoteli w mieście. Byłam jedyną kobietą, która zostawiła w szatni zwykły płaszcz, a w łazience poprawiała usta szminką z drogerii. Nie dlatego, że mąż nie chciał kupować mi ładnych rzeczy. Kochany, pewnie dałby mi wszystko, czego bym chciała. Ale mnie na tym nie zależało. Nosiałam to samo co przed ślubem. Nie miałam futer ani kosmetyków Elizabeth Arden.

– Rozumiem, że mówimy o drugim mężu?

– Robisz notatki? – Violet puściła do niej oko.

– Cóż, nie wydaje mi się, by Cynthia mogła być klientką Gusa...

– To prawda – uśmiechnęła się stara dama.

– Ale zanim przejdziemy do drugiego męża, musisz opowiedzieć mi o pierwszym. Nie myśl, że zapomniałam. Zostawiłyśmy cię na dziobie statku pełnego panien młodych, wsłuchaną w piosenkę Celinę Dion *My heart will go on*.

– Nie musisz się czasem zdrzemnąć albo przygotować obiadu dla biednego zaniedbanego męża? – roześmiała się Violet.

– Zaniebano? Nie rozśmieszaj mnie. Ed wybiera się dziś na spotkanie połączone z małą bibką. Wróci bardzo późno. – I wcale nie zależy mi na jego obecności, dodała w myślach. Wolę być z tobą. – Czuję się dzisiaj dziwnie pobudzona. Myślę, że zdążymy omówić kilka dziesięcioleci. Pewnie zanim urodzi się dziecko, dotrzemy do teraźniejszości!

– Gdy na ciebie patrzę, przypominam sobie, jak siedziałam z siostrami wokół radia, słuchając *Dicka Bartona*.

– Uwielbiam twoje opowieści.

– Jesteś miła.

– Naprawdę. Chcę dowiedzieć się czegoś o Gusie. Proszę... – Spojrzała na Violet ukosem spod rzęs, wydymając dolną wargę. Przyjaciółka uśmiechnęła się i klepnęła ją lekko w kolano.

– No dobrze, niech ci będzie... Wiesz, czasem mam wrażenie, że tamte lata, okres mojego pierwszego małżeństwa, w ogóle się nie zdarzyły. Minęły tak dawno i niemal nic po nich nie zostało. Jestem teraz zupełnie inną osobą. To wszystko zdaje się dotyczyć jakiejś obcej kobiety. Wiesz, o czym mówię?

– Ale czekał na ciebie? Gdy statek przybił do portu?

– Czekał. Razem z matką, babką i trzema siostrami.

– Cholera. Brzmi dość przerażająco.

– Było straszne. Wszystkie mówiły jednocześnie. Właściwie skrzeczały. Miały taki sam akcent z New Jersey jak on, tylko dużo mocniejszy i bardziej piskliwe głosy. Czułam się oszołomiona.

– A Gus?

– Gus wydawał się inny – uśmiechnęła się Violet. – Bez munduru, na własnej ziemi. Znajoma śpiewka.

– Każdy facet wygląda trochę inaczej, kiedy zdejmiesz różowe okulary.

Violet spojrzała na nią uważnie, ale Eve nie dodała nic więcej, więc ciągnęła swą opowieść.

– Musisz pamiętać, że myśmy się prawie nie znali. W prawdziwym tego słowa znaczeniu. Pewnie nie chcesz słuchać szczegółów, powiem tylko, że spędziliśmy w Norwich noc poślubną i na tym koniec. Wypadła fatalnie. Może „fatalnie” to za ostre słowo, ale nie miałam specjalnie za czym tęsknić podczas rozstania i podróży statkiem. I chyba nie zdawałam sobie sprawy z tego, co mnie czeka. To znaczy, wiedziałam, że na początku zamieszkamy u jego rodziny, ale wyobrażałam sobie, że będzie to trwało bardzo krótko, że Gus, tak jak ja, pragnie mieć własny dom. Chciałam żyć po swojemu. Samodzielnie.

Eve pokiwała głową. Przypomniała sobie swój ukochany domek i tak niewiarygodnie na początku odurzającą myśl, że należy do niej.

- Pierwszego wieczoru pojechaliśmy do rodziców Gusa. Czekala tam na nas cala rodzina - rowniez dalsza - Gus mial chyba ze trzysta ciotek, wujow i kuzy-now. Wszyscy stawili sie w komplecie, by obejrzeć Angielkę, która poslubila. Wiem, ze mieli najlepsze chęci, ale dzialo sie za duzo i zbyt szybko. Moja rodzina byla mala i zupełnie inna - nigdy nie rozmawialismy o sprawach osobistych. Krewnia-cy Gusa na nasz widok mrugali do siebie porozumiewawczo i tręcali sie łokciami. Eve poczula gwałtowny przypływ współczucia.

- Czy wiesz, ze po sześćdziesięciu latach jedyne, co pamietam z naszej pierwszej nocy, pierwszej w Ameryce i zaledwie drugiej, która spędziliśmy jako mąż i żona, to skrzypienie łóżka? Leżałam pod Gusem i myślałam tylko o tym, ze wszyscy muszą nas słyszeć. Okropność. Nie mogłam się doczekać, kiedy on... kie-dy to się skończy. Byłam zupełnie sparaliżowana. A następnego ranka ledwie po-trafiłam spojrzeć rodzinie w oczy.

- Niezbyt udany miesiąc miodowy.

- Niezbyt udany cały pierwszy rok. Szybko stalo się jasne, ze Gus jest w domu rodziców zupełnie szczęśliwy. Nie mógł zrozumieć, dlaczego mielibyśmy de-cydować się na kosztowną i niewygodną przeprowadzkę, skoro mamy, przynajm-niej jeśli o niego chodzi, doskonale warunki na miejscu.

- Nie wyjaśniłaś mu?

- Próbowalam. Ale Gus mial swoje wymówki. Oświadczył, ze przeprowadzi-my się, gdy urodzę dziecko, a skoro nic takiego nie bylo na razie w planach, nie widzial powodu do pośpiechu.

- Co zrobilaś?

- Walczyłam o pozycję z jego matka. Bawilam się w gospodynię w jednym pokoju, a poza nim gralam tylko drugie skrzypce. Teściowa byla pewnie całkiem miłą kobieta. Ale stalo się jasne, ze nie przewidziano dla mnie żadnych zajęć, chy-ba ze chcialabym zaangażować się w któryś z rodzinnych interesów - sklad drze-wa lub sklep żelazny. Wszyscy mieszkali i pracowali razem przez cały dzień i ni-komu nie przeszkadzalo, ze siedzą jeden drugiemu na głowie. Poza tym niewiele bylo do roboty. Wyobrazalam sobie, ze latwo znajde nowych przyjaciół, ale nic ta-kiego nie nastapilo. Duza rodzina Gusa najwyraźniej nie potrzebowała osób z ze-wnątrz.

- A jego siostry?

- Zawsze traktowały mnie jak obca. Nie bylo w tym złośliwości. Raczej cie-kawość i ostrożność, bardzo męcząca na dłuższą metę. Mieszkaliśmy w niewiel-kim miasteczku. Choć do Nowego Jorku bylo blisko, rzadko tam jeździliśmy. W pierwszych miesiącach wybrałam się parę razy sama. Miasto bardzo mi się spodobalo, wydawalo się takie egzotyczne i obce pod niemal każdym względem. Gwarne, podniecające, kojarzące się z wielką przygodą. Gus nie znosil Nowego Jorku, nigdy nie udalo mi się go namowić na wspólny wyjazd choćby w niedziele.

A rodzinie nie podobały się moje samotne wyprawy. Gdy chciałam, byśmy wybrali się na przedstawienie albo do muzeum, mąż patrzył na mnie, jakbym proponowała mu tańce nago w Central Parku. Był chłopcem z małego miasteczka, ten mój Gus. W Norwich nie rzucało się to w oczy. Myśleliśmy, że wszyscy Amerykanie są tacy sami. Zresztą, pamiętaj, że pewnie i tak mi się udało. Gdy pomyślę o dziewczynach na statku – płynących do Luizjany, Kentucky czy Tennessee. W porównaniu z nimi byłam prawdziwą szczęściarą.

- Nie wydaje mi się.

- Czulałam się źle – przytaknęła Violet, wzruszając ramionami. – Zbliżyłam się do upragnionego nowego życia, ale tylko trochę. Uciekłam z domu, w którym nie byłam szczęśliwa, by trafić w miejsce, gdzie czulałam się zupełnie obca. Kochałam Gusa, o ile w ogóle wiedziałam, czym jest miłość, ale, jak to mówią, nie byłam w nim zakochana. Mało nas łączyło. W dodatku zaczęto uważać, że jestem wybra-kowana, bo nie zaszłam w ciążę. Wszystkie siostry Gusa urodziły dzieci w pierwszym roku małżeństwa i po mnie także tego się spodziewano. Nic takiego nie nastąpiło i był to niewygodny temat.

- Biedactwo. Musiało być ci ciężko.

- Żyłam wygodnie, ktoś o mnie dbał. Ludzi spotykają dużo gorsze rzeczy. Ale czulałam się strasznie samotna.

Zupełnie jak ja, pomyślała nagle Eve. Życie Violet przypomina moje własne. Położyła rękę na brzuchu, w którym kryło się dziecko. Oto różnica. Ono sprawi, że będzie inaczej. Że wszystko obróci się na lepsze.

- Myślałaś o tym, żeby go zostawić?

- Szczerze? Nie, nigdy.

- Ja chyba bym odeszła.

- Ja może też. Teraz. Ale wtedy były inne czasy. Takich rzeczy się nie robiło. Większość z nas w ogóle nie brała rozwodu pod uwagę. Musiałaś wytrzymać. Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz.

- Jeśli pierwszy rok był taki zły, później musiało być jeszcze gorzej.

- I tak, i nie. Po trzech latach dostałam swój dom. Wszystkich zmęczyło czekanie na opóźniającą się ciążę i w końcu się wyprowadziliśmy. Pierwszy raz w życiu wreszcie byłam u siebie. Zawsze tego chciałam. Dom miał tylko trzy pokoje i znajdował się zaledwie dwie ulice od domu teściowej. Ale należał do nas. Byłam dumna jak paw, prawie codziennie sprzątałam go od góry do dołu. Co prawda, nie licząc gotowania, niewiele więcej miałam do roboty. Lecz wciąż znajdował się w Elizabeth, w stanie New Jersey. I wciąż mieszkałam z Gusem.

- Klóciliście się?

- O Boże, nie! Choć ja chętnie bym się pokłóciła. Wierz mi, czasami próbowałam wywołać kłótnię z jakiegoś błahego powodu, tylko po to, by się trochę roz-

ruszać. Chciałam urządzić jakąś szaloną awanturę. Ale Gus się nie kłócił, przynajmniej nie ze mną. A już na pewno nie miał ochoty na awantury. Pod tym względem nigdy się nie rozumieliśmy. Lubił mieć spokój w życiu i w domu. Doprowadzał mnie tym do szału. Zresztą, pewnie tak właśnie myślał, że jestem szalona. Pewnego dnia po prostu miałam dość. Nudy, ciszy, przeciętności tego nędznego życia. Chwyciłam talerz Gusa, na którym leżał klops z sosem i tłuczonymi ziemniakami. Ulubione danie mego męża. Teściowa, zaraz po przyjeździe, nauczyła mnie je przyrządzać. Jedliśmy tego przekłętego klopsa przynajmniej raz w tygodniu, a Gus zawsze się przy tym uśmiechał i mówił, że jest prawie tak dobry jak jego matki. Tamtego dnia po prostu rzuciłam talerzem o ścianę, tuż nad głową męża. Rozbił się z cudownym brzękiem. Klops i sos spłynęły na podłogę.

Gus odsunął krzesło, wstał i wyszedł z domu. Nie było go przez kilka godzin, dopóki wszystkiego nie sprzątnęłam. Potem nigdy, ani razu, o tym nie wspomniał. Choć nie udało mi się doczyścić śladów. Plama z sosu widniała na ścianie przez cały czas, kiedy tam mieszkałam.

– Nigdy o tym nie rozmawialiście?

– Nie wprost. – Violet pokręciła głową. – Chyba myślał, że wariuje, bo nie mam dziecka. Pewnie tak powiedziały mu matka i siostry. Wydawało im się to logiczne.

– Ale nie było tak?

– Nie. Wariowałam, bo to nie było życie. Dziecka z całą pewnością wtedy mieć nie chciałam. Zawsze coś mnie ograniczało, więc byłoby to tylko kolejne utrudnienie. Czas płynął, w moim życiu nic się nie działo i tego nie mogłam znieść. Jakby wszystko, co czułam i planowałam na statku, wiele miesięcy, wiele lat wcześniej, nie mogło znaleźć ujścia. Jakby wciąż tkwiło we mnie i czekało. Pod pewnymi względami chyba rzeczywiście byłam szalona.

– I jak to się skończyło?

– Gus zmarł. – Violet wzruszyła bezradnie ramionami.

– O, Boże! Kiedy? – Eve nie spodziewała się takiego zakończenia.

– W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym roku. Szesnastego listopada. Tego samego dnia co Clark Gable.

– To było... – próbowała policzyć Eve.

– Czternaście lat po ślubie.

– Długo, jeśli się jest nieszczęśliwym.

– Owszem.

– Na co zmarł?

– Na atak serca.

– Chyba był na to za młody?

– Owszem. O wiele za młody. Myślałam, że to z powodu kłopsa. Ale lekarz powiedział, że zawsze miał chore serce. Według niego kryzys mógł nastąpić w każdej chwili.

– Strasznie smutne.

– Tak naprawdę, serce pękało mi na widok mamy Gusa. Na dworze panował ziąb, a ona całymi godzinami siedziała na werandzie, kołysząc się na bujaku. Nie chciała wejść do środka. Siedziałam z nią przez jakiś czas i powiedziała do mnie tylko jedno zdanie: „Matka nie powinna żyć dłużej od swego dziecka”.

Eve znów pogłaskała się lekko po brzuchu i zadrżała.

– Smutek matki, jej cierpienie było znacznie większe niż moje. Zupełnie się załamała.

– A ty? Co zrobiłaś?

– Przez całą noc po pogrzebie siedziałam, patrząc na płamę z sosu na ścianie za krzesłem mojego męża. Rozmyślałam. Choć spędziłam w miasteczku czternaście lat, nie miałam tu prawdziwego przyjaciela. Na stypie było mnóstwo ludzi, ale ani jednej osoby, która by mnie naprawdę знаła. Wydawało się oczywiste, co powinnam zrobić.

– Pojechałaś do Nowego Jorku?

Skinęła głową.

– Nie miałam zamiaru wracać do Norwich – uśmiechnęła się. – I nie myśl, że nie cierpiałam po śmierci męża. Czułam się winna. Jak wtedy, gdy umarła moja matka. Nie zdołałam go ocalić. Może gdybyśmy byli szczęśliwi, bo on też nie był, choć nigdy mi tego nie powiedział, miałby więcej sił. Może przez cały czas, jak ja, łykał poczucie krzywdy, zamiatał je pod dywan. Lecz przecież nie umarłam. Żyłam. Dostałam szansę i musiałam z niej skorzystać. Sprzedałam dom, który przypadł mi w spadku po Gusie. Zabrałam to, co zostało po spłaceniu pożyczki hipotecznej i kosztów pogrzebu. Miałam też oszczędności w banku, więcej, niż się spodziewałam, bo przecież nigdy nie wydawaliśmy dużo. Biedny Gus. Czekał, oszczędzał, planował. A potem umarł, zanim zdążył cokolwiek zrealizować. A ja przeprowadziłam się na Manhattan. Wynajęłam mieszkanie na piątym piętrze w budynku bez windy na rogu 58 Ulicy i Trzeciej Alei. Ciasne, ale czyste, z miłymi sąsiadami. I zapisałam się do szkoły dla sekretarek mieszczałej się w samym centrum, na Wall Street. Miałam wtedy trzydzieści jeden lat i byłam starsza od większości dziewcząt. Ale byłam też szybsza. Chciałam nadrobić stracone lata. W ostatniej klasie pisałam najwięcej słów na minutę ze wszystkich, stenografowałam też nie najgorzej. Mogłam przebierać w ofertach. Pracodawcy uważali pewnie, że warto zatrudnić kogoś takiego jak ja. Wdowa po trzydziestce raczej nie wyjdzie za pierwszego bankiera czy prawnika, który się do niej dwa razy uśmiechnie, po to, by rzucić pracę i rodzić dzieci.

– A ty tego chciałaś?

- Nie sędę. Chciałam żyć. Bycie córką czy żoną nie dało mi tego, czego pragnęłam. Nie spieszyłam się więc, by znów znaleźć się w podobnej sytuacji. „Czyjaś matka” byłaby po prostu kolejną etykietką.

- Którą posadę przyjechałaś?

- Te, gdzie płacili najlepiej. Wpadły mi w oko kamienice na Upper East Side. Z portierami w białych rękawiczkach i marmurowymi podłogami w hallu. Wiesz, o czym mówię - mrugnęła do Eve. - Zaczęłam pracować dla firmy księgowej na Park Avenue. Partnerami w niej byli Johnson, Bell i Wallace.

- Domyślałam się, że dla pana Wallace'a? - Eve słuchała jak urzeczona. Siedziała pochylona do przodu, z łokciami na kolanach, ale była to pozycja niewygodna, więc po chwili zmieniła ją, opierając się bokiem o kanapę.

- Oczywiście, że nie. - Violet wyglądała na wstrząśniętą. - Pracowałam dla pana Clarence'a Johnsona. Metr sześćdziesiąt wzrostu, sto dwadzieścia kilogramów żywej wagi, żona i troje dzieci w Scarsdale, w domu imitującym styl Tudorów.

- Ale był też przecież pan Wallace? - zachichotała Eve, kołysząc się lekko na palcach.

Violet zdecydowanym gestem klepnęła się po udach i wstała.

- Tak, był. Ale Ed zaraz wróci do domu i na pewno chce tam zastać żonę przygotowującą dla niego obiad i kolejny džin z tonikiem. Tymczasem ona siedzi tutaj i papie ze mną o różnych bzdurach.

Eve się uśmiechnęła. Nie zdawała sobie sprawy, która jest godzina. Violet doznałaby szoku na widok wnętrza lodówki Gallagherów. Zrobienie obiadu dla Eda, zapewne umierającego z głodu po wypiciu kilku drinków z klientami, nie wchodziło w grę, chyba że chciałby zjeść czekoladowe ciasteczka i jogurt jagodowy. Violet miała rację. Pan Wallace musiał poczekać, a Eve ruszyć na ekspresowe zakupy do Food Emporium.

Wrzesień

Taras na dachu

Eve i Violet przygotowały przyjęcie. Postanowiły uczcić efekt pracy osób zaangażowanych w tworzenie tarasu, zanim skończy się lato i rośliny w doniczkach zaczną wyglądać szaro i smętnie. Eve zamówiła we Fresh Direct kilka półmisków z przystawkami – surowymi warzywami, krewetkami, chipsami z tortilli i guacamole, a Violet kupiła wino. Ogłoszenie o przyjęciu wywiesiły w hallu. Eve na zachętę przyczepiła do niego własnoręcznie zrobione zdjęcie tarasu. Była niemal podniecona...

Teraz zastukała nożem o szklanke, prosząc zebranych o ciszę. Jeszcze raz rozejrzała się za Edem. Dał słowo, że zjawi się o wpół do siódmej, a był już spóźniony o kwadrans. Dał słowo. Nigdy dotąd go nie złamał. Jednak ostatnimi czasy wydawał się obiecywać jej beztrąsko rozmaite rzeczy i natychmiast o tym zapominał. Wypatrywała go, naiwniaczka, ale wiedziała, że tak naprawdę nie liczy już na to, że mąż przybędzie na czas.

Violet odchrząknęła.

– Witam wszystkich na naszym tarasie. I ogłaszam, że się udało!

Rozległo się kilka nieśmiałych oklasków oraz głośne okrzyki Eve i Todda.

– Wiele osób przyczyniło się do powstania sielankowego zakątka, który widzimy tu dziś wieczorem. Podziękowania należą się całemu komitetowi.

– Największe tobie, Violet. Bez ciebie nie byłoby żadnego komitetu!

– Nie mówiąc już o tarasie!

Violet uniosła dłoń w geście protestu, ale uśmiechała się szeroko.

– Proszę nie przeszkadzać. Nie kłóćmy się, czyja to zasługa. Po prostu cieszymy się, że mamy cudowne miejsce, w którym możemy spędzać czas... To niewiarygodne szczęście posiadać coś takiego w tym mieście.

– Racja – rzucił ktoś.

– Wznieśmy więc toast na cześć tarasu na dachu. I wszystkich, którzy tu siedzą i cieszą się z niego.

Wzniesiono kieliszki. Był cudowny wieczór. Gorący, lecz nie tak męcząco upalny jak w lipcu i sierpniu. Wiał lekki wietrzyk, a na horyzoncie szkarłatne słońce chyliło się ku zachodowi.

Eve uświadomiła sobie, że przyszli prawie wszyscy. Zabawne, ale zaproszenie na przyjęcie spotyka się z dużo większym odzewem niż zaproszenie do pracy. Nie zauważyła Arthura Alexandra (*Quelle surprise!*), ale mignęła jej Blair Stewart. Trafiła łokciem Violet, która szepnęła kąśliwie, że w takim razie prawdą jest słyszana

przez nią plotka: Blair Stewart przyszedłby nawet na otwarcie koperty. Pani Stewart nie została długo – zjawiała się zapewne tylko po to, by zobaczyć, co zrobili i na co ma się potem uskarżać zarządowi. Daleko ją to nie zaprowadzi, cały zarząd balował na dachu i cieszył się tarasem, bo taras na to zasługiwał.

Todd w ciemnym lnianym ubraniu włożonym zgodnie z zasadą: żadnej bieli po Święcie Pracy i Greg olśniewający w kreponie, brylowali usadowieni w nowych wiklinowych fotelach po obu stronach uśmiechniętej Violet, która wyglądała cudownie, spowita w zwiewny szal ozdobiony koralikami.

Eve ucięła sobie miłą pogawędkę z Rachael, która w rzeczywistości wcale nie była onieśmielająca, tylko urocza. W lecie rzadko bywała na Manhattanie. Violet wspominała coś o domu w Connecticut. Podobnie Kim, która sama powiedziała jeszcze w czerwcu, że spędza lato w rodzinnym domu Jasona na Long Island. Eve zastanawiała się, co ona będzie robić za rok. Nie mogła wyobrazić sobie, że zostawia Eda samego na tak długo. Dziwnie by się czuła. Co prawda, sądząc po tym, co działo się teraz, nie miałyby pewnie nic przeciwko temu. Nikt by mu nie suszył głowy o przychodzenie do domu na obiad. Albo na tak ważne dla żony bardzo nie liczne wyjątkowe imprezy... Ogarnęła ją złość. Irytacja przerodziła się w prawdziwy gniew. Doprawdy, to świństwo z jego strony, że nie przyszedł. Lepiej niech znajdzie jakąś mocną wymówkę. Ale kogo ona chce nabrać – przecież zawsze ją ma.

Rachael przyprowadziła Mię, ubraną już w piżamkę. Jej synowie oglądali, po raz ostatni w tym sezonie, mecz baseballu New York Mets. Do dzisiejszego wieczoru nie zdawała sobie sprawy, że Eve jest w ciąży, i teraz, zachwycona, polecała jej pediatrę i dopytywała się, o którym szpitalu myśli. Eve powiedziała, że w przyszłym tygodniu wybiera się na USG.

– Chcesz poznać płęć?

– Chyba tak. Ed wolałby zaczekać, ale ja pewnie nie wytrzymam. A ty znałaś? Całej trójki?

– Przy starszych nie. David powiedział, że zostało nam w życiu niewiele niespodzianek, a to jest jedna z nich. Ale po dwóch chłopakach oznajmiłam mu, że jak chce, może czekać, lecz ja muszę się dowiedzieć, czy będzie dziewczynka.

– Chciałaś dziewczynkę?

– Nie powinno się tego mówić, wiem, ale tak, chciałam! Trzech chłopaków? Nie zrozum mnie źle, uwielbiam synów. Lecz każda z nas marzy o jednej małej dziewczynce.

– Mnie jest wszystko jedno. Zabawne, ale Ed chyba chciałby córeczkę. Ja pragnę tylko, żeby było zdrowe. Wiem, banał...

– Banał, bo taka jest prawda. Tylko to się liczy. Ale powiedz mi koniecznie, jeśli będzie dziewczynka. Mam całe pudła prześlicznych ubranek, które przysłano

nam w prezencie lub kupiliśmy sami. Niektóre nawet nienoszone! Mała rosła jak na drożdżach. Wyjmowałam rzeczy, a po dwóch tygodniach były już na nią za małe. – Rachael roześmiała się i pocałowała córeczkę w czubek głowy, a Eve poczuła ukłucie zazdrości i podniecenie. Ona też będzie miała niedługo taką miękką ciepłą główkę do całowania.

Tylko gdzie, do diabła, podziewał się Ed? Taras to jej jedyne osiągnięcie od przyjazdu tutaj, więc mógł przynajmniej wziąć udział w jego oblewaniu. Prawdę mówiąc, była zażenowana. Wiedziała, że zdaniem Violet, Ed trochę ją zaniedbuje. Wciąż wstydziła się tego, co zaszło podczas awarii prądu. Za bardzo się wtedy odsłoniła, pokazując przyjaciółce, jak jej przykro. Teraz chciała udowodnić Violet, że nie ma racji. Ale Ed jej w tym nie pomógł.

Todd dopadł Eve koło przystawek i objął ramieniem, jakby znali się od stu lat. Woń jego Aqua di Parma była nieco dusząca, a ciąża uczyniła Eve wrażliwą na zapachy. Starła się jednak nie odchyłać do tyłu.

- Coś ty zrobiła Violet Wallace?
- To znaczy?
- Kompletnie staruszkę odmroziłaś. Osobiście przepadam za nią, no ale ja zawsze miałem pociąg do ekscentryków.
- Violet nie jest ekscentryczką!
- Kochanie, jest, i to straszna. Uwielbiam takie rzeczy. Te wszystkie kandelabry i jedzenie tylko przy pięknie nakrytym stole.
- Może to po prostu elegancja?
- Wszystko jedno – powiedział z zaśpiewem Todd, kołysząc biodrami. – I tak ją kocham. Tylko do tej pory byłem w tym osamotniony... Może jeszcze towarzyszył mi Hunter Stern, ale u niego to chyba zwykła żądza. Fuj. Zwiotczała miłość. – Todd zmarszczył nos. Łatwo się dekoncentrował. Gdyby miał poniżej dwunastu lat, pewnie by zdiagnozowano u niego ADHD i przepisano ritalin. Może Greg powinien zacząć dosypywać swemu przyjacielowi trochę tego leku do owsianki...

- Dlaczego uważasz, że nikt jej nie kocha?
- Kłująca. Zimna. Pełna rezerwy. Wymieniłem tylko kilka charakterystycznych cech, parę określeń, które obły mi się o uszy...

- Bzdura. To najmiłsza, najśłodsza i najbardziej interesująca kobieta, jaką znam...

- Wracamy więc do mojego pytania. Co zrobiłaś, że tak złagodniała?

W drzwiach stanął mężczyzna w garniturze. Przez chwilę Eve myślała, że to Ed, i już zaczęła się do niego uśmiechać, ale przybysz był niższy i szczuplejszy. Kto to mógł być?

Na początku Emily także go nie rozpoznała. W końcu, ze spóźnionym refleksem, uświadomiła sobie, że to Jackson. Dźwigał mały metalowy stolik z blatem

wykładanym kafelkami. Podszedł do Violet i postawił go przed nią. Violet i Greg przestali rozmawiać i uśmiechnęli się do niego.

– Coś do waszego ogrodu. – Jackson wskazał swój dar. – Są też cztery krzesła. Na dole. Nie dałem rady wszystkiego wnieść.

– Jackson, cóż za piękny prezent! – Violet wstała i ucałowała ofiarodawcę w oba policzki. – Kochany chłopiec! Jak to ładnie, że o nas pomyślałeś!

Greg i Todd spojrzeli na siebie, unosząc znacząco brwi. Violet spiorunowała ich wzrokiem.

– Prawda, moi drodzy?

Przytaknęli.

– To minimum, które mogłem zrobić. Nie należę do najbardziej uspołecznionych mieszkańców...

Emily przyglądała się wymianie zdań z drugiego końca dachu. Charlotte trąciła ją łokciem.

– Idę.

– Nie. Zostań. Proszę.

– Nie mogę, Charlotte. Nie mam ochoty przebywać w jego towarzystwie. Czuję się upokorzona. Do zobaczenia później...

– Powinnaś przynajmniej wysłuchać, co ma na ten temat do powiedzenia. Nie dałaś mu szansy wyjaśnić. To niesprawiedliwe. Wobec was obojga. Nie byłoby ci tak przykro, gdybyś nic do niego nie czuła.

Emily pocałowała Charlotte. Gdy przyjaciółka złapała ją za rękę, wyswobodziła się i pokręciła głową.

– Skończyłam z tym. Do widzenia.

Winda nie przyjeżdżała całe wieki. Emily raz po raz naciskała guzik, jakby mogło to coś zmienić. Na dole Hunter Stern bez pośpiechu wyładowywał zakupy zrobione w Fairway na cały tydzień.

Jackson zobaczył Emily, gdy tylko wszedł na taras. Zupełnie jak podczas triathlonu. Przyciągała jego spojrzenie jak magnes. Gdy wypatrzył dziewczynę w tłumie po zawodach, uwierzył, że znajdzie ją wszędzie. Dziś wieczorem wyglądała cudownie. Zresztą, kiedy było inaczej? Rozpuściła włosy. Jeszcze jej takiej nie widział. Miała na sobie jasnoturkusową sukienkę na ramiączkach, a jej ramiona lśniły złościście w świetle wczesnego wieczoru. Zobaczył, że wychodzi. A przecież przyszedł tylko po to, aby się z nią zobaczyć. Może wszystko wypadło niezgrabnie i przesadził z tym stołem, lecz gdy zobaczył w hallu ogłoszenie o uroczystym otwarciu tarasu, wiedział, że Emily musi się tam zjawić. Unikała go od czasu awarii prądu. Za to ciągle natykał się na Madison Cavanagh. Zawsze gdy otwierały się drzwi tej cholernej windy, stała w środku i albo patrzyła na niego ze złością, albo

udawała, że go nie widzi, nawet jeśli byli w kabinie tylko we dwójkę. Dzięki Bogu dziś wieczorem jej nie zauważył.

Zostawił Emily wiadomość na sekretarce, lecz nie odpowiedziała. Rozpaczliwie chciał jej wszystko wyjaśnić. Teraz zrobił z siebie widowisko, ale nie miał innego wyjścia. Oprócz rezygnacji, a na to nie mógł się zdobyć. Opuścił taras i ruszył za dziewczyną.

Przesunął palcem za kołnierzykiem. Za gorąco na oficjalny strój. Włożył go dla Emily.

Zgodnie z przewidywaniami ojciec od początku zachowywał się cynicznie. Dlatego Jackson zaczął od rozmowy z matką. Zanim przed paroma tygodniami usiedli obaj naprzeciw siebie w gabinecie ojca, Martha pochlebstwami, błaganiami, a w końcu rozkazem zmusiła męża, by uważnie wysłuchał syna. Widać było, że ojciec naprawdę się stara.

– Skąd ta nagła odmiana?

– Nie tyle odmiana, tato, ile przejście od tego, co bym chciał, do tego, co jest dla mnie osiągalne.

– Nie zrozumiałem ani słowa. Tego was teraz uczą na studiach? Pseudopsychologicznych bzdur?

Jackson ugryzł się w język. Zanosilo się na typową potyczkę słowną.

– Tato – starał się mówić spokojnie i nie podnosić głosu – pytanie brzmi, czy będziesz trzymał mnie tutaj i wytykał mi kolejne wady, czy też zrobisz coś, na czym zależało ci od kilku lat, czyli znajdziesz mi pracę?

– Oczywiście, Trip, że ci pomogę. Jestem twoim ojcem. Próbuję tylko poznać motywy, jakimi się kierujesz. Do tej pory nie okazywałeś najmniejszego zainteresowania pracą. O co chodzi? Obawiasz się, że kura przestanie w końcu znosić złote jajka?

Jackson podniósł się z miejsca rozgniewany.

– Jezu – wyszeptał, spłoszony akustyką pokoju. – To obrzydliwe mówić takie rzeczy. Zatrzymaj sobie tę śmierdzącą pracę. Nie potrzebuję...

Ojciec wstał, obszedł biurko i stanął obok syna.

– Nie, nie. Przepraszam. – Położył mu dłoń na ramieniu. – Nie powinienem był tego mówić. Usiądź, proszę. Porozmawiajmy...

– O przyszłości, a nie o przeszłości. Umowa stoi?

Pan Grayling w milczeniu skinął głową.

I tak Trip dostał pracę. Ojciec znalazł mu zajęcie w zakamarkach własnej kancelarii prawnej. Powiedział, że będzie go przenosił z miejsca na miejsce co kilka miesięcy, aby mógł zapoznać się z kolejnymi dziedzinami interesów. A co najgłupsze, Tripowi się to spodobało.

– Pewnego dnia wszystko będzie należało do ciebie. Wiesz o tym?

Oczywiście, że wiedział. Słuchał takich zapewnień od lat. Tylko co mu z tego przyjdzie, jeśli Emily nie zacznie go zauważać, jeśli go nie polubi. Wszystko robił dla niej.

Stała przed drzwiami windy, naciskając z furją guzik i początkowo nawet na Tripa nie spojrzała.

– Czy mogę z tobą porozmawiać?

Winda była na drugim piętrze.

– Nie ma potrzeby.

– Owszem, jest. Nie pozwoliłaś mi wyjaśnić. Tamtej nocy nic nie zaszło.

Trzecie.

– To nie ma dla mnie żadnego znaczenia.

– Myślę, że ma.

– Nie pochlebiaj sobie, Jackson.

– Posłuchaj, przyszłaś wtedy, bo mnie szukałaś. Bądź szczerą chociaż wobec samej siebie, nawet jeśli mnie okłamujesz. Wiem, że tak było.

Czwarte.

– I co z tego?

– To, że zdaję sobie sprawę, jak wyglądało to, co zobaczyłaś. Ale nic nie zaszło. Madison przyszła, narzucała mi się, a ja, przyznaję, kiedyś bym na to poszedł. Ale nie teraz. Nie chciałem Madison. Nie chcę nikogo prócz ciebie, Emily. Przepadłem. Od tamtej chwili, gdy wiele miesięcy temu spotkaliśmy się w windzie, zupełnie straciłem głowę.

Piąte.

Emily wpatrywała się w podłogę. Szóste.

– Powiedziałem jej, że nie mam ochoty. Przecież widziałaś, że właśnie wychodziła.

Siódme.

– Musisz uwierzyć i dać mi szansę. Myślisz, że mnie znasz, że wiesz, kim jestem, ale jakim cudem? Ja sam już siebie nie znam. Odkąd cię poznałem.

Ósme.

Winda prawie dotarła na górę. Jacksona ogarnęła desperacja. Miał ochotę zagrozić wejście do kabiny własnym ciałem. Emily musiała go wysłuchać. Po prostu musiała.

Drzwi otworzyły się i wysiadł wysoki mężczyzna. Jackson pomyślał, że to ten Anglik. Ed Jakiśtam.

– Dobry wieczór.

– Cześć.

Emily weszła do środka. Jackson nie był pewien, czy ma zrobić to samo. Co się dzieje w jej cudownej, doprowadzającej go do szaleństwa głowie?

– Lepiej wsiadaj.

Wiedziała, że tamtej nocy nic nie zaszło. Naprawdę. Bardzo szybko się domyśliła. Wiadomości na sekretarce. Wyraz jego twarzy. Nie miała pojęcia, co się wydarzyło między nim a Madison, ale przeczuwała z zaskakującą dla niej samej pewnością, że nie doszło do tego, co początkowo podejrzewała.

Gdy drzwi się zamknęły, odwróciła się w stronę Tripa. Z leciutkim uśmiechem pochyliła się, położyła mu ręce na piersiach i lekko pocałowała go w usta. Potem odsunęła się i popatrzyła na niego.

Ta dziewczyna nie wie, czego chce, pomyślał Jackson. Przez chwilę się zawałał.

A potem też ją pocałował. Raz, drugi, suchymi, miękkimi wargami. Na krótką chwilę położyła mu rękę na karku. To wystarczyło. Oparł Emily o ścianę windy i zaczęli się namiętnie całować.

Nie mógł uwierzyć, że mu na to pozwala. Po tych wszystkich miesiącach. Niemal bał się poruszyć. Jeszcze się przebudzi i zmieni zdanie. Wreszcie z nim była.

Dotykał skóry na jej ramionach i rękach. Pragnął tego od dawna. Była miękka, tak jak się spodziewał, ale pod spodem wyczuwał twarde mięśnie. Emily pachniała pudrem dla dzieci, świeżym powietrzem i słońcem.

Miała zamknięte oczy. Chciał, by je otworzyła, by mógł zobaczyć ich niezwykłą barwę. By spojrzała na niego z wyrazem przyzwolenia. Trzymał w dłoniach jej twarz, wsuwał palce w jedwabiste włosy.

Ktoś – może on sam? – nacisnął guzik piętra Emily. Gdy winda stanęła, wytoczyli się na korytarz, a potem wpadli do mieszkania dziewczyny. Próbując zamknąć drzwi, omal nie zrzucił z haka wiszącego na ścianie roweru.

Boże, tak bardzo jej pragnął. Ale to ona powinna podjąć decyzję. Musiał czekać.

Znieruchomiała. Lecz inaczej niż on wobec Madison. Wiedział, że Emily wcale nie chce przerywać. Zmusiła się. Kilka razy próbowała się odsunąć, a potem znowu lgnęła do niego całym ciałem, szukając ustami ust. W końcu na serio zdecydowała się zakończyć uściski. Cofnęła się o kilka kroków, obronnym gestem wysuwając przed siebie ramiona.

Oboje dyszeli, z trudem łapiąc oddech.

– Co się stało?

– Nic. Po prostu nie chcę, żeby wszystko działa się tak szybko.

– W porządku, Emily. – Poddał się, unosząc dłonie. – Będzie, jak zechcesz.

– Nie o to chodzi. Naprawdę tego chcę. Ale nie tak szybko. Muszę wiedzieć, czy można ci zaufać. Poznajmy się lepiej. Przecież właściwie nawet nie wiem, kim jesteś. Pewnie robisz to często. Ja nie. Miałam niewielu chłopaków. Naprawdę.

Nigdy nie należałam do dziewczyn, które od razu idą do łóżka. Może to brzmi staroświecko. Ale taka jestem. Po prostu nie robię pewnych rzeczy.

- Wcale tego nie chcę.

- Naprawdę?

- Naprawdę. To znaczy bardzo pragnę. Pewnie nigdy się nie dowiesz jak bardzo. Ale chcę, żeby nasza bliskość coś znaczyła. Jeśli do niej dojdzie. Nie zakładam...

- Denerwujesz się. – Uśmiechnęła się do niego.

- Jak diabli. – Żałośnie przyglądał włosy. – Jak nigdy w życiu. Wierzysz teraz w to, co powiedziałem na tarasie? Wszystko jest dla mnie nowe, Emily. Zupełnie nowe.

Uwierzyła. Wtedy, gdy opowiadał jej o Madison, i teraz też. A przynajmniej bardzo tego chciała, a jak dla niej, był to duży krok naprzód. Wygładziła sukienkę, odgarnęła włosy.

- Słuchaj – zaproponował Jackson. – Jest jeszcze wcześniej. Może chcesz się gdzieś wybrać? Moglibyśmy pójść na spacer. Albo do kina. Na obiad. Gdzie tylko masz ochotę. Zrobmy wszystko we właściwej kolejności.

- Brzmi dobrze. – Uśmiechnęła się z wdzięcznością.

Już na ulicy wzięła go za rękę, a Tripowi wydało się to najnaturalniejszą i najcudowniejszą rzeczą na świecie. Gdy tak szli chodnikiem, a potem zniknęli za rogiem, przyglądały im się dwie osoby. Portier Jesus, który pogratulował sobie w duchu, że dzięki jego mądrym radom tych dwoje pięknych ludzi się odnalazło. I Madison wysiadająca właśnie z taksówki przed kamienicą.

Nie zauważyli jej, ale ona ich widziała.

Eve

Na górze Eve zamknęła za sobą z hukiem drzwi mieszkania i poszła prosto do łazienki, też trzaskając drzwiami, żeby było do pary. Zatkła wannę korkiem i zaczęła nalewać wodę, dodając do niej dużą porcję lawendowego płynu do kąpieli, który miał rzekomo ułatwiać zasypianie. Dziś wieczorem lawenda nie wystarczy. Była zbyt rozgniewana, żeby spać.

Ed przygotował kubek herbaty i ostrożnie zapukał do drzwi. Nie były zamknięte na klucz.

- Mogę wejść?

- Nie chcę z tobą rozmawiać.

- W porządku. Przyniosłem ci tylko herbatę.

Postawił kubek na brzegu wanny. Eve leżała na plecach z zamkniętymi oczami. Popatrzył na jej ciało. Piersi zrobiły się większe, sutki ciemniejsze. Wypukły brzuch wynurzał się z piany, pępek lekko sterczał. Nie da się ukryć – była w ciąży.

A on, oczywiście, zachował się jak świnia. Przynajmniej wobec niej.

– Bardzo mi przykro, Eve.

– Z jakiego powodu? Dlatego że raczyłeś przyjść na moje przyjęcie pięć minut przed końcem, czy dlatego, że masz teraz u mnie krechę.

– Z jednego i drugiego?

Otworzyła oczy, a on zajął jej w twarz. Uśmiechnął się zwycięsko.

– Mogę wejść?

– Idź do diabła. Jestem zła.

– Wchodzę.

Ściągnął spodnie od garnituru i rozpiął koszulę.

– Nie ma miejsca.

– Ależ jest.

Zanurzył stopę w wodzie i lekko chlapnął na Eve.

– Jesteś pewna, że nie za ciepła? Dziecko nie powinno brać takich gorących kąpeli.

– Niby skąd o tym wiesz?

– Czytałem w poradnikach.

Nie wiedziała. Musiał czytać, gdy spała. Usiadł na drugim końcu wanny, naprzeciwko niej. Spojrzała na niego wyczekująco. Wzruszył ramionami, a potem rozłożył je szeroko.

– Co? Cokolwiek powiem i tak nic nie pomoże, prawda? Przecież nie obchodzi cię niezwykle ważny telefon, do którego odwołano mnie już z windy?

– Naprawdę? – Popatrzyła na niego zmrużonymi oczami.

– Przysięgam.

Pochylił się i pocałował ją w kolano.

– Chciałem być na przyjęciu, Eve. Daję słowo. Bardzo cię przepraszam. Naprawdę.

Nic nie odpowiedziała.

– I chciałbym, żebyś mi wybaczyła.

Westchnęła. Ukłękł w wannie i przysunął się do niej, aż ich twarze znalazły się na jednym poziomie. Woda chlapała na podłogę. Ed wtulił twarz w wilgotną szyję żony, a ona położyła mu rękę na głowie. Otarli się brzuchami, choć utrzymywał ciężar na dłoniach i kolanach, uważając, by jej nie przygnieść.

– Nie pozwoliłam ci wejść do wanny.

– Ale nie powiedziałaś też, że nie mogę.

Nie miała siły dłużej się na niego złościć. Spóźnił się na przyjęcie, choć nie powinien. Lecz klótnia ją zmęczyła. A teraz byli razem...

Rachael

Poranek, w którym Rachael dowiedziała się, że David ma romans, aż do tej chwili przebiegał zupełnie zwyczajnie. Była niedziela, a Milena w weekendy pracowała tylko latem, w Connecticut, lub w niektóre sobotnie wieczory. Rachael kochała ją i wiedziała, jak bardzo jej obecność ułatwia im życie, ale lubiła też dni, gdy opiekunka nie przychodziła i miała dzieci tylko dla siebie.

David spał do ósmej. Rachael jak zwykle była na nogach już od wpół do szóstej. Nie potrzebowała budzika – budziła się sama. Przebiegła 10 kilometrów wokół Jacqueline Kennedy Onassis Reservoir, słuchając na iPodzie piosenek zespołu Coldplay, i wróciła do domu, zanim wstały dzieci, by jak w każdy weekend usmażyć dla wszystkich naleśniki. Krzątanka zwabiła maluchy do kuchni, zaspane i potargane, ale głodne. Rachael rozmawiała z nimi przy jedzeniu, oparta o blat, z kubkiem herbaty earl grey w dłoniach. Jacob zaczynał dziś zajęcia w szkółce piłkarskiej po drugiej stronie miasta i nie mógł się doczekać, kiedy włoży strój i tam pojedzie. Tak jak matkę, rozpierała go energia i Rachael wiedziała, że sport dobrze mu robi. Noah chciał popatrzeć na wyczyny brata. David miał ich zawieźć. Córce obiecała, że spędzi przedpołudnie w ulubiony sposób – będzie oglądać książki z obrazkami na podłodze w księgarni Barnes & Noble, a potem zje z mamą lunch. Chłopcy gapili się na *SpongeBoba*, wykorzystując większość godziny dozwolonej w weekendy na oglądanie telewizji, Mia zaś wsunęła się ojcowi do łóżka, by po naleśnikach uciąć sobie drzemkę. Rachael przystanąła w drzwiach i oparta o framugę przez chwilę na nich patrzyła. Leżeli zwrócenii do siebie twarzami, Mia z podwinętą nóżką i palcami rozłożonymi na poduszce. Mieli takie same profile i ciemne loki.

Po letnim pobycie na wsi Rachael z trudem wracała do miasta, by powitać nadchodzącą jesień. Teraz w Connecticut jest tak pięknie. Gorąco, lecz już nie wilgotno. Ale życie toczyło się dalej. Szkoła, sport, zobowiązania... Przeżyli piękne lato. David spędzał na wsi mniej czasu, niżby Rachael sobie życzyła, ale wspólne chwile wykorzystywali, jak umieli najlepiej. Była dumna z męża, widać w pracy układało mu się świetnie.

Zostawił w domu BlackBerry. Pozwoliła mu dłużej pospać i potem trzech chłopcy musieli się bardzo spieszyć, by zdążyć na zajęcia w szkółce piłkarskiej. To było niepodobne do Davida – pośpiech i zapominanie rzeczy. Inne żony narzekały, że mężowie gubią telefony, klucze oraz portfele, ale nie ona. Później zastanawiała się

przez chwilę, czy nie zrobił tego umyślnie. Może w głębi duszy pragnął, by wszystko się wydało?

Rachael nie grzebała w rzeczach męża. Po co miałyby to robić? Nie mówił ani nie robił niczego podejrzanego czy wykraczającego poza codzienną rutynę. Nie miała powodu go sprawdzać. Poza tym, szczerze mówiąc, nigdy nie przyszło jej do głowy, że mógłby ją zdradzać. Gdy spostrzegła, że wyszedł bez telefonu, położyła aparat obok siebie na stole, pewna, że za parę minut po niego wróci. Razem z córką lepiły z gliny zwierzątka. Mia pracowała nad czymś, co, według niej, miało być słoniem, matce zaś nakazała ulepienie lwa z wielką grzywą. Rachael wyjęła prasę do czosnku, planując użyć jej do wyciskania gliny. Mia paplała coś uszczęśliwiona. Uwielbiała takie zajęcia, a brała w nich udział tylko wtedy, gdy starszych braci nie było w pobliżu – nie lubili ślęczenia nad projektami artystycznymi, a Rachael i Milena dość się naczyściły dywanów z gliny i ścian z farby, by przyjąć to do wiadomości.

Właśnie wkładała glinę do praski, gdy tuż obok zawibrował telefon. Odruchowo sięgnęła po niego. Przypuszczała, że dzwoni David z komórki pożyczonej od któregoś z ojców zebranych wokół boiska, by sprawdzić, czy telefon jest w domu, a nie w rękach osoby, która znalazła go na ulicy lub na siedzeniu taksówki. Pamiętała hasło. JANOMIRA – pierwsze dwie litery imion każdego z nich: Jacoba, Noah, Mii i Rachael. Znała hasło, numer ubezpieczenia społecznego, otwierała adresowane do Davida listy. Wiedziała, jakie ma ciśnienie i ile wynosi jego roczna premia. Był jej mężem. Wiedziała wszystko.

Z jednym wyjątkiem. Tego nie wiedziała. *Zadzwoń, jeśli możesz. Tęsknię za tobą.* Przez chwilę, zdziwiona, pomyślała, że to on napisał. Do niej. Potem uświadomiła sobie, co oznacza ten SMS, i poczuła się jak idiotka. Ktoś za nim tęsknił. Nie Jacob, Noah, Mia ani ona, lecz ktoś, kto nie miał do tego prawa. Obok córka paplała o słoniach i ich trąbach, o lwiej grzywie i o tym, jak długo zwierzęta muszą schnąć, zanim będzie można je pomalować. Rachael bezmyślnie wpychała glinę do praski w takich ilościach, aż w końcu Mia powiedziała, że chyba już wystarczy na grzywę.

Nie mogła krzyczeć ani przeklinać, bo obok niej, zamiast Davida, siedziała córka. Żałowała, że brak jej odwagi, by nacisnąć zielony guzik i sprawdzić, kto tęskni za jej mężem. Nie była w stanie. Wpatrywała się w BlackBerry, aż rozmazywał się przed oczami, i próbowała powstrzymać łomot serca i gonitwę myśli. Czuła zawrót głowy, brakowało jej tchu.

Mia szarpnęła ją za rękaw. Choć na dworze grzało słońce, włożyła płaszcz przeciwdeszczowy i kalosze (były nowe, różowe i gdyby mogła, chybaby w nich spała). Dopytywała się, kiedy wreszcie pójda do Barnes & Nobles. Zakończyła na dziś lepienie z gliny.

Rachael nawet nie kazała jej się przebrać.

W księgarni mała usiadła z zadowoleniem na podłodze otoczona stosami ilustrowanych książek ściągniętych z półek i stolików. Tymczasem jej matka próbowała zachować spokój. Powstrzymać myśli od wybiegania naprzód. Rozważała rozmaite scenariusze. Wersje, w których wiadomość okazywała się nieszkodliwą, niewinną pomyłką. Przeznaczoną dla kogoś zupełnie innego. Wysłaną pod zły numer. Głupim dowcipem. Ale dziwna rzecz, i tak wiedziała, jaka jest prawda.

Kolejną dziwną rzeczą było to, że gdyby ktoś zapytał ją wczoraj, co zrobiłaby w takiej sytuacji, przysięgałaby, że okazałaby wiele odwagi. Oddzwoniłaby pod tamten numer. Zaczekała w domu na Davida, by spytać, co to ma znaczyć. Mówiłaby podniesionym głosem, przekonana o własnej słuszności. Pełna gniewu – przynajmniej na początku.

Nic takiego nie nastąpiło.

Była przerażona.

Nie mogła znieść myśli o powrocie do mieszkania i spotkaniu z mężem.

Gdy David wrócił ze szkółki piłkarskiej, zastał stół oblepiony gliną. Rachael nigdy nie zostawiała po sobie bałaganu. Ogarnęła go panika – może Mia się skaleczyła, żona pojechała z nią do szpitala i dlatego nie posprzątały? Nie było żadnej wiadomości. Tuż przy drzwiach wejściowych, w rogu biblioteczki leżała komórka. Zaraz po wyjściu z domu przypomniał sobie o niej, ale nie było czasu, by się wracać. Właściwie wcale mu jej nie brakowało – biegali z Noah wzdłuż boiska i patrzyli, co robi Jacob. Gdyby miał telefon, pewnie, jak mawiał starszy syn, ciągle by się nim bawił. Podniósł komórkę, by zadzwonić do Rachael, i odkrył wiadomość. Ale dopiero gdy przeczytał SMS-a, lekka panika zmieniła się w przerażenie.

Głupia dziewczucha. Co za głupia dziewczucha. Jak mogła? Nigdy, w żadnym wypadku, nie wolno jej było tego robić. Gdy David, chcąc usprawiedliwić romans, przewartościował swe zasady moralne, uznał, że przynajmniej wobec Stephanie jest całkowicie uczciwy. Wiedziała, że ma żonę i trójkę dzieci, że nie będzie wspólnych świąt ani weekendów i że porzucenie Rachael nie wchodzi w grę. Od początku stawiał sprawę jasno. Nigdy nie powiedział nic, czego by nie myślał. I choć miał poczucie winy z powodu Rachael, wobec Stephanie jego sumienie pozostało czyste. Wiedziała, co jest grane. Sama chciała. A teraz złamała reguły.

Nie miał pewności, czy Rachael przeczytała SMS-a, i ta nieświadomość była jak piekąca wysypka. Na samą myśl przeszywał go zimny dreszcz. To wyjaśniałoby bałagan i brak wiadomości. Drżącym palcem wystukał na BlackBerry numer żony. Zaraz się dowie.

Włączyła się poczta głosowa i David nie wiedział, co powiedzieć. Wreszcie odezwał się, umyślnie lekkim tonem, który jemu samemu wydał się głupi. Brzmiał jak prezenter z telewizyjnego programu dla dzieci – sztucznie podniecony i wesoły.

– To ja. Wróciliśmy. Okazało się, że Jake dobrze gra lewą nogą. Może się spotkamy, jeśli macie ochotę na lunch z chłopakami. Zadzwoń i powiedz, gdzie jesteście. Na razie.

Chłopcy znów oglądali telewizję. Powinien im zabronić, ale cieszył się, że mają jakieś zajęcie.

Poszedł w najdalszy kąt mieszkania, stanął twarzą do ściany i zadzwonił do Stephanie. Odebrała natychmiast.

– Cześć, kochanie.

– Wysłałaś mi SMS-a. W weekend. – W swoim głosie słyszał chłód i gniew.

– Przepraszam.

– Za późno.

– Dlaczego? Co się stało?

– Nie wiem. Chyba Rachael go przeczytała. Poszedłem rano z chłopcami na piłkę i zostawiłem telefon w domu.

– O Boże.

Milczał.

– Bardzo cię przepraszam. – Stephanie ledwie mogła wydobyć z siebie głos.

– Naprawdę?

– Oczywiście. Chyba nie sądzisz, że zrobiłam to specjalnie. Nic już nie sądził. Myślał, że grają w otwarte karty.

– Nie odzywała się do ciebie? Nikt nie dzwonił?

– Nikt. Przysięgam. Dopiero ty.

Poczuł przypływ nadziei. Rachael nie jest tchórzem. Gdyby zobaczyła SMS-a, pewnie zadzwoniłaby pod ten numer.

Gdy o szóstej żona wciąż nie wracała i nie dawała znaku życia, zrozumiał, że przeczytała wiadomość. Chciała, by wypił piwo, którego nawarzył.

Nie miał pojęcia, co robić z chłopcami przez cały dzień. To Rachael zawsze organizowała im weekendy. Domagali się, by iść na basen albo pojeździć w parku na hulajnogach, ale chciał być w domu, gdy przyjdzie żona. Zresztą łatwo dali się uspokoić niespodziewanym luksusem – całym popołudniem gier komputerowych. Nakarmił ich kanapkami z masłem orzechowym i dżemem, bez zwykłego dodatku surowych warzyw, i pozwolił maczać ciasteczka w mleku.

Podczas tego nienaturalnego popołudnia David nagle uświadomił sobie, że jeśli chodzi o wychowanie synów, tak naprawdę zna się tylko na rzeczach, których robić nie powinni. Co jest zabronione, co dozwolone pod kontrolą, co zalecane? Nie miał pojęcia. Co dzieci mogą robić? A co by chciały?

Kiedy to się stało? W którym momencie tak bardzo skomplikował sobie życie?

Do tej chwili starannie unikał przyjęcia do wiadomości idiotyzmu i banału roli, którą przyjął, rozpoczynając romans. Teraz, siedząc w mieszkaniu i czekając na

Rachael, z każdą godziną coraz bardziej przerażony, czuł, że prawda zagląda mu prosto w głupią twarz.

Wszystko zaczęło się na początku roku. Co prawda nie w najtandetniejszy z możliwych sposobów, na firmowym przyjęciu świątecznym, ale w styczniu, gdy nowojorska szara mroźna zima miała trwać jeszcze kilka miesięcy. Stephanie pracowała jako sekretarka w innym dziale. Po raz pierwszy zwrócił na nią uwagę w zeszłym roku podczas narad w związku z prowadzoną sprawą. Dokładnie pamiętał własne zdziwienie, że właśnie na nią zareagował tak nietypowo. Była ładna, ale nie żadna piękność. Zawsze zadbana i bardzo szczupła – należała do tych mieszkanki Nowego Jorku, które wiedzą, jak za pomocą posiadanych atutów uzyskać maksymalny efekt.

Od czasów studiów nigdy nie spojrzał w ten sposób na inną kobietę. Wystarczyła mu Rachael.

To Stephanie go zaczepiła, pomyślał, uświadamiając sobie, jak słabo i tchórzliwie to zabrzmiało. Ale na pewno nie on wpadł na ten pomysł, przynajmniej nie na początku. Prawdę mówiąc, po pierwszych spotkaniach omijał ją z daleka. Nie był głupi. Jeszcze nie wtedy. Wiedziała, że ma żonę i dzieci. Wiedziała, co robi. Bardzo jasno dała mu do zrozumienia, że może ją mieć, jeśli tylko kiwnie palcem, a on w końcu się poddał i kiwnął.

Poszło dużo łatwiej, niż sobie wyobrażał. Byli na pozafirmowej naradzie w hotelu Four Seasons w pobliżu Battery Park. Stephanie flirtowała z Davidem przez cały dzień – podczas przerw na kawę i przy stole obrad. Później wpadli na siebie przed budynkiem. Oparta o drzewo paliła papierosa. David wyszedł, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Chciał zadzwonić do Rachael, ale uświadomił sobie, że jest za późno – żona pewnie już śpi. Wokół nie było nikogo. Stephanie przywołała go ruchem ręki. Postąpił obok, czekając, aż skończy palić. Sam nigdy nie palił i nie podobało mu się, gdy robiły to kobiety. Do tej chwili. Jak sparaliżowany patrzył na kształt jej ust wydmuchujących dym. Nagle wydała mu się niezwykle seksowna. Jak w transie wszedł za nią do budynku, do windy, a potem do pokoju. Jakby stał się inną osobą. Zamknęła drzwi i przyciągnęła go do siebie, zanim zdążył powiedzieć choć słowo. A on się poddał. Pozwolił, aby wszystko toczyło się samo. W pewnej chwili mógł się jeszcze wycofać. Potem było już za późno. Próbował przywołać w myślach twarz Rachael, ale nie potrafił. Starał się, głaszcząc Stephanie, wyobrazić sobie piersi żony, lecz jakby o nich zapomniał. Unosił się nad nagim ciałem dziewczyny, czuł na swojej skórze jej oddech, lekko pachnący papierosami i... stało się. Był w niej, nie mógł myśleć o niczym innym, dopiero później, po wszystkim, gdy miał orgazm, wróciła mu świadomość. Pierwszej nocy zadziałała chemia. Potem było dużo, dużo łatwiej.

Oczywiście, łączył ich tylko seks. Niezbyt częsty i, szczerze mówiąc, nie aż taki nadzwyczajny. David nie należał do mężów, którzy zdradzają, bo ukrywanie się i

potajemne schadzki działają na nich podniecająco. Nie był z natury niewierny. Konieczność zacierania śladów właściwie go męczyła. Ale wyrzuty sumienia okazały się mniejsze, niż oczekiwał. Stephanie miała ładne ciało, Rachael również. Wciąż wyglądała mniej więcej tak samo – złościście i jędrnie – jak tamta dziewczyna w białym bikini przed laty, na plaży w St. Barts. Nikt by nie odgadł, że urodziła trójkę dzieci. Stephanie zabiegała o niego, знаła kilka nowych sztuczek, ale przecież na Rachael także nie mógł narzekać. Inni faceci skarżyli się, że ich żony po urodzeniu dzieci straciły ochotę na seks. Nie Rachael. Kochali się regularnie, lecz nigdy rutynowo czy na odczepnego. I nie zawsze z jego inicjatywy. Jeśli nawet czasem czuł, że seks jest dla Rachael jedną ze spraw na liście rzeczy do załatwienia, między zarezerwowaniem opiekunki do dzieci a zamówieniem sushi, przynajmniej uprawiali go często i z przyjemnością. Zona kolegi Davida z klubu racquetball, wyznała po wypiciu kilku martini, że zgadza się na seks trzy razy w tygodniu głównie dlatego, iż spała przy tym 750 kalorii i ćwiczy mięśnie ud. Dzięki temu nie musi jeździć na rowerze stacjonarnym. Oto wielozadaniowość podniesiona do poziomu absurdu, możliwa tylko w Nowym Jorku.

Chciał z tym skończyć. Już po pierwszych spotkaniach. Gdy była to jeszcze przygoda, nie romans. Potem po kilku miesiącach. Lecz nadeszło lato, a z nim możliwość nieskrępowanego dostępu do Stephanie, więc postanowił poczekać do września. Rachael większość czasu spędzała na wsi z dziećmi. Poświęcała im tyle uwagi. David w czasie weekendów przeznaczał dla rodziny całą swą energię i miłość. W ciągu tygodnia zaś dowartościowywał się u Stephanie. W tamten weekend, Czwartego Lipca, czekała na niego w Nowym Jorku. Jechał najpierw autobusem, a potem taksówką. Dziewczyna leżała nago w łóżku, nie mając w planie na dzień nic, poza daniem i przyjmowaniem rozkoszy. Jakby nie mogła się nim nasycić. Kryła się w tym jakaś prostota. Nigdy, aż do tej pory, niczego nie żądała. Nie prosiła o nic, poza tym, co dawał jej, gdy byli sami. David powiedział sobie, że we wrześniu zakończy romans. Szkoda, że nie zrobił tego wcześniej.

W coraz rzadszych chwilach wewnętrznej uczciwości uświadamiał sobie, co, wciąż od nowa, popychało go do jej łóżka. Dlaczego to robił. Po prostu uważał, że jest lepszy od Stephanie. Zdolniejszy, inteligentniejszy, odnoszący większe sukcesy. Przy niej nie musiał się starać, bo i tak uważała go za fantastycznego faceta.

Nigdy nie zastanawiał się, co ona z tego ma.

Rachael wreszcie wróciła do domu, niosąc na rękach śpiącą Mię. W spojrzeniu, które rzuciła mężowi nad głową córki, był rozkaz, aby się nie odzywał. Delikatnie położyła małą na kanapie, a potem rozmawiała tylko z chłopcami, pytając o szkolkę piłkarską i o to, jak spędzili popołudnie. Gdy Jacob chciał wiedzieć, gdzie była, wyjaśniła, że poszły z Mią do kina i na lody, ale w następnym weekend zabierze synów, dokąd tylko będą chcieli – do Muzeum Historii Naturalnej albo do

parku. David kręcił się z tyłu, czekając na jej pierwszy ruch. Czuł się wykończony. Rachael położyła dzieci do łóżka, przedtem posyłając je w piżamach, by ucałowały tatę na dobranoc. Każdy pocałunek był niemym wyrzutem. Słyszał, jak gasi światło i życzy dzieciom dobrych snów. Wciąż nie przychodziła.

W końcu nie mógł już dłużej wytrzymać. Gdy odnalazł żonę w sypialni, leżała w łóżku całkowicie ubrana, patrząc w ścianę, tak że nie widział jej twarzy. Naciągnęła na siebie kołdrę i trzymała ją kurczowo.

– Rachael?

Nie odpowiedziała.

– Chciałem ci wyjaśnić. Przepraszę.

Nadal milczała.

– To ktoś ode mnie z pracy... – Nie wiedział, co dalej mówić. „To nie miało znaczenia, jest skończone, przepraszam”? Puste, nic nieznaczące słowa – bezsensowne, głupie komunały, których nie był w stanie wypowiedzieć głośno.

Rachael chyba też nie miała ochoty ich słuchać. Usiadła i, nie patrząc na męża, uniosła rękę.

– Nie chcę tłumaczeń.

– A czego chcesz?

– Żebyś sobie poszedł.

– Dokąd? – Zadrżał mu głos.

– Nie interesuje mnie to. Po prostu idź. Nie chcę, żebyś tu był. Nie mogę tego znieść. – W jej głosie nie było gniewu. Tylko zmęczenie.

Przez pokłady poczucia winy i strachu Davida przedarło się oburzenie. To jego dom. Mieszkają w nim jego dzieci.

– Nie chcę stąd iść.

– Wielka szkoda. – Zmrużyła oczy. – Bo ja nie chcę tego słuchać. Nie prosiłam o to wszystko. Nie masz prawa mówić mi, co należy robić. Naprawdę cię to dziwi? To moje prawo. A ja nie chcę cię tu widzieć ani z tobą rozmawiać, dopóki nie będę gotowa. Ja – nie ty. Rozumiesz? Decyzja należy do mnie.

Wolałby, żeby się złościła i krzyczała. Albo płakała. Opanowana, spokojna Rachael była przerażająca.

– Spakuję rzeczy.

Wstała i wyszła z pokoju, nie mówiąc już ani słowa. David na chybił trafił wrzucił do torby kilka ubrań i ruszył korytarzem do salonu. Nie bardzo wiedział, gdzie ma pójść. Wspólni przyjaciele odpadali. Niemożliwe. Nie mógł tego zrobić. Do hotelu? Wydawało mu się to surrealistyczne. Rachael siedziała w półmroku, milcząca, z rękami złożonymi na kolanach. Nie spojrzała w jego stronę, gdy wszedł, stanął więc na linii jej wzroku. Przyciskał torbę do piersi.

– Co powiesz dzieciom?

- Że wyjechałeś służbowo. Jak chcesz, możesz do nich zadzwonić jutro rano.
- Zmroziło go, że wymyśliła tę wymówkę, gdy się pakował.
- Co mam powiedzieć, gdy pytają, kiedy wrócę?
- David, nie wykorzystuj dzieci, by wywierać na mnie presję. To takie niskie.
- Po prostu nie wiem, jak im to wyjaśnić. Mogą spytać. Powiedz mi, co zamierzasz.

Rzuciła mu spojrzenie pełne czystej pogardy.

- Nie, David. Miałeś Bóg wie ile czasu na przygotowanie sobie odpowiedniej historyjki, więc nie oczekuj teraz, że będę ci pomagała.

Nie spała całą noc, ale rozplakała się dopiero rano, o ósmej, gdy przyszła Milena.

Pracowała u Schulmanów od narodzin Jacoba. Miała pięćdziesiąt lat i mieszkała z mężem po drugiej stronie rzeki, w Queens. Jej dwójka dzieci założyła już własne rodziny. Milena była cudownie spokojna i ciepła. Trudno powiedzieć, kto kochał ją bardziej, dzieci czy Rachael. W ciągu ostatnich sześciu lat brała udział we wszystkich rodzinnych kłopotach i triumfach. Zatrudnili ją dwa tygodnie przed urodzeniem synka. To, że ją znaleźli, uspokoiło Rachael. Poczuli, że może spokojnie rodzic. Milena była trzecią osobą, która odwiedziła Jacoba w szpitalu. Rachael, leżąc w łóżku, patrzyła, jak opiekunka ostrożnie bierze dziecko na ręce, szepcząc mu coś czule po polsku, i poddawała się bijącej od starszej kobiety spokojnej pewności siebie. Milena była dla niej trochę jak matka. Czasem w większym stopniu niż ta prawdziwa. To ona kupiła liście kapusty, gdy Rachael dwukrotnie przechodziła zapalenie piersi, i wyleczyła ją. Kiedy Jacob przewrócił się na placu zabaw w Central Parku i rozciął sobie czoło, to Milena wepchnęła wszystkich do taksówki, a potem, u lekarza, trzymała chłopca podczas zakładania szwów, bo rozcięcie było zbyt blisko oka, by zastosować znieczulenie. Dzięki Milenie życie Rachael w ogóle było możliwe. Nie zostawiłaby dzieci z kimś, kto by ich nie kochał. A Millie je kochała. Wystarczyło spojrzeć na nich, gdy byli razem. Rachael lubiła myśleć, że Millie kocha także i ją.

Dlatego gdy opiekunka w poniedziałek o ósmej rano weszła do mieszkania, tak jak robiła to niemal codziennie podczas pobytu rodziny w mieście, dla Rachael najnaturalniejszą rzeczą na świecie było wybuchnąć płaczem. Jeśli Milenę to zdumiało, nie dała po sobie niczego poznać. Przytuliła ją, poklepała po plecach, nakazując z ciepłą nutką w głosie, by nie płakała przy dzieciach. Potem przygotowała Rachael filiżankę gorącej słodkiej herbaty, poleciła położyć się do łóżka, a sama zajęła się szykowaniem Jacoba i Noah do szkoły i przedszkola. Rachael zwinęła się na łóżku jak dziecko.

- Mama źle się czuje – powiedziała słabym głosem.

– Brzuch ją boli? – zapytał Noah, otwierając szeroko oczy. – Będzie wymiotować? – W jego głosie przerażenie mieszało się z zachwytem.

Milena cmoknęła językiem i zmierzwiła mu włosy.

– Nie, Noah. Potrzeba jej spokoju. Idź ją pocałuj i niech sobie odpoczywa. Ja odprowadzę cię dziś do przedszkola.

Po powrocie posadziła Mię w salonie, włączyła film wydawnictwa Baby Einstein i po chwili korytarzem popłynęły dźwięki Beethovena. Potem z kolejną porcją herbaty wróciła do Rachael, usiadła na brzegu łóżka i pozwoliła jej szlochać przez kilka chwil w swych ramionach, szepcząc w czubek głowy kojące słowa. Podała chusteczki z pudełka stojącego na nocnym stoliku.

– Rachael, co się stało? Powiedz, o co chodzi.

– Och, Millie. Coś strasznego. David ma romans.

Nawet mówiąc te słowa, nie mogła uwierzyć, że nagle, z dnia na dzień, stała się zdradzaną żoną.

Eve

Okazało się, że na naukę nigdy nie jest za późno. Na USG Ed stawił się punktualnie, a potem przynosił Eve wodę w plastikowym kubku, bo podczas badania musiała mieć pełny pęcherz. Trzymał ją za rękę, gdy kładła się na leżance, a pielęgniarka obsługująca aparat smarowała jej brzuch żelem. Eve spojrzała na gładką napiętą skórę, zastanawiając się, kiedy zaczną się na niej pojawiać rozstępy.

Pragnęła znać płęć, by snuć marzenia o dziewczynce lub chłopcu, a nie po prostu o dziecku. Ed ustąpił. Początkowo małństwo nie chciało współpracować. Kobieta kazała Eve wstać i przejść się kilka razy dookoła gabinetu. Potem wyszła i nie było jej całe wieki.

– Myślisz, że wszystko jest w porządku?

– Oczywiście. Przecież sama widziałaś. Serce bije. Wszystkie pomiary były prawidłowe. Poszła zapalić albo wypić kawę, albo...

– Obiecujesz? – Tak jakby mógł to zrobić.

– Obiecuję.

Gdy wróciła, a Eve znów zajęła miejsce na leżance, dziecko wynagrodziło cierpliwość rodziców, rozkładając szeroko rączki i nóżki. Nawet nie trzeba było im mówić, że to dziewczynka.

Eve spojrzała na Eda, który ścisnął jej rękę aż do bólu, i zobaczyła, że ma łzy w oczach.

– Dziewczynka. – Ujął w dłonie twarz żony i pocałował ją mocno w usta. – Urodzisz mi dziewczynkę!

Roześmiał się, boksując pięścią powietrze.

Uzgodnili, że nikomu o tym nie powiedzą. Po wyjściu od lekarza poszli prosto do jednego z drogich butików na Madison Avenue i kupili maleńki różowy sweterrek oraz skarpetki, które wyglądały jak czarne pantofelki z paskiem.

Na stacji metra, zanim rozjechali się w przeciwne strony, Ed oznajmił, że może podzieli się nowiną z Johnem, kolegą z biura, który miał cztery córki.

A pierwszą rzeczą, którą zrobiła Eve po wejściu do mieszkania, zaraz po skorzystaniu z toalety, było sięgnięcie po słuchawkę.

– Cath?

– Cześć, siostrzyczko. Co słyszać?

– To dziewczynka! Byłam dziś rano na USG. Dziecko jest dziewczynką!

– Cudownie!

– Wiem. Teraz mi się zdaje, że cały czas chciałam mieć córkę. Tylko tego nie mówiłam, bo Ed chciał dziewczynkę, i uważałam, że byłoby nie w porządku wobec chłopca, gdybyśmy oboje tak mówili.

– Przecież one w brzuchu i tak nic nie słyszą.

– Owszem, słyszą. Powinno się im puszczać Bacha, czytać klasyków, nie wolno się klócić ani przeklinać.

– Wybacz, ale moja dwójka słuchała często Pink Floydów. Czytałam im urywki z „Okay” i nigdy w życiu nie pokłóciłam się z Geoffem tak, jak wtedy, gdy próbowaliśmy samodzielnie złożyć meble do pokoju dziecinnego. Musiałam wyrzucić moim biedactwom straszną krzywdę.

– Cóż, to wiele wyjaśnia...

– Punkt dla ciebie.

Roześmiały się.

– Wiesz, o co mi chodzi. Nie chciałam głośno mówić, że pragnę mieć dziewczynkę. Ale teraz już mogę. Bo ją mam!

– A Ed się cieszył?

– Rozpląkał się. Naprawdę. Miał mokre oczy. Na środku gabinetu, w obecności kobiety obsługującej ultrasonograf. Chyba nagle uświadomił sobie, że wszystko dzieje się naprawdę.

– Kochany chłopak.

– Tak daleko bym się nie posuwała.

– Co tam u niego? Ciągłe tyle pracuje?

– Ciągłe. Daję mu czas do końca ciąży. Potem wszystko musi się zmienić.

– On o tym wie?

– Nie. To znaczy obiecuje różne rzeczy. Ale na razie nie stawiam sprawy na ostrzu noża. Nie umiem.

– Lepiej się naucz, inaczej nic się nie zmieni.

- Wiem.
- Czy on tyle pracuje, bo musi, czy dlatego, że chce?
- I jedno, i drugie. Długie godziny pracy to chyba sprawa kulturowa. W Anglii było podobnie. Ale dobrze się przy tym bawi. Kocha swoją robotę.
- A ty nie chcesz mu psuć zabawy?
- Nie. Ale zrobię to, gdy mała przyjdzie na świat. Nie mam zamiaru być samotną matką.
- I tego należy się trzymać! A poza tym, to znaczy z dzieckiem, wszystko w porządku?
- Tak. Chyba tak. Mają tu takie nadzwyczajne urządzenie, które robi trójwymiarowe zdjęcia. Widać profil i w ogóle wszystko. Wspaniała sprawa.
- Niesamowite.
- Sprawdzę, czy da się te zdjęcia zeskanować, i ci wyślę.
- Polly będzie zachwycona. Ma bzika na punkcie twojego dziecka.
- Kochana mała.
- Przygotowała listę imion. Ale nie spodziewaj się zbyt wiele. Wiem, że jest na niej Britney i Hannah.
- Co złego w Hannah?
- Nic, jeśli na drugie imię nie musisz dać jej Montana. A ty masz jakiś pomysł?
- Całą masę. Chciałabym coś niezwykłego. Ed woli tradycyjne imię. Właściwie mamy dwie listy.
- Powiedz mu, że on nazwie synów.
- Chyba na to nie pójdzie.
- Och, Eve! To takie podniecające. Szkoda, że cię tu nie ma albo mnie tam. Czuję, że wiele tracę. Moja pierwsza siostrzenica i wszystko mnie omija.
- Przyjedziemy do domu na święta. A ty przylecisz, kiedy mała się urodzi, prawda?
- Nawet nie próbuj mnie powstrzymywać.
- Weź ze sobą Polly.
- Nie sądzę, by udało mi się ją zostawić.
- A na lato przyjedziemy do Anglii.
- To nie to samo.
- Wiem. Też za tobą tęsknię, siostrzyczko.
- Powiedz mężowi, żeby bardzo o ciebie dbał. Żadnego przesuwania ciężkich mebli i tym podobnych rzeczy.
- Łaskawie pozwolę mu się rozpieszczać.
- I dodaj, że go kopnę w tyłek, jeśli nie będzie się tobą odpowiednio zajmował. Wiem, gdzie go szukać.

- Przekażę mu.

Kim

Jason był w domu, więc przygotowała obiad. Ostatnio naprawdę się starała. Czuła, że po Czwartym Lipca coś się zmieniło. Swoim zachowaniem na przyjęciu doprowadziła Jasona do granic wytrzymałości. Słowa, które wtedy padły między nimi, wciąż dźwięczały jej w uszach. Przeraziła się. Poczowała, jakby Jason machnął już na nią ręką. Podczas sierpniowych weekendów był bardzo milczący.

Do żony zwracał się rzadko, uważając na każde słowo, uprzejmie, lecz w sposób pozbawiony ciepła. We dnie i w nocy nie było między nimi żadnej bliskości.

Całe swe wysiłki skoncentrował na Avery i spotkał się z żywą reakcją. Dla Kim było to coś nowego, przywykła używać córki przeciw mężowi w charakterze nie tyle broni, ile zbroi. Ostatecznie miała należeć do niej. Ale nawet to pod koniec lata się zmieniło. Avery zapragnęła towarzystwa ojca, nowego taty, który naprawdę się nią interesował, i chciała się z nim bawić przez cały dzień. Odkrywać wspólnie tajemnice skalnych bajerek. Siedzieć mu na ramionach i pisać z radości, gdy ochlapwały ją fale. Teraz to Kim stała z boku i wcale nie była tym zachwycona. Wróciła do miasta z nowym, stanowczym postanowieniem, by włączyć męża w sprawy rodzinne lub, może przewrotnie, bardziej zaangażować się sama.

Początkowo nie wiedziała, ile z jej starań w ogóle zauważył. W pierwszych tygodniach września miał dużo pracy. A o wielu wprowadzonych zmianach i tak nie mógł wiedzieć.

Kim zmuszała się do rzeczy, których nigdy dotąd nie robiła. Było to bardzo trudne. Zostawiała Avery z Esme, by trzy razy w tygodniu chodzić rano na pilates. Początkowo nienawidziła wszystkiego. Zostawiania Avery, gryzienia się w język, by nie zasypać Esme nakazami, jak mają spędzać każdą minutę pod jej nieobecność. Złościło ją, że Avery nie płacze, gdy ona wychodzi. Irytowała własna nieudolność i sala pełna zadowolonych, rozgadanych kobiet o nieprawdopodobnie chudych tyłkach. Nie potrafiła odpowiednio wykonać poleceń instruktorki.

Ale powoli, stopniowo wszystko zmieniało się na lepsze. Instruktorka zorientowała się, że Kim markuje ćwiczenia, uklękła obok i cierpliwie wyjaśniała każdy ruch, a ona wreszcie – po raz pierwszy i od bardzo dawna – naprawdę poczuła związek z własnym ciałem i mięśniami. Po kilku tygodniach stało się to także widoczne. Przynajmniej dla niej, gdy stawała w domu nago przed lustrem.

Czuła napięcie w talii, ramiona mniej opadały – miała świadomość tego, jak stoi i jak wygląda. Znienawidzona fałda na brzuchu trochę się zmniejszyła.

Także poczucie wolności sprawiało jej przyjemność. Bardzo długo kierowała się w życiu zestawem surowych, narzuconych sobie zasad. Dokąd da się wjechać wózkiem? O której Avery powinna się przespać? Czy robi to, co powinna? Teraz mogła iść, dokąd chciała, wtedy, kiedy miała na to ochotę. Mogła wybrać się na pedicure o wpół do pierwszej po południu, a Esme podawała Avery lunch. Mogła kupować warzywa i owoce w Whole Foods, bez córki liczącej ziemniaki i kradnącej winogrona, a potem, jeśli miała taką ochotę, wjechać ruchomymi schodami na drugie piętro i zajrzeć do J.Crew albo Sephory. Usiąść z książką w fotelu w księgarni Borders – z książką dla dorosłych w dziale literatury pięknej. Na dziesięć lub dwadzieścia minut. Nawet na pół godziny.

Pewnego dnia w Gymboree spotkała Eve. Sąsiadka trzymała w ręku kilka dziecięcych ubranek. Chyba dla dziewczynki. Kim nie była pewna, czy będzie mile widziana, ale Eve rozpromieniła się na jej widok i podnosząc ubranka w górę, wyszeptała konspiracyjnie: „Zgadnij, chłopiec czy dziewczynka!”. Eve nie wiedziała o problemach Kim, a ona, po raz pierwszy od długiego czasu, z przyjemnością rozmawiała o macierzyństwie, nie poruszając sprawy sztucznego zapłodnienia. Nie miało znaczenia. Gawędziły o swych córkach, gdy Eve płaciła za ubranka, a potem szły razem ulicą i nawet wstąpiły na sok. Eve promieniała, a Kim czuła lekkość i spokój.

Najdziwniejsze, że Avery z entuzjazmem powitała nową matkę i nowe życie. Całe poświęcenie Kim okazało się zbędnym cierpiętnictwem. Córka wcale go nie potrzebowała. Spędzała teraz więcej czasu z Esme lub Jasonem, opalała się w ciepłym wrześniowym słońcu, w kąpielni paplała o dzieciach, z którymi bawiła się w parku, była spokojniejsza, mniej kłopotliwa i więcej się śmiała.

Podobnie jak Kim. Niemal czuła, jak wszystko się w niej rozluźnia i odblokuje. Jakby całymi latami, na własne życzenie, pozostawała w ciągłym napięciu. Zresztą przecież tak było. Wreszcie się odprężyła. Świat jakoś się nie zawalił, dlatego że nie ona budziła Avery z każdej drzemki albo że Esme kupiła małej lody w budce na rogu 76 Ulicy i Lexington Avenue.

Okazało się też, że lubi Esme. Nie miała pojęcia, jaka jest miła. Czuła się przez to jak idiotka. A Esme, zdumiona, lecz szczęśliwa z przemiany pracodawcy, odważyła się w końcu zrobić na temat Avery kilka uwag. I Kim jej wysłuchała. Nie wpadła w panikę, na myśl, że traci kontrolę. No, może trochę. Wszystko, do czego zmusiła się z lęku przed utratą Jasona, z każdym dniem stawało się coraz prostsze i bardziej naturalne.

Zaraz po ślubie, na długo przed tym, jak marzenie o Avery zmieniło się w koszmar sztucznego zapłodnienia, Kim gotowała dla Jasona kilka razy w tygodniu. Pracowała w pobliżu stacji Grand Central, przy której mieścił się wyjątkowy sklep przeznaczony dla dojeżdżających i zmęczonych pracowników wielkich korporacji. Niewielki, lecz oferujący ogromny wybór mięs, ryb, warzyw i serów. Kim

miała swój rytuał. Dwa lub trzy razy w tygodniu zatrzymywała się tam w drodze do domu i kupowała świeże produkty na obiad. W małej kuchni, pełnej urządzeń i gadżetów, wpisanych przed ślubem na listę prezentów w sklepie Williams-Sonoma, przygotowywała domowe marynaty, sosy, a nawet makaron. Jedzenie było afrodyzjakiem, grą wstępną, darem miłości. Posiłki celebrowali długo, przy świecach, z butelką wina, muzyką w tle. I rozmawiali. Tyle ze sobą rozmawiali.

Teraz zapragnęła wrócić do tamtych rytuałów. Do tych ludzi, którymi byli, nim pogubili się w labiryncie życia.

Miała nadzieję, że nie jest za późno.

Jason

Oczywiście spostrzegł, co się dzieje. Zauważył wszystko. Od powrotu z Hamp-tons Kim zachowywała się inaczej. Pod koniec lata był gotów na rozmowę o rozwodzie. Obracał to słowo w myślach, przymierzając się do niego. Czy tak ma wyglądać jego życie? Nie chciał spędzić w ten sposób następnych dwudziestu czy trzydziestu lat. Może nadszedł czas, by się poddać.

Lecz wtedy Kim zaczęła wprowadzać zmiany. Z początku niewielkie. Obcięła inaczej włosy. Rano, gdy wychodził do pracy, całowała go na pożegnanie nie w policzek, lecz w usta i naprawdę przy tym na niego patrzyła. Zdawało mu się, że schudła, choć właściwie wcale tego nie potrzebowała. A może po prostu poruszała się inaczej.

Pytanie, czy przyjdzie do domu na obiad, także brzmiało odmiennie. Słysząc w nim było nadzieję. Gdy potwierdzał, wieczorem w mieszkaniu pachniało domowym jedzeniem. Czekał stół nakryty na dwie osoby. Telewizor był wyłączony – żadnego CNN.

W pierwszej chwili Jason był zdumiony. Nie wiedział, czemu przypisać te zmiany. Sam nie działał według planu. Nie zachowywał się w sposób zamierzony czy wykalkulowany. Z początku nie domyślił się więc, że zmiany w Kim są efektem czegoś, co powiedział lub zrobił. W sierpniu po prostu się bronił. Nie miał sił ani ochoty na walkę z żoną. Lecz w tamten lipcowy wieczór, przyglądając się na przyjęciu Kim i Avery, zrozumiał, że jeśli chce mieć z córką więź, musi stworzyć ją sam. Nie mógł polegać na żonie. Brak walki nie był więc wybiegiem, lecz produktem ubocznym skupienia wysiłków na Avery.

Gdyby wtedy ktoś go zapytał, czy jego małżeństwo przetrwa, pokręciłby przecząco głową. Nie widział przed nimi przyszłości – żyli wspomnieniem dawnego uczucia, obietnicy złożonej sobie kiedyś przez ludzi, którzy stali się innymi oso-

bami. Tamtego wieczoru nie bał się, że straci Kim. Uważał, że to już się stało. Lękał się utraty Avery, swej córki. Zanim zdąży ją naprawdę poznać.

Nowa Kim wytrącała go trochę z równowagi. Włożył dużo pracy w stłumienie wszelkiej nadziei. Nie ufał żonie. I nie wiedział, czy po prostu nie zmusza się do tych zmian.

Jedli wspólne obiady, ale rozmowa się nie kleiła. Kiedyś razem zmywali naczynia, a potem szli do łóżka, o ile w ogóle zdążyli wyjść z kuchni. Teraz Jason niemal oficjalnie dziękował za posiłek i upierał się, że sam posprząta, by Kim mogła odpocząć i obejrzeć telewizję.

Stojąc nad zlewem i patrząc w okna sąsiadów, myślał, że gdyby porównać ich małżeństwo do partii szachów, to znaleźli się w sytuacji patowej. Tak długo się starał. W końcu przestał. Za to wysiłki podjęła Kim. Problem w tym, że nie wiedział, czy mu jeszcze na tym zależy.

Było to niemal zabawne.

Emily

Budzik zaterkotał raz, a potem drugi. Emily, nie otwierając oczu, sięgnęła, by go wyłączyć. Zamiast opuścić nogi na podłogę, przewróciła się na drugi bok, obejmując ramieniem gładkie brązowe plecy Jacksona. Ostatnimi czasy bieganie nie wydawało jej się takie ważne. Rower od tygodnia nie został zdjęty ze ściany. Żyła – żyli oboje – niczym w kokonie. O otaczającej rzeczywistości przypominała sobie tylko chwilami. Biorąc prysznic, myślała o mamie. A ubierając się i słuchając radia, o Charlotte. W pracy zmuszała się do koncentracji na tym, co robiła. Ale lodówka była pusta i od wielu dni nie sprawdzała stanu konta w Wachovia Banku. Wszystko, co nie było Jacksonem, było przeszkodą. Było zakłóceniem.

Otworzyła oczy i spojrzała na twarz śpiącego obok mężczyzny. Wskazówki na stojącym z tyłu zegarze wskazywały kwadrans po szóstej. Nie musieli wstawać przed wpół do ósmej. Jackson mocno spał, ale gdy odsunęła się od niego, odruchowo przyciągnął ją bliżej, obejmując mocno w talii. Wsunął dłoń pod pizamę dziewczyny i położył zaborczo na jej piersi.

Zeszłego wieczoru całowali się i pieścili. Niemal zaczęła się z nim kochać. Nie mogła dłużej czekać. Nie chciała. Prawie wszystkie fragmenty układanki pasowały już do siebie. Nie miała wątpliwości, że go pragnie, a on nie skrywał swych uczuć. Ufała mu. A przynajmniej tego chciała. Podobał jej się. Rozmawiali godzinami. Albo leżeli obok siebie w milczeniu.

Emily nigdy wcześniej czegoś podobnego nie przeżywała, a facet leżący obok niej w łóżku był ostatnią osobą, którą podejrzewałaby o wzbudzenie takich uczuć.

Ale podobało jej się to.

Charlotte

Che chyba wziął urlop. Nie widziała go od prawie dwóch tygodni. Gdyby była śmielsza, zapytałaby innych portierów, co się z nim dzieje. Albo zmiennika. Lecz nie wiedziała, jak Che ma na nazwisko. I wstydziła się dopytywać.

Mogłaby zagadnąć ich po hiszpańsku. Ostatnio dużo się uczyła. Miała więcej czasu dla siebie. Ogród na dachu był skończony, a Emily zajęta Jacksonem. Charlotte cieszyła się szczęściem przyjaciółki, ale tęskniła za nią. Historia lubi się powtarzać – tak wyglądały jej przyjaźnie w szkole średniej, a potem na studiach. Była dobra, dopóki nie pojawił się kolejny facet. Wtedy szła w odstawkę do czasu, gdy złamane serce wymagało jej pomocy i współczucia. W tym znajomym przebiegu zdarzeń było coś niemal pocieszającego, jakiś naturalny porządek rzeczy. Emily nie zachowywała się w sposób niemiły. Nic podobnego. Po prostu straciła głowę. A na to romantyczna Charlotte żyjąca miłością, choćby (a właściwie zawsze) z drugiej ręki, nie mogła przecież narzekać. Tylko że latem dobrze się razem bawiły. Brakowało jej przyjaciółki. Nawet Madison była ostatnio w dziwnym nastroju – roztargniona i skwaszona.

Czuła, że godzina wybiła. Postanowiła porozmawiać z Che, gdy tylko wróci do pracy. Zaproponuje mu, by gdzieś się razem wybrali. Może w Halloween? Albo obejrzeć paradę Macy's z okazji Święta Dziękczynienia? A może wcześniej znajdzie się jakiś powód i w czasie parady będą już parą?

Dla Charlotte lipcowe spotkanie w windzie nabrało cech, których naprawdę nigdy nie miało. We wspomnieniach Che patrzył jej w oczy odrobinę dłużej niż w rzeczywistości. Uśmiechał się serdeczniej. Rozmowa była bardziej osobista. Wytworzyła w sobie taki obraz i nawet jeśli w głębi serca wiedziała, że prawda jest inna, wierzyła, że wkrótce to się zmieni.

Kobiecie, która większość dorosłego życia spędziła w świecie baśni, marzenia wydawały się rzeczywistością.

Październik

Rachael

Rachael nie widziała Davida prawie przez miesiąc. Gdy trzy lub cztery razy w tygodniu oraz w weekendy przychodził zobaczyć się z dziećmi, zastawał w mieszkaniu tylko Milenę. Początkowo Rachael była zbyt wściekła, by się z nim spotkać, bała się też okazać, jak głęboko ją zranił. Potem czuła się za bardzo upokorzona.

Na razie dzieci właściwie nie zadawały pytań. Zresztą tylko Jacob potrafił dostrzec różnicę między ich dawnym a obecnym życiem

David zawsze wyjeżdżał w interesach i późno wracał z pracy. Jeśli najstarszy syn zastanawiał się nad tym, co się dzieje, pytał Mileny. Może czuł, że matka nie chce o tym rozmawiać, a może po prostu opiekunka częściej była w pobliżu.

Rachael wiedziała, że to wszystko nie może trwać wiecznie. Późną nocą, leżąc sama w łóżku, zastanawiała się, czy nie przesadza. Przecież nawet nie wiedziała, co zrobił. Dręczyła się w myślach szczegółami, które początkowo wydawały jej się tak obrzydliwe. Teraz chciała usłyszeć wszystko. Musiała się spotkać z Davidem, lecz zawsze, gdy pojawiała się taka możliwość, górę brało tchórzostwo, z którego przedtem nie zdawała sobie sprawy.

W końcu zmusiła ją do tego Milena. Jedyna osoba, która wiedziała, co się dzieje. Rachael nie była w stanie zwierzyć się nikomu – ani przyjaciółom, którzy byli na ogół ich wspólnymi przyjaciółmi, ani koleżankom z pracy, ani, w żadnym razie, matce czy ojcu. Pewnego wieczoru, gdy składała pranie, Milena po zmyciu naczyń przysłała do niej i usiadła przy kuchennym stole.

- Musisz z nim porozmawiać, Rachael.
- Wiem. Ale co mam mu powiedzieć?
- Niech on mówi, ty będziesz odpowiadać. Pozwól Davidowi wyjaśnić, dowiedz się, co zaszło. Nie możesz podejmować decyzji o przyszłości, nie wiedząc nawet, co właściwie zrobił.
- A czy to ma znaczenie? Czy niewierność można stopniować? Zdrada to zdrada.

Milena uśmiechnęła się, cmokając językiem.

– Oczywiście, że nie. Można ją stopniować na tysiące sposobów, kochanie. Seks, miłość, porozumienie dusz. Można zdradzić umysłem, sercem, ciałem. Najważniejsze, dlaczego to zrobił. Tego musisz się dowiedzieć.

- Czy jakiś rodzaj zdrady jest w porządku?

– Nie, złotko. Nigdy. Nic, co rani ciebie lub dzieci, nie może być w porządku. Ale pewne rzeczy łatwiej wybaczyć niż inne. Jeśli się na to zdecydujesz.

Rachael nie była pewna, czy w ogóle potrafi wybaczyć. Ani czy jest to decyzja, którą można po prostu podjąć. Ale wiedziała, że Milena ma rację.

Zgodziła się na spotkanie. W porze lunchu. Na neutralnym gruncie. W możliwie najspokojniejszej restauracji położonej daleko od obydwu biur. Uprzedziła sekretarkę, że nie wróci po południu do pracy. Nie wyobrażała sobie tego.

David wyglądał okropnie. Jak „królik w światłach samochodowych reflektorów”. Chciała dać mu w twarz, a jednocześnie pragnęła, by ją przytulił. Robił to przez tyle lat. Był jej lekarstwem, antidotum, odpowiedzią. Nie mogła się przyzwyczaić, że teraz jest inaczej.

Przez pierwszych pięć minut prowadzili uprzejmą, obojętną rozmowę. Uciekli w uwagi o dzieciach. Sprawiało to surrealistyczne wrażenie.

David wypił łyk wody.

– Rachael, bardzo mi przykro. To właśnie chciałem ci powiedzieć. Przede wszystkim to.

– Wierzę – rzuciła ostro, z sarkazmem. Nie chciała zaczynać rozmowy w ten sposób. Zacisnęła palce pod stołem. Nie bądź taka.

– Nie bądź taka – powiedział błagalnie. – Nie dlatego mi przykro, że zostałem przyłapany, tylko dlatego, że cię skrzywdziłem.

– A co właściwie zrobiłeś? Chyba nadszedł czas, abym się dowiedziała, o czym rozmawiamy.

– Chciałem powiedzieć ci od razu. Pierwszego wieczoru.

– Wtedy nie byłem na to gotowa. Teraz muszę być.

Wzjął głęboki oddech.

– Nazywa się Stephanie. Pracuje ze mną. To znaczy dla mojej firmy, ale w innym dziale. Nie widujemy się codziennie... – umilkł, ale Rachael nie przerywała.

– Wszystko zaczęło się w tym roku.

– Kiedy?

– W styczniu.

Uniosła brwi. Miała nadzieję, że romans trwał krócej.

– Pewnie to żaloszny banał, ale okazałem się cholernym idiotą. Widywałem się z nią, gdy zostawałem dłużej w pracy, i wiosną podczas wyjazdów służbowych. Nigdy nie przychodziła do mieszkania, nie spotykała się z dziećmi ani nic w tym rodzaju.

– Ani przez chwilę nie brałam tego po uwagę. – Jeśli sądził, że uzna to za okoliczność łagodzącą, bardzo się pomylił. – A w lecie?

Bał się, że o to pyta.

– Spotykaliśmy się, gdy byłaś na wsi.

– W weekend Czwartego Lipca? – Wpatrywała się w swoje nakrycie.
– Tak. – Nie miał odwagi skłamać. Westchnęła. Na jej twarzy malował się wyraz bólu.

– Kochasz ją?
– Nie. – W głosie Davida zabrzmiała pogarda. Rachael słysząc ją, uniosła brwi.

– Nie kochasz mnie?
– Tak. To znaczy kocham. Nigdy nie przestałem cię kochać. Ciebie i naszych dzieci.

– Nie mieszaj do tego dzieci. To dwie osobne sprawy. W tej chwili. Nie mogę słuchać, jak o nich mówisz. Zresztą je także skrzywdziłeś. Nie tylko mnie. Całą naszą rodzinę.

– Wiem.

Ze spuszczoną głową wpatrywała się w obrus, próbując powstrzymać łzy.

– Rachael. – Chciał dotknąć jej ręki, ale nie miał odwagi.
– Dlaczego, Davidzie? Dlaczego to zrobiłeś?
– Posłuchaj, chyba nic, co powiem, tego nie naprawi.
– To prawda. Ale chcę, żebyś mi wytłumaczył dlaczego. Przecież musisz wiedzieć. Skoro mnie zdradziłeś, to miałeś chyba jakiś powód.

– To skomplikowane.

– Nie, Davidzie. To proste. Sądziłam, że jesteśmy szczęśliwi. Naprawdę szczęśliwi. Teraz nie śpię nocami i ciągle o tym rozmyślam. Nie mogę zrozumieć. Nie byłeś szczęśliwy? Kłamałeś, kiedy mówiłeś, że jesteś?

– Nie.

Znów pragnął wziąć żonę za rękę, ale gdy sięgnął poprzez stół, cofnęła ją gwałtownie, wywracając szklankę. Woda rozlała się po obrusie, spływając na kolana Rachael. Osuszyła je serwetką, odpędziwszy gestem gorliwego kelnera. David widział, że ma łzy w oczach i cała drży. Nie nosiła obrączki i to go przeraziło. Przez wszystkie lata małżeństwa nigdy jej nie zdejmowała. Na palcu widniał teraz cienki pasek białej skóry.

Sprawa wyglądała beznadziejnie.

Rachael sama nie wiedziała, co właściwie pragnie usłyszeć.

– Nic z tego nie będzie. Nie masz mi nic do powiedzenia. Nie możesz tego naprawić. – Podniosła się z miejsca.

– Proszę, nie odchodź.

– Nie mogę tu zostać.

– Zostań. Porozmawiaj ze mną.

– Już rozmawialiśmy, Davidzie. I mówiłam tylko ja.

Rzucił na stół banknot dwudziestodolarowy i ruszył za żoną do wyjścia, czując na sobie spojrzenia reszty gości i kelnerów. Na dworze Rachael próbowała złapać taksówkę. Zaczęło padać.

- To głupie. Myślałam, że twoje wyjaśnienia coś zmienia.
- O czym ty mówisz?

Po drugiej stronie ulicy stanęła taksówka, z której zaczęli wysiadać pasażerowie. Rachael przebiegła przed nadjeżdżającymi samochodami i wsiadła do niej, zanim David zdążył ją powstrzymać. Nie mogła na niego patrzeć.

Chciał walić pięściami w okna taksówki. Położyć się przed nią na ziemi, żeby nie mogła odjechać. Krzyczeć. Ale niczego takiego nie zrobił. Taksówka przejechała obok, a David stał i patrzył, jak w oddali znika jego żona.

Następnego dnia wciąż padał deszcz. Późnym popołudniem sekretarka Davida przyniosła mu list dostarczony najwidoczniej przez kuriera. Nadawcą był adwokat Rachael, z którego usług korzystała cała jej rodzina. David poznał go na swoim weselu, przyjmował od niego życzenia szczęścia. W Southampton, na przyjęciu z okazji Czwartego Lipca, otwierał mu butelki z piwem. A teraz adwokat prosił Davida o nazwisko i adres jego prawnika i zawiadamiał, że zdaniem Rachael nadszedł czas, by zaczęli rozmawiać o warunkach rozwodu.

Odkąd Rachael dowiedziała się o romansie, David widywał Stephanie tylko w pracy. Zaraz po fatalnym weekendzie próbowała się z nim skontaktować, lecz w krótkim, lakonicznym e-mailu wyjaśnił, że żona dowiedziała się o wszystkim, więc muszą zerwać kontakty. Wcale za nią nie tęsknił. Nic dziwnego – seks był ostatnią rzeczą, o jakiej teraz myślał, a poza nim właściwie nic ich nie łączyło. Parę dni po wysłaniu e-maila zobaczył ją w barku z kanapkami obok biura. Stała przed nim w kolejce z jakimś kolegą z pracy. David wyszedł. Po raz pierwszy uprzytomnił sobie, jak zwyczajnie i przeciętnie wygląda jego kochanka.

Rachael przeciwnie, nigdy nie wydawała mu się taka piękna jak w tamten deszczowy dzień, gdy weszła do restauracji. Widział, jak inni na nią patrzą. Ludzie zawsze oglądali się za jego żoną. Włosy, które starała się przyglądzić i okiełznać, w wilgotnym powietrzu odmówiły współpracy, wijąc się nad czołem i przy uszach. Wrócił myślami do poranka w morskich falach, milion lat temu. Do jej pięknej zmęczonej głowy leżącej na szpitalnej poduszce po przyjściu na świat ich kolejnych dzieci. Do Rachael wychodzącej w domu spod prysznic, otulonej wielkim szlafrokiem frotte, spacerującej boso po mieszkaniu. Wrócił myślami do tych wszystkich chwil. Wydała mu się zmęczona i bezbronna, a ogromne brązowe oczy robiły w bladej twarzy wrażenie jeszcze ciemniejszych.

Z listem w ręku usiadł przy biurku, patrzył na rozciągający się za oknem widok na Lexington Avenue i ze zdziwieniem stwierdził, że z trudem powstrzymuje

się od płaczu. Zastanawiał się, co takiego skrytego w nim gdzieś głęboko popchnęło go do tego zdumiewająco autodestrukcyjnego czynu.

Jason

Kim powiedziała, że u sąsiadów dzieje się coś dziwnego. Od czasu przyjęcia z okazji Czwartego Lipca nie mówiła wiele o Schulmanach. Jason przypuszczał, że to dla nich obojga, z różnych względów, niewygodny temat. Tym razem podjął rozmowę. Od tygodni nie spotykał Davida, który co prawda często wyjeżdżał służbowo, ale zazwyczaj na krótko. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz widział sąsiada lub jego ubrania przywożone w ciągu dnia z pralni chemicznej i wiszące obok rzeczy Jasona na długim wieszaku w szafie portiera. Albo całą piątkę Schulmanów idącą w stronę parku.

Okazało się, że Esme rozmawiała w piwnicy z pokojówką Schulmanów. Nie z Mileną, ona nigdy nie byłaby tak niedyskretna, lecz z Padmą, dziewczyną, która przychodziła dwa razy w tygodniu posprzątać oraz zrobić pranie i nie była aż tak lojalna i przywiązana do swej pracodawczyni. W pralni na dole Padma mimochodem wspomniała, że odkąd nie ma pana Schulmana, pracy jest dużo mniej. Żadnych wilgotnych dresów z siłowni ani czarnych i granatowych skarpetek, które trzeba dobierać parami. Esme spytała, co się z nim stało, a Padma położyła palec na ustach i pokręciła głową. „Pan Schulman się wyprowadził”.

W głosie Kim dźwięczało zdenerwowanie. Nie przywykła do zwierzeń Esme – ten element ich relacji ciągle był dla niej nowy.

Nie wiedziała, jak Jason zareaguje na plotki. Starła się, by w jej głosie nie dało się wyczuć podniecenia czy zgorznienia. Wciąż pamiętała, jakim tonem mówiła tamtego lipcowego dnia na plaży. I wyraz twarzy męża, gdy wtedy na nią patrzył.

- Wyprowadził się? Kiedy?
- Esme mówiła, że w zeszłym miesiącu.
- Ale co to wszystko znaczy?
- Nie mam pojęcia. – Kim wzruszyła ramionami. – Nie wiem, czy się rozstali.
- Często jesienią widywałeś Rachael?
- Prawie wcale. A ty?
- Nie.

Prawdę mówiąc, Kim nie była ani podniecona, ani zgorziona. Czuła mdlący lęk. Skoro idealne małżeństwo doskonałej Rachael Schulman mogło się rozpaść (inaczej po co David wyprowadzałby się z domu?), w takim razie jej własnemu tym bardziej groziło niebezpieczeństwo. Robiła, co mogła, ale nie widziała szczególnej

poprawy. Jason wciąż był ostrożny, daleki, pełen dystansu. Gdzieś w środku narastała w niej panika. Zastanawiała się, czy boi się żyć bez Jasona, czy też po prostu być sama.

Eve

Pierwsze Halloween Eve odbywało się z wielką pompą. Nie miała pojęcia, że w Nowym Jorku obchodzi się je tak uroczyście. Panowała atmosfera karnawału. W obwieszonych latarniami i sztuczną pajęczyną sklepach wzdłuż Lexington Avenue rozdawano paczuski ze słodyczami. W restauracjach przebrani kelnerzy podawali specjalne upiorne menu. Wszędzie kłębił się tłum ludzi, choć był środek tygodnia i dość zimno na dworze. Dzieci plątały się tu i tam, zajęte zbieraniem łupów do plastikowych wiaderk. W hallu sąsiedniej kamienicy urządzono przyjęcie, na które przyszła cała dzieciarnia z sąsiedztwa. Mieszkańcy poprzebierali się, rozwiesili dekoracje i na zmianę napełniali wiaderka cukierkami. Ktoś przygotował czerwony, dziwnie dymiący poncz i rozlewał go chochlą do pomarańczowych plastikowych kubeczków.

Parę dni wcześniej w windzie powieszono listę, na którą mogli się wpisywać mieszkańcy oczekujący wizyt dzieci. Poproszono o zaznaczenie czasu. Eve wpisała „7A, od 17 do 19”, a potem kupiła w CVS duże paczki słodyczy i wsypała je do największej miski. Ciekawiło ją jednak, co dzieje się na dworze. Gdy do szóstej nikt się nie zjawił, postawiła miskę na stoliku między drzwiami ich i Piscatellów i nacisnęła guzik windy. Wysiadła z niej Maria. Eve uświadomiła sobie, że nie widziały się od kilku tygodni. Trudno uwierzyć, przecież mieszkały tak blisko. A jednak.

Maria na widok brzucha Eve wydała zachwycony okrzyk.

- Teraz już naprawdę widać, co?
- Prawie dwudziesty tydzień - przytaknęła Eve i z dumą pogłaskała się po brzuchu.
- Pięknie wyglądasz. Mogę dotknąć?
- Bardzo proszę. Rób, na co masz ochotę, skoro mówisz, że pięknie wyglądam. Moim zdaniem jestem po prostu gruba.

Maria w nabożnym skupieniu położyła obie dłonie na brzuchu Eve i zostawiła je tam przez chwilę, jakby odprawiała jakieś dobre czary. Może to włoski przesąd? Eve nie miała nic przeciwko temu. Co innego obcy ludzie w metrze. Wczoraj musiała przesiąść się do innego wagonu, by uciec przed wścibską kobietą zadającą jej więcej pytań niż ginekolog. Ale Maria była urocza.

- Bzdura. Wy, nowoczesne dziewczyny, macie bzika. Chcecie przybrać na wadze pięć kilogramów i tydzień po porodzie wskoczyć w obcisłe dżinsy. Spokoj-

nie, ciesz się ciążą. Bądź dobrym domem dla swego dziecka, tylko to się liczy. – Maria zawsze mówiła to, co należy. – Ja w ciąży strasznie tyłam. Codziennie jadłam makaron. Earnest mnie tak karmił. Chciał mieć duże zdrowe bambini. I miał – pierwsze ważyło cztery kilogramy, a drugie cztery i pół. Wciąż, gdy o tym myślę, mam łzy w oczach.

Eve zmarszczyła nos, wydało jej się, że to strasznie dużo.

– Słuchaj, raz się żyje – roześmiała się Maria. – Uwierz mi, warto.

– Wiem.

– Zabierasz maleństwo na jego pierwsze Halloween?

– Moje też. W Anglii nie obchodzimy tego tak uroczyście. Próbujemy, ale nasze wysiłki wyglądają żałośnie w porównaniu z tym, co się tutaj dzieje. W sklepach już od tygodni sprzedają dekoracje i stroje. Chcę wyjść na ulicę i zobaczyć, o co w tym wszystkim chodzi.

– Istne szaleństwo. – Maria uniosła ręce nad głowę. – Wierz mi, łatwiej zabrać dziecko teraz, gdy jest w brzuchu, niż gdy zacznie chodzić. Któregoś roku zgubiliśmy Bradleya. Mój Boże. Cała ulica na West Side była zamknięta dla samochodów, domy ozdobione, zjechali się ludzie z całego miasta i zostali do późnej nocy. Nie masz pojęcia, co tam się działo. A my zgubiliśmy dziecko w tłoku! Wyobrażasz sobie? Miał niecałe cztery lata.

– Musiałaś się przerazić!

– Nawet nie wiesz jak bardzo! Wszystko trwało tylko pięć minut. Pamiętam, że Ariel siedziała w wózekku. Ja biegłam jedną stroną ulicy, a Earnest drugą. O mało nie umarłam. Wszyscy wyglądali tak samo. Był przebrany za diabełka. Miał czerwoną czapczkę z rogami. Tamtego wieczoru kręciło się tam chyba sto diabełków, wszystkie w identycznych kostiumach z Kmartu. Istne piekło.

– Gdzie był?

– Siedział na stopniach jednej z kamienic i liczył cukierki. Cały Bradley. Wszystko musi mieć pod kontrolą. Od dziecka taki był. Nigdy nie musiałam krzyczeć, żeby odrobił lekcje. Za to Ariel zupełnie inna bajka... – Roześmiała się na samo wspomnienie. – Uwierz mi, teraz będzie ci dużo łatwiej.

Kim

Nie było mowy, aby Avery chodziła po mieszkaniach, prosząc o cukierki. Nawet nowa, z takim trudem zmieniająca się Kim nigdy by na to nie pozwoliła. Zresztą dawna Kim nie poszła jeszcze zupełnie w odstawkę, a ona w ogóle była przeciwna obchodom Halloween. Wszystko w tym święcie budziło w niej dawne lęki i wątpliwości. W oczach Kim wieczór duchów roił się od niebezpieczeństw. By-

ło ciemno i zimno, a na ulicach kłębił się tłum ludzi. Poza tym nawet zwyczajne cukierki są niezdrowe, a te z różnymi dodatkami mogą być śmiertelnie niebezpieczne. Każdego roku czytało się przecież przerażające historie o ukrytych w jabłkach żyłkach i truciznie wstrzykniętej do gumy do żucia. Może w przyszłości Avery weźmie udział w odbywających się pod opieką dorosłych zabawach – na przykład w szkole lub w domach koleżanek. A może Kim się zmieni i stanie się jedną z beztroskich matek, otaczających ją podczas tegorocznego Halloween. Do tego czasu będą po prostu udawać, że święto duchów nie istnieje.

Kim nie zamierzała rozdawać żadnych cukierków. Nie lubiła, gdy obcy przychodzili do mieszkania, i w zeszłym roku poruszyła ten temat na zebraniu mieszkańców. Przecież otwieranie drzwi kamienicy nieznanym narusza zasady bezpieczeństwa. I oto w tym roku znów to samo. Nie wpisała się na listę i miała nadzieję, że nikt nie będzie jej zawracał głowy. Może gdyby Esme pracowała... Albo gdyby wiedziała, o której Jason przyjdzie z pracy. Ale opiekunka poszła do domu, a mąż nie powiedział, kiedy wróci.

Przygotowała tagine z jagnięciny, według przepisu ze starej książki kucharskiej o kartkach sklejonych sosem, pochodzącej jeszcze sprzed narodzin Avery. Ciężki zapach afrykańskiego kminu wypełnił mieszkanie. Z boku w misce czekał kuskus.

Rachael

– A niech to. – Rachael wzięła głęboki oddech i spróbowała policzyć do dziesięciu. Na przystanku 4, 5 i 6 linii metra przy 51 Ulicy dwadzieścia osób próbowało wcisnąć się do wagonu, w którym było miejsce tylko dla dziesięciu. Zapomniano o manierach, rezerwie i poszanowaniu prywatnej przestrzeni innych ludzi. Jedna z nadliczbowych osób za nic nie chciała zrezygnować, choć jej teczka i połowa ogromnego tyłka z całą pewnością nie znajdowały się w pociągu. Drzwi wciąż otwierały się i zamykały, a maszynista równie zdenerwowany jak pasażerowie nadawał komunikat, że nie zamkną się, jeśli przeszkody nie zostaną usunięte. Gruba „przeszkoda” udawała, że nie słyszy, i wciąż pchała się do przodu w nadziei, że ktoś przesunie się o kilka centymetrów koniecznych, by wcisnąć do środka całą resztę. Rachael przeklinała w duchu, a ludzie wokół mruzcili pod nosem i wzdykali.

W końcu jakiś młody człowiek wyjął z uszu słuchawki iPoda, rzucił autorytarywnym tonem kilka nieparlamentarnych słów i pięć minut później drzwi się zamknęły, choć pociąg ruszył dopiero po następnych piętnastu. Im bardziej się spieszysz, tym wolniej jeżdżą pociągi – oto jedenaste przykazanie dane przez Boga

tylko maszynistom. Rachael wyszła z pracy trochę później niż zwykle. Miała telekonferencję z Los Angeles i nie była w stanie skłonić rozmówców do odłożenia słuchawek, gdyż tkwili oni w rozkoszonym przekonaniu, że jest dopiero wczesne przedpołudnie. Pociąg jechał powoli. Imprezowicze ruszyli już do akcji i zdążyli się poprzebierać, choć do wieczora było jeszcze daleko. Kobiety w seksownych strojach pielęgniarek. Mężczyźni z kłami wampirów i wymalowanymi na czole kosmykami włosów. Czy ci ludzie nie pracują?

Dzieci ją zabiją. Obiecała, że zabierze je na zbieranie cukierków, a już była spóźniona.

Z wielu rzeczy, które w związku z Davidem ostatnimi czasy doprowadzały ją do szalu, najbardziej nienawidziła poczucia winy wobec dzieci. Nie lubiła się spóźniać, ale nigdy nie miało to aż takiego znaczenia. Teraz czuła się w obowiązku być lepsza niż kiedykolwiek. Pilnowała, by każde spotkanie, rozmowa czy spędzona z dziećmi chwila przebiegały w sposób idealny, co miało zrekompensować im okropną sytuację w domu. A przecież, na miłość boską, winę za to ponosił David. Nie ona.

Każdego dnia buzowała w niej złość. Nienawidziła tego uczucia. Była zbyt rozniewana, by jeść czy spać, i niemal przez to chora.

I jeszcze ten przeklęty pociąg. Zatrzymali się przy 68 Ulicy, na stacji Hunter College. Pasażerowie wagonu przetasowali się, odetchnęli na chwilę, bo część z nich wysiadła, i znów się stłoczyli, gdy do środka wdarła się fala studentów.

Nagle, kilkanaście centymetrów od siebie, Rachael zobaczyła Jasona Kramera uczonego uchwytu nad jej głową. Spotkanie z nim było ostatnią rzeczą, na jaką miała teraz ochotę. Jason zdjął marynarkę i pod pachą, na białej koszuli widniała mała plama potu. Jak zawsze stał trochę zbyt blisko, choć tym razem nie z własnej winy. Zmusiła się do uśmiechu, gdy pociąg wreszcie ruszył ze stacji.

- Cześć, Jason!
- Witaj, Rachael!
- Straszny tłok, co?
- Okropny.

Następne trzy przystanki upłynęły im w niezręcznym milczeniu. Nie rozmawiali ze sobą, tylko uśmiechali się i wznosili oczy do nieba niczym kiepscy mimo-wie. W pewnej chwili pociąg przyhamował gwałtownie i Rachael poleciała (o ile można polecieć w takim tłoku) na Jasona. Przez ułamek sekundy była pewna, że gdy uderzyła go w pierś, położył na czubku jej głowy swoją własną, dotykając włosów policzkiem, po czym natychmiast cofnął się i roześmiał nerwowo. Obok para nastolatków - ona w obcisłych dżinsach, on w spodniach opadających tak nisko, że zdawały się przeczyć prawom grawitacji - zabijała czas, całując się z głośnym

cmokaniem i mlaskaniem, nie zwracając przy tym uwagi na zakłopotanie otaczających ludzi.

Dojazd do 77 Ulicy trwał całe wieki. Z ulgą wydostali się z wagonu, porwani strumieniem ludzi, dążących jak oni ku powietrzu i światłu Lexington Avenue. Rachael zastanawiała się, czy nie zgubić Jasona, wstępując pod jakimś pretekstem do sklepu, ale była już spóźniona, więc z rezygnacją przeszła w jego towarzystwie kilka przecznic dzielących ich od kamienicy. Maszerowała tak szybko, jak pozwalały na to siedmiocentymetrowe obcasy, mówiąc trochę zbyt głośno, że pogoda jest, jak na Halloween, wyjątkowo ciepła, a niedługo będzie Święto Dziękczynienia. Płytką, nieszkodliwą rozmową dla zabicia czasu... Jason jednakże nie dał się zagadać.

– Dobrze się czujesz, Rachael?

A więc wiedział. Zdradził to jego ton głosu. Plotki w kamienicy zdawały się krążyć przewodami wentylacyjnymi przekazywane przez portierów i pokojówki. Kto wchodził, a kto wychodził. Jak często zmienia się pościel. Co się wyrzuca. Wiedzieli zbyt wiele. Nie dawało się utrzymać sekretu. W każdym razie nie na długo.

Właśnie takich współczujących przejętych twarzy, niestosownie łagodnych głosów Rachael pragnęła uniknąć. Jason był jej sąsiadem – nie przyjacielem. Tak naprawdę nie wiedział nic ani o niej, ani o Davidzie. Nie miała ochoty z nim rozmawiać.

– Świetnie. Miło, że pytasz.

– Wiesz, nie chcę się wtrącać, to nie moja sprawa...

– Nie. – Więc nie rób tego, pomyślała.

– Ale... cóż... Naprawdę zmartwiła mnie wiadomość o tobie i Davidzie.

– Nie odpowiedziała.

– Jeśli jest coś, cokolwiek, co mógłbym dla ciebie zrobić, powiedz tylko słowo.

– Bardzo miło z twojej strony, ale nie ma potrzeby...

– Może chciałabyś porozmawiać...

Gdyby chciała o tym z kimś porozmawiać (a wcale tak nie było), czemu na liść boską uznał, że tą osobą byłby właśnie on?

– Niby o czym?

– Nie powinna ciągnąć tego tematu, ale naprawdę ją zdenerwował.

– O Davidzie. On... nie ma go... – Z zadowoleniem stwierdziła, że zaczął się jąkać. – To znaczy...

– Poprosiłam, aby się wyprowadził. Miał romans i wolałam zostać sama.

Równie dobrze mógł usłyszeć prawdę. Nie będzie gorsza od plotek. Chciał rozmawiać? Proszę bardzo, porozmawiajmy... Ale Jason dziwnie przycichł.

- O to ci chodziło, prawda? O tym wszyscy pragną się dowiedzieć?
- Ja nie...

Weszli do domu. Jason miał przynajmniej dość taktu, by nie kontynuować tematu w obecności portiera. Może ta koszmarna rozmowa wreszcie dobiegła końca. Lecz gdy tylko zamknęły się drzwi windy, zaraz do niej wrócił. Jak zwykle stojąc za blisko.

- Myślę, że jest głupcem.

Słowa sąsiada były tak zdumiewająco niewłaściwe, że przez chwilę nie wierzyła własnym uszom.

- Co takiego?

Jason uśmiechnął się nieśmiało, a na jego policzki wpłynął rumieniec.

- Przepraszam, ale naprawdę tak myślę. Jest głupcem, jeśli zdradzał kogoś takiego jak ty.

Rachael wpatrywała się we własne buty, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Nagle łzy zapiekły ją pod powiekami. Jak śmiał mówić takie rzeczy? Jason chwycił jej dłoń i mocno ścisnął, unosząc ręce na wysokość serca. Tym gestem pociągnął ją ku sobie i zderzyli się biodrami. Dziwna i krępująca chwila.

- Jesteś cudowna. Któż mógłby się z tobą równać?

Próbował zjrzeć jej w oczy, ale Rachael nie odwzajemniła spojrzenia. Cóż za idiotyczna sytuacja.

Winda stanęła, drzwi się otworzyły i oboje ujrzeli wpatrzone w siebie figurki policjanta, kowboja oraz księżniczki z filmów Disneya. Jason puścił dłoń Rachael jak rozpalone żelazo i w końcu się cofnął.

- Hej, dzieciaki. Świetnie wyglądacie! - W małym hallu jego głos brzmiał trochę za głośno i za serdecznie. Dzieci się cofnęły.

- Fantastyczne kostiumy! - Głos Rachael także był zmieniony. - Bardzo mi się podobają. Mia, czy to Milena cię umalowała? Cudownie wyglądasz!

Mia miała jaskrawoniebieskie powieki, a na każdym policzku okrągłą różową plamkę. W drzwiach mieszkania stała Milena, spoglądając podejrzliwie na Jasona.

Rachael obróciła się na pięcie, popatrzyła na niego zmrużonymi oczami, po czym odezwała się beztróskim tonem.

- Miło było cię spotkać. Pozdrów od nas Kim i Avery.

Potem wraz z Mileną zapędziła dzieci do mieszkania, zamknęła drzwi i oparła się o nie z drugiej strony.

- Co to miało znaczyć?

- Bóg raczy wiedzieć, Millie, Bóg raczy wiedzieć.

Jason został sam na korytarzu. Czuł się głupio. Nie wiedział, co w niego wstąpiło. Zachował się jak idiota. Spojrzał na własne drzwi, próbując skoncentrować się na tym, co go za nimi czeka.

Co za piekielny bałagan.

Violet

Violet wybrała się z Eve na przechadzkę. Uniosła lekko brwi na wiadomość, że Ed dopiero jutro wróci z Waszyngtonu. Eve postanowiła zignorować tę minę. Starła się nie przejmować służbowymi wyjazdami i siedzeniem w biurze do późnej nocy. Mąż obiecał, a ona postanowiła mu wierzyć, że po urodzeniu dziecka zwolni tempo – znajdzie czas dla niej i dla córeczki. W pierwszym roku musiał pracować więcej, by pokazać, na co go stać. Tak powiedziała sobie Eve. I uniesione brwi Violet nie mogły sprawić, by zmieniła zdanie.

Przeszły piechotą dwadzieścia czy trzydzieści przecznic, przyglądając się dzieciom niosącym plastikowe dynie i nastolatkom w barwnych kostiumach. Miło było po prostu iść ulicą i patrzeć.

Gdy się zmęczyły, wróciły do domu taksówką. Todd i Greg wychodzili właśnie z kamienicy przebrani za Mortycię Addams i wuja Festera. Todd w swym stroju – peruce o długich czarnych włosach i obcisłej aksamitnej sukni – wyglądał świetnie, Greg – zaledwie jako tako. Powiedzieli, że wybierają się na przyjęcie, a potem do Village na doroczną paradę.

Przed wyjściem z domu Violet włożyła do piekarnika ziemniaki w mundurkach i teraz podała je rozcięte z masłem i pieczoną fasolką podgrzaną w mikrofalówce. Oznajmiła, że gdyby dołożyć do tego skromną kiełbaskę, miałyby doskonałą jesienną kolację. Po tylu latach Violet wciąż tęskniła za kiełbaskami. Zwłaszcza jesienną. Pieczoną fasolkę można było dostać w większości supermarketów – w dziwnym eklektycznym dziale zwanym „angielskim”, gdzie sprzedawano marynaty firmy Branston, marmite, pieczoną fasolkę w puszkach, herbatę Yorkshire i herbatniki z cytrynowym nadzieniem. Eve nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz widziała takie herbatniki w Anglii. Może w latach osiemdziesiątych? Ale kiełbaski stanowiły stałe źródło rozczarowania dla obu ekspatek – zarówno starej wyjadaczki, jak i nowicjuszek.

Ucztowały, siedząc na kanapie z talerzami na kolanach (Eve przemknęło przez myśl, że takie dni w jej przypadku są policzone). Po skończeniu posiłku pogłaskała się po brzuchu.

– Smacznego, mała. Możesz otrzymać amerykański paszport, ale polubisz angielskie jedzenie, jeśli ja i Violet będziemy miały w tej sprawie coś do powiedzenia.

– A więc w przyszłości żadnego masła orzechowego z galaretką?

– Nawet gdyby zaczęli nazywać ją dżemem. – Eve zmarszczyła z niesmakiem nos.

Violet podała jej filiżankę z herbatą. Zawsze używała filiżanek. Nie uznawała kubków. Eve zwinęła się w kłębek w ulubionym miejscu na kanapie.

– A więc... Jestem gotowa wysłuchać opowieści o panu Wallace.

– Dzisiejszy wieczór przeznaczony jest chyba na straszne historie o duchach. – Mrugnęła do niej przyjaciółka.

– Osobiście zawsze wołałam romanse. A to będzie opowieść o miłości, prawda?

– Jesteś niepoprawna. – Violet usiadła na swoim miejscu.

– Daj spokój, musisz mi o nim opowiedzieć. Przecież sama tego chcesz... Nie możesz tak przerwać w pół słowa...

– No, dobrze. Niech ci będzie. Pan Wallace. Steadman Wallace był najmłodszym partnerem w firmie, starszym ode mnie o dziesięć lat. Gdy po ukończeniu szkoły zaczęłam u nich pracować, ledwie skończył czterdziestkę. Na początku nie miałam z nim wiele do czynienia, ale nie trwało to długo. Wciąż uczyłam się zawodu i musiałam przyswoić sobie wiele nowych informacji. Zapisalam się na wieczorowe kursy z podstaw księgowości – nie po to, by zostać księgową, lecz by lepiej wykonywać swoją pracę. Nie uwierzysz, ale okazały się całkiem interesujące. Przynajmniej niektóre zagadnienia. Pana Johnsona wspominam jako przemiłego człowieka. Był dla mnie dobry. Lubiałam chodzić do pracy i chyba nigdy nie czułam się tak szczęśliwa. Wszystko, co zarobiłam, należało do mnie, sama podejmowałam każdą życiową decyzję. Przeprowadziłam się do dwupokojowego mieszkania na czwartym piętrze nowego apartamentowca na tyłach Piątej Alei, na południe od Guggenheim. Kochałam to mieszkanie. Było wynajęte, lecz (o ile ma to jakiś sens) wydawało się bardziej moje niż wszystkie miejsca, w których dotychczas mieszkalam. Nieduże, świetnie rozplanowane, z widokiem na park. Poznałam niektórych sąsiadów, w tym kilka samotnych kobiet. Na ogół młodszych, ale spodobała mi się rola „matki domu”. Słuchałam zwierzeń i różnych opowieści o złamanym sercach. I poznawałam miasto. Tak jak pragnęłam przez te wszystkie lata, od chwili zejścia ze statku. W końcu znałam je jak własną kieszeń. Wtedy było tu dosyć bezpiecznie – dopiero w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych pojawiły się wielkie obszary, do których nie należało się zapuszczać. W roku sześćdziesiątym pierwszym świat jeszcze nie oszalał. Wszędzie chodziłam na piechotę. Nigdy w życiu tyle nie spacerowałam. Zobaczyłam chyba każdy wart tego obraz czy rzeźbę w Nowym Jorku.

– Brzmi zdumiewająco.

– Tak było. Miałam przyjaciół, gdy potrzebowałam towarzystwa, lecz na ogół dobrze czułam się sama. Wiesz, jak lubię o wszystkim decydować. A nigdy wcześniej tego nie robiłam. Z rodzinnego domu przeprowadziłam się do rodziców Gusa,

a potem do domu męża. Nigdy nie miałam własnych pieniędzy ani własnego miejsca. Nadzwyczajne uczucie.

– Dobra, dobra! Przejdźmy wreszcie do pana Wallace'a!

– Życzyłaś sobie romansu – roześmiała się Violet. – Lata, że tak powiem, między mężami, były okresem mojego romansu z samą sobą. Naprawdę nie szukałam mężczyzny. Chyba myślałam wtedy, że resztę życia spędzę samotnie. I wcale mi to nie przeszkadzało.

– Dopóki pan Wallace nie wkroczył do akcji...

– Gdybyś go poznała, zrozumiałabyś, jakie to zabawne opisywać go w ten sposób. Steadman nie miał zwyczaju „wkraczać do akcji”, jak to czarująco określiłaś.

– No to powiedz... – Dziecko kopnęło. Eve czuła jego ruchy dopiero od tygodnia. Było to zupełnie nowe doświadczenie.

– Właśnie zamierzam. Pan Johnson przeszedł na emeryturę chyba w sześćdziesiątym piątym roku, gdy pracowałam już dla firmy od dwóch czy trzech lat. Mniej więcej wtedy sekretarka Steadmana, Mary, urodziła dziecko. W tamtych czasach był to koniec pracy zawodowej. Urlopy macierzyńskie nie istniały. Wyprowadziła się gdzieś na przedmieście i nikt o niej więcej nie słyszał. Stało się oczywiste, że powinnam zająć jej miejsce. Nie byłam zbyt zadowolona. Lubiłam pana Johnsona i dobrze nam się razem pracowało. Nie bardzo miałam ochotę coś zmieniać. Ale postanowiłam, że przez kilka miesięcy spróbuje.

– I wtedy wszystko się zaczęło?

– Niezupełnie. Sprawy toczyły się bardzo powoli. Uczucie do Gusa wybuchło gwałtownie i szybko zgasło. Do Steadmana zaczęło się wolniej, lecz trwało dużo dłużej... Wiem, że chciałabyś usłyszeć o gromach z jasnego nieba, skrzypcach i różach, ale tak nie było. Pytasz, jak wyglądała nasza znajomość? Poznaliśmy się – najpierw w pracy, potem także poza nią – i polubiliśmy się. Tak naprawdę. Zostaliśmy dobrymi przyjaciółmi. Na bardzo długo. Pokazałam mu swój Nowy Jork, a on pokazał mi własny. Kochał operę i muzykę poważną, z którymi nie miałam wcześniej do czynienia. Zabrał mnie do Carnegie Hall i w inne miejsca. Uczył doceniać wykwiłtne jedzenie i dobre wino. Bardzo się różniliśmy, a mnie fascynowało patrzenie na świat jego oczami. Myślę, że po prostu byłam... gotowa. Zaraz po Gusie z takiej znajomości nic by nie wyszło. Potrzebowałam czasu dla siebie.

– A on? Mężczyzna po czterdziestce? Czy była w jego życiu jakaś pani Wallace?

– Przedemną żadną. Nieśmiały, poważny Steadman nie wiedział, gdzie jej szukać.

– Aż zjawiałaś się ty?

– Chyba tak.

- Co sprawiło, że wasza znajomość zmieniła charakter?

Violet umilkła na chwilę.

- Gwiazdzista noc, wspaniały sopran i martini.

- A mówiłaś, że to nie była romantyczna historia.

- Nic podobnego. – Oczywiście Violet rozbłysły. Podeszła do komody, wyjęła z szuflady fotografię, popatrzyła na nią i podała Eve. Steadman. W smokingu, z zaczesanymi do tyłu włosami. Wysoki i smukły. Wyglądał trochę jak gwiazdor czarno-białych filmów. Miał okulary w grubych oprawkach, nieśmiały uśmiech i twarz kogoś, kto zdaje się należeć do dawno minionych dni. – Był listopad. Zimny, jasny i rześki. Poszliśmy na *Cyganerię*. Nigdy nie oglądałam tej opery na żywo, choć Steadman puszczał mi płyty i widziałam film Zeffirellego wyświetlany na początku tamtego roku. Występowali ci sami śpiewacy. Wystawiono ją w Metropolitan Opera na jesieni i Steadman kupił bilety. Nie wierzyłam, że mogą istnieć tak piękne głosy. Zwłaszcza sopran śpiewający rolę Mimi. Nazywała się Mirella Freni i była... cudowna. Pewnie się wzruszyłam. Podczas przerwy wypiliśmy w barze martini. A gdy wracaliśmy do domu, na niebie świeciły gwiazdy. Najjaśniejsze, jakie pamiętam. Wtedy mnie pocałował. Tak po prostu. Powiedział, że zawsze tego pragnął, ale brakowało mu odwagi i nie wiedział, jak to przyjąć. Ale tamtej nocy działały chyba jakieś czary. Zatrzymał się nagle na chodniku, tuż przed sklepem z antykami na Madison Avenue; odwrócił się, chwycił mnie mocno za ramiona i pocałował.

- I? – Eve złożyła ręce.

- I...?

- Byłaś wstrząśnięta? Musiałaś być. Po tak długim czasie.

- I tak, i nie. Z początku pewnie byłam. Ale niemal natychmiast, choć trudno to ująć w słowa, pojęłam, że stało się dokładnie to, co powinno.

- Brzmi cudownie.

- Owszem. – Violet przez chwilę wpatrywała się w przestrzeń, delikatnie gładząc palcem policzek Steadmana na zdjęciu.

- I na tym się skończyło?

- Mniej więcej. Steadman był staroświecki. Postanowił zalecać się do mnie według wszelkich przyjętych zasad. Kwiaty. Obiady przy świecach. Od czasu do czasu namiętny uścisk przed drzwiami mojej kamienicy, i tyle. Taki był. Ja z radością odrzuciłabym konwenanse, ale Steadman chciał poczekać do ślubu. Jak się domyślasz, nastąpił ciąg dalszy. Ukłąkł na kolano, z pudełeczkiem od Tiffany'ego w dłoni. – Violet wyciągnęła rękę, a Eve popatrzyła na oglądany już tyle razy przedtem platynowy pierścionek z akwamaryną i brylantem.

- Piękny.

– Prawda? Kupił dokładnie taki, jaki sama bym sobie wybrała. Nie miałam przedtem pierścionka zaręczynowego. Nigdy tak naprawdę się nie zaręczyłam, z Gusem wszystko załatwiliśmy szybko, powierzchownie i praktycznie.

– Steadman wiedział o Gusie?

– Oczywiście. Nie trzymałabym czegoś takiego w tajemnicy.

– I nie miał nic przeciwko temu?

– A co by to dało? Oboje chcieliśmy patrzeć w przyszłość. Myśleliśmy o nowym, wspólnym życiu. Po co oglądać się wstecz? Byłam wdową, a on czterdziesto- pięcioletnim prawiczkim. Cóż z tego? Ważne, że się odnaleźliśmy. Czuliśmy się tacy szczęśliwi.

Eve pomyślała, że nawet mówiąc o nim, wygląda na szczęśliwą. Rysy twarzy jej złagodniały, oczy roz błysły.

– Jaki był wasz ślub?

– Cichy. Pobraliśmy się pewnego majowego dnia, w piątek w ratuszu. Dwie osoby z biura wystąpiły w roli świadków, a lunch zjedliśmy sami w hotelu St. Regis. Z szampanem. I tam, w apartamencie, spędziliśmy noc, ale na to już opuszczę zasłonę tajemnicy... Dodam tylko, że była to prawdziwa noc poślubna. – Przez chwilę, patrząc na Violet, Eve rozpoznawała twarz tamtej młodej kobiety, zarumienionej, podekscytowanej. Znow podeszła do szuflady. – Jest tu gdzieś nasza fotografia. Miałam na sobie liliowy kostium i toczek. Spójrz. – Podała Eve zdjęcie ich obojga. – Cóż to był za cudowny dzień! Pojechaliśmy pociągiem do Niagara Falls na miesiąc miodowy. Miałam nową walizkę z Macy's. A w niej wyprawę. Steadman nalegał, bym kupiła sobie nowe ubrania. Mówił, że zasługuję na to, by poczuć się jak panna młoda. Martwił się, że ominęły mnie wszystkie splendory – biała suknia, ślub kościelny. Nie dbałam o to. Nasz ślub był dokładnie taki, jakiego zawsze chciałam. Naprawdę tak uważałam. Był dla mnie idealnym mężem. Nie wiedziałam, że to możliwe.

Eve pomyślała o Edzie. Czy był dla niej idealnym mężem? Kiedyś tak myślała. Kochała go bardzo. Nigdy, w każdym razie nigdy przedtem, w to nie wątpiła. Ale ideał? To chyba niemożliwe.

Zastanawiała się, dlaczego Violet trzyma fotografię męża ukrytą w szufladzie. Postanowiła, że pewnego dnia spyta ją o to.

Arthur

Ostatnimi czasy Arthurowi Alexandrowi tylko kilka rzeczy sprawiało prawdziwą przyjemność. Powtórki telewizyjnych programów Benny'ego Hilla. Skompromi- towani politycy i upadli idole. Cokolwiek z bitą śmietaną, a zwłaszcza ciasto. Pew-

nie właśnie śmietana doprowadziła go do zguby. Ale ironia i czarny humor, które krył w sobie pomysł śmierci w samo Halloween, mogłyby mu dostarczyć trochę uciechy. Wszystko potoczyło się bardzo szybko. Rzeczywiście poczuł wtedy dokładnie to, co mówią – jakby słoń usiadł mu na piersi. Od kilku dni bolała go ręka i wracając ze sklepu, dostawał zadyszki, lecz w jego wieku takie objawy nie są niczym nadzwyczajnym, więc nie zwracał na nie uwagi. Odczuwał też zmęczenie, nic nowego. Wiecznie był zmęczony. Tak bardzo, że czasem aż go to zdumiewało. Przypuszczał, że ostatnio męczyły go nie tyle życiowe czynności, ile samo życie.

Nawet gdyby skojarzył ze sobą wszystkie objawy, to i tak nie poszedłby do lekarza. Nienawidził lekarzy, a teraz, gdy nie miał ubezpieczenia, oni także go nienawidzili. Nie pamiętał, kiedy ostatnio jakiegoś odwiedził. Jeszcze, nie daj Boże, podłączyliby go do tej swojej aparatury, zaczęli w nim dłużyć narzędziami tortur i zabronili jeść bitą śmietaną. Zresztą, był gotów na odejście. Już od dawna.

Gdyby Arthur mógł coś zmienić w związku z własną śmiercią, nie licząc przyspieszenia jej o dwadzieścia lat, to może wpisałby się na wywieszoną w zeszłym tygodniu w windzie listę chętnych na uczestnictwo w obchodach święta duchów, choć odkąd tu mieszkał, nigdy tego nie zrobił. A potem umarłby w otwartych drzwiach mieszkania, w głębokim skórzanym fotelu, robiąc ostatnią sztuczkę dzieciakom z sąsiedztwa. Oto żart, który mógłby go rozbawić.

Ale nie zauważył listy. I wieczorem nikt nie przyszedł do niego po cukierki. Pięć dni później pomocnik zawiadomił gospodarza domu, że Arthur przez cały tydzień nie wystawiał śmieci. Wezwany portier dodał, że również nie odbierał poczty. Na pewno nie wyjechał na wakacje, nie robił tego od lat. W końcu Greg i Todd, wychodzący właśnie na spacer z Ulisesem, nakazali panu Gonzalesowi, by sprawdził, co się stało. Przywiązali psa do drążka markizy i poszli za nim. Przez dziesięć minut stukali i nawoływali, a potem otworzyli drzwi kluczem uniwersalnym, weszli do środka i znaleźli Arthura.

Żaden z sąsiadów nie zauważył jego nieobecności. Tylko dwóch gejów, których latami unikał. Dla nich i dla innych był starym zrzędą. Denerwującym, gderliwym staruszkiem, niegrzecznym homofobem, kłótliwym i niechlujnym.

Nic nie wiedzieli o Arthurze. Na jego własne życzenie. Przeczucia Eve okazały się słuszne. Nikt nie wiedział, że kiedyś chciał zostać lekarzem, lecz musiał przerwać studia, gdy w 1942 roku powołano go do wojska. Nie potrafiliby sobie wyobrazić, że przed wojną był zaręczony z pulchną niebieskooką Nancy, która nie mogła lub nie chciała czekać i zanim wrócił z frontu, wyszła za mąż za jego młodszego kuzyna. Potem nie umiał już nikomu w pełni zaufać. Czy traktowaliby go inaczej, gdyby usłyszeli, że Arthur w czasie wojny był w 42 Dywizji Piechoty, w jednym z oddziałów, które w kwietniu 1945 roku wkroczyły do Dachau? Czy usprawiedliwialiby jego zachowanie, rozumiejąc, że człowiek po obejrzeniu rzeczy tak strasznych musiał się zmienić na zawsze? Zapewne nie. W Nowym Jorku

mieszka wielu uchodźców i ocalałych. Z tej wojny i setek innych. Być może potomkowie grupki Żydów, których Arthur wyzwolił tamtej wiosny, przed sześćdziesięciu laty, mieszkali w sąsiedztwie. Arthur nigdy nie poszedł na paradę z okazji Dnia Weterana ani nie nosił medali. Nie był z nich dumny. Wstydził się za siebie i za wszystkich ludzi.

Od tamtego kwietniowego dnia nie potrafił dostrzec w świecie nic dobrego i kiedy przyszła śmierć, szybka i bolesna, odczuł przede wszystkim wielką ulgę.

Emily

Charlotte i Emily wybrały się do tajskiej restauracji. Co prawda Trip chciał, aby Emily poszła z nim na imprezę na Brooklynie. Nie poznała jeszcze nikogo z jego przyjaciół. Ciągłe byli na etapie, gdy całkowicie sobie wystarczali i nie chcieli się sobą dzielić. Emily nie miała ochoty.

Powiedziała, że będzie się czuła jak Barbra Streisand wśród przyjaciół Roberta Redforda w *Tacy byliśmy*. Niezręcznie i nie na miejscu.

- Założę się, że przyjdzie tam sama arystokracja.
- Naturalnie. Członkowie amerykańskiej rodziny królewskiej. Od razu cię znienawidzą. A ja, prawdę mówiąc, wstydzę się ciebie. Masz rację. Nie przychodź.
- To jakiś chwyt psychologiczny?
- Może. Posłuchaj, wariatko, moi znajomi nie są jednorodną grupą absolwentów Duke'a. - Urwał na chwilę. - No, dobrze. Może i są. To jeszcze jeden powód, żebyś tam poszła, trochę namieszamy. Poza tym, chcę się tobą pochwalić. Będą zachwyceni twoim tyłkiem. Czy facet nie może się trochę popopisywać?
- Popisuj się, ile chcesz. Możesz im pokazać moje zdjęcie. A ja pójdę na obiad z Charlotte. Nie widziałyśmy się od wieków.
- To chociaż spotkajmy się później.
- A nie przyjdiesz pijany?
- Jeśli będę miał powód, to nie...
- W porządku. Zostanę twoim aniołem trzeźwości. Zajrzyj do mnie, jak wrócisz. Pewnie będę w domu przed tobą.
- Zabrać szczoteczkę do zębów?
- Nie kuś losu.

Ciągle jeszcze nie uprawiali seksu. Całowali się, pieścili i robili niemal wszystko poza tym, ale nigdy nie kochali się tak naprawdę. Trip z trudem to wytrzymywał. Choć okazało się, że nie seksu pragnął najbardziej. Chciał z nią spać. Po prostu. Gdy leżał bez ruchu, trzymając w ramionach ciepłe miękkie ciało Emily, tak doskonale dopasowane do jego własnego, gdy jej pierś unosiła się i opadała w

rytm jego cichego oddechu, sam z trudem się poznawał. W takich chwilach czuł spokój, nowy, cudowny i uzależniający bardziej niż jakikolwiek próbowany narkotyk.

Powtarzał sobie, że spotykają się dopiero od sześciu tygodni. Prawdę mówiąc, nigdy dotąd nie był z dziewczyną tak długo, nie uprawiając seksu. Zresztą, tylko z kilkoma w ogóle wytrzymał tyle czasu. Wiedział, że Emily także go pragnie, lecz kierowała nią ta sama przeklęta wola i determinacja, dzięki której pokonała dystans triathlonu.

Nikomu nie przyznałby się, że właściwie wstrzemięźliwość mu się podoba. Czyniła ich związek wyjątkowym. W ogóle miał ostatnio dobry okres. Każdego dnia wstawał o wpół do ósmej – godzinie, o której w dawnym życiu rzadko kiedy otwierał oczy. Brał prysznic, ubierał się. Razem z Emily jedli śniadanie – zazwyczaj w jej mieszkaniu. Jechali metrem do pracy. I cały czas rozmawiali. Opowiadała o dzieciństwie w Longyiew. O mężczyznach w życiu matki. Pozwalało mu to w pewnym stopniu ją zrozumieć. On mówił trochę, choć nie wszystko, o swojej rodzinie. Pragnął być szczery.

Nie chciał iść bez niej na imprezę. Ale skoro mieli się zobaczyć po powrocie, poszedł.

Tymczasem Charlotte i Emily wędrowały w rozbawionym tłumie, trzymając się pod rękę. Wpadły na Eve i Violet, które wyszły na spacer i zatrzymały się, by podziwiać wypukły brzuch Angielki.

- Chcesz mieć dzieci? – spytała Emily później, gdy już zamówiły jedzenie.
- Bardzo. Czyż ona nie wyglądała cudownie? Taka szczęśliwa! Emily przytaknęła. To prawda.
- Nie sama, ale z kimś, kogo bym kochała. A ty?
- Kiedyś myślałam, że nie.
- A teraz?
- Sama nie wiem. Bardzo długo nie miałam tego w planach.
- Ale wszystko się zmienia, prawda?
- Pewnie tak. A przynajmniej może się zmienić. Kto by pomyślał? Mam chłopaka.
- Tym właśnie jest dla ciebie?
- Chyba tak. – Oczy Emily rozbłysły. – Chociaż... nie jesteśmy jeszcze ze sobą, jak to się mówi, na serio.
- To znaczy nie uprawiacie seksu?
- No właśnie. Uważasz, że to dziwaczne?
- Ja? – Charlotte uniosła brwi. Emily uścisnęła jej rękę.
- Przepraszam.
- Nie ma za co. To miłość. Ona wszystko zmienia.

- Czy ktoś mówił o miłości?
- Masz ją wypisaną na twarzy.
- Naprawdę? – Emily uśmiechnęła się szeroko.
- Owszem. Twój nieprzytomny uśmiech jest niezwykle wymowny.
- Jak tam hiszpański?
- Nie zmieniaj tematu.
- Nie zmieniam. Przecież rozmawiamy o miłości.
- Zmieniasz. Tak mi do niej daleko, że przestaje to być zabawne. A może nie. Ja jestem tylko, jak to się mówi, zadurzona. To zupełnie co innego.
- Jedyna różnica między nami polega na tym, że ja odważyłam się zaufać.
- Miło, że tak mówisz, ale obie wiemy, że lista różnic jest o wiele dłuższa. Poza tym ja nie mogę „zaufać”. Che wyjechał na wakacje. Nie widziałam go całe wieki.
- A kiedy wróci?
- Zabawne, ale wczoraj obiecałam sobie, że gdy to nastąpi, ja wykażę inicjatywę.

Dzięki Emily uwierzyła, że może się udać. Niech więc przyjaciółka doda jej teraz odwagi.

Wieczór był ciepły jak na koniec października, lecz gdy wyszły z restauracji, uderzyła w nie fala zimnego powietrza. Temperatura spadła chyba o pięć stopni. Otuliły się płaszczami, wzięły pod ręce i ruszyły szybko w stronę domu, mocno tupiąc o chodnik, by rozgrzać palce u nóg.

- Zapytam, kiedy wraca.
- Ani mi się waż!
- Dlaczego? Przecież ja to zrobię, nie ty. Zwyczajne pytanie. Przynajmniej będziesz wiedziała.

- Hej, Jesus. – Portier, który otworzył im drzwi, miał postawiony kołnierz marynarki. – Dzięki. Strasznie zimno na dworze.

Przytaknął, rozcierając ręce. Emily nie zdawała sobie sprawy, że jest tak późno. Może Jackson już wrócił?

- Słuchaj, Jesus. Zastanawialiśmy się, kiedy Che wraca z urlopu? – zapytała, spoglądając na Charlotte, która nacisnęła właśnie ze złością guzik windy.
- Che nie wyjechał na urlop.
- Jak to?
- Rzucił pracę. Przeprowadził się na Florydę. Nie wiedziały panie?
- Nie.
- Powiedział, że ma dość nowojorskich zim. Że nic go tu nie trzyma. Odleciał na południe jak ptaki. – Jesus zadowolony z dowcipu, połączył oba kciuki i pomachał palcami w powietrzu.

- *Pajaro* – powiedziała bardzo cicho Charlotte.
- *Si. Si. Pajaro* – śmiał się Jesus.
- To po hiszpańsku „ptak”.

Emily patrzyła z bólem serca, jak przyjaciółka kurczy się w sobie. Chowa twarz w szalik.

- O Boże, Charlotte. Tak mi przykro. – Wepchnęła ją do windy. – Nie wiedziałaś, że planuje wyjazd?
- Nie. Słyszałaś, co mówił Jesus. Nic go tu nie trzymało.
- Charlotte.
- Za długo czekałam.

Emily nie wiedziała, czy rzeczywiście tak było. Ani czy Che łączyło z Charlotte coś więcej niż z innymi lokatorkami. Może i nie, przecież jej przyjaciółka żyła w świecie marzeń. W tej chwili nie miało to jednak żadnego znaczenia. Dla niej znajomość z portierem była wyjątkowa, a teraz się skończyła.

Musiała zawieźć ją na górę do mieszkania. Wyglądała, jakby miała się zaraz rozplakać i Emily chciała, by mogła to zrobić swobodnie i na osobności.

- Czekaj, czekaj. Momencik. Ja też jadę na górę.

Jesus nacisnął guzik i drzwi windy znów się rozsunęły, ukazując Madison ubraną w przedziwny kostium. Jej drobne piersi wylewały się z czarnego gorsetu uzupełnionego spódniczką zrobioną z czegoś w rodzaju pajęczyny, tak krótką, że widać było bieliznę, i tak przezroczystą, że kształty rysowały się pod nią bardzo wyraźnie. Wyglądała niewiarygodnie seksownie i nieprzyzwoicie. Towarzyszyła jej koleżanka w stroju diabła uszytym z czerwonego poliestru.

Jeszcze nie zdążyły wejść do windy, a już wokoło rozszedł się zapach alkoholu. Diablicy poleciało oczko w czerwonych kabaretkach.

- Koniec zabawy na dziś?
- Owszem – odpowiedziała za obydwie Emily, opiekuńczo pochylając się nad Charlotte.
- My wracamy tylko poprawić makijaż, między jedną imprezą a drugą, co, Tanya? – Koleżanka skinęła głową. – Nie lubicie Halloween?
- Najlepsza noc w roku.

Jeśli Madison wyczuła w głosie Emily ironię, nie dała tego po sobie poznać. Charlotte wpatrywała się w podłogę.

- Co tam u ciebie i Tripa? – Zapytała piękna sąsiadka, znacząco i z naciśkiem rolując „r”.
- Wszystko dobrze, a właściwie świetnie. Dzięki. – Emily nie miała pojęcia, że Madison w ogóle wie o ich spotkaniach.
- Miło mi to słyszeć. Przystojny z niego drań. I niezły, domyślacie się w czym.

Tanya zachichotała.

- Prawda, Emily? Powiedzmy sobie szczerze, na męża się nie nadaje. Choć miło byłoby dorwać się do takich pieniędzy. Wiesz, że jest obrzydliwie bogaty? Jasne, że tak. Sprytna z ciebie dziewczyna... Bogaty jak ten... jak mu tam?

- Bill Gates - zaproponowała Tanya, walcząc z czkawką.

- Miałam na myśli tego Greka. Ale łapiesz, o co mi chodzi. W dodatku dobry w łóżku. Co nigdy nie zawadzi. Podczas czekania na tego Jedynego jest całkiem niezłym Jednym Z Wielu. - Zakołysała biodrami. - Dobry sposób na zabicie czasu podczas awarii prądu, co, Emily?

Na drugim piętrze Madison i Tanya wytoczyły się z windy i nie mówiąc więcej ani słowa, zniknęły w mieszkaniu. Zza ich drzwi buchnął głośny rock. Charlotte grzebała w torebce w poszukiwaniu kluczy.

- Wygląda na to, że w tym roku zamiast ofiarować cukierki, zrobiono nam brzydkie psoty - powiedziała, uśmiechając się z wysiłkiem.

Gdy kilka godzin później Jackson wrócił do domu, ani u Emily, ani u Charlotte nikt nie odpowiedział na jego pukanie. Zjechał do hallu, dowiedział się od Jesusa, że dotarły bezpiecznie do domu, a potem wrócił i jeszcze raz zastukał do drzwi Emily. Poruszył klamką, ale były zamknięte na klucz. Pomyślał, że może dziewczyny za dużo wypily. W końcu zrezygnował i poszedł spać, niezadowolony i zirytowany. Wcześniej jednak wsunął czerwoną różę za kołatkę na drzwiach. Dziewczyna powinna dostać na Halloween jakiś upominek. Nawet jeśli zamierzał ofiarować jej coś zupełnie innego.

Emily przenocowała u Charlotte. Przyjaciółka, otulona w aksamitny szlafrok, długo płakała z głową na jej kolanach. Jak powiedziała, nie tyle za Che, ile za swoimi marzeniami. Około drugiej nad ranem roześmiała się przez łzy i powiedziała, że oplakuje też wszystkie godziny zmarnowane na naukę hiszpańskiego. Emily również się roześmiała, choć chciało jej się płakać i stwierdziła, że od tej pory przyjaciółka powinna w ogóle skoncentrować się na mężczyznach hiszpańskojęzycznych.

W końcu Charlotte położyła się do łóżka i ze zmęczenia zapadła w ciężki sen. Wcześniej wręczyła poduszkę i koc Emily, która miała spać na kanapie, bo nie chciała dziś iść na górę i spotkać się z Jacksonem.

Emily już wcześniej pytała przyjaciółkę, czy to prawda, że łączyło go coś z Madison. Charlotte odpowiedziała szczerze, że nie ma pojęcia.

- Myślę, że sama lepiej go znasz. Po co w ogóle słuchasz Madison Cavanaugh? Była pijana. Zazdrości ci. Dlaczego jej wierzysz?

Takie samo pytanie zadałby Jackson. Nie znała odpowiedzi. Może uwierzyła dlatego, że chciała? Że tak było łatwiej? Że był to dobry pretekst, by go odepchnąć?

- Nie pojmuje - powiedziała Charlotte. - Byłaś taka szczęśliwa. Nie ma sensu rezygnować ze wszystkiego z powodu idiotki Madison.
- A jeśli byłam głupia?
- Niby dlaczego? Postępowałaś jak należy. Nie wskoczyłaś mu od razu do łóżka. Poznaliście się bliżej. Przecież ci się podoba, Emily. Wiem, że tak.
- Ale to nie oznacza, że jest dla mnie właściwym mężczyzną, prawda? Charlotte z rozpaczą wzruszyła ramionami.
- Czy to dlatego, że na Święto Dziękczynienia przyjeżdża twoja mama?
- Nie. Skąd ten pomysł? Co ma jedno do drugiego?
- Sama powiedz. To ty szukasz pretekstu, by zostawić Jacksona. Boisz się, że ona go nie zaakceptuje, czy jak?

Emily nie wiedziała. Następnego dnia, gdy wróciła do mieszkania przebrać się przed wyjściem do pracy, znalazła na drzwiach różę, trochę przywiedła, lecz ciągle piękną. Nalała wody do wysokiej szklanki i wtuliła twarz między płatki. Czuła ból w piersiach. W łazience odkręciła wodę i zaczęła, aż polecą parujący ukrop. Gdy zadzwonił telefon, weszła do środka, zamknęła drzwi i pozwoliła, by gorąca woda sparzyła jej skórę.

RS

Listopad

Emily

Matka Emily była drobną, szczupłą kobietą, silniejszą od mężczyzn, którzy ważyli 50 kg więcej niż ona. Nosiła niemodne dzinsy, malowała się zbyt mocno, a jej kolczyki były zawsze nieco w złym guście. Ale Emily ją kochała.

Pojechała po nią pociągiem na lotnisko La Guardia, a gdy matka wynurzyła się zza automatycznych drzwi, jak w dzieciństwie rzuciła się jej w ramiona.

– Kochanie. Niech ci się przyjrzę. – Mama ujęła w dłonie twarz Emily i ucałowała ją w oba policzki. Potem zrobiła krok do tyłu i obejrzała córkę uważnie. – Ciągłe piękna i ciągle za chuda.

Emily kupiła bilet na samolot przez Internet. Matka przyjechała na Święto Dziękczynienia i miała zostać aż do grudnia. Nigdy dotąd nie była w zimie w Nowym Jorku. Podniecała ją myśl, że zobaczy choinkę na Rockefeller Plaza i pojeździ na łyżwach na lodowisku Wolman Rink. Emily bała się, że mama nie pozwoli jej zapłacić za bilet, ale ona łaskawie się zgodziła. Wychowała córkę sama, więc teraz mogła pozwolić, by i Emily otoczyła ją opieką. Dzięki nowemu mieszkaniu przyjechała na dłużej – córka oddała jej łóżko, a sama spała w pokoju dziennym na pożyczonym od Charlotte nadmuchiwany materacu. Sytuację ułatwiał fakt, że z horyzontu zniknął Jackson. Chciała opowiedzieć o nim mamie, nie miała przed nią tajemnic. Zresztą w ogóle nie miała ich wiele. Wolała jednak mówić o Jacksonie w czasie przeszłym, bez konieczności przedstawiania go.

Na okazję nie musiała długo czekać. Pierwszego dnia zabrała matkę do studia NBC. Wpisała ją na listę gości i oprowadziła po budynku. Gdy minęły Matta Lauera wychodzącego właśnie z garderoby, myślała, że mama zemdleje z dumy i podniecenia. Potem poszły na lunch. Emily zarezerwowała stolik dla dwóch osób w niezłej restauracji na środkowym Manhattanie i zamówiła po kieliszku szampana. Mama aż promieniała z radości.

Nad stekiem i pieczonym ziemniakiem popłynęła opowieść o Jacksonie Graylingu Trzecim.

– Gdy o nim mówisz, sprawia wrażenie chłopaka, któremu nie poświęciłaś jednego dnia. Przecież nie mógł być taki zły, skoro przez pewien czas się spotykaliście...

– Tobie by się nie spodobał – zakończyła Emily.

– Nie mnie ma się podobać, kochanie. – Matka uniosła rękę. – To twoje życie. Ja chcę tylko, żebyś była szczęśliwa i nauczyła się czegoś na moich błędach.

Nie za wiele, żadna matka nie może tego od dziecka wymagać. Odrobinę. Ale przede wszystkim liczy się szczęście.

– No, właśnie, mamo. Pewnie nie byłabym z nim szczęśliwa.

– Przecież byłaś. Nawet jeśli trwało to krótko.

Emily pokręciła głową, a matka sięgnęła przez stół i wzięła ją za rękę.

– Możesz się mylić dziecko. I co do mnie, i co do niego. Czy to przeze mnie boisz się komuś zaufać?

– To nie twoja wina.

– Nie ponosimy winy za coś, co się nam przytrafia, lecz za to, co z tym zrobimy.

Emily nie wiedziała, czy matka mówi o sobie, o niej czy o Jacksonie. A może o całej trójce.

Eve

Eve robiła właśnie zakupy w Whole Foods, gdy zaczęły się bóle. Początkowo nie były dramatyczne ani przeszywające. Przypominały raczej coś w rodzaju słabych skurczów miesięczkowych – upartych i męczących. Pochłonięta zakupami, dopiero po chwili uświadomiła sobie, że pojawiają się ze stałą częstotliwością. Po raz pierwszy przygotowywała obiad na Święto Dziękczynienia i wiele składników stanowiło dla niej zagadkę. Wiedziała, że nie poświęci się do tego stopnia, by przyrządzić słodkie ziemniaki z grillowanymi piankami na wierzchu, zamierzała jednak spróbować całej reszty – sosu borówkowego i ciasta z orzechami pekan na deser. Na obiedzie gościli Violet. Eve myślała też nieśmiało o zaproszeniu Rachael z dziećmi, ale sąsiadka od kilku tygodni wspominała, że wybierają się do ciepłych krajów na jakieś wyspy. Eve doszła do wniosku, że przy trzech osobach będą jedli potem kanapki z indykiem całymi tygodniami, lecz filety z indyczej piersi wyglądały tak żałośnie, że nie mogła się zdobyć na ich zakup. Dziwaczne było to listopadowe indycze szaleństwo.

Kolejne czekało ich w grudniu, gdy pojedą do Anglii na święta. Eve nie mogła się już doczekać. Boże Narodzenie u Cath. Znajome ozdoby, smaki i dźwięki. Po śmierci mamy wydawało się, że już nigdy nie będzie prawdziwej Gwiazdki, lecz oto nowe święta zastąpiły stare, a Eve je pokochała. Hałaśliwe dzieci biegające w kółko w stanie bliskim hysterii. Rodzice Geoffa i sąsiedzi z ulicy popijający egg nog. Pasterka w kościele Św. Tomasza. Wyjątkowo wczesny jak na tę porę roku poranek i skarpety zawieszane w nogach łóżek. Mężczyźni znikający rano w pubie na pierwszą wzmiankę o obieraniu brukselki i marchewki. Eve ogarniało podniecenie na myśl, że w samym środku przygotowań będzie w zaawansowanej ciąży. Bardzo

odpowiedni stan na Boże Narodzenie. Na pierwszy dzień świąt kupiła w sklepie z ubraniami dla przyszłych matek aksamitną rozciągliwą sukienkę w kolorze niebieskiego płaszcza Matki Boskiej.

Ginekolog na piśmie wyraziła zgodę na przelot Eve do Anglii i powrót tuż po Nowym Roku. Dziecko miało się urodzić dopiero na początku marca.

Biednej Polly właśnie wycięto wyrostek. Cath telefonowała dziś rano. Mała obudziła ich w środku nocy, wyjąc z bólu i wymiotując. Wyrostek był bliski rozlania, więc lekarze nie rozumieli, dlaczego wcześniej nic jej nie dolegało. Cath, sądząc po głosie, wydawała się wyczerpana i bliska płaczu, co było do niej niepodobne. Powiedziała, że Geoff zajmował się George'em, a ona spała na materacu na oddziale dziecięcym. Od tego bolały ją plecy, serce i żołądek.

- Wyzdrowieje – uspokajała ją Eve.

- Oczywiście, że wyzdrowieje. To typowa dziecięca choroba. Wiem. Chyba, że pożre ją żywcem gronkowiec czy coś równie okropnego. Po prostu wydaje się cholernie mała i bezbronna, gdy leży w tym wielkim łóżku z podłączoną do ręki kroplówką. W takich chwilach uświadamiasz sobie, ile masz szczęścia i jak źle wszystko się może potoczyć.

- To ja zwykle mówię takie rzeczy.

- Nic mi nie jest. Po prostu chcę zabrać Polly do domu, wypić cholernie dużą whisky i przytulić się mocno do Geoffa.

Według planu mała miała wyjść ze szpitala po Święcie Dziękczynienia, jeśli nie będzie żadnych komplikacji. Eve natychmiast poszła na Piątą Aleję, gdzie kupiła pocztówkę grającą piosenkę Hannah Montana oraz misia, którego musiała „zbudować” w sklepowym dziale „Zbuduj misia”, to znaczy nagrać własny głos wyśpiewujący życzenia zdrowia na małe urządzenie, które następnie zaszyto w misiu wraz z sercem i 80 dag sztucznych pakuł. Do świąt Polly dojdzie do siebie, a jedyne zmiany będą brak wyrostka i dramatyczna historia do opowiadania. Eve przeszła taką operację, gdy miała piętnaście lat. Wciąż pamiętała, jak bardzo bolał ją brzuch.

W styczniu, po powrocie ze ślicznych jak z obrazka świąt Bożego Narodzenia, zamierzała zająć się na serio wiciem gniazda. Pokój dla gości należało zmienić w pokój dziecienny. Obecnie pomalowany był na zielono w odcieniu nieco mulistym, Eve planowała coś znacznie weselszego. Może budyń waniliowy? Nie wiedziała, czy wybrać wystrój w jaskrawych barwach proponowany we wspaniałym sklepie z rzeczami dla dzieci na Madison Avenue, czy też blady róż i koronki. W książce napisano, że dzieci reagują na żywe kolory, ale Eve zależało także, by pokój wyglądał ładnie. Chciała mieć bujany fotel z miękką puchową poduszką pod głowę. I karuzelę do zawieszenia nad łóżeczkiem grającą *Clair de Lune*.

Nie tak dawno rozciągały się przed nią puste, samotne miesiące. Teraz bała się, że zabraknie jej czasu.

W supermarkecie panował okropny tłok, nastroje zaś nie wydawały się szczególnie dziękczynne. Tak to już bywa. Cierpliwość kończyła się szybko, za to kolejki w dziale mięsnym i do kas wydawały się nie mieć końca. Jakiś nieszczęśnik, któremu zlecono kierowanie ruchem, stał obok działu zup i sałatek, przystrojony w podwójną tablicę wyznaczającą koniec kolejki. W ten sposób naiwniacy, podążający prosto do kasy, musieli się cofać, wzdychając i narzekając wzdłuż ogonka liczącego kilkadziesiąt osób. Co pięć minut jakiś głos przepraszał przez megafon, że sklep nie gwarantuje w dniu dzisiejszym dostaw zakupów w ciągu czterech godzin, wywołując jeszcze więcej zniecierpliwionego cmokania i stłumionych przekleństw. Ojcom Pielgrzymom na pewno by się to nie spodobało. Eve znalazła koniec kolejki, zajęła miejsce i wspierając się na rączce wózka, rozmasowała sobie dół pleców. Uśmiechnęła się uspokajająco do klientów rzucających jej nerwowe spojrzenia. Przekłęty brzuch był za duży. Ludzie sądzili, że ciąża jest bardziej zaawansowana niż w rzeczywistości. Teraz najwyraźniej niepokoił ich, czy odejście wód płodowych w kolejce do kasy na dwa dni przed Świętem Dziękczynienia nie zakłóci ich własnych przygotowań.

Eve uświadomiła sobie, że ma regularne skurcze, gdy zbliżała się do końca wędrówki po sklepowych alejkach. Nabierała właśnie oliwki do plastikowego pojemnika. Zabawne, ale zanim zaszła w ciążę, niezbyt je lubiła. Doszła do wniosku, że zachcianka musi mieć jakiś związek z solą. Cóż, lepiej jeść sól niż węgiel. Spojrzała na zegarek, próbując przypomnieć sobie, kiedy zaczął ją boleć brzuch. W książce *Czego oczekiwać, gdy oczekujesz dziecka* napisano, że to skurcze przepowiadające Braxtona-Hicksa będące czymś zupełnie normalnym. Nie pamiętała informacji, że zdarzają się w tak wczesnej fazie ciąży, lecz przecież nie nauczyła się książki na pamięć. Całych rozdziałów nie odważyła się jeszcze przeczytać. Początkowo nie czuła niepokoju. W ciągu ostatnich miesięcy przyzwyczała się, że z jej ciałem dzieją się różne dziwne i nowe rzeczy. Pojawiła się zgaga, nagle napady energii lub wyczerpania. Odkąd dziecko zaczęło się ruszać, czuła się jeszcze dziwniej. Próbowwała wyobrazić sobie, że lekki trzepot i pulsowanie to ruchy rącek i nóżek, lecz wciąż wydawało się to nierealne.

W całkiem niezłym jeszcze nastroju dotarła na początek kolejki. Zapłaciła za zakupy, po raz kolejny dziękując bogom za dostawę do domu w cenie 5,95\$, nieważne, czy w ciągu czterech godzin, czy też nie, i wjechała schodami na górne piętro do jednego ze swych ulubionych miejsc – piekarni Bouchon na trzecim piętrze – by usiąść i napić się czegoś zimnego. Bóle stały się nieco mocniejsze – musiała przystanąć obok stolika z mlekiem i cukrem – oraz nieco częstsze (powtórzyły się dwukrotnie między zamówieniem lemoniady a zapłaceniem za nią, ale obsługa zawsze pracowała tu dość powoli). Eve ogarnął niepokój. Usiadła i nierozpraszana przez zamęt supermarketu instynktownie poczuła, że coś jest nie w porządku.

Oddychając głęboko i starając się uspokoić, zadzwoniła do trzech osób. Do ginekolog, Eda i Violet. Recepcjonistka połączyła ją natychmiast, a lekarka kazała jechać do szpitala. Dopiero wtedy Eve uświadomiła sobie, jak bardzo liczyła na uspokajające słowa, zapewnienie, że nie ma powodu do zmartwień, że to zwykłe przemęczenie i powinna po prostu wrócić do domu obejrzeć talk show Ellen DeGeneres. Ale głos, który nakazywał wziąć taksówkę, był poważny. W biurze Eda bezpośredni telefon odebrała jedna z identycznie brzmiących sekretarek. Powiedziała, że Ed jest na zebraniu, i zapytała, czy ma mu przeszkodzić, tonem, jakby było to zupełnie nieuzasadnione. Eve odparła, że nie i że jeszcze zadzwoni. Nie ma sprawy. Violet podniosła słuchawkę po drugim sygnale. Musiała siedzieć w fotelu obok stolika, na którym stał jedyny w mieszkaniu aparat telefoniczny.

- Violet, dzieje się coś niedobrego. Chyba rodzę.
- Gdzie jesteś?
- Przy rondzie Kolumba. Doktor kazała mi jechać do szpitala.
- Podaj adres. Będę tam za piętnaście minut. Chyba, że wolisz, abym najpierw przyjechała po ciebie?
- Nie ma czasu. Wezmę taksówkę. Zawsze dużo ich tu stoi.
- Trzymaj się. Wszystko będzie dobrze. Zaraz się zobaczymy.
- Dziękuję, Violet. Bardzo ci dziękuję.

Na dworze świeciło słońce, ale było bardzo zimno. Fala chłodnego powietrza uderzyła Eve w twarz, gdy pchnęła ciężkie obrotowe drzwi i ruszyła pospiesznie ku miejscu, na którym zawsze zatrzymywały się taksówki nadjeżdżające od strony Broadwayu. Na chodniku czekała na nie grupka osób z wyciągniętymi rękami. Eve chciało się krzyżeć. Po nodze ściekała jej strużka płynu i miała mokre rajstopy. W gardle zerwał się szloch. Podbiegła, niezgrabnie i powoli na brzeg jezdni, gdzie kobieta w dopasowanym turkusowym płaszczu i botkach na obcasach wyciągała rękę, drugą przyciskając do ucha telefon.

- Przepraszam. Potrzebuję taksówki. Pani taksówki.

Kobieta obrzuciła ją taksującym spojrzeniem, po czym opuściła rękę i odwróciła się, nie przerywając rozmowy. Ofiarowała taksówkę, lecz ani grama ludzkiej życzliwości.

W końcu nie udało im się tego zatrzymać. W XXI wieku, na Zachodzie, w mieście znanym z wysokiego poziomu usług medycznych, w szpitalu lepiej wyposażonym niż inne, lekarze, mając wszelkie leki oraz wiedzę, nie zdołali zatrzymać skurczów. Eve zaczęła rodzić w dwudziestym siódmym tygodniu ciąży, a oni nie mogli nic na to poradzić.

Violet zadzwoniła do Eda. Dostała numer od Eve, poszła do hallu i skorzystała z automatu. Tym razem sekretarka połączyła ją od razu, a w głosie Eda słychać było lekką panikę.

– Violet?

Nie było czasu na wyjaśnienia.

– Musisz przyjechać do szpitala. Najszybciej, jak możesz. Eve rodzi.

– Przecież to za wcześnie.

– Wiem. Starają się zatrzymać poród. Na pewno im się uda, pomogą jej. – Wcale nie miała pewności. Widziała spojrzenia, które wymieniali między sobą lekarze i pielęgniarki. Na szczęście Eve, przerażona i obolała, nie zwracała na nie uwagi. Ale takie zapewnienie Ed powinien teraz usłyszeć. – Ona cię potrzebuje. Zostanę, dopóki nie przyjedziesz.

Nie powiedział nawet do widzenia. Ani dziękuję. Rzucił słuchawkę.

Gdy przyjechał, lekarze powiedzieli mu, że już nic nie mogą zrobić. Eve urodzi dziecko dzisiaj. O wiele za wcześnie. Nie zgodziła się na znieczulenie. Chciała czuć wszystko. Zresztą i tak było na nie za późno. Dziecko przyszło na świat szybko, gdy tylko zaprzestano próżnych wysiłków, by powstrzymać akcję. Eve przewieziono na porodówkę. Inny zespół lekarzy. Inna sala. Myślała, jak bardzo podniecająca miała być ta chwila.

Długie oczekiwanie dobiegłoby końca. Pierwsze dzieci często przychodzą przecież na świat po terminie, czyż nie? Poród może opóźnić się o dzień, dwa, nawet o tydzień. Eve przechadzałyby się po mieszkaniu, po południu spacerowałyby w bladym marcowym słońcu, w nadziei, że coś wreszcie zacznie się dziać. Ed przygotowałyby swoje straszliwie pikantne curry z kurczaka, którym żywił się na studiach, i zmusił ją do zjedzenia, licząc, że ostra przyprawa zdziała cuda. Gdyby coś zadziało – nawet jeśli byłby to po prostu upływ czasu, a nie spacer czy curry – i rozpoczęłyby się poród, sprawdziliby zawartość spakowanej wcześniej torby. Zadzwoiliby do Cath, by była w pogotowiu. Zastanawialiby się, czy faza jest już na tyle zaawansowana, by jechać taksówką do odległego o kilka przecznic szpitala. Ed nalegałby na wcześniejszy wyjazd, a Eve wolałaby jeszcze poczekać. Cath z pierwszym dzieckiem odesłano do domu – powiedzieli, że ma tylko półcentymetrowe rozwarcie i brakuje dla niej łóżka. Czuła się upokorzona i zażenowana. Eve wolałaby nie ryzykować czegoś takiego. Portier życzyłby im szczęścia, a potem wezwałby taksówkę. Taksówkarz jechałby powoli i ostrożnie, opowiadając łamanym angielskim o własnej żonie i narodzinach ich pierwszego dziecka.

Wszystko potoczyło się zupełnie inaczej. Czuła tylko ból i przerażenie. Chcieli podać jej jakieś środki znieczulające, lecz zgodziła się jedynie na podtlenek azotu. Dwa razy wymiotowała gwałtownie w podstawione nerkowate naczynie. Bolało, ale chciała czuć wszystko. Na strach nic nie mogli poradzić. Ed był szary jak popiół, milczący. Wstrząśnięty. Przecież miał robić zdjęcia i żartować.

Violet po przyjściu Eda pocałowała Eve w czoło, ścisnęła za rękę i wysunęła się z sali. Eve żałowała, że jej nie ma. Może potrafiłaby ją uspokoić, powiedzieć coś pocieszającego. Ed nie umiał. Przypomniła sobie jego żarty, jak wspaniale spisie się przy porodzie.

Eve nie trzeba było mówić, że ma pełne rozwarście i może przeć. Ciało wiedziało samo. Nigdy nie odczuwała tak silnego fizycznego uczucia, jak potrzeba wypchnięcia na świat dziecka, lecz jednocześnie jej umysł rozpaczliwie się przed tym bronił.

Ostatni etap właściwie nie bolał. Uświadomiła sobie, że dziecko jest za małe, i zatęskniła za bólem, o którym czytała. Wyślizgnęło się w końcu z ostatnią falą wód płodowych, a Eve, dygocąc, opadła na łóżko. Nie było słyhać płaczu. Lekarze zbici w grupkę między jej nogami pracowali szybko i w milczeniu. Dziecko zabrano gdzieś, jakby to był przedmiot. Zdążyła zobaczyć tylko czubek głowy, niebieskawy, pokryty siateczką żyłek. Przez cały krótki poród sei^ biło. Przyłożyli Eve czujniki do brzucha, więc patrzyła na ekran obok łóżka. Serce biło. Była prawie pewna, że dziecko urodziło się żywe. Ed zwiesił głowę, nie widziała jego oczu. Choć trzymał ją za rękę, miała wrażenie, że jest zupełnie sama, a wszystko dzieje się bardzo powoli i gdzieś w oddali.

– Czy... czy żyje?

Przez chwilę nikt nie odpowiedział i zastanawiała się, czy usłyszeli pytanie. Wreszcie pielęgniarka pochyliła się, zbliżając twarz do jej twarzy. Miała umalowane brwi, szerokie i nienaturalnie ciemne.

– Tak, żyje. Starają się jej teraz pomóc. To dobrzy lekarze. Najlepsi. Musisz im zaufać.

Dlaczego Ed nie zapytał? Dlaczego tego nie sprawdził? Dlaczego nie walczył..?

Nie było euforii. Ani śmiechu. Triumfalnego pocałunku męża, policzków mokrych od łez radości i ulgi.

A potem dziecko odjechało przez podwójne drzwi w asyście lekarzy w białych fartuchach.

– Eve, zabieramy je na neonatologię, na oddział intensywnej terapii, dobrze? Nie. Nie było w tym nic dobrego. Eve chciała mieć dziecko przy sobie.

– Idź z nią, Ed.

– Powiniennem zostać z tobą.

– Chcę, żebyś z nią poszedł. Proszę. Idź. Nie powinna być sama – powiedziała, myśląc: „Nie powinna umierać samotnie”.

Ed otarł oczy wierzchem dłoni i wstał z miejsca. Nie potrafił puścić ręki żony i rozciągnął jej ramię na całą długość, zanim wreszcie uwolnił palce. Nie patrzyła, jak wychodził. Po jego odejściu, rodząc łożysko i czekając, aż doprowadzą ją do porządku, ani na chwilę nie odrywała oczu od zegara wiszącego na ścianie, nad

głową pielęgniarki. Liczyła kolejne minuty i zastanawiała się, co się dzieje z jej dziewczynką.

Urodziła się o godzinie 17:37, dwa dni przed Świętem Dziękczynienia. Ważyła 1 kilogram i 17 dekagramów. Zanim któreś z rodziców zdążyło jej dotknąć czy wziąć ją na rękę, została ułożona w inkubatorze, naga, nie licząc pieluszki małej jak dla lalki. Wyglądała, jakby było jej zimno. Wszystkim, poza pielęgniarkami z neonatologii, instynkt mówił, że dziecko nie powinno leżeć takie nagie i bezbronne. Ale ją ogrzewał od spodu specjalny materacyk. Była blada, a siatka naczyń krwionośnych spowijała ją jak niebieska pajęczyna. Oddychała za pomocą respiratora, gdyż płuca nie rozwinęły się na tyle, by pracować same. Rodziców zapewniono, że to delikatne urządzenie – zaprojektowane specjalnie dla małych i słabych noworodków – mimo to wydawało im się jakąś średniowieczną maszyną zmuszającą małą pierś, by podnosiła się i opadała tak szybko, iż od samego patrzenia chciało się dyszeć. Dziewczynka miała żółtaczkę, więc przez cały czas naświetlano jej przezroczystą skórę, i nosiła na oczach małą maskę ochronną. Ed mógłby przezwać ją Zorro, gdyby nie był tak całkowicie smutny i załamany, patrząc, jak ona tam leży.

W ciągu tej nocy rodzice nauczyli się szeregu nowych przerażających terminów. Długiej, dziwnie brzmiącej listy chorób, których należało się lękać. Słów trudnych do przeliterowania lub wmówienia. Bezdech. Żółtaczka noworodkowa. Anemia. Zespół zaburzeń oddychania. Krwawienie dokomorowe.

Oczy były zagrożone, istniała możliwość utraty wzroku. Dziecko nie miało wystarczająco dużo surfaktantu, substancji odpowiedzialnej za rozprężanie pęcherzyków płucnych, ani odpowiedniej liczby czerwonych ciałek, a organizm był zbyt niedojrzały, by je wytworzyć. Nerki, jelita i wątroba nie rozwinęły się tak, jak powinny. Nic się nie rozwinęło. Ale miało paznokcie. Ładne, różowe jak muszelki, idealnie zaokrąglone paznokietki.

Rodzice wiedzieli już, że najbardziej niebezpieczne są trzy pierwsze dni, lecz cały proces rekonwalescencji może trwać miesiącami, a jego konsekwencje ciągnąć się przez lata.

W głowach wirowały im liczby. Nie przestawali o nich myśleć nawet na chwilę. Czterdzieści do pięćdziesięciu procent. Ich dziecko miało od czterdziestu do pięćdziesięciu procent szans na przeżycie. Ed codziennie w pracy zajmował się liczbami, notowaniami na giełdzie i procentami, ale nawet przy najważniejszych transakcjach żadne liczby nie dzwoniły mu w mózgu w ten sposób.

Pewnych niebezpieczeństw mogli się tylko domyślać. Nazwali córkę Hope*. Jakie inne imię mogliby jej nadać? Na długiej liście, którą Eve sporządziła w lecie, leżąc na kanapie, pojawiała się najwyżej w charakterze drugiego imienia, lecz tylko ono przyszło im do głowy kilka godzin po narodzinach. Nie pamiętali reszty imion z listy. Należała do innych czasów, innych narodzin i innego dziecka.

A teraz, patrząc na Hope* przez przezroczyste plastikowe ściany jej nowego domu, siedzieli przytuleni do siebie i starali się być wdzięczni losowi.

Kim

Wielkie rodzinne święta od dawna budziły w Jasonie smutek. Takie święta aż się proszą o wielkie rodziny. O długie bezładnie zastawione stoły. O roześmianych, rozgadanych ludzi podających sobie półmiski pełne jedzenia.

Święta Kramerów wyglądały zupełnie inaczej. Byli z Kim jedynakami i ten sam los spotkał Avery. Ich rodzice umarli, a oni zostali sierotami dużo wcześniej, niż się tego spodziewali. Sierotami bez ciotek, wujów i kuzynów. Życie to nie odcinek serialu *Przyjaciele*. Ludzie obchodzą Święto Dziękczynienia z rodziną, nie ze znajomymi. W tym roku, tak jak przez ostatnie trzy lata, mieli je spędzić we trójkę. Cztery lata temu był z nimi jeszcze ojciec Kim, lecz na skutek daleko posuniętej demencji ledwo wiedział, w którym domu je świąteczny obiad. Siedział, patrząc tępo, z opuszczoną szczęką, plując ziemniakami przy każdym łyku. Umarł cicho trzy tygodnie później, przed Bożym Narodzeniem. Jason wstydził się trochę ulgi, którą odczuł na myśl, że nikt go nie opluje przy kolejnym świątecznym obiedzie i że nie będzie musiał przedstawiać się co pięć minut we własnym domu.

Podczas świąt zawsze panowała u nich wymuszona atmosfera. Nawet gdy byli jeszcze szczęśliwi. Zachowywali się trochę za głośno, jakby chcieli udawać, że jest ich więcej. Okazywali nienaturalną wesołość.

W środę wieczorem Jason wyszedł z pracy i z ciężkim sercem ruszył do domu na długi, czterodniowy weekend. Na szczęście Rachael wyjechała. Kim mówiła, że w środę, bardzo wcześnie rano, odleciała z dziećmi na wyspy Bahama. Nie miał odwagi spojrzeć sąsiadce w oczy, odkąd w Halloween zachował się jak skończony idiota. Wciąż pamiętał wyraz jej twarzy.

Gdy wrócił do domu, ani Kim, ani Avery nie podeszły do drzwi. W mieszkaniu panowała cisza. Nie było czuć zapachu obiadu, do którego przywykł w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Z nagłym uczuciem głodu wszedł do kuchni. Była pusta. Panowały w niej czystość i ład. Wysokie krzeselko Avery stało złożone i oparte o ścianę. Jason spojrzął na zegar, upewniając się, że wrócił o zwykłej porze. Zajrzał do lodówki, ale nie znalazł nic, oprócz resztek wczorajszego klopsa i zjedzonej do połowy, zapewne przez Avery, porcji makaronu z serem. Żadnego indyka, warzyw czy placka. Nic, co wskazywałoby na przygotowania do jutrzejszej obowiązkowej uczy.

* Hope (ang.) – nadzieja.

Musiały wyjść. Może poszły na zakupy, choć Bóg jeden wie, czemu Kim miałyby zostawiać je sobie na koniec dnia. Supermarket przypominał pewnie teraz pole bitwy.

Rozluźniając krawat, trochę zadowolony z samotności, przeszedł do sypialni. W ciemnościach, w fotelu przy łóżku, siedziała Kim, wpatrując się w światła za oknem.

– Kim?

Nie odpowiedziała.

– Dobrze się czujesz? Gdzie jest Avery?

– Esmę zabrała ją do siebie.

– Kiedy?

– Dziś po południu.

– Na jak długo?

– Pojadę po nią jutro rano. Esmę wyjeżdża do siostry, do Filadelfii. Odbiorę Avery i zawiozę Esmę na stację.

– Dlaczego?

– Jedzie pociągiem do Filadelfii.

– Nie bądź głupia, Kim. Pytam, dlaczego Avery jest u Esmę. Dobrze wiedziałas, co mam na myśli.

Odwróciła się i spojrzała na niego.

– Jest u Esmę, bo nie chciałam, by była obecna przy rozmowie, którą musimy odbyć.

Teraz dopiero zauważył, że obok fotela stoi walizka. Walizki przechowywali na najwyższej półce w szafie. Mniejsze wewnątrz większych. Ta była średnia.

Jason zastanawiał się, czyje rzeczy zawiera. O co chodzi? Czy Kim wyrzuca go z domu, czy też sama się wyprowadza? Był spokojniejszy, niż mógłby przypuszczać. Na tę rozmowę zanosilo się od bardzo długiego czasu. Nie wiedział tylko jeszcze, jaki będzie jej przebieg.

Zdjął marynarkę i buty i usiadł na brzegu łóżka.

– Nawet na mnie nie spojrzysz?

Odwrócił głowę, ale nie był w stanie patrzeć Kim w oczy.

– Jason? Proszę cię.

Zapalił lampę i popatrzył na żonę. Płakała. Miała zaczerwienione, opuchnięte powieki. Poczuł w piersiach tępy ból i zrozumiał, że widok jej smutku sprawia mu przykrość.

– Nie możemy tak dłużej żyć. To nie ma sensu. Nasz związek nie ma sensu. Ciągnięcie go dalej w ten sposób jest nie w porządku wobec każdego z nas: mnie, ciebie, Avery. Jak długo jeszcze wytrzymasz? Rok, dwa, pięć? Chcesz zmarnować więcej życia? Bo ja nie. Nie mam już siły.

Wstała i podeszła do okna, krzyżując ręce na piersiach.

– Wiem, że zaczęło się ode mnie. Zmieniłam się, kiedy nie mogłam zajść w ciążę. Straciłeś żonę. Na bardzo długo. Także po urodzeniu Avery. Do tej pory nie rozumiem, co się ze mną stało, i mam o to do siebie żal. Już zawsze będę czuła wyrzuty sumienia. Ale nie mogę tego zmienić ani wymazać. Mogę tylko pójść dalej. Staralam się. Staram się od miesiący. Czwartego Lipca, w lecie, po raz pierwszy ogarnął mnie strach. Trudno uwierzyć, że dopiero wtedy, tak długo cię odpychałam. Pomyślałam, że możesz odejść, i śmiertelnie się przeraziłam. Ale nie byłam pewna, czy boję się zostać bez ciebie, czy po prostu sama. Na własne życzenie tak wszystko popsułam, że nie wiedziałam nawet, czy cię jeszcze kocham. Dużo o tym myślałam, Jason. Bardzo dużo. O mnie, o tobie, o naszej rodzinie. O tych wszystkich latach. Dobrych i złych. Zrozumiałam, że dam sobie radę sama. Ostatecznie i tak od lat nie dopuszczam cię do dziecka i zachowuję się jak samotna matka. Nie potrafię jednak żyć bez ciebie. Ale ty mnie nie chcesz. Staram się od miesiący. Wiesz o tym. Albo pragniesz mnie ukarać, albo nie umiesz przebaczyć, albo po prostu już mnie nie kochasz. Musisz mi powiedzieć, jaki jest powód. Teraz twoja kolej, by to sobie przemyśleć. Dobrze się zastanowić.

Podeszła ku niemu. Myślał, że go dotknie, ale zatrzymała się w pół kroku. Mówiła ciszej, jakby opuściło ją zdenerwowanie.

– Całymi tygodniami bałam się, co nastąpi, jeśli ci to powiem. Ale już dłużej nie wytrzymam. Nie mogę bez końca się starać i zastanawiać się, co ty o tym myślisz. Muszę wiedzieć teraz. Nie mam żalu, jeśli mnie nie kochasz. Albo nie możesz mi przebaczyć. Ale jeśli próbujesz mnie ukarać, musisz przestać. Dostyc już. Dostyc. – Uniosła ręce, jakby się poddawała. Patrzyła na niego błagalnie.

– Czyje rzeczy są w walizce?

– Moje – westchnęła głęboko. – I Avery. Jutro wyjeżdżamy do Waszyngtonu. Zatrzymamy się u Sue. Mojej koleżanki ze studiów.

– Zostawiasz mnie?

– Nie „zostawiam cię”, Jasonie. Wyjeżdżam tylko na kilka dni. Po prostu chcę, żebyś mógł w spokoju wszystko przemyśleć. A kiedy wrócę, chcę, byś mi powiedział, co zdecydowałeś.

– A Avery?

– Wystarczająco długo używałam jej jako broni przeciw tobie. Skończyłam z tym. Cokolwiek postanowisz, jest twoją córką, ty jej ojcem, a ja już nigdy więcej nie stanę między wami. Możesz myśleć o nas osobno. Nie musisz mieć mnie, żeby być z Avery. Nie zamierzam się za nią chować.

– Ale mieszkać będzie z tobą? – Skrzywił się jakby z bólu.

– Mam nadzieję – odpowiedziała lekko drżącym głosem. – Chyba nie przeżyłabym, nie widząc jej codziennie.

Ani on. Ból rozchodził się, promieniował na całą pierś, podpełzał do gardła. Kim sięgnęła po walizkę.

– Już idziesz?

– Tak trzeba. – Skinęła głową. – Nie musisz odpowiadać mi dziś wieczorem. Miałam wiele dni na przemyślenie tego, co chcę ci powiedzieć. Na ciebie wszystko spadło nagle. Zapomnieliśmy, jak ze sobą rozmawiać. Nie wiesz nawet, jak zareagować, prawda?

Miała rację. Nawet w myślach nie był w stanie skleić sensownego zdania. Nie chciał, by wyjeżdżała, ale rozumiał, że nie ma innego wyjścia.

– Przykro mi – powiedział.

– Mnie też. Bardzo, bardzo mi przykro.

Ruszyła do wyjścia. Jason wstał z łóżka i gdy przechodziła obok, przyciągnął ją do siebie. Przez chwilę stali bez słowa, obejmując się ciasno ramionami. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz ją przytulał. Potem zwolnił uścisk i Kim podeszła do drzwi.

Nie odwracając się, powiedziała bardzo cicho:

– Szkoda, że nie mogę cofnąć czasu i wszystkiego zmienić. Potem wyszła i Jason został sam.

Rachael

Rachael czuła wdzięczność. Za lekki wietrzyk, dzięki któremu temperatura 30 stopni wydawała się przyjemna, za opiekę nad dziećmi, za posiłki podawane do pokoju. W tej chwili Jacob i Noah ćwiczyli serwy z trenerem tenisa, a Mia w cieniu, otoczona szwadronem uśmiechniętych niań, sporządzała diadem księżniczki oraz skrzydła. Rachael zaś na balkonie jadła przepyszną kanapkę z homarem, popijając ją już drugim kieliszkiem zimnego, orzeźwiającego pinot grigio.

O Boże, matka miała rację. Dokładnie to należało zrobić. Rachael wciąż nie była w stanie spędzić Święta Dziękczynienia z mężem. A tradycyjny wyjazd z rodziną na Long Island zwracałby tylko uwagę jej i dzieci na puste miejsce po Davi-dzie. Matka właściwie sama zrobiła rezerwację. W ogóle nie wspominała o zięciu – zachowywała się, jakby wyjechał służbowo, a Rachael i dzieci potrzebowali jakiejś odmiany. Znalazła to miejsce w internecie (Rachael zawsze trochę dziwiło, że matka tak chętnie korzysta z sieci, wyszukując informacje, robiąc zakupy i wgrywając setki zdjęć). Pięć nocy w hotelu Four Seasons, na Great Exuma na Bahamach. W normalnej sytuacji Rachael nie zdecydowałaby się na taki wyjazd. Za dużo tam kobiet w princeskach od Lilly Pulitzer i mężczyzn w pastelowych koszulkach polo od Ralph Lauren. Za bardzo w stylu WASP. Nie lubiła takich klimatów.

Na razie jednak wszystko układało się jak najlepiej. Dzieciom otoczenie nie sprawiało różnicy – niuanse i subtelności socjoekonomiczne całkowicie uchodziły ich uwadze – a ją chroniło przed niechcianymi „przyjacielskimi” zaczepkami nad basenem lub przy szwedzkim stole podczas śniadania. Nosiła kapelusz z szerokim rondem, modne wielkie okulary przeciwsłoneczne i sprawiała wrażenie nieprzystępnej. Nigdy nie była typem osoby, która zaprzyjaźnia się na wakacjach z innym małżeństwem – to, co dobre dla dzieci, nie jest dobre dla dorosłych i powoduje pewną niezręczność we wzajemnych kontaktach. Ale cóż ona wie? Rola zdradzanej żony była dla Rachael nowa i niewygodna. Wzbudzała tyle wątpliwości na swój temat, że na samą myśl o tym czuła się zmęczona.

Mieli straszną podróż. Przeloty w Święto Dziękczynienia to zajęcie odpowiednie dla szaleńców lub posiadaczy prywatnych jetów, których sporo wylądowało na małym lotnisku Great Exumy. Paskudna pogoda opóźniła odlot z nowojorskiej La Guardi, skracając trochę czterogodzinne oczekiwanie na przesiadkę w Miami. Mia pochorowała się strasznie w małym samolocie, który przewiózł ich na wyspy, i leżała, apatyczna i brzydko pachnąca, na kolanach matki. Z tyłu Jacob i Noah kłócili się o gry do playstation, obrzucani wściekłymi spojrzeniami pasażerów ubranych, jak się wydawało, wyłącznie w stroje w barwach limonki lub jasnego różu. Gdy wreszcie wysiedli przed hotelem z zamówionej limuzyny, Rachael czuła się jak przepuszczona przez wyżymaczkę. Posłała słaby uśmiech milej dziewczynie częstującej owocowym ponczem, po czym ruszyła za bojem hotelowym do pokoju krokiem uchodźcy szukającego schronienia.

Tam nastrój dzieci uległ cudownej przemianie. Pokojówka wypisała ich imiona na małych kolorowych gąbkach ułożonych na brzegu wanny, a w garderobie czekała na każde torba plażowa z wiaderkiem i łopatką. Pozbyli się złych humorów wraz z podróżnymi strojami i rozbebeszyli starannie zapakowane walizki w poszukiwaniu kąpielówek i kostiumu. Rachael potulnie udała się za swoją gromadką na basen, gdzie opadła z ulgą na najbliższy leżak. Nie pamiętała, by kiedykolwiek czuła się taka zmęczona. To do niej niepodobne. Wstawała o piątej rano. Kładła się o północy. Oto jej modus operandi. Teraz, leżąc nad basenem, pomyślała, że zmęczenie w końcu ją dopadło. Wszystkie brakujące godziny snu ze wszystkich lat chciały nareszcie zostać odespane. Odchyliła głowę i na chwilę zamknęła oczy. Musiała zasnąć, bo dziesięć minut później obudził ją głośny plusk. Noah, bez pływackich rękawków wpadł do głębokiej wody. Nim zdążyła wstać z leżaka, wyłowił go ratownik i z miłym uśmiechem oddał matce prychającego i oburzonego chłopca. Rachael czuła na sobie pełne dezaprobaty spojrzenia innych plażowiczów. Pały ją mocniej niż najgorętsze promienie słońca. Na niektórych twarzach malowała się litość dla zmęczonej, samotnej matki niepanującej zupełnie nad swymi dziećmi.

Tak będzie wyglądało jej życie, jeśli nie zgodzi się na powrót Davida i przeprowadzi rozwód. Oto przyszłość. Czuli się staro.

Następnego dnia, gdy obudziło ich jasne słońce, rzeczywistość nie wydawała się już taka ponura. Cała czwórka, o dziwo, przespała zgodnie dwanaście godzin, a odpoczynek zdziałał cuda.

David zasypywał ją e-mailami. Robił to od październikowego lunchu. Tamtego dnia, po powrocie do domu, Rachael zadzwoniła do matki i opowiedziała, co się stało. Zaskoczyła ją gwałtowna pełna gniewu reakcja. Spodziewała się lekceważącego machnięcia ręką. Ale matka oświadczyła, że zna aż nazbyt wiele kobiet, które przymknęły oczy na jeden grzeszek, a potem stały się ofiarami wielu zdrad i kłamstw. To ona doradziła wysłanie listu przez prawnika.

- Kochanie - powiedziała. - Nie twierdę, że powinnaś doprowadzić sprawę do końca. Ale jeśli planujesz z nim zostać, zacznij przemawiać z pozycji siły. Musisz go śmiertelnie przestraszyć. Jeśli zamierzasz pozwolić mu wrócić, niech wszystko odbędzie się na twoich warunkach. Tylko i wyłącznie. A jeśli nie, potrzebujesz ochrony.

Zadzwoniła do prawnika. Przyjechała i została przez tydzień, nie szczędząc uwagi wnukom i miłości córce. Rachael nie pamiętała, kiedy ostatnio matka była wobec niej tak delikatna i troskliwa. Zupełnie jakby opiekowała się chorym dzieckiem. Chorym ze stresu. Przez cały pobyt ani razu nie wyraziła opinii, co Rachael powinna zrobić w dalszej przyszłości. Nie wypytywała o szczegóły ani nie krytykowała Davida. Razem z Mileną wzięły na siebie prowadzenie domu i opiekę nad dziećmi, pozwalając Rachael skupić się na rozmyślaniach, co dalej, oraz pracy, gdzie ostatnio zaniedbała wiele spraw.

Treść listu, który prawnik wysłał do Davida, także nią wstrząsnęła, choć sama podjęła decyzję o jego napisaniu.

Potem zaczęły nadchodzić e-maile.

Z początku ją złościły. W restauracji nie potrafił powiedzieć nic sensownego, choć miał tyle czasu, by się do tego przygotować, a teraz oczekiwał, że ona będzie się przedzierać przez długie akapity pełne wyjaśnień, przeprosin i wyrzutów sumienia. Dopiero gdy zasypał ją wiadomościami, uświadomiła sobie, jak bardzo tamtego dnia czekała na znaczący gest. Jak pragnęła, by zrobił lub powiedział coś, co da jej punkt oparcia, by pójść dalej. Nic z tego nie wyszło.

Na początku listopada, po Halloween, Millie powiedziała jej, że musi zacząć bywać w domu, gdy David przychodzi zobaczyć się z dziećmi. To nie w porządku, by nigdy nie widywały rodziców razem.

Przebywanie z nim w obecności dzieci było szczególnie bolesne. Stanowiło straszliwą kombinację tego, co zwykle i normalne, z czymś nowym i dziwnym. Mia wciąż nie rozumiała sytuacji, ale chłopcy wiedzieli, że coś jest nie w porządku. Jacob, mówiąc o ojcu, zaczął dziwnie się Rachael przyglądać, jakby chcąc odgadnąć

jej reakcję, a Noah nie przesypiał już całej nocy, co robił, odkąd skończył trzy miesiące. Teraz, o drugiej czy trzeciej nad ranem, budził Rachael tupot nóg synka biegnącego do jej sypialni i dotyk drobnego, ciepłego ciała wślizgującego się pod kołdrę. Wiedziała, że powinna odnieść go do łóżka, ale nie potrafiła. Obecność chłopca była dla niej pociechą. Łóżko nie wydawało się takie duże.

Nie spodziewała się, że tak długo będzie czuła gniew. Bała się o przyszłość, była smutna i zagubiona, lecz gdzieś w środku bulgotała w niej złość. Jak śmiała zrobić coś podobnego? Jej, dzieciom. Na litość boską, nawet samemu sobie.

Wiedziała, że zamieszkał u przyjaciela ze studiów w lofcie w pobliżu Bleecker Street. Czasem w nadsyłanych e-mailach pojawiała się lżejsza nutka – pewnie próba rozładowania żartem ogólnego przygnębienia. Pisał, jak robi pranie albo o swej niezdolności do posiadania w mieszkaniu jednocześnie płatków i świeżego mleka. Poznawała przebłyski humoru, tak długo obecne w jej życiu i tak kochane. Lecz naprawdę były to smutne listy.

Kiedy indziej e-maile stanowiły strumień rozważań, dlaczego właściwie to zrobił. Początkowo właśnie one złościły ją najbardziej – przecież nie była jego psycho-terapeutką. Ale nie mogła się powstrzymać, by ich nie czytać. Zapisywał całe strony na temat swojej matki, o tym, jak nigdy nie czuł, że jest z niego zadowolona, i jak nigdy do końca nie wierzył, że zasługuje na Rachael. Pisał o jej matce. O tym, jak traktowała go na początku... Jakby to coś wyjaśniało. Rozmyślała potem o jego liście całą noc. O nich obojgu – na studiach, po ślubie, zaczynających pracę, zakładających wspólny dom. Dlaczego uważał, że nie zasługuje na żonę? Co zrobiła, że tak czuł?

Też tęskniła. Za jego fizyczną obecnością. Codziennie szukała go w zakątkach domu, w twarzach dzieci.

Lecz trzy miesiące po tym, jak David roztrzaskał ich świat na kawałki, Rachael, opalając się na plaży na Bahamach, siedząc przy biurku w centrum Manhattanu, leżąc w łóżku pełnym wspomnień we własnym mieszkaniu, wciąż nie wiedziała czy chce go przyjąć z powrotem, czy też nie.

Jason

W Święto Dziękczynienia Jason zjadł chińskie danie w małej, obskurnej restauracji przy 67 Ulicy. Zostałby w domu, ale nie miał nic do jedzenia. Pomyślał, że spacer na świeżym powietrzu dobrze mu zrobi – może otrząśnie się trochę z przygnębienia. Czuł się tak, jakby od kilku dni miał silny ból głowy. Piekły go zaczerwienione oczy. W restauracji był jedynym białym i jedyną samotną osobą. Gdy stanął w drzwiach, na parę chwil ucichł gwar rozmów i wszyscy zagapili się

na niego, jak na westernie, gdy do saloonu wchodzi obcy przybysz. Przez jedną straszną chwilę zastanawiał się, czy nie zabłądził niechcący na prywatne przyjęcie. Lecz kelnerka gwałtownymi gestami zachęciła go, by usiadł przy oknie, a zaraz potem, gdy podano mu piwo Tiger i talerz makaronu, wszyscy o nim zapomnieli. Przeżuwał każdy kęs dużo dłużej niż zwykle, wpatrując się w zawieszony na ścianie certyfikat higieniczny.

Po obiedzie wędrował powoli w stronę domu, mijając witryny kolejnych restauracji i czując się jak biedak z wiktoriańskiego melodramatu. Rodziny. Wszędzie rodziny. Zastanawiał się, co robią teraz jego żona i córka.

W nocy był zbyt zmęczony, by zasnąć. W końcu, około trzeciej nad ranem, poszedł do łazienki poszukać w apteczce czegoś, co na kilka godzin odbierze mu świadomość. Mrużąc oczy, odczytywał nalepki na buteleczkach zawierających przeważnie lekarstwa dla dziecka. Syropy na suchy kaszel i ciekący nos, maści na oparzenia i skaleczenia, plastry i leki na alergię. W głębi szafki znalazł homeopatyczny środek nasenny, który musiała kiedyś kupić Kim. W pudełku został tylko jeden kartonik tabletek. Wyciągnął je i zobaczył za nimi różowy test owulacyjny. Sprzed wielu lat. Pamiętał, jak żona je kupowała. Pierwszą przyniosła do domu niedługo po tym, gdy zaczęli starać się o dziecko. Śmiał się z niej, gdy czytała ulotkę, udawał obrażonego zamiarem wspomagania jego męskości i jej płodności. Powiedział, że to wyrzucanie pieniędzy, coś takiego nie jest im do niczego potrzebne.

Cóż to były za niewinne czasy.

Charlotte

Właściwie było dziś za zimno na spacerowanie po parku. Chłód szczypał Charlotte w policzki, łzawiły jej oczy. Szła pod wiatr. Skręciła w lewo, skróciła drogę, mijając Delacorte Theatre i teatrzyk kukielkowy. Oprócz niej w parku byli tylko ludzie z psami. Zwykły niedzielny pochód wózków, małych dzieci i całujących się par zniknął za drzwiami ogrzewanych barów i kawiarni. Wstąpiła na bezkofeinowe latte, lecz nie została w ciepłym gwarze. Kochała Central Park taki jak teraz – bezludny. Nie mogła wyobrazić sobie, jak wyglądał przed kilku laty, gdy był niebezpiecznym miejscem, które kobiety powinny omijać z daleka. Charlotte nigdy się tu nie bała. Czuła się wolna. Mogła zastanowić się nad różnymi sprawami.

Od kilku tygodni myślała o Che, o tym, co znaczyła dla niej ta historia. Niemal roześmiała się głośno z samej siebie – „historia”. Akurat. Jedna rozmowa w windzie w upalną noc. Dziwne, jak gorąco było w Nowym Jorku jeszcze parę miesięcy

temu. Zdecydowany charakter każdej pory roku sprawiał, że ta wcześniejsza wydawała się wybrykiem natury. W noc tak gorącą, że w mieście wysiadł prąd, siedziała na podłodze windy z ledwie znanym sobie mężczyzną, który grał główną rolę w jej romantycznych rojeniach od chwili, gdy zobaczyła go po raz pierwszy.

Nie takie zakończenie sobie wyobrażała. Nagle dotarło do niej, że właściwie nie było żadnego zakończenia, tak jak nie było żadnego początku.

Mieszkał na Florydzie. A ona tutaj. Nigdy więcej go nie zobaczy. Gdy dowiedziawszy się o wyjeździe portiera, wylewała łzy na ramię Emily, nie płakała nad Che, lecz nad sobą. Nie straciła ukochanego, tylko zdolność życia głupimi rojeniami.

Dziwne, ale po drugiej stronie własnych marzeń nie było tak okropnie, jak zawsze się obawiała. Jeśli nie sam związek, to przynajmniej jej uczucia były prawdziwe. Może przemieszane z wątkami powieściowymi, lecz przecież niezupełnie fikcyjne. Na zawsze pozostanie jej wiara, że tamtej nocy w spojrzeniu Che coś się kryło. Coś przeznaczonego tylko dla niej. Nie było aż tak ważne i fascynujące, by pragnął dalszego ciągu. Ona też nie poleci przecież na Florydę. Nie będzie poszukiwać Che w środowisku miejscowych Latynosów, próbując dogadać się po hiszpańsku. Nie będzie padania sobie w ramiona, łez wdzięczności, że bogowie pozwolili im się połączyć. I innych takich bzdur. Ale coś się między nimi zdarzyło.

Na południe od teatru kukielkowego spostrzegła siedzącą na ławce starą kobietę, którą niekiedy widywała w parku. Nosila skórzany gorset, siwy warkocz i duży wojskowy plecak. Mieszkała tu i czasem w niedzielę jadała wczesny lunch w Boathouse.

Kogo kochała? O kim marzyła? O kim ciągle marzy?

Na jej widok Charlotte zastanowiła się, czy rzeczywiście wszyscy czują to samo co ona. Czy dla każdego szukanie miłości, partnera, drugiej połówki, która uczyni z nas całość, stanowi cel i sens życia. Kobieta z parku była taka... osobna. Taka samotna. Czy z wyboru? Coś w zarysie ramion, w nieco władczyim spojrzeniu, jakim obrzucała gapiących się na nią ludzi, mówiło Charlotte, że chyba tak.

Czy jej zazdrościła? Nie.

Nagle poczuła chęć, by po raz pierwszy podejść do siedzącej na ławce bezdomnej i zaoferować jej niewypitą kawę. Może z powodu zimna. A może by coś sprawdzić.

– Chce pani kawy? Nie piłam jej. Jest jeszcze gorąca.

Kobieta skinęła głową i bez słowa, nie patrząc na Charlotte, przyjęła z jej rąk biały kubek. Nie dziękując, wypila pierwszy łyk przez otwór w pokrywie.

Charlotte ogarnęła nieśmiałość, gdy tak stała, czekając nie wiadomo na co. Ruszyła więc dalej, wsuwając ręce w kieszenie puchowej kurtki. Odeszła może pięć metrów, gdy kobieta odezwała się do niej.

– Dziękuję – powiedziała głośno, głębokim ochryłym głosem.

Charlotte skinęła głową, lecz poszła dalej. Wiedziała, że nie chce być taka jak ona. Trzymać dystans pięciu metrów między sobą a światem.

RS

Grudzień

Rachael

Jacob znów spał w łóżku Rachael. Obudziła się o piątej nad ranem, czując przyciśnięte do pleców ciepłe ciało spychające ją z materaca. Prawie każdej nocy spał z nią któryś z chłopców, a czasem obaj naraz. Tylko Mia – za mała, by rozumieć, co się stało – leżała jak zawsze w swoim łóżku, nieświadoma niczego i spokojna. To już trzeci raz w tym tygodniu. Rachael przewróciła się na drugi bok i, najdelikatniej, jak mogła, przesunęła synka na środek łóżka. Poruszył się, więc przytuliła go, gładząc po piersi i szepcząc uspokajająco. Było jeszcze wcześnie. O szóstej przyjdzie tu Mia na pieszczotki.

Wczesne poranki Rachael należały do przeszłości. Odkąd David na jej prośbę się wyprowadził, przestała rano biegać, bo nie chciała zostawiać dzieci samych w pustym domu. Prawdę mówiąc, z trudem zwlekała się z łóżka. Poziom energii spadł jej prawie do zera.

Matka mówiła, że się o nią martwi. Dzwoniła i rozmawiała z Mileną, gdy Rachael była w pracy. Uważała, że ciągle zmęczenie i brak zainteresowania życiem to skutek depresji, a córka potrzebuje lekarza i pigułek. Według Rachael diagnoza matki świadczyła o godnym pożalowania braku kontaktu z rzeczywistością. Była wiecznie zmęczona, bo nie miała chwili odpoczynku, a brak zainteresowania życiem (czyli odmowa jeżdżenia w każdy weekend do Southampiw.) wynikał z niechęci do spędzania czasu z matką. Zresztą, przecież powinna skupić się na dzieciach. Nie może się nad sobą rozczulać.

Nauczycielka Jacoba zadzwoniła do niej w zeszłym tygodniu. Pytała, czy w domu wszystko jest w porządku, i powiedziała, że Jacob ma problemy z koncentracją.

Kilka razy zabrała dzieci do Connecticut, choć samotne otwieranie domu przygnębiało ją i nie umiała rozpalić ognia w kominku. Zawsze robił to David. Siedząc w kucki, bez końca układała przekłete drewno chyba tak samo, jak setki razy robił to mąż. Gdy wreszcie się zapaliło, cały dom nie wiadomo czemu wypełnił się dymem. W końcu Jacob powiedział jej, że nie otworzyła szybra. Widocznie przyglądał się uważniej.

A Rachael uważnie przyglądała się synowi. Przychodzenie do jej łóżka to nie wszystko. Doszły problemy w szkole. Nawet w domu Jacob był milczący i pojawiły się u niego nowe potrzeby. Chodził za nią po mieszkaniu. Wydawało się, że zawsze musi mieć matkę obok siebie, prawie jej dotykać. Wiedziała, że nie powinna się

zgadzać na przychodzenie do łóżka. Ale nie potrafiła go odesłać. Poza tym jego obecność była dla niej pociechą.

Znów się poruszył. W świetle padającym z korytarza zobaczyła, że otwiera oczy.

Uśmiechnęła się i pogłaskała go po policzku.

– Hej, syneczku, jeszcze wcześniej. Pośpij sobie dłużej.

Ziewnął i zwinął się w kłębek, opierając policzek o jej dłoń. Ale nie zamykał oczu.

– Czy tatuś wróci do domu?

Było to pierwsze postawione wprost pytanie, na które musiała udzielić odpowiedzi. Noah i Mia pytali o Davida, lecz na razie wystarczała im wiadomość, że zobaczą go w weekend lub w przyszłą środę wieczorem. Pewnie mieli inne poczucie czasu. Minęły ponad trzy miesiące. Jacob zaczynał już rozumieć. Dokładnie wiedziała, co ma na myśli, i musiała odpowiedzieć.

– Nie wiem, kochanie. – Nie wiedziała. Matka zachowywała się tak, jakby klamka już zapadła. Rachael zastanawiała się, czy w ogóle kiedykolwiek wierzyła w nią i Davida, może przez te wszystkie lata po prostu udawała. Powiedziała, że nie można dawać drugiej szansy mężczyźnie, który okazał się niewierny. Kto raz zdradził...

Milena była przeciwnego zdania. Uważała, że rozbitcie rodziny to poważna sprawa. Ale pewnego dnia, gdy została dłużej niż zwykle, bo wiedziała, że jest potrzebna, powiedziała coś, co potem wciąż do Rachael wracało. Że jeśli mają jeszcze raz spróbować, powinna naprawdę szczerze przebaczyć Davidowi. Dlatego nie mogła zasnąć – zastanawiała się, czy potrafi.

– Ale kto ma zdecydować, ty czy tatuś? – Pytanie Jacoba, naiwne, a tak wnikliwe zbiło ją z tropu.

– Ja.

– Dlaczego?

– Bo muszę postanowić za nas wszystkich. Czy będziemy znów mieszkać razem, czy nie.

– Ja chcę wybrać sam.

– Wiem, kochanie. Ale nie możesz.

Jacob pokręcił głową.

– Wybieram, żeby tatuś wrócił do domu. Wiem, że Mia i Noah też to wybierają. Możesz ich spytać, jeśli chcesz, ale i tak wiem. Wybieramy, żeby tatuś wrócił do domu.

Pękało jej serce.

– I tatuś też. On chce wrócić.

– Mówił ci?

– Nie. Nie rozmawia o tym. Nie z nami. Ale ja wiem.

Pocałowała go w czoło.

– Było dobrze, gdy mieszkaliśmy wszyscy razem. Teraz jest źle. Wolałem, kiedy tatuś z nami mieszkał.

– Kochanie, wiem, że to wszystko brzmi prosto. Ale sprawy dorosłych są bardziej skomplikowane, niż ci się wydaje.

– Nieprawda. To proste, mamusiu. Powiedz tylko, że może wrócić do domu.

Przytuliła go mocno.

– Proszę. Proszę, powiedz, że może. Chcę, żeby tatuś wrócił do domu.

Jego ramiona zatrzęsły się od bezgłośnego szlochu, a Rachael znów poczuła, że pęka jej serce.

Jason

Kim wróciła. Gdy Jason przyszedł z pracy, były w domu. Otworzył drzwi, zobaczył w przedpokoju ozdobione futerkiem różowe crocksy Avery i poczuł taką ulgę, że zakręciło mu się w głowie. Wrócili.

Stanął w progu pokoju dziennego. Avery siedziała po turecku na dywanie i układała swoją ulubioną układankę „50 Stanów USA”. Umieszczała każdy stan w odpowiednim miejscu i wypowiadała jego nazwę, choć była jeszcze zbyt mała, by ją przeczytać. „Kentucky. Georgia. Dakota Północna”. Układała to tysiące razy. Większość nazw знаła na pamięć. Przyglądał się, a gdy zawahała się nad jednym kawałkiem, ukląkł i popęzł w jej kierunku.

– To Maine. Pamiętasz? Wiesz, gdzie go położyć?

– Tatuś!

Avery wypuściła z ręki „Sosnowy Stan” i zarzuciła pulchne ramionka na szyję ojca. Jason przytulił ją mocno do siebie, wtulając w nią nos i wdychając znajomy zapach.

– Tatusiu! Łaskoczesz mnie... nie mogę oddychać... – chichotała Avery, próbując się wyrwać.

– Ty to nazywasz łaskotaniem?

Położył ją sobie na kolanach i łaskotał pod pachami i po brzuszku. Avery wierzgała i piszczała z radości.

– Przestań! Przestań!

Jason ucałował gołą skórę odsłoniętą podczas szamotaniny i posadził córkę przed układanką.

– No, dobrze. Przestanę. Jeśli pokażesz, gdzie położyć Maine.

Triumfalnym gestem upuściła kawałek na właściwe miejsce.

- Mądra dziewczynka!
- Stęskniłam się za tobą, tatusiu.
- A ja za tobą.
- Moglibyśmy kupić rowery? Mimi i Bruce mają. Mimi pozwoliła mi jeździć na swoim, ale był za duży. Spadłam. Zobacz! - Z dumą pokazała ojcu strup na kolanie. - Kupimy rowery?

- A co na to mama?

- Powiedziała, że musimy ciebie zapytać.

- Naprawdę? - roześmiał się Jason.

- Tak. - Kim z rękami założonymi na piersiach stała w drzwiach, opierając się o framugę. Nerwowo przygryzała wargę. Jak długo im się przyglądała?

Jason pocałował Avery w czubek głowy i wstał z podłogi. Dziewczynka wróciła do układania, zaabsorbowana Florydą i Waszyngtonem.

- Cześć.

- Cześć.

Nadszedł czas, by i on coś powiedział. Wiedział o tym. Tyle wylało się z Kim tamtego wieczoru przed wyjazdem. Jason ledwie wydusił z siebie słowo. Wyjechała, aby mógł sobie wszystko przemyśleć, i nie robił nic innego. Teraz jego kolej.

- Napijesz się czegoś?

Przeszli do kuchni i Jason otworzył zdjętą ze stojaka butelkę czerwonego wina.

- Co słyhać u Sue?

- Było bardzo miło. Avery świetnie bawiła się z Mimi.

- Jeździła na rowerze.

- Szkoda, że jej nie widziałeś. Była zachwycona. Niczego się nie boi.

Przytaknął.

- Pewnie ma to po tobie.

- Nie powiedziałbym. - Jason pokręcił głową. - W tej chwili bardzo się boję.

Podał żonie kieliszek. Usiedli naprzeciw siebie, po obu stronach stołu.

- Powiedziałaś, że gdybyś mogła cofnąć czas, wszystko byś zmieniła.

- Naprawdę?

Pokiwał głową.

- Ja zmieniłbym dużo. Te wszystkie lata, które zmarnowaliśmy, bo byliśmy dla siebie niedobrzy. Ale w wielu naszych wspólnych chwilach nie zmieniłbym ani sekundy. Gdy po waszym wyjeździe leżałem w łóżku i myślałem o tobie, w końcu wspominałem już tylko te, w których niczego bym nie zmienił. Chwile, dni, miesiące, lata. Nie mogłem o nich zapomnieć. - Spojrzył na Kim. - Nawet takiemu głupkowi jak ja coś to mówi.

- Co?

– Że nie chcę stracić ciebie. Ani Avery. Ani tego wszystkiego. Nie chcę cię stracić, Kim.

– Jason. – Jej oczy wypełniły się łzami.

– To nie koniec. Mam jeszcze coś do powiedzenia.

Skinęła głową.

– Jestem współwinny tego, co się stało. Pozwoliłem ci się zmienić. Bałem się, stchórzyłem. Zamiast walczyć, zatrzymać cię przy sobie, po prostu dałem ci odejść. A sam stałem się połamanym, rozczulającym się nad sobą idiotą. Czy kogoś takiego można kochać?

– Tak. Ja cię kocham. – Kim sięgnęła przez stół i wzięła go za rękę.

– Ja też cię kocham. Wiele rzeczy musi się zmienić. My oboje. Przede wszystkim powinniśmy znów zacząć być dla siebie dobrzy. Co sobie ślubowaliśmy? Miłość, uczciwość, troskę, szacunek. Mówiłem te słowa poważnie. Ty chyba też. Po prostu zagubiliśmy je gdzieś po drodze. Chciałbym je odzyskać.

– Ja także. – Kim suchymi wargami pocałowała dłoń Jasona leżącą na jej rękach, a on pogłaskał żonę po włosach.

Do kuchni przydreptała Avery.

– Skończyłam układankę. Chodźcie zobaczyć! – Pociągnęła rodziców za splecione na stole ręce. Czar prysł. Po policzku Kim spłynęła łza, straciła ją wskazującym palcem i pociągnęła nosem.

– Mamusiu, czemu płaczesz? – Avery pogłaskała ją po twarzy.

– Po prostu jestem szczęśliwa, kochanie.

Avery aż prychnęła, słysząc takie głupstwo.

– Kiedy jest się szczęśliwym, trzeba się śmiać, nie płakać. Płaczesz, kiedy jesteś smutna.

Rachael

David zadzwonił do drzwi własnego mieszkania. Oprócz podręcznej torby, z którą wyprowadził się we wrześniu, miał teraz dwie walizki, torbę na garnitury i tekturowe pudło. Ledwie zdążył postawić wszystko na podłodze, gdy obokoczyły go dzieci.

Dzwonek do własnych drzwi miał w sobie coś niewiarygodnie przejmującego. Stanowił jednak dla Rachael wskazówkę, że David pojął, o co jej chodziło. Zrozumiał.

Obecność dzieci wiele ułatwiała. Ale wiedziała, że to nie potrwa długo. Pójdą przecież – do łóżka, do szkoły, a w końcu we własne życie. Nie zastanawiała się nad tak odległą przyszłością, nie potrafiła wybiec myślami daleko poza dzisiejszy

dzień. Długo sądziła, że David będzie z nią zawsze, że jest stałym elementem jej życia. Jakie zarozumiałe wydawało jej się to teraz. Jakie aroganckie. Z wielkim trudem uczyła się patrzeć w przyszłość w inny sposób. Miała nadzieję, że David tam będzie. Ale nie pewność. Już nie. I wiedziała, że nie odzyska jej nigdy.

Zadzwoiła do męża kilka dni po tym, jak tuląc płaczącego Jacoba, słuchała jego błagań o powrót ojca. Spotkali się w barze niedaleko kamienicy. Musiała coś wyjaśnić.

– David, chcesz wrócić do domu?

– Niczego więcej nie pragnę.

– Możesz mi powiedzieć dlaczego?

– Bo cię kocham. Was wszystkich. Bo tęsknię za wami bardziej, niż jestem w stanie wyrazić. Bo bez ciebie nic nie ma dla mnie znaczenia.

– Beze mnie? Czy bez dzieci?

– Nie mogę was rozdzielić. Ciebie i dzieci. Jesteście moją rodziną. Moim życiem.

– Ja też nie potrafię was rozdzielić. Ciebie i dzieci. Tak samo jak ty, Davidzie. Gdyby chodziło tylko o mnie, nie wiem. Szczerze mówiąc, nie jestem pewna, czy potrafiłabym się pogodzić z tym, co zrobiłeś.

Skinał głową.

– Ale nie chodzi tylko o mnie. Dlatego musimy spróbować jeszcze raz, prawda? Bo nie tylko my jesteśmy tu ważni.

David się nie odzywał. Nie miał odwagi.

– Posłuchaj, Davidzie. Jest tak. Dzieci kochają cię, tęsknią za tobą i chcą, żebyś wrócił do domu.

– A ty?

– Ja cię kocham. Zawsze kochałam. I też za tobą tęskniłam. Jakaś część mnie chciała tak bardzo, byś wrócił, że trudno to wyrazić. Miałam dużo czasu na rozmyślanie. Przeważnie byłam na ciebie wściekła. Za to, co zrobiłeś mnie i nam wszystkim. Za to, że zostawiłeś mi zbieranie szczątków. Konieczność podjęcia decyzji. Ale nie mam już siły się gniewać. Muszę ci przebaczyć. Wciąż nie wiem, czy jestem na to naprawdę gotowa, czy po prostu czuję zbyt wielkie zmęczenie.

Znów skinał głową.

– Jeśli zaś chodzi o przebaczenie, zastanawiałam się nad tym i muszę ci przebaczyć dwa razy. Po pierwsze za to, co zrobiłeś. Myślę, że potrafię to zrobić. Druga sprawa jest znacznie trudniejsza. Muszę wybaczyć ci, że obarczyłeś mnie winą za to, co się stało. Mówię o e-mailach, w których pisałeś, dlaczego zdradziłeś. O swojej matce, o mnie, o własnym niedowartościowaniu. Jakbym to ja wepchnęła cię w ramiona kobiety, która sprawiła, że poczułeś się lepiej. Nie zrobiłam

tego. To bzdura, Davidzie. Zwykła wymówka. Jesteś po prostu facetem, który miał romans, bo myślał, że mu to ujdzie na sucho. Bo był żonaty od kilku lat i chciał spróbować czegoś nowego. Wmówiłeś sobie tamte powody, by poczuć się lepiej. Żądam, abys z tym skończył. Masz wziąć winę na siebie. Ty to zrobiłeś, Davidzie. Tylko ty. Musisz to uznać. Inaczej twój powrót nie ma sensu. Nawet jeśli pozwoliłabym ci wrócić, nie umiałabym wybaczyć. I nic by nam nie wyszło. To powinienes w sobie przepracować. Tu najbardziej nadużyłeś mego zaufania. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Chyba tak.

– Bo nie ma sensu, byś wracał do mnie i do dzieci, jeśli nie podejmiemy do całej sprawy poważnie. Nie chcę, żebyśmy musieli przechodzić przez to wszystko na próżno.

Skończyła, położyła ręce na stole i poczuła ulgę. David sięgnął po jej dłoń, ale cofnęła się i wzdrygnęła, jakby ją oparzył. Czekala na to, co powie.

– Przysięgam, Rachael... – zaczął drżącym ze wzruszenia głosem. – Przysięgam, że jeśli dasz mi drugą szansę, pozwolisz wrócić do siebie i dzieci, nigdy więcej was nie skrzywdzę. – Rozpłakał się, a Rachael chciała przytulić go do siebie, ale nie mogła. Jeszcze nie teraz.

Położyła rękę na stole i tym razem, gdy David położył na niej własną, nie cofnęła się. Pozwoliła jej leżeć na swoich dłoniach.

Potem w domu opowiedziała o wszystkim Millie, matka będzie musiała pocze-kać.

Oczy niani wypełniły się łzami. Uściskała Rachael, zapewniła ją, że postąpiła słusznie i że wszystko będzie dobrze. A Rachael prawie jej uwierzyła. Bardzo chciała.

Ulubioną książką Mii były teraz *Trzy świnki*. Nie poszła spać bez wysłuchania tej bajeczki. Podobało jej się, gdy wilk sapał i zdmuchiwał domki świnek. Dziś wieczorem, podczas czytania (czy raczej recytowania, od dawna znanego na pamięć tekstu) Rachael uświadomiła sobie, że sama wierzyła kiedyś, że mieszka w domku z cegieł, a okazało się, iż był to domek ze słomy. Zapewne pięknej, lecz łatwej do zdmuchnięcia. Może wszyscy tak myślimy, zanim nadejdzie wilk? Może prawdziwe wyzwanie to uświadomić sobie, że trzeba odbudować dom z cegieł, i zastanowić się, jak to zrobić.

I oto jej mąż, ojciec jej dzieci, wrócił do domu. Jacob znów płakał, a łzy cicho spływały mu po policzkach. – Zostaniesz? – zapytał dwa razy, jakby za pierwszym nie mógł uwierzyć.

Cała czwórka uściskała się w korytarzu, a po chwili Jacob przyciągnął do nich Rachael. David, gestem kiedyś władcym, a dziś nieśmiałym, objął ją w talii. Położyła mu głowę na ramieniu, niżej kręcili się Jacob, Noah i Mia.

Odetchnęła z ulgą.

Eve

Życie Eve zmieniło się nie do poznania. Od narodzin Hope nie przespała ani jednej nocy we własnym łóżku. Nie kupowała jedzenia, nie gotowała, nie oglądała ubrań w sklepie Banana Republic ani nie robiła manicure'u. Ledwie pamiętała czasy, gdy cały świat nie kręcił się wokół oddziału intensywnej terapii. Na początku nie wiedziała nic. Teraz było inaczej. Umiała już poruszać się po oddziale, znała najkrótszą drogę do szpitalnego barku, imiona większości pielęgniarek i wiedziała, którzy lekarze są współczujący, a którzy rzeczowi i beznamiętni. Spała niepokojnym snem na łóżku polowym w pomieszczeniu rodzinnym, piła herbatę parzoną z przyniesionych przez Violet torebek zalewanych wrzątkiem z termosu w kuchni dla rodziców. Nauczyła myć się cała w dużym zlewie.

Wiedzę tę zdobyła mimochodem. Od przebudzenia, przez cały dzień, aż do zaśnięcia myślała tylko o Hope.

Studiowała kartę choroby. Prosiła, by nazywano i wyjaśniano jej najdrobniejsze szczegóły. Wiadomości nie na wiele się przydawały, ale nic więcej nie mogła zrobić. Od czasu do czasu widywała nowe twarze. Jedno dziecko wypisywano z oddziału, przybywało inne. Nie czuła empatii. Nie miała się czym dzielić. Nigdy w życiu nie była na niczym tak skoncentrowana.

Krwotok u Hope nastąpił później, niż to się zwykle zdarza. Był jednym z głównych niebezpieczeństw pierwszych 72 godzin życia, co wypisano dużymi literami na liście, którą dostali od pediatry tamtego strasznego dnia. Gdyby ich teraz spytano, może odważyliby się wyszeptać, że chyba najgorsze mają już za sobą. Obowiązywały ich inne listy. Tymczasem krwotok nastąpił 16 grudnia, późnym popołudniem, gdy Hope miała trzy tygodnie.

Ed był w pracy. Przed paroma dniami zaczął chodzić tam od czasu do czasu na kilka godzin. Eve sama go namawiała, przecież nie muszą siedzieć tu oboje. Brzmiało to sensownie, ona miała odciągać mleko, a on pracować. Wiedziała, że mąż czuje ulgę, opuszczając na parę godzin szpital. Ona też by czuła. Ale nie była w stanie stąd wyjść.

Wcześniej tego dnia rozmawiała z jedną z pielęgniarek – Deidre – o przyszłości, tej najbliższej. O świecie, w którym Eve wróci na noc do domu i przyjdzie dopiero rano.

W czasie lunchu odwiedziła ją Violet. Przyniosła świeżą bieliznę i zmianę ubrań. Eve przebrała się, a potem spacerowała z przyjaciółką naokoło szpitala, by po raz pierwszy od dwóch dni zaczerpnąć świeżego powietrza. Zawsze zdumiewało

ja, że świat wcale się nie zmienił. Wszyscy robili to samo co zwykle. Tylko dekoracje na Święto Dziękczynienia ustąpiły miejsca gwiazdkowym i wokół wisiały czerwone i zielone ozdoby. Ludzie wyglądali najzupełniej normalnie.

- Hope zostanie tutaj przez święta.

Violet spojrzała na Eve, a potem się uśmiechnęła.

- Oczywiście. To już za dziewięć dni.

- To będzie dziwne Boże Narodzenie.

- Też kilka takich przeżyłam.

- Gdzie je spędzasz?

- W domu. Jak zwykle.

- Może przyjdiesz do nas?

- Oczywiście. To pierwsze święta Hope.

Powiedziała to z takim przekonaniem, że Eve miała ochotę ją uściskać. Pierwsze święta Hope. Cóż z tego, że spędzi je w inkubatorze? Czeka ją jeszcze wiele, wiele innych. Historia pierwszych świąt Hope stanie się częścią rodzinnej legendy, opowiadaną wciąż od nowa co roku pod choinką. Powtarzaną tyle razy, że w końcu straci nawet swój przerażający charakter.

Tego dnia, po rozmowie z Deidre i spacerze z Violet, Eve, po raz pierwszy od urodzenia córki, zaczęła myśleć o przyszłości nieco dalszej niż najbliższa godzina i noc. Może wszystko będzie dobrze? Doszła do wniosku, że ma takie przecucie. Naprawdę, a nie dlatego, że się zmuszała, bo wszyscy naokoło brzęczeli o sile pozytywnego myślenia, jakby to był jakiś cudowny lek. Naprawdę pomyślała z nadzieją o przyszłości Hope. Omal nie zadzwoniła do Eda, żeby mu o tym powiedzieć, ale nakazała sobie poczekać. Przychodził do szpitala o szóstej.

Violet, jadąc taksówką do domu, zaciskała dłonie. Już od dawna nie czuła się tak zmęczona. Miała nadzieję, że postąpiła słusznie, że głoszenie optymistycznych prognoz na temat Hope było tym, co należało robić.

Wszystko stało się o czwartej po południu. Eve siedziała obok. Dziecko nie poruszyło się. Wyglądało zupełnie tak samo. Aparatura im powiedziała. Nastąpił rozległy wylew krwi do mózgu. Bezbolesny, szybki i groźny dla życia. Stanowił największe z niebezpieczeństw podczas pierwszych trzech tygodni. Eve odczytała na twarzach lekarzy, co się stało, ale i tak wiedziała.

Deidre zapytała, czy ma zadzwonić do Eda i zawiadomić go, by przyszedł wcześniej. Dochodziła piąta. Eve odmówiła, musiała odciągnąć mleko. Przy odciąganiu była sama i mogła płakać. Dużo płakała od czasu... od czasu, gdy to wszystko się wydarzyło, lecz nie zdołała przyzwycząić się do płaczu na oczach ludzi.

Nie wiedziała, jak zawiadomić Eda. W ogóle nie chciała o tym mówić głośno.

Charlotte

Gdy Charlotte, słysząc ciche pukanie, otworzyła drzwi, nie była pewna, kogo za nimi zobaczy. Madison już jej nie odwiedzała, a z Emily, odkąd przyjechała do niej matka, prawie się nie widywały. Może pomocnik dozorca przyniósł rzeczy przysłane z pralni chemicznej? Nie spodziewała się Jacksona.

Wciąż jeszcze nie zdążyła się przyzwyczać do jego nowego wyglądu. Rzadko spotykała sąsiada w czasach, gdy był głównym bohaterem opowieści Madison, a nawet wtedy, kiedy umawiał się z Emily. Z bliska, w drzwiach, gładko ogolony i dobrze ubrany, wyglądał atrakcyjnie.

– Cześć.

Z pewnością chodziło mu o Emily. Charlotte cofnęła się lekko i z uśmiechem wpuściła go do mieszkania.

– Przyszedłem w sprawie Emily.

Dobra robota, inspektorze Poirot. Facet taki jak Jackson Grayling nie puka do drzwi kobiety podobnej do Charlotte Murphy, by o niej rozmawiać. Zawsze w tle kryje się jakaś Emily.

– Siadaj, proszę.

Jackson usiadł, a Charlotte zajęła miejsce naprzeciw niego.

– Pomyślałem, że może ty wiesz, co się, do diabła, dzieje.

Charlotte wzruszyła ramionami. Nie chciała zdradzać cudzych tajemnic.

– Pewnie słyszałaś, że nie chce mnie widzieć?

– Tak. – Skinęła głową. – Przykro mi. Naprawdę.

– Wiesz dlaczego?

– Tak konkretnie?

– Konkretnie, ogólnie, instynktownie. Jakkolwiek, Charlotte. Bo, szczerze mówiąc, czuję się zagubiony i chciałbym zrozumieć, o co tu chodzi.

– Nie jestem pewna, czy sama to rozumiem.

– Co ci powiedziała?

– Nic, co miałoby większe znaczenie. Chyba się przestraszyła. Nie wiem, czy znasz jej przeszłość?

– Trochę...

– Cóż, tak czy inaczej, wydaje mi się, że ma poważny problem z tym, by komuś zaufać. Woli być sama, niż podjąć ryzyko.

– Ale wszystko układało się wspaniale. Tego właśnie nie rozumiem. Zupełnie jakby nagle ktoś zgasił światło. Co się stało?

Charlotte nie umiała kłamać. Rozpacz Jacksona wydawała jej się prawdziwa, zresztą i tak nigdy nie zgadzała się w tej sprawie z Emily. Powiedziała mu więc o Halloween. O Madison Cavanagh i jej głupich pijackich insynuacjach. Jackson z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Przecież wszystko sobie wyjaśniliśmy...

- Wiem. I naprawdę nie sędzę, że Emily jej uwierzyła. To był tylko pretekst, by uzasadnić własny niepokój. Początek waszej znajomości, twoje ostentacyjne zachowanie. Pochodzenie. Dziewczyny... Wszystko. Chyba ją to przytłoczyło.

Jackson potarł skroń.

- Ale to nic nie znaczy. Zupełnie nic.

- Wiem. - Gdyby Charlotte była odważniejsza, dotknęłaby jego ramienia.

Przez chwilę siedział w milczeniu.

- Myślisz, że wszystko skończone?

Na twarz dziewczyny powoli wpłynął uśmiech.

- Do licha, nie! Jeśli tak łatwo rezygnujesz, nie jesteś tym, za kogo cię uważałam. Przyglądałam ci się przez kilka ostatnich miesięcy. Ludzie na ogół nie zwracają uwagi na takie dziewczyny jak ja. - Jackson otworzył usta, by uprzejmie zaprotestować, ale powstrzymała go ruchem ręki. - Taka jest prawda. Mnie to nie przeszkadza. Wcale nie chcę, by każdy mnie zauważał. Wystarczą niektórzy. Ale wszystko widzę. Obserwowałam cię. Jeśli chcesz być z Emily, walcz o nią.

Stare nawyki umierają powoli i z trudem. Dalszy ciąg kwestii, zapamiętanej po kilkakrotnym przeczytaniu romansu Harlequina o średniowiecznej księżniczce o fiołkowych oczach, brzmiał: „Walcz do ostatniego tchu i ostatniej kropli krwi. Walcz ze wszystkich sił. Walcz”. Oczywiście Charlotte nie zacytowała całości.

Lecz Jackson zrozumiał, o co chodzi.

Ed

Każdego dnia Violet przychodziła do szpitala. Na oddziale intensywnej terapii neonatologicznej już ją znali. Z braku innej rodziny przyznano jej przywileje należne babci. Przyzwyczaiła się do rutynowych czynności: zdejmowania biżuterii, starannego mycia rąk, smarowania ich środkiem dezynfekującym. Dopiero wtedy mogła wejść na zamknięty oddział. Przebywało tu sześcioro czy siedmioro dzieci przyjętych jeszcze przed Hope. Violet rozpoznawała ich rodziców. Witali się skinieniem głowy i uśmiechem, ale nie rozmawiali ze sobą. Każdy zajmował się własnymi sprawami. Nie było wyścigów ani rywalizacji. Nie można było ocenić postępów własnego dziecka w porównaniu z innymi. Niższa waga przy urodzeniu czy krótszy okres ciąży o niczym nie świadczyły. To loteria. Każdy był tutaj sam.

Eve rzadko opuszczała szpital. Co dwa, trzy dni szła do domu wziąć prysznic i się przebrać. Wychodziła na krótkie spacerunki naokoło budynku. Kupowała latte i kanapki. Dzwoniła do Cath. Zawzięcie odciągała mleko w ilościach wystarczających dla piątki dzieci. Napełnianie butelek było jedyną konkretną rzeczą, jaką mogła zrobić dla Hope. Karmiły pielęgniarki – nawet na to jej nie pozwalano. Mleko tryskało szybko i gwałtownie. Eve powiedziała Violet, że nienawidzi swego ciała – teraz działało sprawnie, a tak bardzo zawiodło Hope. Siedziała obok inkubatora, czekając na lekarzy i pielęgniarki. Każdy dzień był długi. Nudny, wyczerpujący, stresujący, pełen niewygód i straszny. Dlatego Violet przychodziła codziennie i robiła, co mogła. Czasem siedziała przy Hope, a Eve szła na spacer. Czasem wychodziły razem. Violet wiedziała, jak bardzo jest tu potrzebna, i choć zrobiłaby wszystko, co w ludzkiej mocy, by zmienić bieg wydarzeń, cieszyła się, że przyjaciółka ma z niej jakiś pożytek.

Tamtego wieczoru, kilka godzin po rozmowie z Eve na temat świąt, gdy weszła do szpitala, zobaczyła Eda siedzącego na krześle w hallu z twarzą ukrytą w dłoniach.

Usiadła obok i dotknęła jego ramienia.

– Ed.

Odwrócił ku niej poszarzałą twarz.

– Hope się pogorszyło. Bardzo. Violet uniosła rękę do ust.

– O, nie. Biedactwo. Co się stało?

– Miała rozległy wylew.

Violet wyrwał się zduszony okrzyk. Chyba wiedziała, co to znaczy.

– O Boże! Co mówią lekarze?

– Sytuacja wygląda bardzo źle. – Pokręcił głową. – Na razie milczą, jeszcze nie wiedzą. Ale na początku powiedziano nam, że to największe niebezpieczeństwo, jakie jej grozi.

– Myślałam, że już minęło.

– My też. Zaczynaliśmy wierzyć, że najgorsze za nami.

– Wiem. Eve mówiła mi, gdy widziałyśmy się ostatnio.

– Za szybko. – Ed uśmiechnął się ponuro. – Za szybko uwierzyliśmy w poprawę.

– Gdzie jest Eve?

– Przy Hope.

– A ty siedzisz tutaj?

– Wyszedłem zadzwonić do Cath. – Oczy Eda wypełniły się łzami.

Nie telefonował.

- Po prostu nie byłem w stanie tam wrócić. Nie potrafię tkwić w tym strasznym pokoju i czekać. Nie mogę nic zrobić. Zupełnie nic. Nigdy w życiu nie czułem się taki bezradny.

- Możesz być z Eve.

- Przez większość czasu nawet o tym nie wie. Jest tak bardzo skoncentrowana na Hope. I taka zmęczona.

- Oboje jesteście wyczerpani.

- Ona mnie nie potrzebuje.

- Ależ skąd. Posłuchaj, Ed. Wybacz, że ci to powiem, ale nie masz wyboru. Wszystko już się zaczęło i choć wiele bym dała, by potoczyło się inaczej, jest tak, jak jest. A ty bierzesz w tym udział, cokolwiek się stanie, do końca. Nie możesz sprawić zawodu Eve i Hope. Eve cię potrzebuje. Jak nigdy dotąd.

Cały czas cię potrzebowała, pomyślała Violet. Tylko tego nie widziałeś.

- Co za cholerna niesprawiedliwość – wybuchnął gniewnie Ed.

- To prawda. Podła i obrzydliwa. Ale musisz się pozbierać i być mężem Eve. Ojcem Hope. Nawet jeśli to ostatnia chwila. Będziesz żałował do końca życia, jeśli je zawiedziesz. Uwierz mi. – Wstała i po raz ostatni poklepała go po ramieniu. – Idziesz?

Eve

Hope umarła 19 grudnia o jedenastej rano. Piętnaście po dziesiątej pielęgniarki odczepiły rurki i urządzenia, do których od urodzenia była podłączona, wyjęły ją z inkubatora i owinęły w kocyk. Eve i Ed siedzieli na wielkiej pasiastej kanapie w pokoju rodzinnym i czekali. Pokój rodzinny. Co za okrutna nazwa. Po dzisiejszym dniu nie czuli się z Edem rodziną. Pokój urządzono tak zwyczajnie i nieszpitalnie, jak tylko to możliwe – były zasłony w oknach, pudełka z zabawkami i książki dla rodzeństwa. W kącie stał wielki telewizor z plaketką oznajmiającą, który z bogatych nowojorczyków ofiarował go oddziałowi. Ale nie było to zwyczajne miejsce. Ani zwyczajny dzień. Dziś umrze moje dziecko, pomyślała Eve. To koniec.

Poprzedniego wieczoru powiedziano im, że nic więcej nie można zrobić. Ed i Eve powinni podpisać zgodę na zaprzestanie leczenia oraz odłączenie urządzeń wypełniających płuca Hope jedynym powietrzem, jakie miała poznać, i rozprowadzających krew po jej ciałku. Jedna z pielęgniarek, Marcia, trzymała Eve mocno za rękę. Wyjaśniała, łagodnie i delikatnie, że porusza się tylko aparatura. Że w ciele dziecka nie pozostało już nic z osoby, którą było lub mogło się stać. Muszą wszystko wyłączyć, poodczepiać, rozmontować. A potem, po kilku minutach, Hope

odejście. Eve, nawet kiwając głową i podpisując papiery, nienawidziła tych słów. „Odejście”. Hope umrze. Nie odejście, nie zaśnie. Umrze. Na zawsze.

Gdy obudziła się rano, w dzień po podpisaniu zgody, nie mogła oddychać. Chciała umrzeć razem z Hope. Było to proste, jasne i oczywiste. Umrzeć z Hope. Leżała w łóżku, nie otwierając oczu, nie przyjmując do wiadomości, że nastał ranek. Słuchała, jak Ed robi w kuchni herbatę. Gdy przyniósł jej filiżankę, uśmiechnęła się słabo, czekając, co powie. Pocałował ją w policzek, ale nie odezwał się ani słowem. Ostatniej nocy nie przytulił jej. Leżeli obok siebie w łóżku, każde zatopione we własnych myślach. Eve chciała wyciągnąć do niego rękę, ale nie mogła. Czuła się w swoim smutku zupełnie sama. Rano w łazience Ed podczas golenia włączył radio. Podeszła i ze złością je wyłączyła. Nie mogła znieść dźwięków zwykłego dnia. Nie dzisiaj. Nienawidziła trochę męża za to, że on może.

– Przepraszam – powiedział. – Nie pomyślałem.

Oczywiście, że nie. Chciała przejść obok, ale chwycił ją i przytrzymał. Początkowo jej ramiona zwisały sztywno wzdłuż ciała. Stali tak przez długi czas, z kranu płynęła gorąca woda, na włosach Eve zasychał krem do golenia.

A teraz siedzieli tutaj, w pokoju rodzinnym, czekając, aż przestaną być rodziną, zanim w ogóle nią się stali. Eve czytała o rodzicach, którzy zanoszą dzieci do kaplicy, by tam umarli. Albo do parku. Ładna myśl. Ale nie mogła tego zrobić. W tej chwili była całkowicie zależna od pomocy innych. Pielęgniarek, lekarzy, urzędników. Choć nic więcej nie mogli już zrobić dla Hope, nie potrafiła jej stąd zabrać. Musiała zostać w szpitalu.

Marcia przyniosła im dziecko i wyszła.

– Gdybyście mnie potrzebowali, będę obok.

Jeśli Hope w ogóle oddychała, robiła to płytko i lekko, co stanowiło ostry kontrast z gwałtownymi ruchami piersi wymuszonymi przez respirator. Teraz, tuż przed śmiercią, bardziej niż kiedykolwiek wyglądała jak prawdziwe żywe dziecko. Bardzo małe, zdrowe, idealne niemowlę. Eve stłumiła szloch. Nie chciała, by Hope widziała, że płacze, choć oczy córeczki były zamknięte i takie miały pozostać na zawsze.

Czuła, jak obok Ed lekko drży. Płakał, ale nie mogła go pocieszać, jeszcze nie teraz. Te chwile należały do Hope. Jadąc taksówką do szpitala, Eve nie wiedziała, co powie i czy w ogóle się odezwie. Jednak trzymając córkę w ramionach, poczuła gwałtowną potrzebę, by do niej przemówić. Cichym szeptem, gładząc maleńkie paluszki, powiedziała, jak bardzo ją kocha. Nie ma na świecie piękniejszego i bardziej upragnionego dziecka. Przez resztę życia będzie o niej pamiętać i za nią tęsknić. I bardzo żałuje, że nie spisała się lepiej. Nie nosiła jej dłużej, nie pomogła bardziej, nie naprawiła wszystkiego. Spojrzała na Eda, by sprawdzić, czy też chce coś powiedzieć.

Miał twarz wykrzywioną od tłumionego szlochu.

- Nie mogę... - Tylko tyle zdołał wyjąkać.

Eve bardzo delikatnie pocałowała Hope w usta. Mała pachniała po prostu jak dziecko. Szamponem Johnsona, dziecięcym mydłem i zasypką. Właśnie ten zapach sprawił, że Eve w końcu się załamała i zaczęła płakać.

Potem mieli wrażenie, że najbliższa godzina, dzień, całe rozciągające się przed nimi życie są zupełnie puste. Mimo wyczerpania nie mogli spać. Podpisali jeszcze jakieś papiery i po raz ostatni wyszli ze szpitala. Od narodzin Hope Eve spędziła w nim każdy dzień i nie mogła sobie wyobrazić, że więcej tu nie przyjdzie. Mały pokój stał się całym jej wszechświatem: co pocznie bez niego? Wszystko inne zbladło.

Mieszkanie wydawało się obce. Na ławce przed drzwiami Violet zostawiła dla nich liścik i ciasto z malinami z kawiarni przy Lexington - ulubiony deser Eve. Jeszcze nie słyszała o niczym, a Eve nie wiedziała, jak jej powiedzieć. Pomyślała o Marii, która z mężem i dziećmi popłynęła w świąteczny rejs. Osiem wysp w osiem dni. Wyobrażała sobie, co powie sąsiadka, jaki będzie wyraz jej twarzy, gdy wróci do domu i dowie się prawdy.

- Zadzwonisz do Cath?
- Chyba nie mogę.
- Ja to zrobię.

Cath od wtorku zostawiła dwie wiadomości, ale Eve zabrakło sił, by oddzwonić. Zabrakło słów.

Jednak gdy tylko usłyszała, jak Ed wypowiada imię siostry, sięgnęła po słuchawkę.

- Eve? - W głosie Cath słychać było lęk.
- Umarła.

O Boże. - Cath wybuchnęła płaczem, a słysząc to, Eve także się rozplakała. Przez długie minuty płakały, prawie nic nie mówiąc. Eve przypomniała sobie dzień śmierci mamy. Były wtedy razem, nie rozdzielały ich tysiące mil, ale płakały zupełnie tak samo. Dokładnie pamiętała łzy siostry wsiąkające w jej szkolną spódnicę, gdy tuliły się do siebie, zanim Cath przypomniała sobie, że jest już duża, więc powinna opiekować się Eve i ją pocieszać. Teraz było podobnie.

- Przyjadę - powiedziała.
- Nie. - Eve pokręciła głową.
- Dlaczego?

- Nie możesz. Polly ciągle cię potrzebuje. Oni wszyscy. Już prawie święta. Bilety kosztują fortunę. Poza tym i tak nie można nic zrobić. Głupio, prawda? Wszystko zostało zrobione.

- A jeśli ja muszę cię zobaczyć? I co z pogrzebem?

- Nie chcemy pogrzebu.
- Jak to?
- Nie mogę, Cath. Nie jestem w stanie iść do kościoła, patrzeć na małą białą trumienkę. Po prostu nie mogę.
- Ciii. Rozumiem – powiedziała cicho Cath i urwała na chwilę. – A co zrobicie?
- Zostanie skremowana. Dostaniemy prochy. Chcemy ją przywieźć do Anglii.
- Oczywiście. Kiedy?
- Nie wiem. Niedługo.
- W porządku, siostrzyczko. Nie powiem, że wszystko będzie dobrze, bo to nieprawda. Właściwie nie wiem, co powiedzieć. Z wyjątkiem tego, że cię kocham. Wracaj do domu, żebyśmy mogli cię zobaczyć, przytulić i razem zastanowić się nad wszystkim, dobrze?

Eve, spłakana i zmęczona, nie była w stanie mówić dalej. Oddała słuchawkę Edowi, a on, trzymając żonę za rękę, rozmawiał szeptem z Cath. Eve wiedziała, że siostra zadaje mu pytania. Czy Eve śpi? Czy je? Czy lekarz dał jej coś na uspokojenie? Próbowwała się nią opiekować.

Wiedziała też, że Edowi rozmowa z Cath pomaga, i była wdzięczna przynajmniej za to, bo sama nie wiedziała, jak mu pomóc.

To Ed zawiadomił Violet. Zadzwoił do niej następnego dnia z pracy. Chciał zostać w domu, ale Eve nalegała, by poszedł. I tak za dużo już opuścił. Dziwne, ale nie miała teraz nic do roboty. Po wyjściu męża siedziała w szlafroku na kanapie pod oknem, patrząc na miasto. Włączyła telewizor, nie zwracając uwagi na program. Chciała, by cudze głosy oderwały ją od myślenia. Trafiała na telezakupy. Sprzedawali właśnie ostatnie świąteczne prezenty. Ed wychodząc, pocałował Eve w nadstawiony policzek, a ona uśmiechnęła się do niego w sposób, który wydawał się obcy. Ledwie powiedziała trzy słowa. Edowi krajało się serce. Pragnął pomóc żonie i widział, że ona chce pomóc jemu. Czuł, że ją zawiódł, bo nie sprawił, by wspólnie opłakiwali Hope. Powinien to zrobić, a nie potrafił. Nie potrafił dotrzeć do Eve.

Nie zamknął drzwi do mieszkania, więc Violet nie musiała pukać. Eve ledwie na nią spojrzała. Przyjaciółka ucałowała ją lekko w czubek głowy.

- Nic mi nie musisz mówić. Dzwoniłam wczoraj wieczorem do szpitala. I rozmawiałam z Edem.

Eve zamknęła oczy. Po jej policzku spłynęła łza.

- Zrobię herbaty.

W kuchni Violet postawiła czajnik na gazie i czekając, aż woda się zagotuje, posprzątała niewielki bałagan. Szukając mleka, zauważyła, że lodówka jest niemal

pusta. Zupełnie jakby Gallagherowie wrócili z długich wakacji. Błaty pokrywał kurz.

Przez pewien czas się nie odzywała. Po prostu siedziała obok. Eve była jej za to wdzięczna. Przecież nawet Violet nie mogła powiedzieć nic, co przyniosłoby ulgę. Ale cieszyła się, że przyjaciółka z nią jest. Długie chwile siedziały, patrząc na tętniące wokół miasto – latające helikoptery, dźwigi na placu budowy oddalonym o kilka przecznic, trąbiące taksówki. Szare niebo było ciężkie od śniegu, który jeszcze nie zaczął padać. Eve pomyślała, że w powietrzu czuć jego zapach. Wiedziała, kiedy spadnie, choć była to jej pierwsza nowojorska zima. Wiedziała też, że już zawsze na widok śniegu będzie myślała o Hope.

Nagle Violet odetchnęła głęboko.

– Catherine. Moja córeczka nazywała się Catherine – powiedziała.

Eve gwałtownie odwróciła głowę od okna i spojrzała na Violet. Nigdy dotąd nie widziała na twarzy przyjaciółki takiego bólu, zmarszczki na jej czole i w kącikach oczu się pogłębiły.

– Też umarła w grudniu. Mniej więcej w tym samym czasie. Ponad trzydzieści lat temu.

– Violet. Nie wiedziałam.

– Skąd miałaś wiedzieć, kochanie? Nigdy o niej nie mówiłam.

– Była córką twoją i Steadmana?

– Tak. – Violet skinęła głową. – Naszym gwiazdkowym cudem. Gdy się po-
braliśmy, miałam trzydzieści osiem lat. Nie zaszłam w ciążę z Gusem, więc uważa-
łam, że to niemożliwe. W tamtych czasach nikt nie sądził, tak jak teraz, że coś mu
się należy. Jeśli nie miałaś dzieci, musiałaś z tym żyć, nie było wyboru. Myślałam,
że jestem bezpłodna, ale problem dotyczył Gusa. Pewnie byłby bardzo nieszczę-
śliwy, nie mogąc mnie o to obwiniać. Zresztą, wtedy uważano, że w wieku trzy-
dziestu ośmiu lat na dzieci jest już za późno. Powiedziałam Steadmanowi, że nie
mogę ich mieć. Nie chciałam go niczego pozbawiać. Pamiętam, jak się roześmiał.
Oświadczył, że ja sama wystarczam mu aż nadto. Właściwie pogodził się z tym, że
się nie ożeni, więc nasz związek znaczy dla niego wszystko. I nie ma ochoty z ni-
kim się mną dzielić. Później wcale nie był zazdrosny. Zresztą nigdy tak nie myśla-
łam. Kiedy raz, a potem drugi nie pojawiła się menstruacja, podejrzewałam, że to
początek wczesnej menopauzy. Miałam czterdzieści jeden lat. Nie wierzyłam, gdy
lekarz powiedział mi, że jestem w ciąży. Nigdy w życiu nie byłam taka szczęśliwa.
Zrezygnowałam z dzieci, ale aż do tamtej chwili nie zdawałam sobie sprawy, jak
bardzo mnie to zasmucało. Catherine urodziła się w domu – w moim mieszkaniu
na dole – na tydzień przed Bożym Narodzeniem, w siedemdziesiątym pierwszym
roku. Cóż to były za święta! Jak na zamówienie spadł śnieg. Jeden z tych wielkich
opadów unieruchamiających całe miasto. Wcale nie zrobił się na drugi dzień szary

i brązowy, tylko był biały, sypki, idealny, leżał na drzewach i dachach. Gdy ja i Catherine spałyśmy, Steadman ubrał małą choinkę. Nigdy wcześniej tego nie robiliśmy. Wydawało się głupie ubierać drzewko tylko dla dwóch osób. Ale powiedział, że Catherine musi mieć choinkę. Kupił ją w parku na rogu i przyniósł do domu. Była bardzo ładna. Mieliśmy takie cudowne święta.

– Nie wyobrażam sobie, że jeszcze kiedyś będę miała cudowne święta – powiedziała Eve ochryplym głosem.

– To prawda. Już nigdy nie będziesz wtedy zupełnie szczęśliwa. To, co się stało, zostanie w tobie na zawsze. – Wydawało się, jakby niemal zapomniała o obecności Eve.

– Violet?

Dwie kobiety spojrzały na siebie.

– Violet. Co się stało z Catherine?

Violet potrząsnęła głową.

– W święta Bożego Narodzenia, gdy miała pięć lat, wybrali się ze Steadmanem sami do miasta. Rzadko się rozstawaliśmy. Lubiliśmy przebywać razem. Kobiety mówią teraz często, że muszą mieć „czas dla siebie”. Cokolwiek to jest, nie pamiętam, bym go potrzebowała, Wszędzie chodziliśmy we trójkę. Na karuzelę w Central Parku, do zoo na Bronksie. Catherine uwielbiała łódki, lunch w Boathouse i figurę Alicji w Krainie Czarów. Lubiła chodzić do Metropolitan Museum i Muzeum Historii Naturalnej. I na Statuę Wolności. Wtedy, przed jedenastym wrześniem, można było wspiąć się aż na koronę. Catherine weszła tam po schodach, gdy miała cztery lata. Na samą górę. Tamtego roku, tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego szóstego, poszli kupić mi prezent. Niczego nie potrzebowałam i nigdy się nie dowiedziałam, jakie mieli plany. To był sekret. Podobno wymyśliła go Catherine. Steadman kupił też bilety na gwiazdkowe przedstawienie w Radio City Music Hall. Poprzedniego roku, gdy byłam na nim z Catherine, musiał pójść na świąteczne przyjęcie do pracy. Od września namawiała go, by wybrali się razem – chciała, żeby też je zobaczył. Zamierzali się świetnie bawić. Nie miałam nic przeciwko temu. Chciałam zapakować prezenty i przygotować kilka własnych sekretów. Lubiłam patrzeć na nich dwoje razem. Catherine miała na sobie śliczną sztruksową sukienkę w kwiatki. Od Steadmana. Rozpieszczał ją. Czekał na córkę pięćdziesiąt lat i strasznie ją psuł... Ale nie była bardzo rozpieszczona. Była uroczą, uśmiechniętą, piękną dziewczynką. Pamiętam, jak stałam w korytarzu, czekając z nimi na windę. Catherine zawsze naciskała guzik – biada temu, kto przyszedł pierwszy. W kamienicy wszyscy ją znali i pozwalali jej naciskać...

Eve miała wrażenie, że powietrze między nimi, w pokoju, jest gęste od smutku – starego, nowego – takiego samego. Przeraziło ją, jak świeży, żywy i prawdziwy był w tej chwili ból Violet. Taki ból nie mija nigdy.

Violet umilkła, spojrzała na ręce złożone na kolanach. Gdy znów się odezwała, jej głos brzmiał zupełnie inaczej. Jak u wyszkolonego telewizyjnego prezentera. Może tylko w ten sposób mogła wypowiedzieć te słowa.

– Tamtego popołudnia Steadman i Catherine zostali potrąceni przez samochód. Przy przechodzeniu Szóstej Alei.

– O Boże.

– Kierowca nie był pijany, ani nie jechał zbyt szybko. Zwykły mężczyzna zajęty zwykłymi sprawami. Pewnie i dla niego był to najgorszy dzień w życiu, choć chyba nie miałam siły, by mu współczuć. Po prostu głupi, nieszczęśliwy, straszny wypadek. Oboje przewieziono karetką do szpitala Lenox Hill. Byli tam, gdy do mnie zatelefonowano. Kazano się spieszyć, więc wiedziałam. Nawet przez chwilę nie łudziłam się, że chodzi o złamanie czy wstrząs mózgu. Od razu, z tonu głosu, domyśliłam się, że jest bardzo źle. I było. Steadman zmarł pierwszy, około siódmej wieczorem. Na skutek uderzenia w głowę. Przez samochód albo o bruk ulicy – nigdy się nie dowiedziałam. Przypuszczam, że nie miał szans. Wziął na siebie siłę uderzenia. Wolę myśleć, że w ułamku sekundy zrozumiał, co się dzieje, i naraził się świadomie, by ocalić Catherine. Chciałby tego. I że nigdy nie dowiedział się, iż nie zdołał. Catherine umarła na stole podczas operacji. Miała uszkodzone organy wewnętrzne. Nic nie mogli zrobić. Siedem godzin. Przez siedem godzin oboje żyli, a ja siedziałam obok. Żadne z nich nie spojrzało już na mnie ani się nie odezwało. Byli nieprzytomni. Czułam się rozdarta. Zostałam z córką. Wiedziałam, że Steadman chciałby tego. Nie byłam przy nim, gdy umierał, bo czuwałam przy Catherine, zanim zabrali ją na chirurgię. Potem siedziałam na korytarzu. Na dworze był mróz, zbliżały się święta. Nie mogłam znieść myśli, że leżeli na zimnym chodniku. Nawet przez chwilę, czekając na karetkę. Zdawałoby się, że siedem godzin wystarczy, by się pożegnać – przynajmniej z jednym z nich. Ale nie mogłam. Nie byłam gotowa. Nie wierzyłam, że muszę to zrobić.

Violet wstała i podeszła do kanapy, na której siedziała Eve. Wzięła jej rękę i przytrzymała delikatnie w swoich dłoniach.

– Violet, tak mi przykro.

– Mnie też jest przykro. Z powodu ciebie, Eda i Hope.

Eve uścisnęła jej dłoń.

– Nie byłam na twoim miejscu, Eve. Nie ośmieliłabym się mówić, że wiem, co czujesz. Miałam Catherine przez pięć wspaniałych lat. Ty nie miałaś Hope nawet pięciu tygodni. A nawet gdyby tak było, ból każdego człowieka jest inny. Chcę jednak, byś wiedziała, że rozumiem. Bo naprawdę rozumiem. I jeśli pomoże ci to choć trochę, taki właśnie był mój cel.

Widziała, że Eve jej słucha. Eve. Cudowna istota, poznana zaledwie przed rokiem, a już taka droga. Skulona na kanapie chłoneła jej opowieści. Podniecona, z

szeroko otwartymi oczami, jak Violet w 1947 roku, pozwalając oprowadzać się po nadzwyczajnym mieście, przypominając swojej przewodniczce o jego niezwykłości.

Eve. Gdyby Catherine żyła, miałyby tylko kilka lat więcej. Obie były tak niepodobne. Eve, blondynka o kobiecych kształtach, w niczym nie przypominała Catherine, ciemnowłosej i szczupłej jak Steadman. Violet widziała zdjęcia matki męża jako młodej kobiety – upozowane fotografie zrobione na przełomie wieków... Uważała, że Catherine byłaby do niej podobna.

Nigdy nie udawała, że Eve jest jej córką. Nie wyobrażała sobie, że jest babcią Hope. Zbyt mocno stąpała po ziemi. Lecz poznanie młodej Angielki stało się najcudowniejszą i najboleśniejszą rzeczą, jaka zdarzyła jej się od bardzo długiego czasu.

W pewnym sensie Eve obudziła ją na nowo do życia. Od ponad trzydziestu lat Violet zamykała się przed uczuciami.

Ból młodej przyjaciółki odbił się w niej echem na wiele różnych sposobów. Pamiętała cierpienie po stracie Catherine, jakby to było wczoraj. Zresztą nie musiała „pamiętać”. Odczuwała stratę córki każdego dnia. Poznanie Eve sprawiło, że opłakiwała dorosłą kobietę, którą Catherine nigdy nie była, matkę, którą nie została, pokolenia, które się nie urodziło, dlatego że umarła.

Ale stało się coś jeszcze.

Violet uważała, że robi słusznie, izolując się od świata. Oczywiście nie w sensie dosłownym. Przez ponad trzydzieści lat miała przyjaciół, zobowiązania, zainteresowania, miała własne życie. Jednak od śmierci Steadmana i Catherine nigdy nie oddała mu się w pełni. Nigdy nikogo tak naprawdę do siebie nie dopuściła. Nigdy więcej nie pokochała żadnego człowieka.

Czuła, że nie powinna. Kochała swoją matkę, Kathleen, a ona umarła. To przeżycie odcisnęło się na niej jak piętno. Kochała na swój sposób Gusa i nic dobrego mu z tego nie przyszło. Kochała Steadmana i Catherine. Kochała ich wszystkich i to nic nie pomogło.

Była córką Adama w dużo większym stopniu, niż sobie wyobrażała.

Dzisiaj, w zimowy dzień, w mieszkaniu Eve, uświadomiła sobie, może po raz pierwszy, co to oznaczało. Zmarnowane życie. Spełnione niemal pod każdym względem, z wyjątkiem tego, co naprawdę miało znaczenie.

Nie chciała, by taki los spotkał Eve. Nagle stało się to dla niej ważniejsze niż cokolwiek innego.

Emily

Biurowe przyjęcie świąteczne właśnie zaczynało się rozkręcać, mimo to Emily postanowiła wyjść wcześniej. Bolały ją stopy w pantoflach na dziesięciocentymetrowych obcasach, które włożyła dlatego, że świetnie pasowały do wieczorowej sukni z granatowego atłasu. Zresztą nie była w specjalnie szampańskim nastroju. Tęskniła za mamą i za Jacksonem. Gdy tak stała w tłumie ludzi zapijających się darmowym ponczem i wyśpiewujących świąteczne piosenki wokół pianina, nagle kanapa, odcinek *Przyjaciół* i wymoczenie nóg w ciepłej wodzie wydały jej się niebem na ziemi.

W kamienicy drzwi otworzył Jose, nowy portier. Powiedział, że na Emily czeka przesyłka, po czym wręczył jej pudełko z nalepką sklepu w polskiej dzielnicy Greenvpoint po drugiej stronie brooklyńskiego mostu. Była pod wrażeniem. Jakim cudem matce udało się znaleźć takie miejsce? Nagle przypomniała sobie, że zrezygnowała z serwowanych na przyjęciu ciepławych owoców morza i jest strasznie głodna. Z ulgą opadła na ławkę w hallu, zrzuciła buty i otworzyła pudełko. Na pociętej bibułce leżał tuzin pierników zapamiętanych z polskich świąt Bożego Narodzenia jej dzieciństwa. Piekły je zawsze w domu, a Emily sama wycinała ciasteczka z pachnącego przyprawami ciasta. Przysłane pierniki były piękne – domowej roboty, lecz każdy taki sam, ozdobione lukrowanymi płatkami śniegu i choinkami. Ugryzła, a właściwie lekko skubnęła rożek jednego, wydawały się niemal zbyt ładne, by je jeść, i przeczytała dołączoną karteczkę. Jaka ta mama jest sprytna.

Były od Jacksona. Napisał po prostu: „Pomyślałem, że się do nich uśmiechiesz. Jackson”.

Miał rację.

To nie wszystko. Gdy Emily zamknęła pudełko i wjechała windą na swoje piętro, na kołatce na drzwiach ujrzała zawieszzone świąteczne pajaki. Skąd wiedział, ile dla niej znaczą? Musiał po prostu odgadnąć. Oto smaki i ozdoby świąt jej dzieciństwa. Na nitkach kołysały się jaskrawokolorowe cacka – czerwone, zielone, różowe i złote. Nie widziała ich od czasów, gdy była małą dziewczynką. Nawet matka nie miała już żadnych, dawno się podarły i zniszczyły. Emily zrozumiała, co Jackson chciał jej przekazać.

Oparła się o ścianę korytarza, z dłonią na ustach i oczami pełnymi łez. Myślała o Jacksonie ubranym w koszulkę z fosforyzującym napisem „Emily” podczas triathlonu, o nim wnoszącym stolik na taras. Wspominała różę – podarek na Halloween. Zamajaczyła jej twarz Charlotte czytającej wiersz Yeatsa i patrzącej na nią błagalnie.

Wciąż przyciskając do siebie pudełko z piernikami, nacisnęła guzik windy. Buty zostawiła na korytarzu pod pajakami.

Nie otwierał. Zadzwoiła jeszcze kilka razy, a potem zjechała do hallu i poszukała Jose.

- Gdzie jest pan Grayling? Nie ma go w domu?
- Wyjechał na święta, panno Emily.
- Wyjechał?
- Do rodziców. Nie wiem dokąd. Ale zabrał walizkę. Zostawił klucze dla pokojówki...

Miała dziwne uczucie déjà vu. Przypomniała sobie Charlotte i Halloween. Floryda. Trip też wyjechał na Florydę. Wszyscy odlatują na południe. Zostawił prezenty i zniknął.

Rozczarowanie zabolowało jak cios pięści.

Kim

Kim nie pamiętała, by kiedyś miała tak cudowne święta. Najchętniej zatrzymałaby na zawsze każdą chwilę. Włożyłaby je kolejno do szklanej kuli, w której wirują płatki śniegu, a potem, każdego dnia, potrząsała nią i przyglądała się ich trójce. Nigdy dotąd nie wyjeżdżali na święta na wieś. Nie wiedziała dlaczego – przecież to doskonale miejsce.

Było zimno. Diabelsko zimno. Rano poszli na plażę. Morskie powietrze szczypało w policzki mimo szalików i czapek. Avery opatulonej w polarową kominiarkę widać było tylko oczy. Zamarzały rzęsy. Cała rodzina przez kilka minut biegała po oszronionym piasku. Kim i Jason huścili uczepioną ich dłoni Avery. Gdzieś w oddali ktoś spacerował z psem, ale poza tym na plaży nie było nikogo, jakby na całym świecie została tylko ich trójka.

Avery nachylała się nad falami i piszcząc ze strachu, uciekała, gdy biała piana dotykała czubków jej śniegowców. Kilka razy Jason pochwycił ją tuż przed upadkiem i podrzucił w górę. Na ułamek chwili przypomniało mu się lato. Patrzył na inne rodziny na plaży i czuł żal na widok ich radości. Czy naprawdę to było tak niedawno?

Pierwsze dwa tygodnie po powrocie Kim z Waszyngtonu minęły im dziwnie. Zachowywali się wobec siebie trochę jak obcy – ostrożnie, uważnie i z troską. Nieco nienaturalnie. Nie kłócili się o żadne drobiazgi, ale też nie kochali, było na to jeszcze za wcześnie.

Pewnego ranka, w połowie grudnia, Avery rozlała przy śniadaniu sok pomarańczowy i wybuchnęła płaczem. Jason skarcił ją, zdenerwowany, że lepki płyn ochlapał mu zamszowe półbuty, a Kim warknęła, że to jego wina, bo postawił

szklanę za blisko córki. Natychmiast oboje umilkli przerażeni, czekając, co z tego wyniknie. Ale wszystko było w porządku. Nic się nie stało.

Potem umarła córeczka Gallagherów. Kim dowiedziała się o tym od Todda. Nie знаła dobrze Eve, a Eda prawie wcale, ale strasznie ją to przygnębiło. Takie historie wywoływały w pamięci ból własnych starań o dziecko, dawną przerażającą bezbronność. Tej nocy przytulili się do siebie w łóżku i po raz pierwszy wydało im się to zupełnie naturalne. Całowali się, dotykali, Kim czuła, jak Jason porusza się w jej wnętrzu i wszystko było jednocześnie znajome i nowe. Zasnęli mocno przytuleni do siebie. Wrócili do domu.

Charlotte

Podczas świątecznego tygodnia Charlotte pracowała na dwie zmiany w kuchni wydającej zupę bezdomnym. Było Boże Narodzenie, więc zwiększyli wydajność. Nikt nie mógł odejść bez posiłku. Wydawali śniadanie, lunch i obiad. Na tyłach działał rodzaj objazdowego szpitala, w którym każdy bezdomny mógł się zobaczyć z podiatrą lub dentystą. I punkt zaopatrujący w ubrania. Jakaś fabryka reklamująca nowy proszek urządziła pralnię, były też prysznice z gorącą wodą i nożyki do golenia. Mężczyźni i kobiety wchodzili, wyglądając jak trzy ćwierci do śmierci, a po paru godzinach Charlotte widziała niektórych z nich siedzących przy stoliku, z mokrymi, zaczesanymi do tyłu włosami. Ubrani w swetry, które mógłby nosić jej własny dziadek, jedli gorącą zupę. Był to jej własny świąteczny cud i trochę się od niego uzależniła. Siedzenie w domu wydawało się bezcelowe. Nawet egoistyczne. Tutaj mogła zrobić dużo więcej.

Przydał się nawet przekłety hiszpański. Emily śmiała się, gdy przyjaciółka jej o tym opowiedziała. Czyż to nie zrządzenie losu? Szukali Charlotte, gdy pojawiał się jakiś przybysz z Ameryki Łacińskiej mówiący słabo albo wcale po angielsku. Rozmawiała z nim, dowiadywała się, czego potrzebuje, i pomagała to znaleźć. Uświadomiła sobie, że hiszpański jest dla niej językiem miłości, potężnej i mogącej wiele zdziałać, choć nie tak wyobrażała sobie prowadzone w nim rozmowy.

Charlotte nie była głupia. Rozumiała, co się dzieje. Wiedziała, że „wyszła z siebie”, oddaliła się od osoby, którą była, i została kimś nowym. Po prostu przez te wszystkie lata nie przypuszczała, że to, czego pragnie, jest tak łatwe do osiągnięcia. Jeśli zostanie w nowej skórze wystarczająco długo, stara skurczy się, wyschnie i odpadnie. Czuła to.

Powiedziała Jacksonowi, dokąd Emily wybiera się na sylwestra i o której wyjdzie z domu. Miała przeczucie, że tych dwoje potrzebuje, by ktoś popchnął ich we właściwym kierunku.

I powinna to zrobić właśnie ona.

Emily

Emily stała na stopniach przed kamienicą, przeklinając śnieg. Miała na nogach pantofle na siedmiocentymetrowych obcasach, wykonane z materiału. Była spóźniona, a w sylwestra złapanie taksówki graniczyło z cudem. Jeśli pójdzie na górę włożyć botki, spóźni się jeszcze bardziej, a w dodatku nie będzie miała potem co z nimi zrobić. Do diabła. To znak. Przecież nie chciała iść na to przekłete przyjęcie. Wolała zostać w domu. Dała się namówić ledwie znanej koleżance mieszkającej przecznicę dalej, której teraz w ogóle tu nie było. Zadzwoiła i powiedziała, że spotkają się na miejscu, szykowała się na przyjęcie w domu przyjaciółki. Jedna wielka katastrofa. Gdyby nie zapłaciła 250 dolarów za bilet i nie obiecała dziewczynom z pracy, że przyjdzie, wróciłaby na górę, przebrała się w dres i obejrzała kilka filmów, jedząc lody. Sylwester jest dla dzieci i kochanków. A ona nie zalicza się do żadnej z tych kategorii.

Nagle z windy wysiadł Trip. Nowojorskie kamienice mają dziwaczny zwyczaj wypluwania z siebie ludzi, których pragniemy zobaczyć najbardziej lub najmniej na świecie. Zapominając o pantoflach z materiału, Emily niemal wyskoczyła z budynku i z postawionym kołnierzem ruszyła chodnikiem w stronę metra.

Jackson nie dawał znaku życia od czasu zostawienia świątecznych prezentów. Gdyby tamtego wieczoru był w mieszkaniu, rzuciłaby mu się na szyję i została z nim na zawsze. Ale po tygodniu jej postanowienie osłabło i znów stała się ostrożna.

– Emily, Emily. Zaczekaj. – Dogonił dziewczynę, zabiegając jej drogę.
– Nie chcę teraz z tobą rozmawiać. Wracaj do domu. Albo idź, gdziekolwiek szedłeś, i zostaw mnie w spokoju, dobrze?

- Nie mogę.
- Możesz. Nie mam ci nic do ofiarowania.
- Masz. Dla ciebie całkiem się zmieniłem.
- Nigdy cię o to nie prosiłam.
- Sam chciałem. Dla ciebie, dla siebie. Dla nas.
- Trip, nie jestem twoją terapeutką.

Chwycił ją za ramiona.

– Nie. Jesteś moją przyszłością. Kobieta, której pragnę. Posłuchaj. Zmieniłem się, bo kiedy cię poznałem, zobaczyłem życie, które mógłbym mieć, o którym marzyłem. Sprawiałaś, że chciałem stać się kimś lepszym, niż byłem... innym. Kimś, kto zasługuje na ciebie. Kocham cię. KOCHAM CIE.

Pod koniec prawie krzyczał. Jakaś para idąca po drugiej stronie ulicy przystanąła i popatrzyła na nich. Spod markizy wychylał się Raoul.

Emily spojrzała na Tripa. Na włosach i brwiach osiadał mu śnieg. Piękne oczy patrzyły na nią błagalnie i choć wszystko wokół zamarzało, opór Emily topniał.

- Ja też cię kocham - powiedziała cicho, niemal do siebie.

- Słucham? - roześmiał się. - Chyba nie dosłyszałem. A Raoul nie dosłyszał z całą pewnością. Powtórz to, Em.

- KOCHAM CIE. Zadowolony jesteś? Kocham cię, ty idioto. I przymarzłam już do chodnika.

Porwał ją na ręce, okręcił wokół raz, a potem drugi. I zaniósł z powrotem do domu, mijając Raoula, który do nich mrugnął.

- Ktoś tu będzie miał bardzo szczęśliwy Nowy Rok, co?

- Najszczęśliwszy, Raoul. Najszczęśliwszy.

RS

Styczeń

Eve

To były dziwne święta Bożego Narodzenia. Całkowicie je zignorowali. Nie było prezentów, choinki, indyka, oglądania filmu *To wspaniałe życie*, kolęd chłopięcego chóru z King's College. Ed przygotował wołowinę w sosie curry. Violet przyniosła owocowy crumble. Po lunchu cała trójka wybrała się na spacer do Central Parku. Przeszli od Boat Lake aż do północnego krańca Jacqueline Kennedy Onassis Reservoir i jeszcze dalej, do Lasker Rink, znanego tylko nowojorczykom lodowiska leżącego na wysokości 100 Ulicy.

Był mróz, ale wcale im to nie przeszkadzało. W parku panował spokój. Nie rozmawiali wiele. Eve trzymała przyjaciółkę pod rękę i starała się nie myśleć. Wystawiała twarz na podmuchy zimnego wiatru, aż piekły ją oczy. Potem Violet zaprowadziła ich do ławki Steadmana, którą ufundowała na jego pamiątkę.

Siedzieli na niej, aż zrobiło się zbyt zimno.

Pewnej nocy, po raz pierwszy od śmierci Hope, Eve pozwoliła Edowi, by ją przytulił. W ciągu ostatnich kilku tygodni nauczył się trzymać swojej strony łóżka. Ale tym razem, zanim zasnął, przysunęła się blisko, wsuwając mu stopę między nogi. Ed odwrócił się i przygarnął ją, a Eve go objęła i mocno przytuliła. Dotyk jej brzucha, płaskiego, pustego i galaretowatego, zasmucił go tak, że z trudem powstrzymał łzy. Ale trzymał Eve w ramionach i cieszył się, że mu wolno. Dawno tego nie robił i bardzo za nią tęsknił.

Następnego ranka, po przebudzeniu, wciąż byli ze sobą spleceni. Spali tak mocno, że prawie się nie poruszali. Pocałował żonę w szyję, by sprawdzić, czy się obudziła.

- Nie mogę tu zostać.
- Wiem. - To oczywiste. W Nowym Jorku wszystko się dla niej rozsypało.
- Chcę niedługo wyjechać.
- Wiem.
- Pojedziesz ze mną?
- Chcesz tego?

Eve przypominała sobie kwietniowy dzień, gdy stojąc w oknie hotelu Four Seasons, patrzyła na parę unoszącą się spod pokryw studzienek kanalizacyjnych. Może już wtedy przeczuwała, że nic dobrego ich tu nie spotka?

- Oczywiście, że chcę. Ale twoja praca... przecież uwielbiasz to miejsce...

– Tylko wtedy, gdy tobie jest dobrze i gdy jesteś ze mną. Nie mógłbym być szczęśliwy bez ciebie.

– A twoja kariera? Mam wyrzuty sumienia.

Uniósł głowę, opierając ją na dłoni, tak by widzieć twarz Eve.

– Całe życie zajmowałem się karierą. Pozwalałem, by kształtowała moje życie. Tutaj też. Straciłem nie tylko Hope. Straciłem ciebie. Nie zwracałem na to uwagi, wmawiałem sobie, że jest inaczej. Nie byłaś szczęśliwa. A ja, zamiast spróbować to naprawić lub chociaż przyjąć do wiadomości, udawałem, że wszystko jest w porządku. Przepraszam. Chcę wreszcie coś zmienić. Chcę, żebyśmy wrócili do Anglii. Z wielu powodów, ale przede wszystkim dlatego, że pragnę dostać z powrotem moją Evie. – Poglaskał ją po policzku i poczuł, że jest mokry od łez.

– Nie wiem, czy to możliwe, gdziekolwiek zamieszkamy.

– Nie będziesz taka sama, oboje nigdy nie będziemy już tacy jak przedtem. Wiem na pewno. Była Hope i nie chcę o niej zapomnieć. Ale musisz uwierzyć, że jesteś dla mnie kimś najważniejszym na świecie. Ważniejszym niż praca czy ojczyzna. Ty stałaś się moją ojczyzną. Nie jestem już tylko sobą, lecz połową nas dwojga. I obu połowom musi być dobrze, inaczej żadnej nie będzie.

– A jeśli powrót do Anglii nie okaże się dobry dla twojej połowy?

– Sprawię, żeby był. Czułem się tam szczęśliwy, zanim pojawiła się możliwość wyjazdu. Znajdę nową pracę.

– A więc wracamy?

– Tak. Już powiedziałem w biurze. I zawiadomiłem właścicieli mieszkania. Sekretarka zadzwoni do firmy przeprowadzkowej. Wyjeżdżamy.

Eve wybuchnęła płaczem. Poczuała, jakby się rozwiała wielka ciemna chmura wisząca nad jej głową. Wracała do domu.

I choć mieszkała tu tyle miesięcy, brakować jej będzie tylko jednej osoby.

Violet

Od śmierci Hope Violet podejrzewała, że tak się stanie. Decyzja o powrocie do Anglii była słuszną. Eve miała rację – nic ich tu teraz nie trzymało. W kraju, w znajomym otoczeniu, wśród najbliższych, rany zagoją się szybciej i lepiej. Martwiła się o Eve i Eda. Po przeprowadzce do Stanów równowaga w ich małżeństwie pod wieloma względami została zachwiana, a śmierć Hope tylko pogorszyła całą sprawę. Powinni wrócić do Anglii. Violet dobrze to rozumiała.

Ale było jej bardzo smutno. Bardziej niż kiedykolwiek od wielu lat. Nigdy więcej nie zobaczy Eve. Przez pewien czas przyjaciółka będzie dzwonić. Pisać listy. Potem przez kilka lat przysyłać kartki świąteczne. Podczas Bożego Narodzenia w

sercach będą razem. Obie straciły wtedy córki i już na zawsze każda z nich podświadomie będzie myśleć o tej drugiej. Wiedziała o tym. Ale Eve i Ed będą mieli więcej dzieci, których Violet nigdy nie zobaczy i nie pozna. Ich imiona pojawią się na świątecznych kartkach. *Najserdeczniejsze życzenia od Eda, Eve, Chloe, Hannah, Theo...* Nie zastąpią Hope, lecz sprawia, że jej utrata będzie lżejsza do zniesienia. Ból się zmniejszy, jeśli tylko mu na to pozwolą. Nowy Jork stanie się po prostu jednym z rozdziałów w księdze ich długiego wspólnego życia, a Violet osobą, która im wtedy pomogła.

Miała prawie osiemdziesiąt lat. Wiedziała, że nigdy więcej nie poleci do Anglii. A po co Eve miałyby tu przyjeżdżać? Pożegnają się na zawsze. Wkrótce drzwi się zamkną, a ona znów zostanie sama. A niedługo potem – naprawdę niedługo – umrze.

Jednak nie żałowała, że poznała Eve. Chyba, na swój sposób, to młoda kobieta bardziej jej pomogła.

Tak często siadywały razem w tym mieszkaniu, rozmawiając całymi godzinami. Eve prosiła o opowieści, słuchała ich jak dziecko, a Violet snuła kolejne historie, otulając się nimi niczym szalem. Dziś brakowało jej słów. Piętro niżej Ed znosił walizki do taksówki, ustalał ostatnie szczegóły z gospodarzem domu. Reszta rzeczy zostanie wkrótce zabrana i odesłana do Anglii. Okres wynajmu wygasał dopiero w marcu, ale pieniądze nie miały już znaczenia. Dla Eve nic teraz nie znaczyło wiele i Ed o tym wiedział. To dobrze, Violet lubiła go, lecz uważała, że podczas pobytu tutaj nie stawiał Eve na pierwszym miejscu tak często, jak powinien. Potrzeba było tragedii, by przejrzał na oczy.

Eve schudła i wyglądała bardzo młodo. Wciąż wypukły brzuch robił nieco dziwne wrażenie przy chudych rękach i nogach, przy wymizerowanej twarzy. Miała na sobie za duży teraz sweter, którego kołnierz zwisał jej luźno z ramion. A może to sweter Eda? Pod zaczerwienionymi od płaczu oczami widniały ciemne podpuchnięte sińce. Teraz też płakała.

Oczy Violet również napełniły się łzami. Przyciągnęła Eve do siebie i przytuliła mocno, całując w czubek głowy. Przez chwilę milczały, a potem Violet przerwała uścisk. Delikatnie odsunęła młodą kobietę od siebie, kładąc jej ręce na ramionach.

- Idź już. Ed czeka na ciebie.
- Będę za tobą strasznie tęskniła.
- A ja za tobą, kochanie.
- Nigdy nie zdołam ci się odwdzieczyć... za to, co dla nas zrobiłaś.
- Nie musisz. Po prostu bądź szczęśliwa.

Bądź. Szczęśliwa. Eve w milczeniu skinęła głową, wydymając usta. Jeszcze nie wierzyła, że to możliwe. Było za wcześnie.

Violet nacisnęła guzik windy i gdzieś niżej rozległo się skrzypnięcie ruszającego dźwigu. Wsunęła Eve do ręki kopertę.

– Przeczytaj to później.

Nadjechała winda i drzwi się otworzyły. Eve wsiadła, wciąż trzymając Violet za rękę. Przyjaciółka wysunęła delikatnie dłoń i pomachała, drugą przesyłając pocałunek. Zmusiła się do wesołego uśmiechu, by ułatwić rozstanie.

Po odjeździe Eve wróciła do mieszkania. Wytarła nos, włożyła okulary i tak długo przeglądała kolekcję płyt CD, aż znalazła tę, o którą jej chodziło. Włożyła *Cyganerię* (nagranie przedstawienia z Metropolitan Opera z 1965 roku) do odtwarzacza, nacisnęła guzik i nalała sobie duży kieliszek tarninówki. Potem wyjęła z szuflady pokazywaną niedawno Eve fotografię Steadmana. Trzymała ją tam wraz z innymi zdjęciami już nazbyt długo, a teraz oparła o stojący na kredensie świecznik tak, by padało na nią światło lampy. Na chwilę dotknęła palcem policzka męża. Usiadła, położyła głowę na oparciu fotela i zamknęła oczy, znów zanurzając się w cudowną arię oraz wspomnienia dawno minionej nocy.

Eve

Samolot był pełen pasażerów. Kapitan ogłosił właśnie, że podróż potrwa sześć godzin i dwadzieścia minut. Lecieli z wiatrem. Sprawdzono, czy drzwi są zamknięte. W przejściu stała stewardesa ubrana w kamizelkę ratunkową, a na ekranie umieszczonym na oparciu fotela przed Eve, wesoły, rysunkowy steward informował, że maskę tlenową należy najpierw założyć sobie, a dopiero potem dziecku. Tak. Jasne.

Eve sięgnęła po pas, na którym usiadła. Musnąwszy ręką kieszeń swetra, przypomniała sobie o liście od Violet. Większą część drogi z mieszkania na lotnisko JFK przepłakała, leżąc na kolanach Eda. Ostatnimi czasy bez przerwy ronila łzy. Czasami zastanawiała się, kiedy wreszcie znów zaczną się liczyć dla niej względy społeczne i zdoła się opanować. Płakała w hali odlotów, nie dbając, że wśród pozostałych pasażerów jej emocje wywołują lekkie zamieszanie. Patrzyła na chasydów czytających Torę i kiwających się w stronę widocznego przez ogromne okno samolotu. Wyglądało to osobliwie, gdyż samolot linii lotniczych Virgin Atlantic nazywał się Gloria i widniał na nim, jak zwykle, wizerunek skapo ubranej dziewczyny.

Po wejściu na pokład automatycznie przyjęła podaną jej lampkę szampana, którego potem nawet nie tknęła. Stewardesa pokiwała współczująco głową, zabierając pełny kieliszek.

Ed czytał magazyn pokładowy, sprawdzając, jakie filmy będą wyświetlane. Jedną rękę trzymał na kolanie Eve. Z wykonywaniem zwykłych czynności radził

sobie lepiej niż ona. Początkowo uważała, że to dziwne i podejrzane. Teraz rozumiała. W ten sposób próbował uporać się z cierpieniem.

Wyciągnęła list od Violet i otworzyła kopertę. Na widok atramentu w kolorze lawendy wróciła myślami do ich pierwszego spotkania, wiosną, na tarasie na dachu. Do damy ze zdjęcia ubranej w lawendowy kostium z toczkiem.

Najdroższa Eve!

W ciągu ostatnich tygodni często mi dziękowałeś, ale to ja mam u Ciebie dług wdzięczności. Przywróciłeś mnie do życia. Oddałeś wspomnienia i przypomniałeś o wielkiej miłości, którą dane mi było przeżyć. Za to Ci dziękuję.

Eve, nie pozwól, aby to, co zaszło, zdecydowało o tym, jaką osobą się staniesz. Niech przeżyta tragedia będzie częścią Ciebie, ale nie wszystkim. Włóż w siebie więcej życia i więcej miłości.

„Nie podążaj w stronę, w którą wiedzie ścieżka. Idź tam, gdzie jej nie ma, i wytycz szlak...”.

Z wyrazami miłości,

Violet

– Violet? – Ed pochylił się w stronę Eve.

Uśmiechnęła się słabo i kiwnęła głową.

– Stara mądra sowa.

– To prawda.

Eve spojrzała na Eda, a potem przyciągnęła go do siebie i pocałowała lekko w usta. Zetknęli się nosami i czołami.

– Co z nami będzie, Eve?

Położyła mu rękę na karku i pogładziła po włosach.

– Będzie dobrze.

Godzina 21:00

Kamienicę wybudowano w 1912 roku i od tamtej pory na jej skrzynkach na listy pojawiło się 107 różnych nazwisk. Ludzie przychodzili i odchodzili, żenili się i rozwodzili, rodzili się i umierali. Przynajmniej dwa razy do roku jakieś mieszkanie zmieniało właściciela, gdyż większość lokali na niższych piętrach wynajmowano.

Jak w sztuce długo granej na Broadwayu dekoracje pozostawały takie same, za to obsada od czasu do czasu się zmieniała. Zarząd spotykał się raz w miesiącu i debatował na temat naprawy schodów i problemów z gołębiami na parapetach. Przeprowadzał rozmowy z potencjalnymi właścicielami mieszkań, sprawdzał ich oświadczenia finansowe i referencje. Sprzeczał się z firmą obsługującą wynajem lokali, starał się udobruchać osoby skarżące się na hałasy, usterki i remonty przeprowadzane nad ich głowami.

Jutro do mieszkania Eve i Eda mieli wejść agenci biura nieruchomości, by zachwalać zalety domowej pralni i kuchennego wyposażenia ze stali nierdzewnej. Meble już zapakowano i odwieziono do portu, gdzie czekały na załadowanie do kontenera. Lokal był pusty. Tym razem nie zadano sobie trudu, by go urządzić na pokaz. Rynek nieruchomości w Nowym Jorku prężnie się rozwijał i w kolejce do obejrzenia mieszkania czekały trzy młode małżeństwa. Jego właściciel, kancelaria prawnicza, przysłała ekipę sprzątającą już w godzinę po tym, jak Eve i Ed odjechali taksówką na lotnisko. Gdy po odprawie usiłowali znaleźć miejsce siedzące w zatłoczonej hali odlotów, w lokalu 7A nie pozostał po nich niemal żaden ślad. Nic nie wskazywało, że spędzili w tych ścianach osiem miesięcy.

Za to na nich Nowy Jork odcisnął swoje piętno. Głębokie czerwone pręgi biegingy teraz przez ich małżeństwo i marzenia o przyszłości. A w mieście po Gallagherach zostało kilka doniczek i krzeseł na tarasie domu przy 70 Wschodniej Ulicy. Nazwisko w rejestrze zgonów. Niewiele więcej.

Może tak dzieje się zawsze?

Mieszkanie Arthura Alexandra na trzecim piętrze kupiła po okazyjnej cenie Clara Morton, koleżanka ze studenckiej korporacji Madison Cavanagh. Ściany były pożółkłe od nikotyny, wyposażenie kuchni nie zmieniane od 1950 roku, wszędzie śmierdziało moczem. Razem z Madison wypróbowywały kolory farb na brudnych ścianach. Ekipa remontowa miała wkroczyć w przyszłym tygodniu. Clara pracowała w głównej nowojorskiej agencji public relation specjalizującej się w rynku mody i była dumna ze swego wyczucia kolorów. Paski w odcieniach turkusowym i morskim zdobiły pokój dzienny, a jaskrawy koral przylegająca do niego kuchnię, w której miał stanąć rząd lśniących lakierowanych szafek z blatami ze stali nierdzewnej. Nigdy się nie pobrudzą, bo Clara nie będzie gotować. Prawie ni-

czego nie je. Dziewczyny otworzyły wszystkie okna, by wywietrzyć smród, i uderzyła w nie fala lodowatego powietrza. Pracowały w płaszczech.

Madison nie wiedziała, że Arthur zmarł w mieszkaniu. Nawet gdy żył, nie zwracała na niego uwagi. Zresztą i tak nie powiedziałaaby o tym Clarze. Ludzie dziwnie reagują na takie rzeczy, mogłaby się zniechęcić. A zakup lokalu był przede wszystkim pomysłem Madison. Skończyła znajomość z pozbawioną gustu Charlotte Murphy.

I tak robiła jej tylko uprzejmość. A co do Emily i Jacksona, niech sobie będą razem. Głęboko zakopała poczucie odrzucenia. Nie tylko przez Jacksona, a także przez Emily i Charlotte. Od Halloween dawna znajoma nie odzywała się do niej. Madison pamiętała, że jechała z nimi windą, ale nie mogła sobie przypomnieć, co wtedy powiedziała. Zresztą sporo przecież wypiała. I pewnie tylko żartowała. Nie, wcale ich wszystkich nie potrzebuje. Jest przepiękną dziewczyną, ma wspaniałe ciało i wielką klasę. I tak lepiej sobie od nich poradzi. Clara będzie jak oddech świeżego powietrza – wreszcie ktoś do rzeczy, z kim można się zabawić.

W mieszkaniu numer 5B Todd i Gregory zasiedli z wielkimi kieliszkami cabernet sauvignon, by obejrzeć na HBO *Bez skrupułów*. Między nimi na dywanie leżał Ulisses. Powinni być teraz na promocji w księgarni Barnes & Nobles na Union Square – znajomy Todda wydał przewodnik po sklepach dla nowojorskich dekoratorów wnętrz. Ale było za zimno i czuli się zbyt zmęczeni. Greg prawie cały dzień spędził na sali operacyjnej i jeszcze przed powrotem do domu zrezygnował z wyjścia. Todd nie chciał iść bez niego. Zresztą rzeczony autor i tak nie był ich prawdziwym przyjacielem, więc żaden nie czuł się winny. Obaj wcześniej widzieli film w kinie, a teraz trochę oglądali, a trochę rozmawiali. Greg westchnął i przetarł oczy.

– Ciężki dzień? – zapytał Todd, obejmując go ramieniem.

– I długi – przytaknął Greg. – Ale dziecko, które usypiałem, będzie żyło. Gdy rano weszliśmy do sali, nie byłem tego taki pewien. Myślałem, że mam przed sobą dawcę organów.

– Wszystko z nim dobrze?

– Wyzdrowieje.

– Bardzo mi się podoba, że to robisz.

– Co?

– Ratujesz życie. Zmieniasz je na lepsze.

Greg uśmiechnął się do niego. Todd zawsze cierpiał na syndrom białego fartucha.

– Oczywiście ja też je zmieniam... Ludzie naprawdę nie doceniają psychologicznego wpływu frędzli przy zasłonie...

Greg chwycił poduszkę i żartobliwie uderzył nią Todda w pierś.

– Zamknij się. Truman Capote zaraz usłyszy wyrok... to najlepszy fragment...

Piętro wyżej Rachael siedziała przy biurku i przeglądała e-maile. Z tyłu, w salonie, David czytał książkę. Było jak dawniej. Tylko zupełnie inaczej. Wszystko się zmieniło.

Wiedziała, że nic z tego nie będzie. Niemal od pierwszej chwili. Kamień węgielny, na którym zbudowali swój dom, zachwiał się zbyt mocno, powstały zbyt szerokie szczeliny. Rachael zrobiła to dla Jacoba, Noah i Mii. I dla siebie. Z dumy, wstydu i strachu – nowych uczuć, które poznała tak dobrze w ciągu ostatnich kilku miesięcy.

Wierzyła, że się uda, że potrafi przebaczyć, jak jej mówiła Milena. W przeciwnym razie nigdy nie pozwoliłaby im przechodzić przez to wszystko.

Myliła się.

Niedługo David podejdzie do biurka, pocałuje ją w czubek głowy, a ona stłumi chęć, by się odsunąć, nie powie mu, że już nie ma prawa. Mąż oznajmi, że na dziś czas zakończyć pracę. Poprowadzi ją korytarzem do sypialni. Jego gorliwe starania, by wszystko naprawić, były wręcz żenujące. Może Rachael pozwoli, by się z nią kochał. Starał się robić to tak często jak kiedyś, jakby stanowiło to dowód powrotu do normalności po zdradzie. Będzie skrupulatny i troskliwy. A ona będzie leżeć i myśleć, że życie, które prowadzą teraz, ma kolor sepii. Barwy zblakły.

Powtarzała sobie, że dzieciom jest dobrze. A skoro tak, powinno być dobrze także i jej. Ale zastanawiała się, jak długo jeszcze wytrzyma.

W mieszkaniu po drugiej stronie korytarza Kim stała w drzwiach pokoju Avery i oparta o futrynę patrzyła na śpiącą córkę. U nich także wszystko się zmieniło. Jason przygotowywał późną kolację i korytarzem płynął apetyczny zapach grillowanej baraniny. Noga Avery wystawała spod koca, ale Kim wiedziała, że jeśli ją nakryje, za dwie minuty będzie tak samo. Robiła to już tego wieczoru dwa razy.

Zeszłej nocy, nad ranem, małą obudził zły sen i wzięli ją do siebie do łóżka. Kim mimowolnie przypomniwała sobie czasy, gdy używała córki jako tarczy przeciw Jasonowi. Nie teraz. Leżeli wsparci na łokciach, zwrócenii do siebie twarzami, uśmiechnięci. Dziwiło ją, że okazują sobie tyle ciepła. Nigdy tacy nie byli, nawet na początku znajomości, gdy nie mogli się sobą nasycić. To dlatego, że odnaleźli się na nowo. Świat wokół nich się zatarł, została tylko ich trójka.

Gdy tak leżeli, po raz pierwszy pomyślała przez chwilę o drugim dziecku. Nie o zastrzykach, wizytach w szpitalu, huśtawce nadziei i rozczarowania. O drugim dziecku leżącym tu, między nimi. Nie wierzyła, że coś takiego przyjdzie jej do głowy. Zresztą wszystko, co teraz się działo, było trudne do uwierzenia. Ale nie trzeba się spieszyć. Mają przed sobą całe życie.

Na dworze śnieg przestał padać. Pługi pracowicie odgarniały go z jezdni, a portierzy oczyszczali przynależne im kawałki chodników i zmywali marmurowe podłogi. Ostatnia pacjentka Huntera Sterna wsiadła do windy razem z Jacksonem i Emily, którzy właśnie wychodzili na kolację. Pomyślała, że zamiast kosztującej

200 dolarów godzinnej terapii, której nie pokrywało ubezpieczenie i o której nie wiedzieli rodzice, potrzeba jej takiego właśnie związku. Buzująca od chemii i uczuć para urodzinych młodych ludzi stała, trzymając się za ręce, tak blisko, że się dotykali, a dziewczyna opierała głowę na ramieniu chłopaka. Pacjentka zastanawiała się, czemu taki związek nie jest jej udziałem?

Kiedyś w ten sposób myślała Charlotte. Teraz, idąc od stacji metra do domu, otulona przed zimmem, zobaczyła Jacksona i Emily zmierzających w jej stronę. Pochłonięci sobą nie zauważyli jej z daleka. Jackson coś mówił, a Emily się śmiała.

Charlotte pomyślała sobie – pewnego dnia coś takiego przydarzy się także i mnie.

RS

Podziękowania

Piszę te słowa w Nowej Anglii podczas Święta Dziękczynienia. Moje ulubione amerykańskie święto wydaje się bardzo odpowiednim dniem na wyrażenie wdzięczności Jonathanowi Lloydowi i jego zespołowi z Curtis Brown.

Składam serdeczne podziękowania wszystkim z wydawnictwa Penguin, którzy tak ciężko pracowali nad tą książką. Szczególnie dużo zawdzięczam Mari Evans, Debbie Hatfield, Shan Morley Jones, Mike'owi Symonsowi, Liz Smith i wielu innym osobom. Byliście wspaniali.

Dziękuję za trud i wsparcie Fionie McMorrough i Annabel Robinson.

Davidzie, Tallulah i Otilie Young – każdego dnia jestem wdzięczna losowi za to, że was mam.

RS